

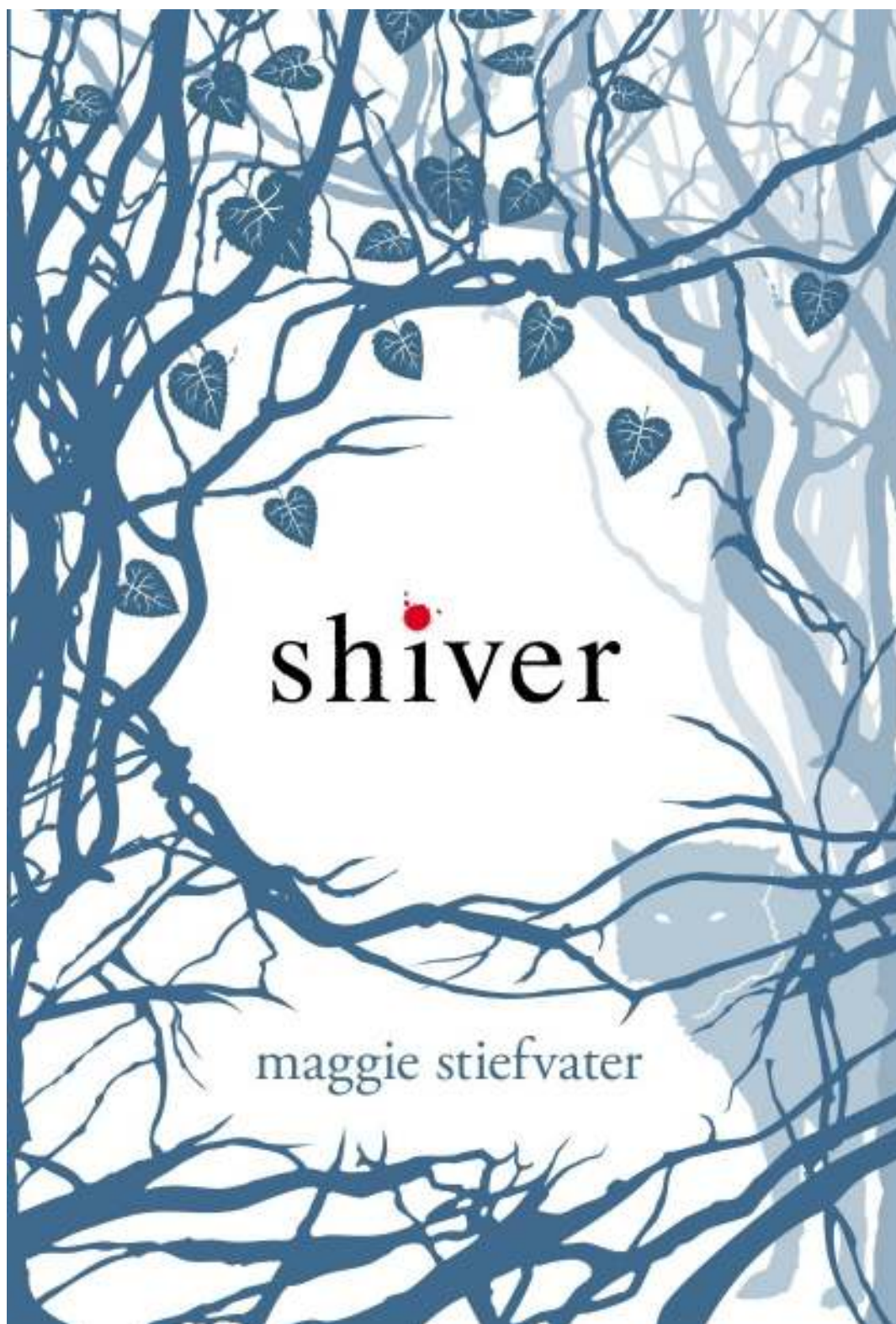
Maggie Stiefvater

„Ciarki”

Tłumaczenie: Kath

Tytuł oryginału: „Shiver”

Oryginalna okładka ;-)



Od tłumacza

Od bardzo dawna rozwijam w sobie miłość do literatury. Gdy byłam dzieckiem, były to głównie książki w mowie ojczystej. Z czasem jednak odkryłam w sobie kolejną miłość, jaką jest zamiłowanie do języków obcych.

Tłumaczenie, które dotarło w wasze ręce, jest tego zamiłowania owocem i powstało głównie po to, bym mogła dwa wyżej wymienione zamiłowania rozwijać. Wierzcie mi lub nie, ale tłumaczenie jest jednym z najlepszych sposobów uczenia się języka! ;-) A jeśli przy okazji można przeczytać dobrą książkę, to czemu nie ...?

Mam nadzieję, że czytanie tego tłumaczenia sprawi wam co najmniej tyle frajdy, co mi jego spisywanie.

Z góry zaznaczam, że mogłam nie ustrzec się błędów – pracuję całkiem sama w oparciu o różne pomoce dydaktyczne, m. in. w internecie.

Jeśli chcecie gdziekolwiek zamieszczać tę pracę, bądźcie na tyle uprzejmi i napiszcie mój pseudonim w creditsach – Bóg wam w dzieciach wynagrodzi ^^

Miłego czytania!

Kath

ROZDZIAŁ 1

Grace

Pamiętam, że leżałam na śniegu, otoczona przez wilki i małą, czerwoną plamkę ochładzającego się ciepła. Lizały mnie, gryzły, atakowały moje ciało, naciskały na nie. Ich skupione ciała blokowały i tak już nikłe promienie słońca. Na ich kołnierzach połyskiwał lód, a ich oddech tworzył mętne kształty wiszące w otaczającym nas powietrzu. Piżmowy zapach ich sierści przypominał mi zapach mokrego psa i palących się liści, przyjemny i przerażający. Ich języki topiły moją skórę; ich nieostrożne zęby porwały moje rękawy i haczyły moje włosy, popchnięte na mój obojczyk, puls na mojej szyi.

Mogłam krzyczeć, ale tego nie zrobiłam. Mogłam walczyć, ale tego nie zrobiłam. Po prostu tam leżałam i pozwoliłam się temu dzieć, patrząc jak białe, zimowe niebo nade mną szarzeje.

Jeden z wilków szturchnął nosem moją dłoń, potem policzek, rzucając cień na moją twarz. Jego żółte oczy patrzyły w moje, podczas gdy reszta wilków szarpała mnie w tę i w tę.

Zatrzymałam się na tych oczach na tak długo, jak mogłam. Żółtych. I, z bliska, cudownie upstrzonych każdym odcieniem złota i brązu. Nie chciałam, by odwracał wzrok – i tego też nie robił. Chciałam sięgnąć i chwycić się jego kołnierza, ale moje dłonie pozostały zwinięte na mojej klatce piersiowej, a moje ramiona przymarznięte do mojego ciała.

Nie mogłam sobie przypomnieć, jak to było, gdy było mi ciepło.

Potem zniknął, i już bez niego reszta wilków zbliżyła się zbyt blisko, dusząc mnie. Coś chyba w mojej klatce piersiowej trzepotało.

Nie było żadnego słońca; nie było żadnego światła. Umierałam. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądało niebo.

Ale nie umarłam. Zatraciłam się w morzu zimna, a zaraz potem odrodziłam się w świecie ciepła.

Pamiętam tylko to: jego żółte oczy.

Mślałam, że już nigdy ich nie zobaczę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sam

Wyrwali dziewczynę z jej huśtawki zrobionej z opony na podwórku i zaciągnęli ją do lasów; jej ciało ryło płytką drózkę w śniegu – z jej świata, do mojego. Widziałem, jak to się działo. I tego nie powstrzymałem.

To była najdłuższa i najzimniejsza zima mojego życia. Dzień za dniem, pod bladym, nic nie wartym słońcem. I głód – głód, który palił i nękał – niezaspokojony mistrz. Tamtego miesiąca nic się nie zmieniło, krajobraz zamarzał w dioramę bez kolorów, pozbawioną życia. Jeden z nas został postrzelony próbując kraść śmieci z czyjegoś kosza, więc reszta paczki została w lasach i powoli umierała z głodu, czekając na ciepło i nasze stare ciała. Dopóki nie znaleźli dziewczyny. Dopóki nie zaatakowali.

Uklękli przed nią, warcząc i kłapiąc zębami, walcząc o to, kto pierwszy ją dobije.

Widziałem to. Widziałem ich boki, drżące z podniecenia. Widziałem jak ciągnęli ciało tej dziewczyny w tę i we w tę, ugniatając śnieg leżący pod nią. Widziałem pyski umazane czerwienią. Mimo to, nie powstrzymałem tego.

W paczce byłem dość wysoko – Beck i Paul zdążyli się już o tym przekonać – więc mogłem bezzwłocznie się wtrącić, lecz ja trzymałem się z boku, trzęsąc się z zimna, będąc po kostki w śniegu. Dziewczyna pachniała ciepłem, życiem, człowieczeństwem ponad wszystko inne. Co z nią było nie tak? Jeśli była żywa, czemu się z nimi nie siłowała?

Mogłem wyczuć jej krew, ten żywy, jasny zapach w tym martwym, zimnym świecie. Widziałem jak Salem się szarpał i trząsł, podczas gdy rozdzierał jej ubranie. Mój żołądek się skręcił, pełen bólu – od tak dawna nic nie jadłem. Chciałem się przedrzeć przez wilki i stanąć obok Salema i udać, że nie potrafię wyczuć jej człowieczeństwa czy usłyszeć jej delikatnych jęków. Była taka mała przy naszej dzikości, gdy paczka na nią naciskała, chcąc by dała nam jej życie w zamian za nasze.

Warcząc i połyskując zębami, przepchałem się naprzód. Salem na mnie warczał, lecz ja miałem większy zakres możliwości niż on, pomimo mojego umierania z głodu i młodego wieku. Paul burknął pouczająco, by mnie wesprzeć.

Byłem naprzeciw niej, a ona patrzyła w nieskończone niebo nieprzytomnymi oczyma. Może była już martwa. Wepchnąłem nos w jej dłoń; zapach wnętrza jej dłoni, zapach cukru, masła i soli, przypomniał mi o drugim życiu.

Wtedy zobaczyłem jej oczy.

Rozbudzone. Żywe.

Patrzyła prosto na mnie, jej oczy trzymały moje z tak okropną szczerością.

Wycofałem się, odsunąłem, znów zaczynając się trząść – tym razem jednak to nie gniew wyprowadził mnie z równowagi.

Jej oczy na moich oczach. Jej krew na mojej mordzie.

Byłem rozdarty, wewnątrz i zewnątrz.

Jej życie.

Moje życie.

Paczka odwróciła się ode mnie, nieufnie. Warczeli na mnie, nie byłem już jednym z nich. Warczeli nad swoją zdobyczą. Myślałem, że była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem, małym, zakrwawionym aniołkiem w śniegu, a oni mieli zamiar ją zniszczyć.

Widziałem to. Widziałem ją, lecz takim sposobem, w jaki niczego nigdy przedtem nie postrzegałem.

I zatrzymałem to.

Rozdział trzeci

Grace

Po tym wszystkim widywałam go ponownie – zawsze w zimnej pogodzie. Stawał na skraju lasów naszego podwórka, a jego żółte oczy patrzyły na mnie gdy napełniałam karmnik na ptaków czy wносиłam śmieci, lecz nigdy nie podchodził blisko. Pomiędzy dniem a nocą, w czasie, który zdawał się wlec w nieskończoność podczas typowej zimy w Minnesocie, uczepliłam się zamrażniętej huśtawki-opony, dopóki nie poczułam jego spojrzenia. A później, gdy z niej wyrosłam, schodziłam z tylniego tarasu i cichutko do niego podchodziłam. Wyciągałam rękę, z dłonią ku górze a wzrokiem ku dołowi. Bez żadnych złych zamiarów. Po prostu starałam się z nim porozumieć.

Lecz nieważne, jak długo czekałam, nieważne, jak bardzo starałam się do niego dotrzeć, on zawsze czmychał do lasu zanim zdążyłam przekroczyć dzielący nas dystans.

Nigdy się go nie bałam. Był wystarczająco wielki by mnie zrzucić z huśtawki, wystarczająco silny by mnie ogłuszyć i zaciągnąć do lasów. Lecz dzikości jego ciała nie było w jego oczach. Pamiętałam jego wzrok, każdy odcień żółci, i nie mogłam się bać. Wiedziałam, że nie zrobi mi krzywdy.

Chciałam, by wiedział, że ja też mu nic nie zrobię.

Czekałam. I czekałam.

I on też czekał, chociaż nie wiedziałam, na co. Wyglądało to tak, jakbym tylko ja starała się do niego dotrzeć.

Ale on był zawsze przy mnie. Obserwował mnie, gdy ja obserwowałam jego. Nigdy się nie zbliżał, lecz również nie oddalał.

I taki oto schemat trwał przez sześć lat: nawiedzająca obecność wilka w zimie, i jeszcze bardziej nawiedzająca nieobecność w lecie. Nie myślałam tak naprawdę o czasie. Myślałam, że byli wilkami. Tylko wilkami.

Rozdział czwarty

Sam

Dzień, w którym prawie nawiązałem rozmowę z Grace, był najgorętszym dniem mojego życia. Nawet w księgarni, gdzie powietrze było klimatyzowane, żar wślizgiwał się przez drzwi i wkładał falemi przez okna panoramiczne. Z tyłu lady, powlokłem się do mojego stołku w słońcu i ssałem wszystkie soki lata zupełnie jakbym mógł każdą jego kroplę zatrzymać w swoim wnętrzu. Podczas gdy godziny się wlokły, promienie popołudniowego słońca wybielały wszystkie książki na półkach do białych, pozłacanych ich wersji i ogrzewały papier i tusz wewnątrz okładek, więc zapach nieprzeczytanych słów wisiał w powietrzu.

To było tym, co kochałem, gdy byłem człowiekiem.

Czytałem, gdy drzwi otworzyły się z lekkim brzdękiem, wpuszczając duszny przyptyw gorącego powietrza i grupkę dziewczyn. Śmiały się za głośno, by potrzebować mojej pomocy, więc dalej czytałem i pozwoliłem im przepychać się wzdłuż ścian i mówić o wszystkim za wyjątkiem książek.

Nie sądzę, bym w ogóle poświęcił im więcej uwagi, choć kątem oka widziałem jedną z nich gdy chwyta włosy i wiąże je w długiego kucyka. Ten ruch sam w sobie był nieistotny, lecz uniósł w powietrzu cząstkę zapachu. Rozpoznałem go. Błyskawicznie.

To była ona. Musiała być.

Podniosłem książkę wyżej, by przykryć moją twarz, i zaryzykowałem postanie spojrzenia w kierunku dziewczyny. Pozostałe dwie wciąż rozmawiały i gestykulowały nad papierowym ptaszkiem, który wisiał na suficie przy sekcji z książkami dla dzieci. Ona jednak nie rozmawiała; unikała ich, jej wzrok wędrował na książki ją otaczające. Zobaczyłem wtedy jej twarz, i ujrzałem w niej coś z siebie w jej wyrazie. Jej oczy szybko przeglądały zawartość półek, szukając możliwości ucieczki.

W mojej głowie stworzyłem już chyba z tysiąc różnych wersji tej sceny, lecz teraz, gdy ten moment nadszedł, nie wiedziałem, co mam robić.

Była tu taka prawdziwa. Było inaczej, gdy była na podwórku, po prostu czytając książkę czy pisząc pracę domową w zeszycie. Tam, dystans który nas dzielił, był niemożliwą do przejścia przepaścią; czułem wtedy wszystkie pobudki, dla których powinienem się trzymać z dala. Tu, w księgarni, ze mną, jej bliskość wydawała się zapierać dech w piersiach jak nigdy wcześniej. Nie było nic, co mogło mnie powstrzymać przed porozmawianiem z nią.

Jej wzrok zmierzał w moim kierunku, a ja swój odwróciłem, spoglądając do książki. Nie rozpoznałaby mojej twarzy, lecz rozpoznałaby oczy. Musiałem w to wierzyć – że rozpoznałaby je.

Modliłem się o to by wyszła – wtedy mógłbym znów złapać oddech.

Modliłem się, by kupiła książkę – wtedy mogłbym do niej zagadać.

Jedna z dziewczyn zawołała:

- Grace, chodź tu, spójrz na to. „Osiągając sukces: Jak dostać się na college twoich marzeń?”
Brzmi nieźle, nie?

Wolno wziętem oddech i obserwowałem jej długie, oświetlone słońcem plecy gdy klękała i rozglądała się po półce z książkami przygotowywanymi do testów na college razem z dziewczynami. Pochyliła ramiona, wydając się wyrażać grzeczne zainteresowanie; pokręciła głową, gdy wskazały na inne książki, lecz wydawała się roztargniona. Obserwowałem sposób, w jaki promienie słoneczne padały przez okna, wyłapując wypadnięte z jej kucyka kosmyki włosów i zmieniając każdy z nich w lśniąca niczym złoto nić. Jej głowa prawie niezauważalnie kołysała się w przód i w tył w rytmie muzyki grającej w tle.

- Hej.

Drgnąłem, gdy pojawiła się przede mną pewna twarz. Nie twarz Grace, lecz jednej z tych drugich dziewczyn, ciemnowłosej i opalonej. Na ramieniu przepasany miała duży aparat i patrzyła mi prosto w oczy. Nic nie powiedziała, ale wiedziałem, co sobie myślała. Reakcje na kolor moich oczu zawierały się w zakresie między ukradkowymi spojrzeniami a przejmującymi na wylot gapiami. Bynajmniej była w tym wypadku szczerą.

- Miałbyś coś przeciwko, gdybym zrobiła ci zdjęcie? – spytała.

Szukałem wymówki.

- Ludzie niektórych narodowości myślą, że jeśli robisz im zdjęcie, zabierasz im duszę. Brzmi to dla mnie jak świetny argument, więc, wybacz, ale nie będzie żadnych zdjęć.

Wzruszyłem ramionami w geście przeprosin.

- Ale możesz zrobić zdjęcia sklepu, jeśli chcesz.

Trzecia dziewczyna przepchnęła się w kierunku dziewczyny z aparatem. Miała gęste, jasnobrązowe włosy, duże piegi i promieniowała tak wielką energią, że poczułem się wyczerpany.

- Flirtujesz, Olivia? Nie mamy na to czasu. Tutaj, kolo, bierzemy tę książkę.

Wziętem od niej „Osiągając sukces”, rozglądając się szybko za Grace.

- Dziewiętnaście dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. – powiedziałem.

Serce mi waliło.

- Za miłą okładkę? – odpowiedziała piegowata, lecz dała mi dwudziestaka. – Zachowaj sobie cenciaka.

Nie mieliśmy słoiczka na drobne, lecz położyłem go na ladzie obok kasy. Wpakowałem książkę w torbę i powoli wystawiałem paragon, myśląc, że Grace przyjdzie zobaczyć, co tak długo trwa.

Lecz ona została w sekcji z biografiami, głowę miała na boku czytając nagłówki na grzbietach książek. Piegowata wzięła torbę i szeroko uśmiechnęła się do mnie i Oliwii. Poitem podeszły do Grace i zaciągnęły ją do drzwi.

Odwróć się, Grace. Spójrz na mnie, stoję tu. Gdyby się teraz odwróciła, zobaczyłaby moje oczy i musiałaby mnie rozpoznać.

Piegowata otworzyła drzwi – brzdęk – była niecierpliwa, dała więc grupie znak, że czas się ruszyć. Olivia odwróciła się na chwilę, a jej oczy znów mnie wychwyciły za ladą. Wiedziałem, że się na nie gapię – na Grace – ale nie mogłem się powstrzymać.

Olivia zmarszczyła czoło i ruszyła w kierunku wyjścia. Piegowata poganiała Grace: „Grace, no, dalej.”

Bolało mnie w klatce, moje ciało mówiło językiem którego moja głowa nie całkiem rozumiała.

Czekałem.

Lecz Grace, jedyna osoba, której chciałem dać się poznać, powiodła palcem po okładce jednej z twardo-okładkowych nowości i wyszła ze sklepu bez nawet uświadomienia sobie, że tam byłem, na wyciągnięcie ręki.

Rozdział piąty

Grace

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wilki z lasów były wszystkie wilkołakami, dopóki nie został zabity Jack Culpeper.

Gdy to się stało, we wrześniu mojego pierwszego roku szkolnego, Jack był wszystkim, o czym rozmawiał każdy z naszego małego miasteczka. Nie to, żeby Jack za życia był zdumiewającym dzieciakiem – był daleko od posiadania najdroższego samochodu na parkingu, włączając w to samochód dyrektora. Właściwie, było on swego rodzaju kretyńcem. Lecz gdy zginął – z miejsca stał się świętym. Z strasznym i intensywnym potokiem, z powodu sposobu, w jaki się to dokonało. W przeciągu pięciu dni od jego śmierci, usłyszałam chyba z tysiące wersji tej historii.

Skończyło się na tym: Wszyscy bali się teraz wilków.

Ponieważ mama zwykle nie oglądała wiadomości, a tata był poza domem, niepokój ludzi napływał do naszego domu powoli, biorąc sobie kilka dni, by naprawdę nabrać rozpędu. Moja mama zdążyła przez ostatnie sześć lat zapomnieć o moim incydencie z wilkami, zastąpionym przez wyziewy terpentyn i dopełniające się kolory, lecz atak na Jacka wydawał się perfekcyjnie go odświeżać.

Moja mama pod żadnym pozorem nie zmieniała swojego rosnącego niepokoju na coś logicznego, jak spędzanie więcej cennego czasu ze swoją jedyną córką, tą która została kiedyś zaatakowana przez wilki. Zamiast tego, użyła tego by stać się jeszcze bardziej roztrzepaną niż zazwyczaj.

- Mamo, potrzebujesz jakiejś pomocy przy obiedzie?

Mama popatrzała na mnie z wyrzutem, odwracając swoją uwagę od telewizji, którą mogła oglądać z kuchni, z powrotem na grzyby, które zrównywała z ziemią na desce do krojenia.

- Byłam tak blisko tego miejsca. Tam gdzie go znaleźli. – powiedziała mama, wskazując nożem w kierunku telewizora. Gospodarz wiadomości wyglądał nieszczerze szczerze, gdy mapka naszej miejscowości pojawiła się obok mglistego zdjęcia wilka w prawym górnym rogu ekranu. Polowanie naprawdę, powiedział, zostało kontynuowane. Pomyślisz, że po tygodniu reportażowania ciągle w kółko tej samej historii, bynajmniej uporządkują swoje proste fakty. Na ich zdjęciu nie było nawet wilka takiego samego gatunku, jakiego był mój wilk, z jego rozczochranym szarym futrem i złotobrzowo-żółtymi oczami.*

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. – mama dalej ciągnęła. – To po drugiej stronie lasów Boundary. Tam został zabity.

- Albo tam zmarł.

Mama zmarszczyła czoło, delikatnie poirytowana i piękna, jak zawsze.

- Co?

Spojrzałam znad mojej pracy domowej – podnoszących na duchu, uporządkowanych linijek cyfr i symboli.

- Mógł po prostu zemdleć na przydrożu, a potem zostać zaciągnięty do lasów, podczas gdy był nieprzytomny. To nie to samo. Nie możesz wybierać pierwszego lepszego rozwiązania by wywołać panikę.

Uwaga mamy powędrowała z powrotem na ekran podczas gdy siekała grzyby na kawałki tak małe, że mogłaby je wszamać ameba. Potrząsnęła głową.

- To one go zaatakowały, Grace.

Zerknęłam za okno na lasy, blade kontury drzew-fantomów w ciemnościach. Jeśli mój wilk tam był, nie mogłam go dojrzeć.

- Mamo, jesteś tą, która ciągle w kółko mówiła mi: Wilki są zazwyczaj pokojowe.

Wilki są pokojowymi stworzeniami. Mama powtarzała to zdanie jak refren przez lata. Myślę, że jedynym sposobem, w jaki mogła żyć w tym domu, było przekonywanie siebie samej o tym, że wilki nie robią krzywdy, i upieraniu się, że atak na mnie był wydarzeniem jednorazowym. Nie wiem, czy ona w istocie wierzyła w ich pokojowość – lecz ja wierzyłam. Zerkając na lasy, obserwowałam wilki każdego roku mojego życia, ucząc się na pamięć ich twarzy i osobowości. Oczywiście, był jeden chudy, wyglądający na chorego, przegowany wilk który nieźle się zranił w lasach. Można było go ujrzeć tylko w najzimniejszych miesiącach. Jego poszarzałe, zaniedbane futro, nadcięte ucho, zezowate oko – wszystko w nim mówiło, że jego ciało jest chore, a przewracające się białka jego dzikich oczu szeptały o jego chorym umyśle. Pamiętam, jak jego zęby obcierały moją skórę. Mogłam sobie wyobrazić, jak po raz kolejny atakuje w lasach człowieka.

Była tam też wilczyca. Czytałam, że wilki są kumplami na całe życie, i widziałam ją z liderem paczki, przysadzistym wilkiem który był o tyle czarny, o ile ona była biała. Widziałam, jak sunął powoli po jej pysku i prowadził ją przez szkielety drzew, futro połyskiwało jak ryba w wodzie. Miała w sobie coś z brutalnej, niespokojnej piękności; ją też sobie mogłam wyobrazić jako atakującą człowieka. Ale reszta? Były cichymi, pięknymi duchami w lasach. Nie bałam się ich.

- Taa, pokojowe. – mama haknęła w deskę do krojenia. – Może powinni je wszystkie zamknąć i wyrzucić gdzieś w Kanadzie czy coś.

Zmarszczyłam czoło nad moją pracą domową. Lata bez mojego wilka były już wystarczająco złe. Jako dziecku, te miesiące wydawały mi się niemożliwie długie, chociażby czas, w którym czekałam na ponowne pojawienie się wilków. Stały się jeszcze gorsze, odkąd zauważyłam mojego żółtookiego wilka. Podczas tych długich miesięcy, wyobrażałam sobie wielkie przygody, w których nocą stawałam się wilkiem i razem z nim uciekałam do złotych lasów, gdzie nigdy nie padał śnieg. Teraz już wiedziałam, że złote lasy nie istnieją, ale paczka – i mój żółtooki wilk – tak.

Westchnęłam, przesunęłam mój podręcznik z matmy na drugi koniec stołu i dołączyłam do mamy, która wciąż kroїła.

- Daj mi to zrobić. Coś ci to nie wychodzi.

Nie zaprotestowała, i wcale od niej tego nie oczekiwałam. Zamiast tego, nagrodziła mnie uśmiechem i się zakręciła, zupełnie jakby czekała na to, bym zauważyła tę żalną robotę, którą wykonywała.

- Jeśli skończysz z obiadem – powiedziała – będę cię kochać na wieki.

*Zrobiłam minę i wzięłam od niej nóż. Mama była trwale rozkojarzona i nieobecna. Nigdy nie mogłaby być taka, jak matki moich koleżanek: nosząca fartuchy, gotująca posiłki, odkurzająca, istną Betty Crocker.** W istocie, nie chciałam, by była jak one. Ale bez jaj – musiałam przecież skończyć moje zadanie domowe.*

- Dzięki, cukiereczku. Znajdziesz mnie w pracowni.

Jeśli mama byłaby jedną z tych laleczek, które powtarzają pięć czy sześć różnych rzeczy gdy naciskasz na ich brzuszki, ta fraza byłaby jedną z nich.

- Nie zemdlej od zapachów - powiedziałam do niej, lecz ona już biegła po schodach. Wrzucając do miski te strasznie pokaleczone grzyby, spojrzałam na zegar wiszący na jasnej, żółtej ścianie. Do powrotu taty z pracy została godzina. Mam sporo czasu by ugotować obiad, a potem, być może, spróbować dostrzec gdzieś mojego wilka.

W lodówce był jakiś kawał wołowiny, który pewnie miał być dodany do poharatanych grzybków. Wyciągnęłam go i chlapnęłam nim o deskę do krojenia. W tle, „ekspert” z wiadomości pytał, czy populacja wilków w Minnesocie powinna być ograniczona, czy przeniesiona. Cała ta sprawa wprowadziła mnie w zły nastrój.

Zadzwoił telefon.

- Halo?

- Hejka. Co tam?

Rachel. Ucieszyłam się, że zadzwoniła; była dokładnym przeciwieństwem mojej matki – totalnie zorganizowana i świetna w załatwianiu. Przy niej nie czułam się aż tak bardzo z innej planety. Wcisnęłam telefon pomiędzy ucho a ramię i rozmawiając, siekałam wołowinę, zostawiając kawałek wielkości mojej piąstki na później

- Robię obiad i oglądam głupkowate wiadomości.

Od razu wiedziała, o czym mówiłam.

- Wiem. Mówią bzdury, nie? Wygląda na to, że nie mają dosyć. To jakaś ohyda, doprawdy – to znaczy, czemu nie mogliby się po prostu zamknąć i dać nam się z tym pogodzić? Już wystarczająco źle jest chodzić do szkoły i ciągle w kółko o tym słyszeć. A ty, z tymi twoimi wilkami i w ogóle, to musi naprawdę ciebie trapić – i, doprawdy, rodzice Jacka na pewno chcą, by ci reporterzy się zamknęli.

Rachel paplała tak szybko, że ledwie ją rozumiałam. Przegapiłam odrobinę tego, co powiedziała w środku, i wtedy spytała:

- Olivia dzwoniła do ciebie?

Olivia była trzecią stroną naszego tria, jedyną która krążyła blisko zrozumienia mojej fascynacji wilkami. Noc, w której nie rozmawiałabym z nią czy Rachel przez telefon, była rzadkością.

- Pewnie robi gdzieś zdjęcia. Czy dzisiaj czasem nie ma spaść deszcz meteorytów? – powiedziałam.

Olivia nie widziała świata poza swoim aparatem; połowa moich szkolnych wspomnień wydaje się mieć cztery na sześć cali, połyskiwać i być czarno-białymi.

Rachel powiedziała:

- Chyba masz rację. Olivia z pewnością będzie chciała uszczknąć rąbek z tej gorącej, asteroidowej akcji. Masz chwilkę?

Spojrzałam na zegar.

- Tak jakby. Ale tylko jak robię obiad, potem mam zadanie domowe.

- OK. No to tylko sekundka. Dwa słowa, dziecinko, wypróbuj je: u.ciekaj.

Zaczęłam piec wołowinę na kuchence.

- To jedno słowo, Rach.

Chwila ciszy.

- Taaa. W mojej głowie brzmiało to lepiej. Nieważne, rzecz w tym: moi rodzice powiedzieli, że jeśli będę chciała gdzieś wyjechać w tą przerwę świąteczną, to za to zapłacę. Więc chcę gdzieś się zabrać. Gdziekolwiek poza Mercy Falls. Boże, gdziekolwiek, poza Mercy Falls! Przyjdiesz do mnie z Olivią i pomożesz mi coś wybrać jutro po szkole?

- Taa, pewnie.

- Jeśli to miejsce będzie naprawdę chłodne, to może ty i Olivia też będzie mogły ze mną pojechać. – powiedziała Rachel.

Nie odpowiedziałam od razu. Słowo „Gwiazdka” z miejsca przywołało wspomnienia zapachu naszej choinki, ciemną nieskończoność gwieździstego, grudniowego nieba nad naszym podwórkiem, i oczy mojego wilka obserwujące mnie zza przykrytych śniegiem drzew. Nieważne, jak często był nieobecny przez resztę roku, ale zawsze na święta miałam mojego wilka.

Rachel jęknęła.

- Nie gap się w ciszy tym swoim gapiącym-się-w-przestrzeń-i-myszącym wzrokiem, Grace! Mogę przysiąc, że w tej chwili to robisz! Nie możesz mi powiedzieć, że nie chcesz się wynieść z tego miejsca!

Tak właściwie, to nie. Tak jakby to tu należałam.

- Nie powiedziałam nie. – zaprotestowałam.

- Ani się bosko nie ucieszyłaś. To to chciałaś powiedzieć. – Rachel westchnęła. – Ale przyjdiesz jutro, tak?

- Wiesz, że tak. – powiedziałam, wyciągając moją szyję by wyrzec przez tylne okno. – Dobra, teraz naprawdę muszę iść.

- Taaa, taaa, taaa. – powiedziała Rachel. – Przynieś ciasteczka. Nie zapomnij. Kocham cię. Pa. – zaśmiała się i rozłączyła.

Pospieszyłam się by garnek gulaszu ugotować na wolnym ogniu tak, aby sam się sobą zajął beze mnie. Ściągając mój płaszcz z haków na ścianie, otworzyłam drzwi na ganek.

Chłodne powietrze chłostało moje policzki i szczypało krańce moich uszu, przypominając mi, że lato oficjalnie już dobiegło końca. Moja czapka była upchana w kieszeni mojego płaszcza, ale wiedziałam, że mój wilk nie zawsze mnie w niej rozpoznawał, więc jej nie włożyłam. Przejrzałam wzrokiem krańce podwórka i zesłam z ganka, starając się wyglądać tak nonszalancko, jak wyglądałam. Kawał wołowiny w mojej dłoni wydawał się zimny i śliski.

Pochrząszczałam aż doszłam do łamliwej trawy bez kolorów na środku podwórka i zatrzymałam się, momentalnie olśniona brutalnym różem zachodu słońca padającego przez trzepotające, czarne liście drzew. Ten surowy krajobraz wydawał się oddalony o lata świetlne od małej, ciepłej kuchni, z jej pocieszającymi zapachami syngalizującymi łatwe przetrwanie. Od miejsca, do którego powinnam należeć. Gdzie powinnam chcieć być. Ale drzewa wołały do mnie, zachęcały mnie do porzucenia tego, co znałam i rozpułnienia się w nadchodzącej nocy. To było pragnienie, które pociągało mnie ostatnimi dniami z żenującą częstotliwością.

Na skraju lasów nastąpiła ciemność i zobaczyłam mojego wilka stojącego za drzewem, jego nozdrza z odległości wachały mięso w mojej dłoni. Moja ulga z ujrzenia go została szybko przerwana, gdy przekręcił głowę, pozwalając złotemu promieniowi światła z drzwi paść na jego twarz. Teraz widziałam, że jego podbródek był obskorupiony starą, wysuszoną krwią. Mogła mieć nawet kilka dni.

Jego nozdrza pracowały; wyczuwał zapach kawałka wołowiny w mojej dłoni. I wołowina, i to, że nie byłam mu obca wystarczało, by zwabić go na kilka kroków za lasy. Potem znów kilka kroków. Bliżej, niż kiedykolwiek był.

Stawiłam mu czoła, wystarczająco blisko, że mogłabym sięgnąć i dotknąć jego olśniewającego futra. Albo wyczyścić tę głęboką, czerwoną plamę na jego pysku.

Tak bardzo chciałam, by ta krew była jego krwią. Starym zacięciem czy zadrapaniem osiągniętym przy jakimś starciu.

Ale na to nie wyglądało. Wyglądało na to, że należy do kogoś innego.

- Zabijeś go? – wyszeptalam.

Nie zniknął na dźwięk mojego głosu, jak tego oczekiwałam. Był tak nieruchomy jak statua, jego oczy obserwowały moje zamiast wołowiny w mojej dłoni.

- Tylko o tym gadają w wiadomościach. – powiedziałam, zupełnie jakby mógł mnie zrozumieć. – Nazwali to czymś „drapieżnym”. Powiedzieli, że zrobili to zwierzęta. Ty to zrobisz?

Gapił się na mnie przez minutę lub dłużej, bez ruchu, nie mrugał. I wtedy, po raz pierwszy od sześciu lat, zamknął swoje oczy. Było to wbrew wszelkiemu naturalnemu instyntowi, który powinien posiąść wilk. Życie w jednym spojrzeniu, bez mrużenia powiek. A teraz był zmrożony prawie-człowieczą żądzą, jego cudowne oczy były zamknięte, głowa pochylona, a ogon zwisał ku dołowi.

Była to najsmutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Powoli, ledwo się ruszając, zbliżyłam się do niego, bojąc się tylko tego, że go wystraszę, nie jego upstrzonych jasną czerwienią warg czy zębów, które chowały. Jego uszy zatrzepotały, uznając moją obecność, lecz się nie ruszył. Kucnęłam, rzucając mięso na śnieg leżący przede mną. Wzdrygnął się, gdy wylądowało. Byłam wystarczająco blisko by wyczuć dziki odór jego futra i poczuć ciepło jego oddechu.

Potem zrobiłam to, co zawsze chciałam zrobić – położyłam dłoń na jego gęstej krecie, i gdy się nie wzdrygał, zatopiłam obie moje dłonie w jego futrze. Jego zewnątrz futro nie było tak delikatne na jakie wyglądało, ale za szorstkimi, chroniącymi włoskami była warstwa puszystych kłaczków. Z niskim jękiem, przycisnęłam głowę do mnie, z wciąż zamkniętymi oczyma. Trzymałam go tak, jakby był jedynie psem rodzinnym, jednak jego dziki, ostry zapach nie dałby mi zapomnieć, czym tak naprawdę był.

Przez chwilę zapominałam, gdzie i kim jestem. Przez chwilę, nie miało to znaczenia.

Kątem oka zauważyłam ruch: daleko, ledwie widoczna w blaknącym dniu, biała wilczyca patrzyła ze skraju lasów, jej oczy płonęły.

Poczułam dudnienie rozchodzące się po całym ciele, i zdałam sobie sprawę że mój wilk na nią warczał. Wilczyca podeszła bliżej, niezwykle śmiała, a on okręcił się w moich ramionach by stawić jej czoła. Wzdrygnęłam się na dźwięk jego zębów kłapiących na nią.

Nigdy nie warknęła, ale jakoś wydawało mi się, że to gorzej. Wilk powinien warczeć. Ale ona tylko się gapiła, jej oczy spozierały to na niego, to na mnie, każdy aspekt jej mowy ciała dyszał nienawiścią.

Wciąż szmerząc, prawie niesłyszalnie, mój wilk przycisnął się do mnie mocniej, zmuszając mnie do zrobienia kroku w tył, potem następnego, odprowadzając mnie to ganka. Moje stopy odnalazły stopnie i wycofałam się do drzwi. Pozostał na środku schodów dopóki nie popchnęłam drzwi i zamknęłam się w domu.

Tak prędko, jak tylko się tam znalazłam, biała wilczyca rzuciła się naprzód i schwyciła kawał mięsa, który upuściłam. Mimo że mój wilk był najbliżej jej i był najbardziej oczywistym zagrożeniem w stosunku do jedzenia, to ja byłam tą, którą odnalazły jej oczy, po drugiej stronie szklanych drzwi. Trzymała się mojego wzroku przez dłuższą chwilę zanim wślizgnęła się do lasów niczym duch.

*Mój wilk zawahał się na skraju lasów, przyćmione światło werandy padało na jego oczy.
Wciąż obserwował moją sylwetkę przez drzwi.*

Przycisnęłam płasko moją dłoń do oziębłego szkła.

Dystans między nami nigdy nie wydawał się tak rozległy.

** przepraszam za to ^^ wiem że brzmi dziwnie, ale w oryginale było „the news anchor
looked insincerely sincere”, więc ... nie wiem jak to inaczej ująć xD*

*** Betty Crocker to sieć restauracji w USA, także wzór gospodyni.*

Rozdział szósty

Grace

Gdy mój ojciec wrócił do domu, wciąż byłam zatracona w cichym świecie wilków, stawiając sobie przed oczami ciągle w kółko obraz uczucia, jakie czułam dotykając dłonią jego szorstkich włosów. Mimo że niechętnie umyłam ręce by skończyć obiad, jego piżmowy zapach leżał na moich ciuchach, sprawiając, że moment spotkania pozostał w moich myślach świeży. Potrzeba mu było sześć lat, by dać się mi dotknąć. Przytulić. A teraz ochrania mnie, tak jak to robił zawsze. Desperacko chciałam komuś o tym powiedzieć, ale wiedziałam, że tata nie podzieli ze mną mojego podekscytowania, w szczególności jeśli spikerzy wiadomości wciąż ględzili w tle na temat ataku. Trzymałam buzię na kłódkę.

Tato ciężko wszedł w przedni korytarz. Mimo że nie widział mnie w kuchni, zawołał:

- Obiad pachnie wspaniale, Grace.

Wszedł do kuchni i poklepał mnie po głowie. Jego oczy wyglądały na zmęczone z za jego okularów, lecz się uśmiechnął.

- Gdzie twoja mama? Maluje?

Rzucił swój płaszcz na krzesło.

- Czy ona kiedykolwiek przestaje? – zwróciłam wzrok na jego płaszcz. – Wiesz, że go tutaj nie zostawisz.

Odnalazł go z sympatycznym uśmiechem i zawołał w górę:

- Rags, czas na obiad!

Użycie przez niego ksywki mamy świadczyło o tym, że jest w dobrym nastroju.

Mama zjawiła się w żółtej kuchni w jakieś dwie sekundy. Brakowało jej tchu przez bieganie ze schodów – nigdy nigdzie nie chodziła – a na jej kości policzkowej miała pasemko zielonej farby.

Tata pocałował ją, unikając farby.

- Byłaś dobrą dziewczynką, kotku?

Mrugnęła rzęsami. Na twarzy miała wyraz, który mówił, że już wiedziała, co on zamierzał powiedzieć.

- Najlepszą.

- A ty, Gracie?

- Lepszą niż mama.

Tata odchrząknął.

- Panie i panowie, moja podwyżka zaczyna się od tego piątku. Więc ...

Mama klasnęła rękami i zawirowała w kole, obserwując siebie w lustrze w korytarzu gdy się kręciła.

- Wynajmuję tę placówkę w centrum!

Tata szeroko się uśmiechnął i skinął głową.

- I Gracie, kochanie, wymienisz ten twój samochód, który jest kupą złomu tak szybko, jak tylko znajdę czas by cię zabrać do diler. Jestem zmęczony zabieraniem twojego gruchota do warsztatu.

Mama się śmiała, miała zawroty głowy, i znów klasnęła w ręce. Tanecznym krokiem weszła do kuchni, skandując jakąś bezsensowną piosenkę. Jeśli wynajęli pracownię w mieście, najprawdopodobniej nigdy nie zobaczą żadnego z moich rodziców. No, oprócz obiadów. Na posiłki zwykle się zjawiali.

Ale to wydawało się nieważne w porównaniu z obietnicą niezawodnego środka transportu.

- Serio? Mój własny samochód? To znaczy, taki co będzie jeździł?

- Żdziebełko mniej gówniany od tamtego. – tata obiecał. – Nic miłego.

Przytuliłam go. Taki samochód oznaczał wolność.

Tamtej nocy leżałam w moim pokoju, z stanowczo zamkniętymi oczyma, starając się zasnąć. Świat za moim oknem wydawał się uciszony, jakby akurat spadł śnieg. Na śnieg było za wcześnie, ale każdy dźwięk wydawał się przytłumiony. Zbyt cichy.

Wstrzymałam oddech i skupiłam się na nocy, nasłuchując ruchu w cichej ciemności.

Powoli dotarło do mnie, że słabe stukoty przełamały ciszę na zewnątrz, docierając do moich uszu. Brzmiało to, na wszystko na świecie, jakby ktoś chodził po ganku za moim oknem. Czy to był wilk? Może był to szop prac. Potem usłyszałam więcej drapania, i warknięcie – z pewnością nie był to szop. Włos zjeżył mi się na głowie.

Opatulając się kołdrą jak peleryną, wygramoliłam się z łóżka i bezszelestnie stąpałam po gołych deskach podłogowych oświetlonych przez księżyc w połowie stadium. Zawahałam się, zastanawiałam czy czasem nie wyśniłam tego dźwięku, lecz „tak, tak, tak” znów dochodziło zza okien. Podniosłam rolety i wyrztałam na ganek. Prostopadle do pokoju, mogłam ujrzeć, że podwórze było puste. Surowe, czarne pnie drzew wystawały niczym płot między mną a głębszą część lasu, znajdującą się za nimi.

Nagle pojawiła się twarz, dokładnie naprzeciw mojej i odskoczyłam z zaskoczenia. Biała wilczyca była po drugiej stronie szkła, jej łapy na zewnętrznym parapecie. Była wystarczająco blisko bym mogła dostrzec wilgoć w przegowanych włosach jej futra. Jej niebieskie niczym klejnoty oczy piorunowały mnie wzrokiem, wyzywając mnie bym odwróciła wzrok. Niskie warknięcie zadudniło zza

szyby, i poczułam jakbym mogła z niego wyczytać znaczenie, tak wyraźnie, jakby było ono zapisane na tej szybie. On nie ma cię chronić.

Spojrzałam na nią. Potem, bez myślenia, uniosłam zęby w warknięciu. Warknięcie, które z siebie wydobyłam obie nas zaskoczyło i zeskoczyła z okna. Posłała mi ciemne spojrzenie zza swojego ramienia i załatwiła się w kącie ganka, nim wcięło ją w lasach.

Gryząc się w wargę by pozbyć się dziwnego kształtu, jaki wywarło na mnie warknięcie, podniosłam sweter z podłogi i weszłam z powrotem do łóżka. Odsunęłam poduszkę na bok, skuliłam sweter by użyć go zamiast niej.

Zasnęłam przy zapachu mojego wilka. Sosnowych igieł, zimnego deszczu, ziemistych zapachów, szorstkiego włosa na mojej twarzy.

Zupełnie, jakby tu ze mną był.

Rozdział siódmy

Sam

Wciąż mogłem wyczuć jej zapach na moim futrze. Przywierało do mnie, to wspomnienie innego świata.

Byłem od niego pijany, od jej zapachu. Podeszedłem zbyt blisko. Moje instynkty ostrzegały mnie przed tym. W szczególności, gdy przypominałem sobie, co stało się chłopcu.

Zapach lata na jej skórze, w połowie przywołana intonacja jej głosu, uczucie jej palców na moim futrze. Każdy kawałek mnie śpiewał z radości na wspomnienie jej zbliżenia.

Zbyt blisko.

Nie mogłem trzymać się z dala.

Rozdział ósmy

Grace

Przez kolejny tydzień, byłam rozkojarzona w szkole, na zajęciach się rozplętałam i ledwie robiłam jakiegokolwiek notatki. Wszystko, o czym byłam w stanie myśleć to uczucie futra mojego wilka pod moimi palcami i obraz warczącej twarzy białej wilczycy zza mojego okna. Wróciłam do ryzów, jednak wtedy gdy pani Ruminski wprowadziła policjanta do sali na sam początek naszych zajęć z Umiejętności Życiowych. *

Zostawiła go samego na środku sali, co wydało mi się odrobinę okrutne, zważając na to, że była to już siódma lekcja i większość z nas bezmyślnie przewidywała ucieczkę. Może myślała, że członek sił prawa będzie w stanie poradzić sobie z garścią licealistów. Ale kryminalistów możesz zastrzelić, w przeciwieństwie do pomieszczenia pełnego dzieciaków które nie chcą się zamknąć.

-Cześć. – powiedział oficer. Poza pasem na broń, który jeżył się od kabur i gazów pieprzowych i innych mieszanych militariów, wyglądał młodo. Zerknął na panią Ruminski, która niepotrzebnie wyczekiwała w otwartych drzwiach sali, i przejechał palcem po świecącej tabliczce na jego koszuli: WILLIAM KOENIG. Pani Ruminski mówiła nam, że skończył naszą kochaną szkołę, lecz ani jego nazwisko, ani twarz nie wydawała mi się znajoma. – Jestem oficer Koenig. Wasza nauczycielka – pani Ruminski – spytała mnie zeszłego tygodnia, czy nie przyszedłbym na jej zajęcia z Umiejętności Życiowych i z wami pogadał.

Spojrzałam na Olivię siedzącą obok mnie by zobaczyć, co też o tym wszystkim sądzi. Jak zwykle, wszystko w Olivii wyglądało schludnie i czysto: świadectwo szkolne z samymi piątkami. Jej ciemne włosy upięte w perfekcyjny francuski warkocz, a jej koszula z kołnierzem była świeżo wyprasowana. Przez usta Olivii nigdy byś nie odczytał o czym myśli. Tym, na co musiałeś patrzeć, były jej oczy.

- Jest słodki. – Olivia do mnie szepnęła. – Podoba mi się ta zgolona głowa. Myślisz, że jego mama woła na niego 'Will'?

Nie rozgryzłam jeszcze, jak odpowiadać na nowoodkryte i bardzo głośne zainteresowanie Olivii facetami, więc przewróciłam po prostu oczami. Był słodki, ale nie w moim typie. Nie sądzę, bym wiedziała już, jak wygląda mój typ.

- Stałem się oficerem prawa zaraz po liceum. – powiedział oficer Will. Wyglądał bardzo poważnie, gdy to mówił, marszcząc czoło w sposób nieco służący-i-ochraniający. – To profesja, którą zawsze chciałem kontynuować i którą biorę bardzo poważnie.

- Najwyraźniej. – szepnęłam do Olivii. Nie sądziłam, by jego matka wołała na niego Will. Oficer William Koenig przeszył nas wzrokiem, a jego ręka spoczęła na jego broni. Sądzę, że to chyba był taki nawyk, ale wyglądało to jakby rozważał zastrzelenie nas za szeptanie. Olivia wbiła się w swoje siedzenie, a garstka reszty dziewczyn zachichotała.

- To idealna ścieżka kariery, i jedna z kilku, które nie wymagają jeszcze college'u. – nie ustawał w swoich wysiłkach. – Czy, ehmm, ktokolwiek z was rozważa bycie stróżem prawa?

To „ehmm” go pogrzebało. Gdyby się nie zawahał, myślę, że klasa by się zachowywała jak trzeba.

Ktoś się zgłosił. Elizabeth, jedna z hord uczniów liceum Mercy Falls które wciąż nosiły się na czarno od śmierci Jacka, spytała:

- Czy to prawda, że ciało Jacka Culpepera zostało skradzione z kostnicy?

Klasa wybuchnęła szeptami na jej zuchwałość, a oficer Koenig spojrzął jakby w istocie miał zamiar ją zastrzelić. Lecz wszystkim, co powiedział, było:

- Naprawdę nie jestem upoważniony by opowiadać o szczegółach jakichkolwiek trwających śledztw.

- Więc jest to śledztwo? – zawołał męski głos gdzieś z przodu.

Elizabeth przerwała.

- Moja mama słyszała to od dyspozytora. Czy to prawda? Po co ktoś chciałby ukraść ciało?

Teorie krążyły z szybkim sukcesem.

- To musi być jakaś przykrywka. Dla samobójstwa.

- Przemycania narkotyków!

-Eksperymentu medycznego!

Jakiś koleś powiedział:

- Słyszałem że tata Jacka ma wypchanego niedźwiedzia polarnego w domu. Może Culpeperowie wypchali również Jacka.

Ktoś pacnął kolesia który ostatni wygłosił komentarz; mówienie złych rzeczy o Jacku czy jego rodzinie było wciąż tematem tabu.

Oficer Koenig spojrzął osłupiały na panią Ruminski, która stała w otwartych drzwiach sali. Z namaszczeniem zmierzyła go wzrokiem, a potem zwróciła się do klasy.

- Uciszyć się!

I się uciszyliśmy.

Zwróciła się oficera Koeniga.

- Więc, czy jego ciało zostało skra...dzione? – spytała.

Znów powiedział:

- Nie jestem upoważniony do dyskusowania na temat szczegółów jakichkolwiek prowadzonych obecnie śledztw.

Lecz tym razem, brzmiał bardziej bezradnie, jakby na końcu tego zdania mógłby się znaleźć znak zapytania.

- Oficerze Koenig, - powiedziała pani Ruminski. – Jack był bardzo kochany przez naszą społeczność.

Co było patentowanym kłamstwem. Lecz jego śmierć uczyniła cudy względem jego reputacji. Myślę, że każdy mógł zapomnieć sposoby, w jaki ukazywał swój wybuchowy charakter na środku korytarza, czy też podczas zajęć. Albo w ogóle, jak te wybuchy wyglądały. Lecz ja nie zapomniałam. Mercy Falls huczało od plotek, a plotki o Jacku były takie, dostał mały zapalnik od swojego taty. Nie wiedziałam o tym. Wyglądało na to, że lepiej powinieneś wybierać najlepszy rodzaj osoby, jaką mógłbyś być, nieważne jacy byli twoi rodzice.

- Wciąż jesteśmy w żałobie. – dodała pani Ruminski, pokazując na morze czerni w klasie. – Tu nie chodzi o śledztwo. Tu chodzi o przybliżenie faktów żywej społeczności.

Olivia powiedziała do mnie bezgłośnie:

- O. Mój. Boże.

Potrząsnęłam głową. Nie do wiary.

Oficer Koenig skrzyżował ręce na piersi; co sprawiło, że wyglądał trochę kapryśnie, jak małe dziecko zmuszone do zrobienia czegoś.

- To prawda. Przyglądamy się temu. Rozumiem, że strata kogoś tak młodego – od tego wieku do może dwudziestki – ma wielki wpływ na społeczność, lecz chciałbym prosić, aby każdy zrespektował prywatność rodziny i poufność procesu śledczego.

Od tej chwili zaczął stanowczo kroczyć.

Elizabeth znów podniosła rękę.

- Czy myśli pan, że wilki są niebezpieczne? Czy dostaje pan dużo telefonów w ich sprawie? Moja mama twierdzi, że dostaje pan.

Oficer Koenig popatrzał na panią Ruminski, lecz powinien już teraz rozgryźć fakt, że i ona chciała wiedzieć tyle, co Elizabeth.

- Nie sądzę, aby wilki były zagrożeniem dla ludności, nie. Ja – i reszta departamentu – czujemy, że to był odosobniony przypadek.

Elizabeth powiedziała:

- Ale ona też została zaatakowana.

Och, cudownie. Nie widziałam, żeby Elizabeth na mnie wskazywała, ale wiem, że to zrobiła, bo twarze wszystkich zwrócone były ku mnie. Przegryzłam wewnątrz moich warg. Nie dlatego, że

przeszkadzała mi ta uwaga, ale dlatego, że za każdym razem gdy ktoś wspominał jak zrzuciono mnie z mojej huśtawki, wspominali tym samym, że może się to zdarzyć każdemu. I zastanawiałam się, ilu takich „każdych” potrzeba, by się zdecydowali wilki ścigać.

Ścigać mojego wilka.

Wiedziałam, że to był prawdziwy powód, dla którego nie mogłam wybaczyć Jackowi jego śmierci. Pomiędzy tym, a jego kracianą historią w szkole, wdrążenie się w publiczną żałobę z resztą szkoły wydawało się nieco hipokryczne. Lecz również dobrym rozwiązaniem nie było ignorowanie tego wszystkiego; chciałam wiedzieć, jak właściwie powinnam się czuć.

- To było dawno temu. – powiedziałam oficerowi Koenigowi, i wyglądało, jakby mu ulżyło, gdy dodałam... -Lata. I mogły być to psy.

Więc kłamałam. Kto mi zaprzeczy?

- Dokładnie. – powiedział oficer Koenig z naciskiem. – Dokładnie. Nie ma sensu w obwinianiu wilków za każdy byle jaki wypadek. I nie ma sensu w stwarzaniu paniki, jeśli nie jest nakazana. Panika wiedzie do beztroski, a beztroška tworzy wypadki.

Wyjął mi to z ust. Czułam niejasną więź z ponurym oficerem Koenigiem, podczas gdy przekierował rozmowę z powrotem na kariery w siłach prawa. Po skończeniu zajęć, inni studenci znów zaczęli gadać o Jacku, ale Olivia i ja uciekłyśmy do swoich szafek.

Poczułam że ktoś mnie pociągnął za włosy i obróciłam się, by zobaczyć stojącą z tyłu mnie Rachel, patrzącą na nas obie z politowaniem.

- Kociaki, muszę skorzystać z waszej popołudniowej pomocy w planowaniu wakacji kiedyś w Indiach. Przyrodny-świr zarządził uciśnijącą więzy rodzinne podróż do Duluth. Jeśli chce, żeby ją pokochała, będzie musiała kupić mi nowe buty. Możemy się zebrać jutro czy coś?

Ledwie skinęłam głową zanim Rachel mignęła nam wielkim uśmiechem i ruszyła w kierunku holu.

- Chcesz się może spotkać u mnie? – spytałam Olivii. Wciąż było mi głupio pytać. W środku szkoły, ja ona i Rachel spotykałyśmy się codziennie, z nieustanną, bezstawną zgodą. Jakimś cudem się to jednak zmieniło po tym jak Rachel dostała swojego pierwszego chłopaka, zostawiając mnie i Olivię za sobą, świrów i nieinteresujących, łamiąc naszą łatwą przyjaźń.

- Pewnie – powiedziała Olivia, łapiąc swoje rzeczy by podążyć za mną przez hol. Szturchnęła mnie w łokieć. – Spójrz. – Wskazała na Isabel, młodszą siostrę Jacka, naszą koleżankę z klasy która miała swój sprawiedliwy udział w schludnym wyglądzie Culpeperów, łącznie z cherubinkową głową blond loków. Jeździła białym SUVem i miała jednego z tych Chihuahua, które można pomieścić w torebce i ubierać zgodnie z jej strojem. Zastanawiałam się, kiedy w końcu zauważy że żyje w Mercy Falls, w Minnesocie, gdzie ludzie po prostu takich rzeczy nie praktykują.

W pewnym momencie, Isabel gapiała się w swoją szafkę, jakby zawierała ona inne światy. Olivia powiedziała:

- Nie ubrała się na czarno.

Isabel wyskoczyła ze swojego transu i wpatrzyła się w nas, jakby zdała sobie sprawę z tego że rozmawialiśmy o niej. Szybko odwróciłam oczy, lecz wciąż czułam na mnie jej wzrok.

- Może już nie jest w żałobie. – powiedziałam, po tym jak byliśmy w stanie już się usłyszeć.

Olivia otworzyła mi drzwi.

- Może ona jest jedyną, która tak naprawdę w niej była.

Będąc w domu, zrobiłam nam kawę i bułeczki z żurawiną. Usiadłyśmy przy stole w kuchni oglądając stertę ostatnich zdjęć Olivii pod żółtym światłem z sufitu. Dla Olivii, fotografia była religią; wielbiła swój aparat i studiowała techniki, jakby były one zasadami według których trzeba żyć. Widząc jej zdjęcia, prawie zachciało mi się zostać jej wierną. Sprawiała, że czułeś się, jakbyś był w samym centrum akcji.

- Był naprawdę słodki. Nie wmówisz mi, że nie był. – powiedziała.

- Czy wciąż mówisz o panie oficerze nie-uśmiecham-się? Co z tobą nie tak? – potrząsnęłam głową i przerzuciłam następne zdjęcie. – Nigdy nie widziałam, żebyś miała obsesję na punkcie prawdziwej osoby.

Olivia szeroko się uśmiechnęła i położyła się na mnie nad parującym kubkiem. Biorąc kawałek bułeczki, mówiła między kęsami, zakrywając buzię by mnie nie opryskać okruszkami.

- Myślę, że zmieniam się w jedną z tych dziewczyn, która lubi typów w uniformach. Och, no przestań, nie wydawał ci się słodki? Czuję ... Czuję ochotę na chłopaków. Powinnyśmy zamówić kiedyś pizzę. Rachel mówiła mi, że jest jeden naprawdę słodki chłopak od pizzy.

Znów przewrociłam oczami.

- Ni stąd, ni zowąd, chcesz mieć chłopaka?

Olivia nie spojrzała znad zdjęć, ale przeszło mi przez myśl, że podziela wiele uwagi mojej odpowiedzi.

- A ty nie?

Wymamrotałam:

- Myślę, że kiedy zjawi się ten właściwy.

- Jak będziesz o tym wiedzieć, skoro się nie rozglądasz?

- Jakbyś ty miała odwagę rozmawiać z facetem. Innym niż James Dean z twojego plakatu.

Mój głos stał się bardziej wojowniczy, niż zamierzałam. Dodałam na końcu śmiech, by udelikatnić efekt. Brwi Olivii przybliżyły się do siebie, lecz nic nie powiedziała. Przez długi czas siedziałyśmy w ciszy, przeglądając jej zdjęcia.

Zatrzymałam się na bliskim ujęciu mnie Olivii i Rachel w kupie; jej mama wyszła na zewnątrz by je zrobić zanim zaczęła się szkoła. Rachel, jej piegowata buzia wykrzywiona w dzikim uśmiechu, miała jedno ramię obkręcone ma ramieniu Olivii, a drugie wokół mojego; wyglądało to tak, jakby ścisnęła nas w rzy. Jak zawsze, była klejem, który trzymał naszą trójkę razem: osobą towarzyską, która upewniła nas, że my, ciche, przebrniemy razem przez lata.

Na zdjęciu, Olivia wydała się pasować do lata, z jej oliwkową, przybrązowioną skórą i zielonymi oczyma, nasyconymi kolorem. Jej zęby tworzyły idealny, wykrzywiony niczym księżyc uśmiech, z dołeczkami i w ogóle. W porównaniu do ich dwójki, ja byłam ucieleśnieniem zimy – ciemne blond włosy i poważne brązowe oczy, letnia dziewczyna wyblakła zimnem. Zwykle myślałam, że Olivia i ja byśmy takie podobne, obie byśmy introwertyczkami wciąż zakopanymi w książkach. Ale teraz zdałam sobie sprawę z tego, że moje odosobnienie zadałam sama sobie, a Olivia była po prostu do bóleści nieśmiała. Tego roku wydawało się, jakbyśmy im więcej czasu spędzały razem, tym trudniej było nam pozostać przyjaciółmi.

- Głupio na nim wyglądam – powiedziała Olivia. – Rachel wygląda bosko. A ty wyglądasz, jakbyś była zła.

Wyglądałam jak ktoś, kto nie przyjąłby „nie” jako odpowiedzi – prawie że kapryśnie.

- Nie wyglądasz głupio. Wyglądasz jak księżniczka, a ja jak ogr.

- Nie wyglądasz jak ogr.

- Przechwalałam się. – powiedziałam jej.

- A Rachel?

- Nie, ty to wypowiedziałaś. Ona naprawdę wygląda bosko. Albo najwyżej miała niezły poziom kofeiny, jak zwykle.

Znów spojrzałam na zdjęcie. W istocie, Rachel wyglądała jak słońce, jasne i promieniujące energią, trzymające nas, dwa księżyce, w równoległych orbitach swoją siłą woli.

- A to widziałaś? – Olivia przeszkodziła moim wywodom by wskazać kolejne zdjęcie. To był mój wilk, głęboko w lasach, w połowie schowany za drzewem. Lecz udało jej się zdobyć kawałek jego twarzy w idealnym zbliżeniu, a jego oczy patrzyły prosto w moje. – Możesz je zatrzymać. Właściwie, to możesz zatrzymać cały stos. Możemy umieścić te dobre w pudełku kiedy indziej.

- Dzięki. – odpowiedziałam, i znaczyło to więcej niż mogłam wypowiedzieć. Wskazałam na zdjęcie. – To z zeszłego tygodnia?

Skinęła głową. Gapiłam się na jego zdjęcie – zapierające dech w piersiach, lecz bezbarwne i nieadekwatne w porównaniu do prawdziwej rzeczy. Delikatnie przebiegłam po nim kciukiem, jakbym czuła jego futro. Coś związało się w mojej klatce, gorzkiego i smutnego. Poczułam na sobie wzrok Olivii, i poczułam się jeszcze gorzej, bardziej samotna. Dawno temu bym z nią o tym porozmawiała, lecz teraz wydawało się to zbyt osobiste. Coś się zmieniło – i sędzę, że byłam to ja.

Olivia podała mi szczupły stos wydruków, które oddzieliła od reszty.

- Oto moja sterta do przechwałek.

Roztargniona, powoli je przekartkowałam. Były imponujące: spadający listek płynący na kałuży, uczniowie odbici w szybach szkolnego autobusu, przebiegle rozmazany czarno-biały autoportret Olivii. Po"och"alam i po"ach"alam nad nimi, a potem przerzuciłam zdjęcie mojego wilka z powrotem na ich wierzch, by znów na nie popatrzeć.

Olivia wydała z swojego gardła dźwięk jakby poirytowania.

Pospiesznie przeszłam z powrotem do zdjęcia z liściem na kałuży. Zmarszczyłam nad nim na chwilę czoło i starałam się wyobrazić, co mama mogłaby powiedzieć o tym kawale sztuki. I znalazłam:

- *To mi się podoba. Ma świetne ... kolory.*

Wyrwała mi je z ręki i pstryknęła palcem o zdjęcie wilka z taką siłą, że odbiło się od mojej klatki i powędrowało na podłogę.

- *Taa. Czasami, Grace, nie wiem czemu w ogóle ...*

Olivia nie dokończyła zdania, tylko potrząsnęła głową. Nie łąpałam tego. Czy chciała, bym udawała, że bardziej podobają mi się zdjęcia inne niż to z moim wilkiem?

- *Halo? Ktoś jest w domu?*

To był John, starszy brat Olivii, oszczędzając mi konsekwencji czegokolwiek, co zrobiłam by wnerwić Olivię. Uśmiechnął się do mnie szeroko z przedniego korytarza, zamykając za sobą drzwi.

- *Hej, ślicznotko.*

Olivia popatrzyła znad swojego siedzenia przy stole kuchennym z mroźnym wyrazem.

- *Mam nadzieję, że mówisz o mnie.*

- *Oczywiście – powiedział John, patrząc na mnie. Był przystojny w bardzo konwencjonalny sposób: wysoki, ciemnowłosy jak jego siostra, lecz jego twarz była chętna śmianiu się i zjednywaniu przyjaciół.*

- *Byłoby w bardzo złym guście, gdybyś natarł na przyjaciółkę swojej najlepszej siostry. Więc. Jest czwarta. Jak szybko ucieka czas gdy ... - zatrzymał się, patrząc na Olivię pochylającą się nad stołem z stosem zdjęć i od niej na mnie, również z plikiem zdjęć - ... nic nie robisz. Nie możecie robić nic same?*

Olivia cicho wyprostowała jej stos zdjęć, gdy wyjaśniłam:

- *Jesteśmy introwertyczkami. Lubimy razem robić nic. Samo gadanie, żadnej akcji.*

- *Brzmi fascynująco. Olive, musimy teraz wyjść jeśli chcesz zdążyć na swoją lekcję. – uderzył lekko pięścią moje ramię. – Hej. Grace, może pójdziesz z nami? Twoi rodzice są w domu?*

Prychnęłam.

- Żartujesz? Sama siebie wychowuję. Powinnam dostać jakąś dużą ulgę na podatki za dom.

John się zaśmiał, chyba bardziej niż na to mój komentarz zasługiwał, a Olivia posłała mi spojrzenie tak przesiąknięte jadem, że można by nim zabić małe zwierzęta. Zamknęłam się.

- Daj spokój, Olive. – powiedział John, pozornie niepomny na sztylety posyłane z oczu jego siostry. - Płacisz za lekcję nieważne czy na nią dotrzesz czy nie. Idziesz, Grace?

Spojrzałam za okno, i po raz pierwszy od miesiący, wyobraziłam sobie jak znikam w drzewach i biegam dopóki nie znajdę mojego wilka w letnim lesie. Potrząsnęłam głową.

- Nie tym razem. Może później?

John mignął mi krzywym uśmiechem.

- Tja. Chodź, Olive. Pa, ślicznotko. Wiesz po kogo zadzwonić gdybyś chciała do twoich rozmów wprowadzić trochę akcji.

Olivia machnęła na niego plecakiem; dało niezły huk, gdy uderzył o jego ciało. Lecz to ja miałam znów ten ciemny wzrok, jakbym nie zrobiła nic by podtrzymać na duchu zaloty Johna.

- Idź. No idź już. Pa, Grace.

Pokazałam im drogę do drzwi i bezbrinnie powróciłam do kuchni. Przyjemnie neutralny głos podążał za mną, spiker w NPR** opisywał jakiś kawałek klasyki który właśnie usłyszałam i zapowiadał kolejny; tata zostawił radio w swoim gabinecie obok kuchni. Jakimś cudem dźwięki obecności moich rodziców jedynie bardziej uwydatniały ich nieobecność. Wiedząc, że na obiad będzie fasolka z puszki, o ile ją mi się ją uda zrobić, poszperałam w lodówce i położyłam garnek z resztkami zupy na kuchenkę by gotował się na wolnym ogniu dopóki nie wrócą rodzice.

Stałam w kuchni, oświetlona przez pochylone zimne światło popołudnia padające przez drzwi ganku, użalając się nad sobą, bardziej z powodu zdjęcia Olivii niż z powodu pustego domu. Nie widziałam osobiście mojego wilka od dnia, w którym go dotknęłam, prawie tydzień temu, i mimo że wiedziałam, że nie powinna, jego nieobecność wręcz mnie dźgała. To było takie głupie, ten sposób w jaki potrzebowałam chociaż jego widma na kresie podwórka by poczuć się kompletną. Głupie, lecz kompletnie niewyleczalne.

Otworzyłam tylnie drzwi i otworzyłam je, chcąc pooddychać lasem. Bezszelестnie wyszłam na ganek w skarpetkach i pochylałam się nad poręczą.

Gdybym nie wyszła na zewnątrz, nie wiem, czy usłyszałabym ten krzyk.

**w oryginale: „Life Skills”. Taki przedmiot rzeczywiście prowadzony jest w niektórych szkołach amerykańskich.*

*** NPR, National Public Radio – stacja radiowa, coś jak nasze polskie radio jedyńka ^^*

Rozdział dziewiąty

Grace

Znów doszedł mnie krzyk zza drzew. Przez sekundę myślałam, że było to wycie, lecz potem krzyk rozwiązał się w słowa:

- Pomocy! Pomocy!

Przysięgam, że ten głos brzmiał jak głos Jacka Culpepera.

Ale to było niemożliwe. Po prostu sobie go wyimaginowałam, pamiętając go z kafejki, gdzie zawsze niósł się wśród ludzi mu towarzyszących gdy gwizdał na dziewczyny w korytarzu.

Jednak podążyłam za dźwiękiem głosu, impulsywnie poruszając się wzdłuż podwórza i przez drzewa. Ziemia przez moje skarpety wydawała się wilgotna i kłująca; byłam bardziej niezdarna bez moich butów. Szelest moich własnych kroków przez spadające liście i gąszczu chrustu wygłuszył wszystkie inne dźwięki. Zawahałam się, przysłuchując. Głos zniknął, a zastąpiony został jedynie skomleniem, brzęczącym zdecydowanie zwierzęco, następnie ciszą.

Względne bezpieczeństwo, jakie dawało mi podwórko, mało mnie obchodziło. Stałam przez długą chwilę, nasłuchując jakiegokolwiek oznaki skąd mógł dojść ten pierwszy krzyk. Wiedziałam, że go sobie nie wymyśliłam.

Lecz nie otaczało mnie nic oprócz ciszy. A w niej, zapach lasów ściskał się pod moją skórę i przypominał mi o nim. Złoczył sosnowe igły, i mokrą ziemię, i dym z drzew.

Nie dbałam o to, jak idiotyczne to było. Zaszłam tak daleko w te lasy. Pójście odrobinę dalej, by spróbować zobaczyć znów mojego wilka nikogo by nie zraniło. Wycofałam się do domu, na tyle długo by ubrać buty, i z powrotem zmierzałam w chłodny, jesienny dzień. W bryzie wyczuwało się powiew, który obiecał zimę, lecz słońce jasno świeciło, a pod osłoną drzew powietrze było ciepłe wspomnieniami nie tak dawnych gorących dni.

Wszędzie wokół mnie, liście bosko barwiły się na czerwień i pomarańcz; kruki krakały do siebie nawzajem na górze wibrującym, nieprzyjemnym akompaniamentem. Nie byłam tak daleko w tych lasach odkąd miałam 11 lat, gdy obudziłam się otoczona przez wilki, lecz dziwnym trafem nie bałam się.

Stąpałam ostrożnie, unikając małych strumyków które przemykały pod podszytem. Te terytoria powinny być dla mnie nieznane, lecz czułam się ufnie, pewna siebie. Cicho otoczona, zupełnie przez jakiś dziwny szósty zmysł, podążałam tymi samymi wrytymi ścieżkami, których ciągle w kółko używały wilki.

Oczywiście, że wiedziałam, że to nie był tak naprawdę szósty zmysł. To byłam po prostu ja, przyznająca się, że mogę moje zmysły wykorzystać na wyższych obrotach niż normalnie. Podałam się im i stały się wydajne, wyostrzone. Gdy mnie dotykała, bryza wydawała się nieść informacje w postaci stosu map, mówiąc mi które zwierzęta gdzie podróżowały i jak dawno. Moje uszy odbierały

słabe dźwięki, które wcześniej były niezauważalne: szelest gałęzi podczas budowania gdzieś przez ptaka gniazda, ciche kroki jeleni tuziny stóp stąd.*

Czułam się jak w domu.

Lasy wybrzmiały nieznanym krzykiem, jakby nie na miejscu w tym świecie. Zawahałam się, przysłuchując. Znów doszło mnie skomlenie, lecz głośniejsze niż przedtem.

Okrążając sosnę, doszłam do źródła: trzech wilków. Była to biała wilczyca i czarny wilk – lider paczki; widok wilczycy sprawił, że brzuch skręcił mi się z nerwów. Ich dwójka rzucała się na trzeciego wilka, młodego samca z niby-niebieskim odcieniem na jego szarym futrze i okropną, uzdrawiającą się raną na jego łapie. Pozostałe dwa wilki przygwoździły go do liściastej ziemi w geście dominacji; wszyscy zastygli w bezruchu, gdy mnie ujrzeni. Poszkodowany samiec przekręcił głowę by na mnie spojrzeć błagającymi oczyma. Serce łomotało mi w klatce. Znałam te oczy. Pamiętałam je ze szkoły; pamiętałam je z lokalnych wiadomości.

- Jack? – wyszeptalam.

Przygwożdżony do ziemi wilk żałośnie zagwizdał przez swoje nozdrza. Ja po prostu gapiłam się w jego oczy. Piwne. Czy wilki miały piwne oczy? Możliwe. Lecz czemu wyglądały one tak niewłaściwie? Gdy się na nie gapiłam, to jedno słowo wciąż przechodziło mi przez myśli, jak piosenka: człowiek, człowiek, człowiek.

Z warknięciem w moim kierunku, wilczyca puściła go. Kłapnęła na niego zębami, odciągając go ode mnie. Jej oczy cały czas spoczywały na mnie, wyzywając mnie, bym ją powstrzymała, i coś we mnie mówiło mi, że być może powinnam była spróbować to zrobić. Lecz z czasem gdy moje myśli przestały krążyć i przypomniałam sobie, że mam kieszonkowy nóż w jeansach, trójka wilków była już ciemnymi smugami w dalekich drzewach.

Bez oczu tamtego wilka przede mną, musiałam się zastanowić, czy nie wyobraziłam sobie podobieństwa do Jacka. Mimo wszystko, minęły dwa tygodnie odkąd widziałam go osobiście, i nigdy właściwie nie zwracałam mu bliskiej uwagi. Mogłam źle zapamiętać jego oczy. Co ja myślałam, tak w ogóle? Że zamienił się w wilka?

Wypuściłam głęboki oddech. Właściwie, to właśnie to sobie myślałam. Nie sądziłam, że zapomniałam oczy Jacka. Czy też jego głos. I nie wyimaginowałam sobie ludzkich krzyków, ani desperackiego wycia. Po prostu wiedziałam, że to był Jack, tak samo jak wiedziałam, jak odnaleźć drogę przez drzewa.

Mój brzuch związany był w supeł. Nerwy. Oczekiwanie. Nie sądziłam, by Jack był jedynym sekretem jaki skrywają te lasy.

Tej nocy leżałam w łóżku i gapiłam się w okno z odsłoniętymi roletami bym mogła obserwować nocne niebo. Tysiące cudownych gwiazd wydrążyło dziury w mojej świadomości, klując mnie tęsknotą. Mogłam gapić się na gwiazdy godzinami, ich nieskończona liczba i głębia pchała mnie w stronę tej mnie samej, którą ignorowałam w ciągu dnia.

Na zewnątrz, głęboko w lasach, usłyszałam długie, gorliwe wycie, potem kolejne, gdy wilki zaczęły ryczeć. Ustawiło się jeszcze więcej głosów, niektórych niskich i pełnych żałoby, innych

wysokich i krótkich, w niesamowity, piękny chorał. Rozpoznałam wycie mego wilka; jego bogaty ton wybrzmiewał ponad innymi, jakby błagał mnie, bym go usłyszała.

Moje serce bolało mnie w środku, rozdarte pomiędzy chęcią, by przestali i pragnieniem, by nigdy nie ustali. Wyobraziłam sobie siebie, wśród nich w złotym lesie, obserwując jak chylą swe głowy w tył i wyją pod niebem nieskończonych gwiazd. Zmrużyłam oczy, unikając w ten sposób uronienia łzy, czując się głupio i nieszczęśliwie, lecz nie położyłam się spać dopóki żaden wilk nie przestał śpiewać.

**naturalnie chodzi tu o miarę długości :)*

Rozdział dziesiąty

Grace

- Myślisz, że musimy wziąć tę książkę do domu – wiesz, *Exploring Guts*, czy jak ona się tam zwie? – spytałam Olivii – Do przeczytania? Czy mogę ją zostawić tutaj?

Zamknęła swoją szafkę, jej ramię pełne było książek. Nosiła okulary do czytania, razem z łańcuszkiem więc mogła sobie je powiesić na szyi. Na Olivii wyglądały one jak do pracy, w swego rodzaju uroczy, bibliotekarski sposób.

- To dużo do czytania. Ja ją ze sobą biorę.

Znów sięgnęłam do mojej szafki, po podręcznik. Za nami, korytarz buczał od hałasu gdy studenci pakowali się i zмирzali do domu. Cały dzień, starałam się zdobyć na powiedzenie Olivii o wilkach. Normalnie nie musiałabym się nad tym zastanawiać, ale po naszej prawie-kłótni dzień wcześniej, dobry moment zdawał się nie nadchodzić. A teraz dzień się kończył. Wzięłam głęboki oddech.

- Widziałam wczoraj wilki.

Olivia przekartkowała leniwie podręcznik leżący na wierzchu jej stosu, nie zdając sobie sprawy jak wielkiej wagi było moje wyznanie.

- Które?

- Paskudną wilczycę, tego czarnego, i nowego.

Znów debatowałam, czy powiedzieć jej, czy też nie. Była o wiele bardziej zainteresowana wilkami niż Rachel, a nie wiedziałam, do kogo innego zagadać. Nawet w mojej głowie te słowa brzmiały szalenie. Lecz od poprzedniego wieczora, otaczała mnie tajemnica, otaczała bardzo ciasno wokół mojej klatki i gardła. Pozwoliłam moim słowom wybrzmieć, mój głos był niski.

- Olivia, to zabrzmiało głupio. Ten nowy wilk – myślę, że coś się stało gdy wilki zaatakowały Jacka.

Ona po prostu się na mnie gapiała.

- Jack Culpeper – powiedziałam.

- Wiedziałaś, kogo masz na myśli. – Olivia zmarszczyła czoło na wprost jej szafki.

Jej związane brwi sprawiły, że pożałowałam rozpoczęcia tej rozmowy. Westchnęłam.

- Myślałam, że widziałam go w lasach. Jacka. Jako ... - zawahałam się.

- Wilka? – Olivia złączyła razem swoje pięty – nigdy nie znałam nikogo kto by to robił, poza Czarnoksiężnikiem z Oz – i odwróciła się na nich by stawić mi czoła z podniesioną brwią. – Jesteś

szalona. – ledwie mogłam ją usłyszeć przez przeciskających się wokół nas studentów na holu. – To znaczy, to miła fantazja, i rozumiem czemu chciałaś w nią wierzyć-ale jesteś szalona. Wybacz.

Pochyliłam się blisko, mimo że hol był tak głośny że nawet ja musiałam walczyć, by usłyszeć naszą rozmowę.

- Olive, wiem co widziałam. To były oczy Jacka. To był jego głos. – oczywiście, jej wątpliwości sprawiły, że i ja zaczęłam wątpić, ale nie miałam zamiaru tego przyznać. – Myślę, że wilki zmieniły go w jednego z nich. Czekaj – o co ci chodzi? Z tą 'mną, która chciała by wierzyć'?

Olivia postąpiła mi długie spojrzenie zanim podążyłyśmy do naszego homeroomu*.

- Grace, poważnie. Nie myśl sobie, że nie wiem o co w tym wszystkim chodzi.

- Więc o co w tym wszystkim chodzi?

Odpowiedziała kolejnym pytaniem.

- Czy oni są wszyscy wobec tego wilkołakami?

- Co? Cała paczka? Nie wiem. Nie myślałam nad tym.

Nie przyszło mi to do głowy. Powinno, lecz nie przyszło. To było niemożliwe. Te długie nieobecności sprawione były tym, że mój wilk rozplątywał się w ludzką formę? Ten pomysł natychmiastowo stał się nie do zniesienia, tylko dlatego, że tak bardzo chciałam, by było to prawdą, że aż bolało.

- Pewnie, że nie myślałaś. Czy nie sądzisz, że ta obsesja staje się trochę przerażająca, Grace?

Moja odpowiedź zabrzmiała bardziej defensywnie, niż zamierzałam.

- Nie mam obsesji.

Uczniowie posłali nam podenerwowane spojrzenia, gdy Olivia zatrzymała się w holu i położyła palec na swoim policzku.

- Hmm, to wszystko o czym myślisz, i mówisz, i wszystko o czym chcesz byśmy rozmawiały. Jak inaczej na świecie mogłoby to zostać nazwane? Ach, tak! Obsesją!

- Jestem tym po prostu zainteresowana – warknęłam. – I myślałam, że ty też.

- Jestem nimi zainteresowana. Ale nie zainteresowana w sposób pochłaniający, czy też obejmujący, wszystko, czy jak tam. Nie fantazjuję na temat bycia jednym z nich. – jej oczy zwięzły się z za jej okularów do czytania. – Nie mamy już trzynastu lat, ale ty chyba tego nie zauważyłaś.

Nic nie mówiłam. Wszystko o czym mogłam pomyśleć to to, jak ogromnie niesprawiedliwa była, ale nie chciałam jej tego mówić. Nie chciałam jej nic mówić. Chciałam odejść i zostawić ją stojącą tak w korytarzu. Ale nie zrobiłam tego. Miast tego, trzymałam mój głos w tonie super płaskim i wyrównanym.

- Sorry, że tak długo cię zanudzałam. Udawanie zainteresowanej musiało cię wręcz zabijać.

Olivia zgrymasiła.

- Poważnie, Grace. Nie staram się być kretynką. Ale stajesz się niemożliwa.

*- Nie, ty po prostu mówisz mi że mam straszną obsesję na punkcie czegoś, co jest dla mnie ważne. To bardzo ... - słowo, którego chciałam użyć zbyt długo przychodziło mi do głowy i zepsuło efekt – filantropijne** z twojej strony. Dzięki za pomoc.*

- Och, dorośnij. – warknęła Olivia, przepychając się przeze mnie.

Hol zdawał się wyciszyć po jej zniknięciu, a na policzkach czułam żar. Zamiast zmierzać do domu, powlokłam się do mojego pustego homeroomu, padłam na krzesło i ukryłam twarz w dłoniach. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz się pokłóciłam z Olivią. Patrzyłam na każde zdjęcie, które kiedykolwiek zrobiła. Słuchałam nieskończonych narzekań na jej rodzinę i presję związaną z występowaniem. Była mi dłużna, chociażby wysłuchanie mnie.

Moje myśli szybko zostały przerwane przez dźwięk korkowych obcasów stukających o podłogę klasy. Zapach drogiego perfumu dosięgnął mnie sekundę zanim podniosłam oczy, by ujrzeć Isabel Culpeper stojącą nad moim biurkiem.

- Słyszałam, że gadaliście wczoraj o wilkach z tym policjantem. – głos Isabel był miły, ale wyraz jej oczu zaprzeczał jej tonowi. Obudziło się we mnie współczucie przez jej osobę, rozplywając się w jej słowach. – Wierzę ci na słowo i zakładam, że jesteś źle poinformowana nie z twojej winy, a nie totalnie opóźniona w rozwoju. Słyszałam, że mówisz ludziom, że wilki to nie problem. Musiałaś pewnie nie usłyszeć wiadomości: te zwierzaki zabiły mi brata.

- Przykro mi z powodu Jacka – powiedziałam, automatycznie chcąc wyskoczyć w obronę mojego wilka. Przez sekundę, pomyślałam o oczach Jacka, i jaką rewelację może to oznaczać dla Isabel, lecz natychmiastowo zlekceważyłam ten pomysł. Jeśli Olivia myślała, że byłam szalona, wierząc w wilkołaki, Isabel pewnie byłaby już na linii telefonicznej z lokalnym zakładem psychiatrycznym zanim miałabym szansę dokończyć zdanie.

- Zamknij. Się. – Isabel przerwała moim myślom. – Wiem, że chcesz mi powiedzieć, że wilki nie są niebezpieczne. Cóż, najwyraźniej są. I najwyraźniej, ktoś będzie musiał coś z tym zrobić.

Moje umysł przeniósł się do momentu prowadzenia rozmowy w klasie: Tom Culpeper i jego wypchane zwierzaki. Wyobraziłam sobie mojego wilka, wypchanego, ze szklanymi oczyma.

- Nie wiesz, że zrobili to wilki. Mógł zostać ... - przerwałam. – Spójrz, coś poszło naprawdę nie tak. Lecz to mógł być tylko jeden wilk. Jest prawdopodobieństwo, że reszta paczki nie ma tym nic ...

- Jakże piękny jest obiektywizm. – warknęła Isabel. Patrzyła na mnie przez długi moment. Wystarczająco długi, bym zaczęła się zastanawiać, o czym myśli. I wtedy powiedziała: - Poważnie. Skończ ze swoją greenpeace'owską miłością do wilków, bo długo tutaj nie pobędą, czy ci się to podoba, czy nie.

Miałam ściśnięte gardło.

- Czemu mi to mówisz?

- Mam dosyć, że mówisz ludziom, że one nikogo nie skrzywdzą. Jego zabili. Ale wiesz co? Kończę z tym. Dziś. – Isabel padła na moje biurko. – Dziękuję.

Złapałam jej nadgarstek zanim wyszła; pod ręką czułam jej garść grubych bransoletek.

- Co to miało znaczyć?

Isabel patrzyła się na moją dłoń na jej nadgarstku, lecz jej nie odciągnęła. Chciała, bym o to zapytała.

-To co przydarzyło się Jackowi, nie zdarzy się nigdy więcej. Zabijają wilki. Dzisiaj. Teraz.

Wyśliznęła się z mojego luźnego teraz uścisku i wyśliznęła się drzwiami.

Przez chwilę siedziałam przy biurku, paliły mnie policzki, rozdzielając jej słowa i znów je sklecając.

Potem odskoczyłam z krzesła, moje notatki zatrzepotały na podłodze jak osowiałe ptaki. Zostawiłam je tam, gdzie upadły, i pognałam do mojego wozu.

Brakowało mi tchu gdy wsunęłam się za kółko mojego auta, słowa Isabel wciąż i wciąż grały w mojej głowie. Nigdy nie myślałam o wilkach jak o bezbronnych, lecz gdy zaczęłam sobie wyobrażać do czego małomiasteczkowy prawnik i najwyższych lotów ego maniak jak Tom Culpeper mógł być zdolny – podsycony stłumionym gniewem i żądzą, wspomagany bogactwem i wpływami – zupełnie nagle stały się one przeraźliwie wątpliwe.

Wepchnęłam kluczyk w stacyjkę, czując, jak samochód stukocząc niechętnie powraca do życia, jak ja. Moje oczy spoczywały na żółtej kolejce autobusów szkolnych czekających na zakręcie i wiązkach głośnych uczniów wciąż włączających się po chodniku, lecz mój mózg stawiał mi obraz białych jak kreda rzędków brzoź za moim domem. Czy ta polowanio-impresa rzeczywiście miała miejsce? Czy rzeczywiście polowali teraz na wilki?

Musiałam się dostać do domu.

Zgasł mi samochód, moja stopa zachowywała się niepewnie na podejrzanym sprzęgle.

- Boże – powiedziałam, rozglądając się dokoła by zobaczyć jak wielu ludzi widziało, jak mój samochód zdycha. Nie to, żeby trudno teraz było o zgaśnięcie mojego samochodu, gdy wysiadał mi czujnik temperatury, ale zwykle mogłam pociągnąć sprzęgło i wyjechać na drogę bez zbytniego upokorzenia. Przegryzłam sobie wargę, wzięłam się w garść i spróbowałam znów odpalić.

Były dwie drogi, którymi można było dostać się ze szkoły do domu. Jedna była krótsza, lecz było na niej dużo świateł i znaków stopu – dziś było to nie do przyjęcia, gdy byłam zbyt roztargniona by cackać się z autem. Nie miałam czasu na stanie na drodze. Druga z nich była odrobinę dłuższa, lecz jedynie z dwoma znakami stopu. Dodatkowo przebiegała wzdłuż brzegu lasów Boundary, gdzie żyły wilki.

Gdy jechałam, naciskając na samochód najmocniej jak mogłam, w brzuchu skręcało mnie od nerwów. Silnik zadygotał tak, jak nie powinien. Sprawdziłam wskazówki – silnik zaczynał się przegrzewać. Głupi wóz. Gdyby tylko mój ojciec zabrał mnie do dealera, tak jak mi to obiecał.

Gdy niebo zaczęło cudownie płonąć na czerwono na horyzoncie, zmieniając cienkie chmury w pasma krwi nad drzewami, moje serce łomotało mi w uszach, a skóra mnie świerbiła, jakby była naelektryzowana. Wszystko we mnie krzyczało, że coś tu jest nie tak. Nie wiedziałam, co bardziej zaprzętało moje myśli – nerwy, które trzęsły moimi rękoma czy ochota by zacisnąć wargi i walczyć.

W przodzie zobaczyłam kolejkę pick-upów zaparkowanych na skraju drogi. Ich czteroślady mrugały w zwodniczym świetle, sporadycznie rzucając światło na przydrożne lasy. Nad pick-upem na końcu kolejki pochyliła się figura trzymająca coś, czego nie byłam w stanie z tej odległości rozpoznać. Znow ścisnął mnie brzuch, i gdy zdjęłam nogę z gazu, mój samochód zaczął się krztusić i zgasnął, sprawiając że jechałam z rozpędem w niesamowitej ciszy.

Przekręciłam kluczyk, lecz pomiędzy moimi roztrzęsionymi rękoma a podświetlonym na czerwono czujnikiem temperatury, silnik po prostu zadrżał pod maską bez odpalenia. Tak bardzo chciałam, żebym sama wtedy poszła do dealera. Miałam książeczkę czekową taty.

Warcząc pod nosem, zahamowałam i pozwoliłam samochodowi posunąć się aż do zatrzymania się przed pick-upami. Zadzwoiłam do pracowni mamy z mojej komórki, lecz nie było żadnej odpowiedzi – musiała już być na otwarciu swojej wystawy. Nie bałam się o powrót do domu; było wystarczająco blisko na piechotę. Bałam się o te ciężarówky. Bo znaczyły one, że Isabel mówiła mi prawdę.

Gdy wygramoliłam się na pas ulicy, rozpoznałam kolesia stojącego przy pick-upie z przodu. Było to oficer Koenig, bez uniformu, bębniący palcami o maskę. Gdy się zbliżyłam, mój żołądek wciąż podchodził mi do gardła. Spojrzał w górę i uciszył swoje palce. Ubrany miał jasnopomarańczową czapkę, a w zgięciu swojego łokcia trzymał strzelbę.

- Problemy z autem? – zapytał.

Odwróciłam się nagle na dźwięk zatraskiwanych samochodowych drzwi z tyłu mnie. Nadjechała kolejna ciężarówka, a dwóch łowców w pomarańczowych czapkach już było w drodze na brzeg drogi. Popatrzałam na nich, popatrzałam, gdzie zmierzają, a mój oddech utknął gdzieś w gardle. Tuziny łowców w grupkach, ramię w ramię, wszyscy mieli strzelby. Wyraźnie nerwowi, ich głosy przytłumione. Zerkając na niewyraźne drzewa za płytkim rowem, mogłam dostrzec jeszcze więcej pomarańczowych czapek rozsianych po lesie, niczym plaga.

Polowanie już się rozpoczęło.

Zwróciłam się do Koeniga i wskazałam na jego strzelbę.

- Czy to na wilki?

Koenig popatrział na nią, jakby w jakiś sposób zapomniał, że się tam znajdowała.

- Jest ...

Za lasów dobiegł nas trzask; obydwójce wzdrygnęliśmy się na ten dźwięk. Z grupy przy drodze wznosiły się wiwaty.

- Co to było? – zapytałam. Lecz wiedziałam, co to było. Był to strzał z broni. W lasach Boundary. Mój głos był spokojny, co mnie zaskoczyło. – Poluj na wilki, czyż nie?

- Z całym szacunkiem, panienko – powiedział Koenig – myślę, że powinnaś poczekać w samochodzie. Mogę cię podwieźć do domu, ale będziesz musiała odrobinę poczekać.

W lasach brzmiały dalekie krzyki, i kolejny dźwięk strzału, gdzieś dalej. Boże. Wilki. Mój wilk. Chwyciłam ramię Koeniga.

- Musi pan im powiedzieć, żeby przestali! Nie mogą tam strzelać!

Koenig odsunął się, wyciągając dłoń z mojego uścisku.

- Panienko ...

Dobiegł kolejny daleki strzał, brzmący znikomie i drobno. W mojej głowie wyobraziłam sobie idealny obraz wilka zwijającego się i zwijającego, z dziurą w jego boku, martwymi oczyma. Nie myślałam. Słowa padły tak, z siebie.

- Twój telefon. Musisz do nich zadzwonić i powiedzieć im żeby przestali. Tam jest moja przyjaciółka! Miała zamiar zrobić zdjęcia tego popołudnia. W lasach. Proszę, musisz do nich zadzwonić!

- Co? – Koenig zastygł. – Ktoś tam jest? Jesteś pewna?

- Tak – powiedziałam, bo byłam pewna. – Proszę. Zadzwoń do nich!

Bóg niech błogosławi oficera Koeniga bez poczucia humoru, bo nie spytał mnie o żadne dalsze szczegóły. Wyjąwszy telefon z kieszeni, wybrał szybki numer i trzymał telefon nad uchem. Jego brwi zwały się w prostą linię, i po sekundzie odłożył telefon patrząc na ekran.

- Odbiór – wymamrotał, i spróbował jeszcze raz. Stałam przy pick-upie, ręce miałam skrzyżowane na piersi gdy sączyło się we mnie zimno, obserwowałam jak szary pył przejmował ulicę podczas gdy słońce zniknęło za drzewami. Z pewnością będą musieli przestać, gdy zrobi się ciemno. Lecz coś mi mówiło, że to, że mieli policjanta, który obserwował drogę, nie czyniło tego, co robili legalnym.

Znów gapiąc się na telefon, Koenig potrząsnął głową.

- Nie działa. Poczekaj. Wiesz, że będzie dobrze – są ostrożni – jestem pewien, że nie zastrzeliliby osoby. Ale pójdę i ostrzegę ich. Pozwól mi tylko zabezpieczyć broń. To zajmie tylko sekundę.

Gdy zaczynał wkładać swoją strzelbę do pick-upa, z lasów padł kolejny strzał i coś wewnątrz mnie się wyrzuciło. Nie mogłam już po prostu dłużej czekać. Skoczyłam w rów i wspinałam się w

kierunku drzew, zostawiając za sobą Koeniga. Słyszałam, jak za mną wołał, lecz ja już byłam daleko w lasach. Musiałam ich powstrzymać – ostrzec mojego wilka – zrobić coś.

Lecz gdy tak biegałam, sunąc się między drzewami i skacząc ponad spadniętymi konarami, wszystko o czym mogłam pomyśleć to to, że było za późno.

**homeroom to pokój, w którym meldują się uczniowie danej klasy w amerykańskich szkołach*

*** w oryginale: philanthropic :) specjalnie przetłumaczyłam to w ten sposób, by uwidocznic „głupkowatość” Grace ^^*

Rozdział jedenasty

Sam

Biegliśmy. Milczeliśmy, byliśmy jak ciemne krople wody, spiesząc się nad jezynami i wokół drzew podczas gdy mężczyźni przepędzali nas za nimi.

Lasy, które znałem, lasy, które mnie chroniły, były przepełnione ich ostrymi zapachami i krzykami. Wspinałem się tu i tam w towarzystwie reszty wilków, ochraniając ich i podążając za nimi, trzymając nas razem. Spadnięte drzewa i chrust wydawały się tak nieznajome pod moimi stopami; powstrzymywałem się przed potknięciem poprzez skoki – długie, niekończące się skoki, ledwie dotykając ziemi.

Nieświadomość tego gdzie się znajduję była przerażająca.

Wymienialiśmy się między sobą prostymi obrazami w naszym bezsłownym, bezcelowym języku: za nami ciemne figury, figury przybrane jasnymi ostrzeżeniami; nieruchome, zimne wilki; zapach śmierci w naszych nozdrzach.

Zagłuszył mnie trask, wytrącił z rytmu równowagi. Usłyszałem za mną skomlenie. Bez odwracania głowy wiedziałem, który to był wilk. Nie było czasu na zatrzymywanie się; nie mogłem nic zrobić, nawet jeśli musiałem.

Nowy zapach uderzył w moje nozdrza: zgnita ziemią i stojąca woda. Jezioro. Zapędzali nas nad jezioro. W mojej głowie uformowałem czysty obraz, w tym samym momencie, co Paul, lider paczki. Wolny, pofalowany brzeg wody, cienkie sosny rosnące skąpo na kiepskiej glebie, jezioro rozciągające się w nieskończoność w oba kierunki.

Paczka wilków skupiona na brzegu. Żadnej ucieczki.

Polowano na nas. Prześliznęliśmy się przed nimi, niczym duchy w lasach, i polegliśmy, czy walczyliśmy, czy też nie.

Inni wciąż biegli wzdłuż jeziora.

Lecz ja się zatrzymałem.

Rozdział dwunasty

Grace

To nie były te lasy, którymi chadzałam zaledwie kilka dni wcześniej, pomalowane na żywe odcienie jesieni. Były to bliskie lasy, lecz stworzone z tysiąca ciemnych pni czerniejących po zmroku. Szósty zmysł, który prowadził mnie w moich wyobrażeniach, zniknął; wszystkie znajome ścieżki zostały zniszczone przez strzelających łowców w pomarańczowych czapkach. Byłam kompletnie zdezorientowana; musiałam wciąż się zatrzymywać by usłyszeć wrzaski i dalekie odgłosy kroków przez wysuszone liście.

Mój oddech wypalał mi gardło gdy ujrzałam pierwszą pomarańczową czapkę, świecącą odlegle zza zmięchu. Krzyczałam, lecz czapka nawet się nie odwróciła; figura była zbyt daleko, by mnie usłyszeć. I wtedy ujrzałam kolejnych – pomarańczowe kropki rozsiane po lasach, wszystkie poruszały się powoli, nieustępliwie w tym samym kierunku. Robili dużo hałasu i prowadzili wilki przed siebie.

- Stop! – krzyczałam. Byłam wystarczająco blisko by ujrzeć zarys najbliższego łowcy z strzelbą w ręku. Zmniejszyłam odległość między nami, moje nogi protestowały, potykały się odrobinę gdyż byłam zmęczona.

Przestał iść i obrócił się, zaskoczony, czekając aż się zbliżę. Musiałam podejść bardzo blisko, by zobaczyć jego twarz; między tymi drzewami było już ciemno, jakby zbliżała się noc. Jego twarz, starsza i pomarszczona, wydała mi się nieco znajoma, jednak nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie wcześniej widziałam go w mieście. Łowca dziwnie zmarszczył na mnie czoło; myślałam, że wyglądał jakby czuł się winny, lecz mogłam sobie to dopowiedzieć.

- Cóż, co tutaj robisz?

Zacząłam mówić zanim zdałam sobie sprawę, że tak bardzo brakowało mi tchu że ledwo mogłam z siebie wydusić słowa. Mijały sekundy podczas gdy ja walczyłam, by odnaleźć mój głos.

- Musicie ... przestać. W tych lasach jest moja przyjaciółka. Miała zamiar robić zdjęcia.

Zerknął na mnie, a potem popatrzał na spowijające się mrokiem lasy.

- Teraz?

- Tak, teraz! – powiedziałam, starając się nie warczeć. Ujrzałam czarne pudełko przy jego talii - walkie-talkie. – Musisz do nich zadzwonić i powiedzieć, żeby przestali. Jest już prawie ciemno. Jak mieliby ją dostrzec?

Łowca gapił się na mnie przez śmiertelnie długi moment zanim skinął głową. Sięgnął po swoją walkie-talkie i odpiął pasek, podniósł ją do góry na wysokość swoich ust. Wyglądało to tak, jakby wszystko robił w spowolnieniu.

- Pośpiesz się! – niepokój przemawiał przeze mnie niczym fizyczny ból.

Łowca nacisnął guzik walkie-talkie i zaczął mówić.

I nagle, nie tak daleko, padła salwa trzaskających pocisków. Nie drobnych strzałów, jakimi były te z przydroża, lecz trzaskające fajerwerki, niemyłące się strzały. Dzwoniło mi w uszach.

W dziwny sposób poczułam się jakbym była celem, jakbym wyszła z mojego własnego ciała. Mogłam więc poczuć, że moje nogi były słabe i drżały bez przyczyny, i słyszałam jak waliło mi serce, widziałam też czerwień sączącą się za moimi oczyma, niczym karmazynowy sen. Jak złośliwie jasny koszmar o śmierci.

W moich ustach pojawił się pewien upewniający mnie metaliczny smak, dotknęłam więc warg, spodziewając się krwi. Lecz nie było tam nic. Żadnego bólu. Jedynie brak czucia.

- W lasach ktoś jest – powiedział łowca przez swoją walkie-talkie, jakby nie widział, że część mnie umierała.

Mój wilk. Mój wilk. Nie mogłam myśleć o niczym innym niż jego oczach.

- Hej, panienko. – głos ten był młodszy niż łowcy, a ręka która ścisnęła moje ramię była stanowcza. Koenig powiedział: - Co sobie myślałaś, tak sobie zwiewając? Tutaj są ludzie z bronią.

Zanim byłam w stanie na to odpowiedzieć, Koenig zwrócił się do łowcy.

- Słyszałem tamte strzały. Jestem dość pewny, że każdy w Mercy Falls je słyszał. Jedną rzeczą jest robienie tego – poderwał rękę w kierunku broni w ręce łowcy – a inną kwestią jest obnoszenie się z tym.

Zaczynałam się wykręcać z ręki Koeniga; on ścisnął swoje palce w odruchu, potem mnie puścił, gdy zdał sobie sprawę z tego co robi.

- Jesteś ze szkoły. Jak się nazywasz?

- Grace Brisbane.

Na twarzy łowcy pojawił się cień rozpoznania.

- Córnka Lewisa Brisbane'a?

Koenig popatrzał na niego.

- Brisbane'owie mają dom zaraz tam, na skraju lasów. – łowca wskazał w kierunku domu. Był on niewidoczny zza czarnej plataniny drzew.

Koenig podchwycił ten kawałek informacji.

- Podwiozę cię do domu i potem wrócę żeby zobaczyć co się dzieje z twoją przyjaciółką. Ralph, użyj tego cacka żeby im powiedzieć żeby przestali z tym strzelaniem.

- Nie potrzebuję eskorty – powiedziałam, lecz Koenig i tam kroczył ze mną, zostawiając Ralpa rozmawiającego ze swoją walkie-talkie. Zimne powietrze zaczynało gryźć i szczypać moje policzki. Wieczór stał się zimny tak szybko, jak tylko zaszło słońce. Czułam się tak samo zmarznięta

wewnątrz, jak i na zewnątrz. Wciąż widziałam kurtynę czerwieni padającą przed moje oczy i wciąż słyszałam trzaskające strzały.

Byłam tak pewna tego, że mój wilk tam był.

Na skraju lasów zatrzymałam się, patrząc na ciemne szkło tylnych drzwi naszego ganku. Cały dom wyglądał jakby był pełen cieni, niezamieszkaany, a Koenig zabrzmiał jakby był pełen wątpliwości, gdy powiedział:

- Chcesz, żebym cię ...

- Stąd już dam sobie radę. Dzięki.

Zawahał się dopóki nie stanęłam na naszym podwórzu a potem usłyszałam jego kroki, gdy szedł tam, skąd przyszedliśmy. Przez długą chwilę stałam w cichym zmierzchu, wsłuchując się w dalekie głosy w lasach i wiatr grzechoczący suchymi liśćmi na drzewach nade mną.

A gdy tak stałam w tym, co uważałam za ciszę, zaczęłam słyszeć dźwięki, których nie słyszałam nigdy wcześniej. Szeleszczenie zwierząt w lasach, przewracających kruche liście ich łapami. Odległy ryk ciężarówek na autostradzie.

Dźwięk urywanego, szybkiego oddechu.

Zastygłam. Wstrzymałam oddech.

Lecz te nierówne westchnienia nie były moje.

Podążyłam za dźwiękiem, wspinając się ostrożnie na ganek, do bólu świadoma dźwięków każdego skrzypiącego pod moim ciężarem stopnia.

Wyczułam go zanim go ujrzałam, moje serce z miejsca zwiększyło obroty na wyższy bieg. Mój wilk. Potem czujnik na światło włączył się i zalał werandę żółtym światłem. I oto na pół leżał, na pół siedział naprzeciwko tylnych, szklanych drzwi.

Oddech boleśnie uwięził mi w gardle podczas gdy podeszłam bliżej, wciąż się wahając. Nie miał już swojej pięknej krezy i był nagi, ale wiedziałam, że był to mój wilk jeszcze zanim otworzył oczy. Jego bladożółte oczy, tak znajome, mrugnęły na dźwięk mojego nadejścia, lecz się nie ruszył. Był umazany czerwienią – śmiercionośną barwą wojny – od uszu po jego niesamowicie ludzkie ramiona.

Nie potrafię wam powiedzieć, skąd wiedziałam, że to on, lecz nigdy temu nie wątpiłam.

Wilkołaki nie istniały.

Mimo, że mówiłam Olivii, że widziałam Jacka, naprawdę w to nie wierzyłam. Nie w ten sposób.

Bryza przyniosła zapach do moich nozdrzy, uziemniając mnie. Krew. Traciłam czas.

Wyciągnęłam kluczyki i sięgnęłam by otworzyć tylne drzwi. Zbyt późno jednak ujrzałam jak wyciągnął jedną ze swoich rąk wrywając powietrze i wpadł przez otwarte drzwi, zostawiając smugę czerwieni na szkle.

- Przepraszam – powiedziałam. Nie byłam w stanie powiedzieć, czy mnie słyszał. Podchodząc do niego, szybko podążyłam do kuchni, waląc w kontakty od światła. Wzięłam plik ścierek do naczyń z suszarki; gdy to robiłam, zauważyłam kluczyki do samochodu ojca na ladzie, pospiesznie rzucone w stertę papierów z pracy. Więc mogłabym użyć samochodu ojca, gdybym musiała.

Pobiegłam z powrotem do drzwi. Obawiałam się, że chłopak mógł zniknąć podczas gdy byłam odwrócona, było to wytworem mojej wyobraźni. Lecz się nie ruszył. Leżał na pół obecny i na pół odptywający, gwałtownie drżąc.

Bez zastanowienia, wzięłam go pod pachy i poniosłam go na tyle daleko bym mogła zamknąć drzwi. W świetle pokoju, zostawiając smugę krwi na podłodze, wydawał się ogromnie prawdziwy.

Uklękałam szybko. Mój głos ledwie był szeptem.

- Co się stało? – znałam odpowiedź, lecz chciałam usłyszeć, jak mówi.

Jego knykcie były białe w miejscu, gdzie jego ręka była przyciśnięta do szyi, ociekając olśniewającą czerwinią wśród palców.

- Strzał.

Mój brzuch ścisnął się z nerwów, lecz nie z tego, co powiedział, lecz głosu, który to zrobił. To był on. Ludzkie słowa, nie wycie, lecz barwa głosu była ta sama. To był on.

- Pozwól mi zobaczyć.

Musiałam odciągnąć jego dłonie od jego szyi. Było tam za dużo krwi by móc ujrzeć ranę, więc przycisnęłam jedną ze ścierek na bałagan czerwieni rozciągający się od jego brody po obojczyk. Sięgało to daleko poza moje umiejętności z pierwszej pomocy.

- Przytrzymaj to.

Jego oczy mignęły na mnie, znajome, lecz subtelnie inne. Dzikość została złagodzona przez pojęcie, które wcześniej było nieobecne.

- Nie chcę wracać. – agonía brzmiała w jego słowach z miejsca przywróciła mi pamięć: wilk stojący w cichej żałobie przede mną. Ciało chłopca szarpało się, był to dziwny, nienaturalny ruch o którym na samą myśl bolało. – Nie pozwól ... nie pozwól mi się przemienić.

Leżałam przez sekundę z większą szmatką przyłożoną do jego ciała, starałam się zakryć gęsią skórę najlepiej jak mogłam. W innej sytuacji, byłabym zakłopotana jego nagością, lecz tutaj jego skóra umazana krwią i brudem po prostu czyniła jego stan jeszcze bardziej żalosnym. Moje słowa były delikatne, jakby wcięż mógł się zerwać i uciec.

- Jak ci na imię?

Jęknął delikatnie, jego ręka odrobinę zadrżała gdy trzymał szmatkę przy swojej szyi. Była już przesiąknięta jego krwią, i cienki mały ślad pobiegł wzdłuż jego szczęki i skapnął na podłogę. Opuszczając się powoli na podłogę, położył swój policzek na drewnie, jego oddech przystoił lśniąco wykończenie posadzki.

- Sam.

Zamknął oczy.

- Sam – powtórzyłam. – Jestem Grace. Idę odpalić auto mojego ojca. Muszę cię zabrać do szpitala.

Wzdrygnął się. Musiałam pochylić się naprawdę blisko, by usłyszeć jego głos.

- Grace ... Grace, ja ...

Dałam mu tylko sekundę na to, by skończył. Gdy tego nie zrobił, odskoczyłam i wzięłam kluczyki z lady. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że nie był moim własnym wytworem – lata życzeń stały się prawdą. Lecz czymkolwiek był, był tu teraz, i nie miałam zamiaru go stracić.

Rozdział trzynasty

Sam

Nie byłem wilkiem, lecz Samem również jeszcze nie.

Mój umysł ociekał obietnicą przytomnych myśli: zmarznięte lasy daleko za mną, dziewczynka na huśtawce, dźwięk palców na metalowych strunach. Przyszłość i przeszłość, obie takie same, śnieg, potem lato, i znów śnieg.

Zniweczona pajęcza sieć wielu kolorów, roztrzaskana przez lód, niezmiernie smutna.

- Sam – powiedziała dziewczyna. – Sam.

Była przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Chciałem odpowiedzieć, lecz byłem cały połamany.

Rozdział czternasty

Grace

Niegrzecznie jest się gapić, lecz świetną rzeczą w gapieniu się na osobę będącą pod wpływem środków uspokajających jest to, że nawet nie wiedzą, że to robisz. A prawdą było, że nie mogłam przestać gapić się na Sama. Gdyby chodził do mojej szkoły, pewnie zostałby wylany z racji tego że wygląda jak dzieciak emo czy też na długo zaginiony członek Beatlesów. Miał czarne włosy w stylu moptop i interesujący kształtem nos, którego nie przeoczyłaby żadna dziewczyna. Za nic nie wyglądał na wilka, lecz całkowicie wyglądał jak mój wilk. Nawet teraz, gdy nie miał otwartych tak znajomych mi oczu, mała cząstka mnie wciąż skakała z irracjonalnej radości, przypominając sobie samej, że to on.*

- Och, kochanie, wciąż tu jesteś? Myślałam, że poszłaś.

Odwróciłam się gdy zielone zasłony rozdzieliły się by wpuścić pielęgniarkę z szerokimi ramionami. Jej tabliczka z imieniem głosiła, że mówią na nią SUNNY.

- Zostaję dopóki się nie obudzi. – przytrzymałam się boku łóżka szpitalnego, jakbym chciała udowodnić, jak ciężkie będzie wyniesienie mnie stąd.

Sunny uśmiechnęła się do mnie łaskawie.

- Podano mu silnie środki uspokajające, kotku. Nie obudzi się aż do ranka.

Uśmiechnęłam się do niej, mój głos był stanowczy.

- Tak długo więc zostanę.

Czekałam już godzinami gdy wyjmowali pocisk i zszywali ranę; musiało już być po północy. Wciąż czekałam aż poczuję się śpiąca, lecz wciąż byłam ożywiona. Za każdym razem gdy go widziałam, było to jak kolejny wstrząs. Zbyt późno przeszło mi przez myśl, że moi rodzice nie zadali sobie trudu by do mnie zadzwonić gdy dotarli z otwarciem galerii mamy. Prawdopodobnie nawet nie zauważyli zakrwawionego ręcznika którego użyłam by szybko wytrzeć podłogę, ani faktu że zginął samochód taty. A może nie dotarli jeszcze do domu. Północ była dla nich wczesną porą.

Uśmiech Sunny został na miejscu.

- Więc ok. – powiedziała. – Wiesz, jest obrzydliwym szczęściarzem. Żeby ta kula tylko go musnęła? - jej oczy zaświeciły. – Wiesz, czemu to zrobił?

Zmarszczyłam na nią czoło, szczypało mnie od nerwów.

- Nie nadążam. Chodzi ci o to dlaczego był w lasach?

- Kotku, obie wiemy że nie był w lasach.

Podniosłam brew, czekając, aż powie coś jeszcze, lecz nie powiedziała. Powiedziałam:

- Emm, tak. Był. Łowca przypadkowo go zastrzelił.

Nie było to kłamstwo. Cóż, wszystko za wyjątkiem tej części o „przypadku”. Byłam całkiem pewna że nie był to żaden wypadek.

Sunny gdakała.

- Spójrz ... Grace, czyż nie? Grace, jesteś jego dziewczyną?

Burknęłam w sposób, który mógł być zinterpretowany zarówno jako „tak”, jak i „nie”, w zależności od tego jak słuchacz był nachylony.

Sunny wzięła to za „tak”.

- Wiem, że znasz jego położenie. Lecz on potrzebuje pomocy.

Padł na mnie cień zrozumienia. Prawie się zaśmiałam.

- Myślisz, że sam się zastrzelił. Spójrz ... Sunny, czyż nie? Sunny, mylisz się.

Pielęgniarka posłała mi piorunujące spojrzenie.

- Myślisz, że jesteśmy głupi? Że nie zauważylibyśmy tego?

Po drugiej stronie łóżka w cichym błaganu ujęła bezwładne ramiona Sama i odwróciła je na wewnętrzną stronę, tak by kierowały się w stronę sufitu. Pokazała na blizny na jego nadgarstkach, wspomnienia po głębokich, zdecydowanych ranach, które powinny być śmiertelne.

Gapiałam się na nie, lecz były one niczym słowa w obcym języku. Nic mi nie mówiły. Wzruszyłam ramionami.

- Powstały zanim go jeszcze znałam. Po prostu mówię ci, że nie próbował się próbował się postrzelić, ani nie zrobił tego. To wina jakiegoś łowcy odchodzącego od zmysłów.

- Pewnie, kotku. Dobrze. Daj mi znać jak będziesz czegoś potrzebować. – Sunny posłała mi spojrzenie ciskające piorunami zanim zniknęła za zasłoną zostawiając mnie samą z Samem.

Z zarumienioną twarzą, potrząsnęłam głową i gapiałam się na mój uścisk z białymi knykiami znajdujący się na łóżku. Z wszystkich moich wkurzających rzeczy, protekcyjnalni dorośli byli na samym wierzchołku listy.

Sekundę po tym, jak poszła Sunny, oczy Sama zaczęły mrugać. Wysłałam ze swojej skóry, serce dudniło mi w uszach. Potrzebowałam długiego momentu gapienia się na niego, żeby mój puls znów powrócił do normy. Logika mówiła mi, by uznawać jego oczy za piwne, lecz tak naprawdę były one wciąż żółte, i z całą pewnością były skupione na mnie.

Mój głos wybrzmiał o wiele ciszej, niż zamierzałam.

- Powinieneś wciąż spać.

- Kim jesteś? – jego głos miał ten sam skomplikowany, żalobny ton jaki pamiętałam z jego wycia. Zmrużył oczy. – Twój głos wydaje się taki znajomy.

Mignął przeze mnie ból. Nie przeszło mi przez myśl, że może nie pamiętać swoich wilczych chwil. Nie znałam zasad, jakimi się to rządziło. Sam wyciągnął rękę w moim kierunku, a ja automatycznie wplotłam w nią moje palce. Z małym, niewinnym uśmiezkiem, pociągnął ją do swojego nosa i powąchał ją raz, potem drugi. Jego uśmiech stał się bardziej szeroki, wciąż jednak nieśmiały. Był absolutnie uroczy, i mój oddech uwiązł mi gdzieś w gardle.

- Znam ten zapach. Nie rozpoznałem cię; wyglądasz trochę inaczej. Przepraszam. Czuję się tak głupio, że nie pamiętałem. Żeby wrócić, potrzeba mi – mojemu mózgowi – kilku godzin.

Nie puścił moich palców, ja też ich nie rozłączyłam, mimo że trudno było się skoncentrować dotykając jego skóry.

- Powrócić z czego?

- Powrócić skąd. – poprawił. – Powrócić z czasów gdy byłem ...

Sam czekał. Chciał, żebym to ja to powiedziała. Było to trudniejsze niż się zdawało, by przyznać to na głos, mimo że tak naprawdę nie powinno być trudne.

- Gdy byłeś wilkiem. – wyszeptałam. – Dlaczego tu jesteś?

- Bo zostałem postrzelony. – powiedział uprzejmie.

- Mam na myśli, w tej postaci. – wskazałam na jego ciało, tak wyraźnie ludzkie pod nędzną szpitalną kołdrą.

Zamrugał.

- Och. Bo jest wiosna. Bo jest ciepło. Ciepło sprawia, że staję się mną. Że staję się Samem.

W końcu odciągnęłam moją dłoń i zamknęłam oczy, starając się przez moment zebrać to, co zostało z mojego rozsądku. Gdy otworzyłam moje oczy i przemówiłam, powiedziałam najbardziej przyziemną z możliwych rzeczy.

- To nie wiosna. Jest wrzesień.

Nie jestem dobra w czytaniu z ludzi, lecz myślałam że ujrzałam jak w jego oczach mignął niepokój, zanim się oczyściły.

- To niedobrze. – zauważył. – Mogę cię prosić o przysługę?

Musiałam znów zamknąć oczy na dźwięk jego głosu, gdyż nie powinien być znajomy, a jednak był, mówiąc do mnie na jakimś głębokim poziomie, tak samo jak jego wilcze oczy to robiły. Okazywało się, że będzie trudniej to zaakceptować, niż myślałam. Otworzyłam oczy. Wciąż tam był. Znow spróbowałam, zamknęłam je i otworzyłam po raz kolejny. Lecz wciąż tam był.

Zaśmiał się.

- Masz jakiś atak epileptyczny? Może to ty powinnaś się znajdować w tym łóżku.

Posłałam mu piorunujące spojrzenie, i zaczerwienił się gdy zrozumiał inne znaczenie swoich słów. Uratowałam go od jego skrępowania poprzez odpowiedź na jego pytanie.

- Co to za przysługa?

- Ja, emmm, potrzebuję jakiś ubrań. Muszę stąd się wynieść zanim się kapną że jestem dziwolągkiem.

- Co masz na myśli? Jakoś nie widzę ogona.

Sam sięgnął w górę i zaczął zrywać opatrunki na jego szyi.

- Oszalałeś? – sięgnęłam naprzód, chcąc chwycić jego rękę, było jednak za późno. Zerwał gazę by odsłonić cztery nowe szwy tworzące krótką linię wzdłuż starek tkanki bliznowatej. Nie było żadnej świeżej rany wciąż sączącej się krwią, żadnego dowodu na postrzał za wyjątkiem różowej, lśniącej blizny. Opadła mi szczęka.

Sam uśmiechnął się, widocznie zadowolony moją reakcją.

- Więc, czy nie uważasz, że podejrzewaliby coś?

- Ale było tak dużo krwi ...

- Taa. Moja skóra nie mogła się wyleczyć, gdy tak bardzo krwawiła. Gdy mnie zaszyli ... - wzruszył ramionami i zrobił mały gest rękoma, jakby otwierał małą książkę – Abrakadabra. Są jednak jakieś bonusy z racji bycia mną.

Jego słowa były lekkie, lecz jego wyraz był niespokojny, obserwował mnie, patrzył, jak to wszystko przyjmuję. Jak przyjmuję fakt o jego istnieniu.

- Ok., muszę coś tu zobaczyć. – powiedziałam mu. – Po prostu ...

Zrobiłam krok do przodu i opuszkami palców dotknęłam tkanki bliznowatej na jego szyi. Jakimś cudem uczucie smukłej, jednolitej skóry przekonało mnie w sposób, w jaki jego słowa nie potrafiły. Oczy Sama powędrowały na moją twarz, potem znów gdzieś w dal, niepewne gdzie patrzeć gdy czułam nierówności starej blizny pod szczypiącymi czarnymi szwami. Pozwoliłam mojej dłoni utrzymać się na jego szyi na odrobinę dłużej, niż było to potrzebne. Nie na bliźnie, lecz na gładkiej, pachnącej wilkiem skórą kryjącą się za nią.

- OK. Więc wyraźnie musisz wyjść zanim na to spojrzę. Lecz jeśli się wypiszesz wbrew zaleceniom lekarza albo po prostu zwiejesz, będą próbowali cię namierzyć.

Zrobił minę.

- Nie, nie będą. Po prostu pomyślę że jestem jakimś włóczęgą bez ubezpieczenia. Co jest prawdą. Cóż, bynajmniej ta część z ubezpieczeniem.

To by było na tyle, jeśli chodzi o bycie subtelnym.

- Nie, będą myśleli, że opuściłeś szpital by uniknąć prawników. Myślą, że zastrzełeś się z powodu ...

Twarz Sama miała zakłopotany wyraz.

Wskazałam na jego nadgarstki.

- Ach, to. Nie zrobiłem tego.

Zmarszczyłam znów na niego czoło. Nie chciałam mówić czegoś w stylu: „Jest ok., masz wymówkę”, czy „Możesz mi powiedzieć, nie będę cię osądzać”, bo tak naprawdę będzie to równie złe jak Sunny sądząca że chciał się zabić. Lecz znowuż nie było to tak, że mógł sobie narobić tych blizn potykając się na schodach.

Potał kciukiem po jednym ze swoich nadgarstków, zamyślony.

- Tą zrobiła moja mama. Tata zrobił drugą. Pamiętam że liczyli od końca żeby mogli to robić w tym samym czasie. Wciąż nie mogę znieść widoku wanny.

Zajęło mi chwilę przetworzenie tego, co miał na myśli. Nie wiem, co za tym stało – płaski, wyprany z emocji sposób w jaki to powiedział, widok sceny która mignęła mi przed oczami, czy też ogólny szok po całym wieczorze, lecz nagle zaczęło kręcić mi się w głowie. Wirowało mi w niej, serce trzaskało mi w uszach, a potem uderzyłam mocno o podłogę wyściełaną linoleum.

Nie wiem przez jak wiele sekund byłam nieobecna, lecz zobaczyłam jak rozwiera się zasłona w tym samym czasie gdy Sam z powrotem walnął się na łóżko, przylepiając z powrotem bandaż na jego szyi. Potem jakiś pielęgniarz klęknął przy mnie, pomagając mi siadnąć.

- Dobrze się czujesz?

Zemdlałam. Nigdy nie zemdlałam w całym moim życiu. Zamknęłam oczy i znów je otworzyłam, dopóki pielęgniarz nie miał jednej głowy zamiast trzech, dryfujących bok w bok. Potem zaczęłam klamać.

- Po prostu pomyślałam o całej tej krwi, gdy go znalazłam ... ohhh ... - wciąż czułam się ogłupiona, więc „ohhhh” zabrzmiało bardzo przekonująco.

- Nie myśl o tym. – zasugerował pielęgniarz, uśmiechając się w bardzo przyjacielski sposób. Pomyślałam, że jego ręka była nieco zbyt blisko mojego cycka jak na swobodny kontakt i ten fakt zebrał w sobie moje zdecydowanie by przebrnąć przez to z upokarzającym planem który właśnie wskoczył mi do głowy.

- Myślę ... Muszę ci zadać zawstydzające pytanie – wymamrotałam, czując żar na moich policzkach. Było to prawie tak samo źle, jakbym mówiła prawdę. – Myślisz, że mogę pożyczyć parę fartuchów? Ja .. ehmm, moje spodnie ...

- Och! – zapłakał biedny pielęgniarz. Jego zażenowanie moim stanem prawdopodobnie zostało wyostrzone przez jego wcześniejszy, flirtujący uśmieszek. – Tak. Oczywiście. Zaraz będę z powrotem.

Równie dobry jak jego słowa, wrócił po kilku minutach, trzymając złożone pary chorobliwie zielonych fartuchów w ramionach.

- Mogą być trochę duże, ale mają sznurki, które możesz ... no wiesz.

- Dzięki. – wymamrotałam. – Ehm, miałbyś coś przeciwko? Przebiorę się tutaj. On nie patrzy na nic w danym momencie. – pokazałam na Sama, który wyglądał przekonywująco uśpiony.

Pielęgniarcz zmył się za zasłoną. Oczy Sama znów się otworzyły, wyraźnie rozbawione.

Wyszeptał:

- Powiedziałaś temu facetowi, że jesteś wariatką?

- Weź. Się. Zamknij. – syknęłam ze złością i cisnęłam fartuchami w jego głowę. – Pospiesz się zanim odkryją, że się nie zmoczyłam. Naprawdę jesteś mi coś dłużny.

Szeroko się uśmiechnęła i wsunęła fartuchy pod cienkie szpitalne prześcieradło, gniotąc je, a potem ściągnęła opatrunki z jego szyi i mankiet z aparatu do mierzenia ciśnienia z jego ręki. Gdy mankiet opadł na łóżko, on zerwał swój szpitalny strój i zamienił go na fartuch. Monitor zaskrzeczał w proteście, pokazując prostą kreskę i uświadamiając jego śmierć personelowi.

- Czas iść – powiedział, i poprowadził nas drogą za zasłoną. Gdy się zatrzymał, rozgryzając układ pokoi naokoło nas, słyszałam jak pielęgniarki szemrały odnośnie pokoju, w którym leżała, znajdującym się za zasłoną za nami.

- Został uśpiony – głos Sunny roznosił się ponad innymi.

Sam wyciągnął dłoń i chwycił moją, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie, i wyciągnął mnie w kierunku jasnego światła korytarza. Teraz, gdy był ubrany – w fartuchy, nic więcej – i nie tonął w krwi, nikt nawet nie mrugnął okiem gdy prowadził wzdłuż pokoju pielęgniarek aż po wyjście. Przez całą tę chwilę, mogłam dostrzec, jak jego wilcze myśli analizują sytuację. Odchylenie jego głowy mówiło mi, że nasłuchuje, a pochYLENIE jego brody wskazywało na zapachy które zbierał. Zwinny, mimo swojej patykowatej, elastycznej budowy, przeciął zwinną ścieżkę przez bałagan dopóki nie przeszliśmy przez główny hall.

Ckliwa piosenka country grała z systemu nagłaśniającego gdy moje tenisówki szorowały obrzydliwie ciemnoniebieski dywan w szkocką kratę; bosa stopy Sama nie wydawały żadnego dźwięku. O tej porze nocy, korytarz był pusty. Nie było nawet recepcjonistki przy biurku. Czułam się tak nabuzowana adrenaliną że myślałam że najprawdopodobniej polecę to taty samochodu. Wiecznie pragmatyczny kącik moich myśli przypomniawszy mi, że muszę zadzwonić do firmy holowniczej, żeby odzyskać samochód z pobocza drogi. Lecz w istocie nie mogłam zdobyć się na odpowiednie zirytowanie tym wszystkim, ponieważ wszystko o czym byłam w stanie myśleć był Sam. Mój wilk był słodkim facetem i trzymał moją dłoń. Mogłam umrzeć szczęśliwa.

Potem poczułam wahanie Sama. Odwrócił się i skupił wzrok ciemności która odbijała się od szklanych drzwi.

- Jak zimno tu jest?

- *Możliwe, że nie zimniej niż wtedy gdy cię przywiozłam. A co, ma to jakieś znaczenie?*

Twarz Sama pociemniała.

- *Jestem dokładnie na pograniczu. Nienawidzę tej pory roku. Mógł być obojgiem z nich, i wilkiem, i człowiekiem.*

Ustyszałam ból w jego głosie.

- *Czy boli, gdy się przemieniasz?*

Odwrócił ode mnie wzrok.

- *Teraz chciałbym być człowiekiem.*

Ja też chciałam, by nim był.

- *Pójdę odpalić samochód i włączę ogrzewanie. W ten sposób będziesz w zimnie tylko przez sekundę.*

Wyglądał trochę bezradnie.

- *Ale nie wiem, gdzie mam pójść.*

- *A gdzie normalnie żyjesz? – obawiałam się, że powie coś żałosnego, jak schronisko dla bezdomnych w centrum. Założyłam, że nie żyje z rodzicami którzy pocięli mu nadgarstki.*

- *Beck-jeden z wilków-gdy się zmienia, wielu z nas zostaje u niego w domu, ale jeśli się nie przemienił, ogrzewanie może nie być włączone. Mogę ...*

Potrząsnęłam głową i puściłam jego dłoń.

- *Nie. Ja biorę auto, a ty jedziesz ze mną do domu.*

Jego oczy się rozszerzyły.

- *Twoi rodzice ...?*

- *To czego nie będą wiedzieli, ich nie zabije. – powiedziałam, otwierając mocno drzwi. Krzywiąc się na podmuch zimnego, nocnego powietrza, Sam odsunął się od drzwi, otulając się swoimi ramionami. Lecz nawet gdy drżał z zimna, przegryzł wargę i obdarzył mnie niepewnym uśmiechem.*

Zwróciłam się w kierunku ciemnego miejsca parkingowego, czując się bardziej żywa, szczęśliwa i przerażona niż kiedykolwiek wcześniej.

**moptop to taki rodzaj uczesania jaki nosili właśnie Beatlesi ;)*

Rozdział piętnasty

Grace

- Śpisz? – głos Sama ledwie był szeptem, lecz w ciemnym pokoju, gdzie nie pasował, brzmiało to jak krzyk.

Przewróciłam się na łóżku w stronę podłogi, gdzie leżał - ciemny tobołek zawinięty w gniazdko kocy i poduszek. Jego obecność, tak dziwna i cudowna, wydawała się wypełniać pokój i naciskać na mnie. Nie sądzę, abym kiedykolwiek znów mogła zasnąć.

- Nie.

- Mogę zadać ci pytanie?

- Już to zrobiłeś.

Zastopował, rozważając te słowa.

- Mogę więc zadać ci dwa pytania?

- Już to zrobiłeś.

Sam jęknął i rzucił jedną z kanapowych poduszek w moją stronę. Zatoczyła łuk w oświetlonym światłem księżycy pokoju, niczym czarny pocisk, muskając bezszkodliwie moją głowę.

- Więc jesteś cwaniarą.

Uśmiechnęłam się szeroko w ciemności.

- Okay, pogram z tobą. Co chcesz wiedzieć?

- Zostałaś ugryziona. – ale to nie było pytanie. Mogłam usłyszeć zainteresowanie w jego głosie, wyczuć napięcie w jego ciele, nawet z odległości pokoju. Wśliznęłam się w moje koce, ukrywając się przed tym, co powiedział.

- Nie wiem.

Głos Sama wzniósł się ponad szept.

- Jak możesz nie wiedzieć?

Wzruszyłam ramionami, jednak nie mógł tego widzieć.

- Byłam młoda.

- Też byłem młody. Wiedziałem, co się działo. – gdy nie odpowiedziałam, spytał: - Czy to powód dla którego po prostu tam leżałaś? Nie wiedziałaś, że mają zamiar cię zabić?

Gapiałam się na ciemny kwadrat nocy przez okno, zatracona we wspomnieniach o Samie jako wilku. Paczka otoczyła mnie, języki i zęby, wycia i drżenia. Jeden wilk stał z boku, jego pokryta lodem

kreza była najeżona przez całą długość szyi, drżał, gdy obserwował mnie leżącą na śniegu. Leżąc w zimnie, pod ciemniejącym białym niebem, utrzymywałam na nim mój wzrok. Był piękny: dzięki i ciemne, żółte oczy wypełnione ze złożonością, której nie mogłam pojąć. Wydzielał z siebie taki sam zapach jak reszta wilków wokół mnie – bogaty, dziki, piżmowy. Nawet teraz, gdy leżał w moim pokoju, byłam w stanie wyczuć od niego zapach wilka, mimo że miał na sobie fartuchy i nową skórę.

Z zewnątrz usłyszałam niskie, gorliwe wycie, potem kolejne. Nocny chorał wznosił się, brakowało jednak zawodzącego głosu Sama, niemniej jednak wciąż piękny. Moje serce przyśpieszyło, chore od abstrakcyjnego pragnienia. Z podłogi dosłyszałam, jak Sam wydaje niskie kwilenie. Nieszczęśliwy dźwięk, który utknął gdzieś pomiędzy człowiekiem a wilkiem, rozproszył mnie.

- Tęsknisz za nimi? – wyszeptalam.

Sam wygramolił się ze swojego prowizorycznego łóżka i stanął przy oknie, nieznajoma sylwetka w zetknięciu z nocą, jego ramiona ścisnęły jego patykowate ciało.

- Nie. Taaa. Nie wiem. To sprawia, że czuję się ... chory. Jakbym tu nie należał.

Brzmi znajomo. Staralam się pomyśleć o czymś co mogłabym powiedzieć by dodać mu otuchy, lecz nie mogłam się zdecydować na nic, co brzmiałoby szczerze.

- Ale to jestem ja. – nalegał, jego broda szarpnęła, by odnieść się do jego ciała. Nie wiedziałam, czy chciał upewnić mnie, czy siebie. Pozostawał przy oknie gdy wycia wilków zmieniły się w crescendo, wywołując z mych oczu łzy.

- Chodź tu i pogadaj ze mną. – powiedziałam, by rozprościć nas obojga. Sam w połowie się obrócił, lecz nie mogłam zobaczyć jego wyrazu. – Na podłodze jest zimno i dostaniesz skurczu w szyi. Po prostu chodź tu.

- Co z twoimi rodzicami? – powiedział, zadając to samo pytanie co w szpitalu. Chciałam zapytać dlaczego tak się o nich martwi, gdy przypominałam sobie historię Sama o jego rodzicach i lśniące, pomarszczone blizny na jego nadgarstkach.

- Nie znasz moich rodziców.

- Gdzie oni są? – spytał Sam.

- Otwierają wystawę, tak myślę. Moja mama jest artystką.

Jego głos zdradzał zwątpienie.

- Jest trzecia w nocy.

Mój głos był głośniejszy niż zamierzałam.

- Wskakuj. Ufam, że będziesz się zachowywał. I nie pognieć prześcieradeł.

Gdy wciąż się wahał, powiedziałam:

- Pośpiesz się, bo ci jeszcze nocy nie starczy.

Posłusznie podniósł jedną z poduszek z podłogi, lecz znów się zawahał przy łóżku. W przyćmionym świetle, mogłam rozszyfrować jego żałobny wyraz twarzy gdy obserwował zakazane terytorium łóżka. Nie byłam pewna czy byłam oczarowana jego niechęcią do dzielenia łóżka z dziewczyną czy znieważona tym, że, najwidoczniej, nie byłam wystarczająco seksowna dla niego by mógł natrzeć na materac niczym byk.

W końcu wgramolił się. Łóżko zaskrzekotało pod jego ciężarem, i skrzywił się zanim się usadowił na samym jego krańcu, nie będąc nawet pod kocem. Mogłam teraz lepiej wyczuć nikły zapach wilka, i westchnęłam z dziwnym zadowoleniem. On też westchnął.

- Dziękuję. – powiedział. Formalnie, jakby rozważał, czemu leżał w moim łóżku.

- Nie ma za co.

Potem uderzyła mnie prawdziwość tych słów. Oto leżałam tu, w łóżku, z chłopcem, który się przemieniał. Nie jakimś tam chłopcem, który się przemieniał, lecz moim wilkiem. Wciąż odżywało we mnie wspomnienie oświetlającego się życiem ganku, ujawniającego jego postać po raz pierwszy. Dziwna kombinacja ekscytacji i nerwów przyprawiła mnie o dreszcz.

Sam obrócił głowę, by na mnie popatrzeć, jakby mój dreszcz nerwów wysłał jakąś racę. Mogłam dostrzec jego oczy błyszczące w przyćmionym świetle, kilka stóp dalej.

- Ugryźli cię. Też powinnaś się zmienić, wiesz.

W mojej głowie, wilki otoczyły ciało leżące w śniegu, ich wargi były krwiste, zęby obnażone, warczały chęcią zabójstwa. Wilk, Sam, odciągnął ciało od zgromadzenia wilków. Poniósł je przez drzewa na dwóch nogach, które zostawiały ludzkie ślady w śniegu. Wiedziałam, że zasypiam, więc starałam się otrząsnąć; nie pamiętałam, czy odpowiedziałam Samowi.

- Czasem życzę sobie, bym się zmieniła. – powiedziałam mu.

Zamknął oczy, mile stąd, na drugiej stronie łóżka.

- Też czasem sobie tego życzę.

Rozdział szesnasty

Sam

Obudziłem się cały w pośpiechu. Przez moment, leżałem nieruchomo, mrugając, starając się wywnioskować co mnie obudziło. Wydarzenia z poprzedniej nocy podpłynęły do mnie gdy zdałem sobie sprawę, że to nie dźwięk mnie obudził, lecz uczucie: dłoń spoczywająca na moim ramieniu. Grace przewróciła się w śnie na drugi bok i nie mogłem przestać patrzeć na jej palce spoczywające na mojej skórze.

Tu, leżąc przy dziewczynie, która mnie uratowała, moje proste człowieczeństwo wydawało się tryumfem.

Przewróciłem się na moją stronę i przez chwilę patrzałem po prostu jak śpi, długie, równe oddechy które wprawiały w ruch luźne kosmyki jej włosów. W jej śnie wydawała się zupełnie pewna swojego bezpieczeństwa, zupełnie niezaniepokojona moją obecnością przy jej boku. To również wyglądało jak małe zwycięstwo.

Gdy usłyszałem jak wstaje jej ojciec, leżałem idealnie nieruchomo, moje serce biło szybko i cicho, gotowe do zeskoku ze skraju materacu w razie gdyby przyszedł obudzić ją do szkoły. Lecz on wyszedł do pracy otoczony chmurką wody po goleniu pachnącej jałowcem, która pofrunęła w moim kierunku spod drzwi. Jej matka wyszła krótko potem, głośno upuszczając coś w kuchni i klnąc sympatycznym głosem gdy zamykała za sobą drzwi. Nie mogłem uwierzyć, że nawet nie zerknęliby okiem do jej pokoju by sprawdzić, czy wciąż żyje, tym bardziej że nie widzieli jej gdy przyjechali do domu w środku nocy. Lecz drzwi pozostały zamknięte.

Tak czy siak, poczułem się głupio w fartuchach, i były one dla mnie bezużyteczne w tej okropnej pogodzie, która była „gdzieś pomiędzy”, więc wymknąłem się gdy Grace spała; nawet się nie poruszyła. Zawahałem się na ganku, widząc oszronione igły trawy. Mimo że pożyczyłem parę butów jej ojca, powietrze wczesnego poranka wciąż gryzło mnie w skórę moich gołych kostek pod gumakami. Niemalże mogłem poczuć nudności, które czyniły w moim brzuchu rewolucję.

Sam, powiedziałem do siebie, chcąc, by moje ciało w to uwierzyło. Jesteś Samem. Musiałem być cieplejszy; zwróciłem się z powrotem do środka, by znaleźć płaszcz. Walić w tą pogodę. Co się stało z latem? W przepchanej szafie która pachniała stęchłymi wspomnieniami i kulką zapachową przeciw molom, znalazłem puchatą, jasnoniebieską kurtkę w której wyglądałem jak tłuścioch i wyszedłem na podwórko z większą pewnością. Tata Grace miał stopy rozmiaru Yeti, więc brnąłem do lasów z wszelką gracją misia polarnego w domku dla lalek.

Pomimo chłodnego powietrza, które z mojego wydechu robiło parę, lasy o tej porze roku były piękne, nosiły wszystkie wyraziste podstawowe kolory: kruche liście w zaskakującej żółci i czerwieni, jasnoblękitne niebo. Szczegóły, których nigdy nie zauważałem jako wilk. Lecz gdy torowałem sobie drogę do moich ukrytych zapasów ciuchów, przegapiłem wszystkie rzeczy, których nie zauważałem jako człowiek. Mimo że wciąż miałem wyczulone zmysły, nie mogłem wywąchać wielu subtelnych tropów zwierząt w chruście, czy też wilgotną obietnicę cieplejszej pogody w dalszej części dnia. Normalnie, mogłem usłyszeć przemysłową symfonię samochodów i ciężarówek na odległej

autostradzie i wykryć rozmiar i szybkość każdego z tych pojazdów. Lecz obecnie jedyne co mogłem wywąchać to dymy jesieni, jej płonące liście i do połowy obumarłe drzewa, a wszystkim co mogłem usłyszeć był niski, ledwie słyszalne bzyczenie korka gdzieś daleko.

Jako wilk, wyniuchałbym zbliżającą się Shelby długo zanim by mi się objawiła. Lecz nie teraz. Prawie że na mnie leżała, gdy dotarło do mnie poczucie, że coś się zbliża. Maleńkie włosy na mojej szyi stały w uwadze, i miałem niespokojne wrażenie że dzieliłem mój oddech z kimś innym. Odwróciłem się i ujrzałem ją, dużą jak na samicę, ze zwyczajnym białym, w pełnym świetle dnia żółtawym, futrem. Wyglądało na to, że przetrwała polowanie bez wielu draśnięć. Jej uszy odchylone były lekko do tyłu, obserwowała moje nedorzeczne odzienie z podniesioną głową.

- Ciiii! – powiedziałem, wyciągając rękę wewnętrzną stroną do góry, pozwalając temu, co zostało z mojego zapachu ponieść się w jej kierunku. – To ja.

Jej pysk zwinął się w niesmaku gdy powoli stawiała kroki w tył, i myślę, że rozpoznała zapach Grace leżący na wierzchu mojego. Wiedziałem, że to myślałem; nawet teraz, jej użyzony, mydlany aromat kurczowo trzymał się moich włosów gdzie leżałem na jej łóżku i mojej dłoni, gdzie ją trzymała.

W oczach Shelby błysnęła rezerwa, uwydatniając jej ludzki wyraz. Oto, jak rzeczy się miały między Shelby a mną – nie potrafiłem przypomnieć sobie czasów, żebyśmy nie byli delikatnie skłóceni ze sobą. Trzymałem się kurczowo mojego człowieczeństwa – i mojej obsesji w stosunku do Grace – jak tonący człowiek, lecz Shelby przyjęła z zadowoleniem zapomnienie które przyszło wraz z jej łubinową skórą. Oczywiście, miała mnóstwo powodów, by zapomnieć.

Teraz, w tych wrześniowych lasach, szanowaliśmy się nawzajem. Jej uszy wykręciły się w moim kierunku i w tył, kolekcjonując tuziny dźwięków, które umykały moim ludzkim uszom, a jej nozdrza pracowały, odkrywając, gdzie byłem. Odkryłem, że rozpamiętuję uczucie wysuszonych liści pod moimi łapami i ostry, bogaty, ciężki niczym sen zapach tych jesiennych lasów gdy byłem wilkiem.

Shelby gapiała mi się w oczy – bardzo ludzki gest, biorąc pod uwagę, że moja pozycja w paczce była zbyt wysoka dla wilków innych niż Paul czy Beck by móc mi rzucić w ten sposób wyzwanie – i wyobraziłem sobie jej ludzki głos mówiący do mnie, jak robił to tyle razy przedtem, „Czy nie tęsknisz za tym?”

Zamknąłem oczy, uciszając żywość jej spojrzenia i wspomnienie mojego wilczego ciała, i miast tego pomyślałem o Grace, będącej w domu. W moim wilczym doświadczeniu nie było nic, co równałoby się z uczuciem posiadania dłoni Grace w mojej. W mgnieniu oka poprzestawiałem sobie te myśli w głowie, układając słowa. Zmieniasz moją skórę/ jesteś moim latem, zimą, jesienią / Rozkwitam w wiosnie, by podążyć za tobą / Ta strata jest piękna *. W sekundzie, której potrzebowałem na skomponowanie tych słów i wyobrazenie sobie gitarowych riffów, które mogłyby do tego pasować, Shelby rozplynęła się w lasach, delikatna jak szept.

To, że może zniknąć tym samym, cichym ukradkiem, którym się zjawiła przypomniało mi o moim bezbronnym stanie, i pospiesznie stąpałem ciężko do szopy, gdzie ukryłem moje ciuchy. Lata temu, Beck i ja przenieśliśmy starą szopę, kawał po kawale, z jego podwórka do odległej głębi lasów.

W środku był ogrzewacz, akumulator z łódki, i kilka plastikowych koszy z napisanymi na ich bokach imionami. Otworzyłem ten oznaczony moim imieniem i wyciągnąłem wypchany plecak. Inne

kosze były wypełnione jedzeniem i kocami, rezerwowymi akumulatorami – ekwipunkiem do wytrzymania w tym szataście, czekającym na resztę członków paczki, którzy mieli się przemienić – lecz mój zawierał rzeczy pomocne do ucieczki. Wszystko, co tu trzymałem stworzone zostało by przywrócić mnie do ludzkiego stanu tak szybko, jak to możliwe, i właśnie tego Shelby nie mogła mi wybaczyć.

Pospiesznie przebrałem się w kilkanaście warstw koszulek z długim rękawami i parę jeansów i wymieniłem za duże buty ojca Grace na wełniane skarpety i moje wytarte skórzane buty, wziąłem mój portfel z pieniędzmi za letnią pracę i wrzuciłem wszystko jak popadnie do plecaka. Gdy zamykałem za sobą drzwi, kątem oka zoczyłem jakiś ciemny ruch.

- Paul – powiedziałem, lecz czarny wilk, nasz lider, zniknął. Wątpiłem nawet, czy teraz mnie znał: dla niego, byłem po prostu kolejnym człowiekiem w lasach, pomimo mojego niewyraźnie znajomego zapachu. Wiedza ta szczytnęła mnie swego rodzaju żalem gdzieś w moim gardle. Zeszłego roku Paul nie stał się człowiekiem aż do końca sierpnia. Może w ogóle w tym roku się nie przemienił.

Wiedziałem, że przemiany, które mi pozostały, również były policzone. Zeszłego roku przemieniłem się w czerwcu, był to przerażająco duży skok w stosunku do przemian z wczesnej wiosny z zeszłych lat, gdzie wciąż leżał śnieg. A tego roku? Jak późno dostałbym z powrotem moje ciało, gdyby Tom Culpeper mnie nie zastrzelił? Nie rozumiałem nawet jak zostanie postrzelonym oddało mi moją ludzką formę w tej zimnej pogodzie. Pomyślałem o tym, jakże oziębłe było, gdy Grace przy mnie przyklękała, przyciskając szmatki do mojej szyi. Nie było lata już od długiego czasu.

Cudowne kolory łamliwych liści wszędzie naokoło szopy drwiły wtedy ze mnie, dowód na to, że rok żył i zginął bez nawet mojej świadomości o tym. Wiedziałem, z nagłym, chłodnym przekonaniem, że to był mój ostatni rok.

Spotkanie Grace, jedynie teraz, wydawało się wielce okrutny zrzędzeniem losu.

Nie chciałem o tym myśleć. Miast tego, wskoczyłem z powrotem do domu, chcąc się upewnić czy samochodów rodziców Grace wciąż nie ma. Gdy wszedłem do środka, poczekałem sekundę na zewnątrz drzwi od sypialni, potem wałęsałem się przez długi czas po kuchni, zerkając po szafkach mimo że nie byłem tak naprawdę głodny.

Przyznaj to. Jesteś zbyt zdenerwowany, by tam wejść. Tak bardzo chciałem znów ją zobaczyć, tego duszka z żelazną wolą, który nawiedzał moje lata spędzone w lasach. Lecz również bałem się, jak ujrzenie jej twarzą w twarz w obciążającym świetle dnia może zmienić postać rzeczy. Albo gorzej, nie zmieniliby tej postaci w ogóle. Zeszłej nocy wykrwawiałem się na śmierć na jej ganku. Każdy by mnie uratował. Dziś, chciałem czegoś więcej niż ocalenia. Ale co, jeśli byłem dla niej tylko dziwolągiem?

Jesteś obrazą dla stworzenia Bożego. Jesteś przeklęty. Jesteś Diabłem. „Gdzie jest mój syn? Co z nim zrobiliście?” Zamknąłem oczy, zastanawiając się, dlaczego, w stosunku do wszystkich tych rzeczy, które straciłem, wspomnienia moich rodziców nie mogły być wśród nich.

- Sam?

Podерwałem się, słysząc moje imię. Grace znów zawołała mnie z pokoju, co ledwie wybrzmiewało ponad szeptem, zastanawiając się, gdzie byłem. Nie brzmiała, jakby się bała.

Popchnąłem drzwi i zerknąłem po jej pokoju. W silnym świetle późnego poranka, mogłem dostrzec, że był to pokój osoby dorastającej. Żadnych zbytecznych różowych kaprysów czy też pluszowych zwierzątek, jeśli kiedykolwiek je miała. Obramowane zdjęcia drzew na ścianach, wszystkie były pasującymi do czarnych mebli ramkami bez falbanek. Wszystkie były bardzo kwadratowe i wyglądały praktycznie. Jej ręczniki były schludnie złożone na kredensie naprzeciwko kolejnego zegara – czarno-białego, z smukłymi liniami – i stosem książek z biblioteki, w większości były to opowiadania na faktach i kryminały, sądząc po tytułach. Prawdopodobnie ułożone alfabetycznie bądź według wielkości.

Nagle uderzyło mnie to, jak niepodobni do siebie jesteśmy. Przeszło mi przez myśl, że gdybyśmy byli przedmiotami, ona byłaby kunsztownym zegarkiem cyfrowym, perfekcyjnie zsynchronizowanym z Światowym Zegarem w Londynie, a ja byłbym śnieżną kulą – wstrząśniętymi wspomnieniami w szklanej kulce.

Starąłem się znaleźć coś, co nie zabrzmiałoby jak pozdrowienie międzygatunkowej osoby, która kogoś śledzi.

- Dzień dobry. – wymyśliłem.

Grace siadła, jej włosy były pokręcone z jednej strony jej głowy, a z drugiej płaskie, jej oczy wypełnione były szczerym zachwytem.

- Wciąż tu jesteś! Och. Masz ubrania. To znaczy, zamiast fartuchów.

- Poszedłem je wziąć gdy spałaś.

- Która godzina? Ochhhh, chyba jestem naprawdę spóźniona do szkoły, nie?

- Jest jedenasta.

Grace jęknęła i potem wzruszyła ramionami.

- Wiesz co? Nie przegapiłam żadnych zajęć odkąd zaczęłam liceum. W zeszłym roku dostała za to nagrodę. I darmową pizzę czy jakoś tak. – wygramoliła się z łóżka; w świetle dziennym mogłem dostrzec, jak dopasowana i nieznośnie seksowna była jej bluzka na ramiączkach. Odwróciłem się.

Nie musisz być taki cnotliwy, wiesz. Przecież nie jestem naga. – zatrzymując się przed szafą, spojrzała na mnie ze sprytnym wyrazem. – Nie widziałeś mnie nago, prawda?

- Nie! – moja odpowiedź okazała się wyraźnie szybka.

Uśmiechnęła się szeroko na moje kłamstwo i wyjęła trochę jeansów z dna szafy.

- Cóż, jeśli nie chcesz mnie widzieć teraz, lepiej się odwróć.

Leżałem na łóżku, z twarzą zakopaną w chłodnych poduszkach które pachniały jej zapachem. Wsłuchiwałem się w szelesty, które robiła wciągając swoje ubrania, moje serce waliło z prędkością miliona mil na godzinę. Westchnąłem, winny, nie mogąc opanować kłamstwa.

- Nie miałem takiego zamiaru.

Materac jęknął gdy się na niego rzuciła, jej twarz była blisko mojej.

- Czy ty zawsze jesteś taki skruszony?

Mój głos był stłumiony przez jej poduszkę.

- Staram się, byś myślała, że jestem przyzwoitą osobą. Powiedzenie ci, że widziałem cię nago będąc w innym gatunku raczej by mi nie pomogło.

Zaśmiała się.

*- Udzielam ci wyrozumiałości, ponieważ ja powinnam była założyć zaślepki.**

Nastąpiła długa cisza, wypełniona tysiącami niewypowiedzianych wiadomości. Mogłem wyczuć jej nerwowość, słabo unoszoną z jej skóry, mogłem usłyszeć szybkie bicie jej serca przenoszone przez materac do mojego ucha. Moje wargi z łatwością przecięłyby całe dzielące nasze usta. Wydawało mi się, że w jej sercu rozbrzmiewa nadzieja: pocałuj mnie, pocałuj, pocałuj. Normalnie nie byłem dobry w wyczuwaniu czyichś uczuć, lecz jeśli chodzi o Grace, wszystko o czym myślałem, że było mi znane przysłonięte zostało tym, czego pragnąłem.

Zachichotała cicho; był to strasznie słodki hałas, i oczywiście zupełnie w sprzeczności z tym, co normalnie o niej myślałem.

*- Umieram z głodu. – powiedziała w końcu. – Znajdźmy sobie coś na śniadanie. Albo brunch**, jak sądzę.*

Wyszedłem z łóżka, a ona za mną. Byłem dotkliwie pomny na jej dłonie na moich plecach, pchające mnie przez drzwi od sypialni. Razem bezszelestnie stąpaliśmy w kierunku kuchni. Światło słoneczne, zbyt jasne, wdarło się przez szklane drzwi ganka, odbijając się od białej lady i kafelków w kuchni, pokrywając nas oboje białym światłem. Jako że wcześniej tu byłem, wiedziałem, gdzie znajdowały się rzeczy, zacząłem więc wyjmować składniki.

Gdy poruszałem się po kuchni, Grace podążyła za mną jak cień, jej palce odnajdywały mój łokieć, a jej dłoń muskała moje plecy, szukając wymówki by mnie dotknąć. Kątem oka, mogłem dojrzeć jak gapi się na mnie bezwstydnie gdy myślała, że tego nie widzę. Było tak, jakbym nigdy się nie zmienił, jakbym wciąż patrzył na nią z lasów a ona wciąż siedziała na swojej huśtawce z opony i obserwowała mnie podziwającym wzrokiem. Złuszczając moją skórę / zostawiając za sobą moje oczy/ Czytasz moje myśli / Wciąż wiedzząc, że jesteś moja.

- O czym myślisz? – spytałem, tłukąc jajko na patelnię i nalewając jej szklankę soku pomarańczowego moimi ludzkimi palcami które nagle wydały się cenne.

Grace zaśmiała się.

- O tym, że robisz mi śniadanie.

Było to zbyt proste jak na odpowiedź; nie byłem pewien czy mogłem w to uwierzyć. Nie wtedy, gdy miałem tysiące myśli rywalizujących w tym samym momencie o miejsce w mojej głowie.

- A o czym innym myślisz?

- O tym, że to bardzo słodkie z twojej strony. O tym, że mam nadzieję, że wiesz jak gotować jajka.

Lecz jej oczy podniosły się z patelni na moje usta, tylko na sekundę, i wiedziałem, że nie myślała tylko o jajkach. Zakręciła się i zasunęła rolety, z miejsca zmieniając nastrój w kuchni.

- Jest tu za jasno.

Światło prześwitywało przez rolety, rzucając poziome paski na jej duże, brązowe oczy i prostą linię jej warg.

Odwrociłem się do jajecznicy i wysypałem je na talerz w tym samym momencie w którym z tosterka wyskoczył tost. Sięgnąłem po niego w tym samym czasie co Grace, i było to jednym z tych idealnych chwil w filmach gdy dotykają się dłonie i wiesz, że postacie się pocałują. Jedynie tym razem to moje ramiona przypadkowo okrążyły ją, przygwoździły ją do lady gdy sięgałem po tosta, i oparły się na krawędzi lodówki podczas gdy pochylałem się do przodu. Zatracony w zażenowaniu z powodu mojego bełkotu, nie zdałem sobie nawet sprawy z tego, że był to idealny moment dopóki nie zauważyłem bliskich oczu Grace, z twarzą podniesioną ku mnie.

Pocałowałem ją. Po prostu puste muśnięcie jej warg moimi, nic zwierzęcego. Nawet w tym momencie, rozkładałem pocałunek na czynniki pierwsze: jej możliwe reakcje na niego, jej możliwe interpretacje, sposobu, w jaki sprawił, że moją skórą wstrząsnął dreszcz, sekundy pomiędzy tym, gdy dotknąłem jej warg, a tym, gdy otworzyła swoje oczy.

Grace uśmiechnęła się do mnie. Jej słowa były drwiące, lecz głos delikatny.

- To wszystko, co masz?

Znów dotknąłem jej warg, lecz teraz był to inny rodzaj pocałunku. Był to pocałunek warty sześciu lat, jej wargi pod moimi budziły się do życia, smakowały pomarańczą i pożądaniem. Jej palce powędrowały po moich bokobrodach i włosach, zanim złączyły się wokół mojej szyi, żywe i zimne na mojej ciepłej skórze. Byłem dziki, a jednocześnie oswojony i podarty na strzępy, a jednocześnie stłumiony byciem wszystkim na raz. Choć raz w moim ludzkim życiu, moje myśli nie wędrowały, by skomponować słowa piosenki czy też zatrzymać chwilę w celu dalszej refleksji.

Choć raz w życiu,

byłem tu

i nigdzie indziej.

A potem otworzyłem oczy i byliśmy tylko Grace i ja – nic w jakimkolwiek miejscu, tylko Grace i ja – ona ściskająca swe wargi jakby trzymała mój pocałunek wewnątrz siebie, i ja, trzymający tę chwilę która była krucha niczym ptak w moich dłoniach.

** naturalnie chodzi tu o te takie śmieszne klapki na oczy które się zakłada nakładając maseczkę :D nie używam czegoś takiego więc nie wiem jak fachowo to nazwać :)*

*** brunch to takie połączenie śniadania z lunchem ;) czyli takie śniadanie o późnej porze.*

Rozdział siedemnasty

Sam

Niektóre dni zdają się pasować do siebie niczym witraż. Setki małych kawałeczków, każdy w innym kolorze i nastroju które, gdy są połączone, tworzą kompletny obraz. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny właśnie się takie wydawały. Noc w szpitalu była jedną szybką, chorobliwie zieloną i migoczącą. Ciemne godziny wczesnego poranka w łóżku Grace były kolejnymi, chmurnymi i fioletowymi. Potem zimne, niebieskie przypomnienie o moim innym życiu tego ranka, i ostatecznie cudowna, czysta szybka, która była naszym pocałunkiem.

W obecnej szybce, siedzieliśmy na zużytych siedzeniach starego Bronco na brzegu zapuszczonego, zarośniętego parkingu na obrzeżach miasta. Wydawało się, jakby obrazek w komplecie zaczynał się przybliżać – lśniący portret czegoś, czego nigdy nie spodziewałem się otrzymać.

Grace przebiegła palcami po kierownicy Bronca zamyślnym, czułym dotykiem, a potem odwróciła się do mnie:

- Zagrajmy w dwadzieścia pytań.

Siedziałem na siedzeniu pasażera z zamkniętymi oczyma, pozwalając popołudniowemu słońcu upiec mnie przez przednią szybę. Niezłe uczucie.

- Nie powinnaś się rozglądać za innymi samochodami? Wiesz, kupowanie samochodu zwykle zawiera w sobie ... kupowanie.

- Nie robię zbyt dobrych zakupów – powiedziała Grace. – Widzę to, czego chcę i biorę to.

Zaśmiałem się z tego. Zaczynałem widzieć, jak bardzo „Grace’owe” było takie oświadczenie.

Zwężyła brwi i spojrzała na mnie z drwiącą irytacją, po czym skrzyżowała ręce na piersi.

- Więc, pytania. Te nie są nadobowiązkowe.

Zerknąłem po parkingu by upewnić się, że właściciel nie wrócił jeszcze z holowania jej samochodu – tutaj, w Mercy Falls, firma holownicza a firma od samochodów używanych to jedno i to samo.

- OK. Byleby nie było to coś żenującego.

Grace przybliżyła się do mnie nieco na siedzeniu i przygarbiła się w lustrzanym odbiciu mojej postury. Czulem, jakby to właśnie było pierwszym pytaniem: jej noga naciskająca na moją nogę, jej ramię na moje, jej mocno zasznurowany but spoczywający na moim z wytartej skóry. Mój puls wariował, niczym odpowiedź bez słów.

Głos Grace był pragmatyczny, jakby nie zdawała sobie sprawy z wpływu, jaki na mnie wywierała.

- Chcę wiedzieć, co sprawia, że przemieniasz się w wilka.

To akurat było proste.

- Gdy spada temperatura, staje się wilkiem. Gdy jest zimno w nocy a ciepło w dzień, czuję, gdy to nadchodzi, a potem, w końcu, jest dostatecznie zimno bym mógł się przemienić w wilka aż do wiosny.

- Innych też to się tyczy?

Przytaknąłem.

- Im dłużej jesteś wilkiem, tym cieplej musi być byś stał się człowiekiem.

Przestopowałem na chwilę, zastanawiając się, czy to dobry moment, by jej powiedzieć.

- Nikt nie wie, ile lat dane ci będzie przemieniać w tę i we w tę. Dla każdego wilka jest inaczej.

Grace po prostu patrzyła się na mnie, tym samym, długim wzrokiem którym mnie obdarzała gdy była młodsza, leżała w śniegu i na mnie zerkala. Nie mogłem lepiej tego odczytać teraz niż wtedy. Czułem, jak moje gardło zaciska się w oczekiwaniu na jej odpowiedź, aczkolwiek łaskawie zmieniła temat.

- Ilu was tam jest?

Nie byłem pewien, po prostu dlatego że tak wielu z nas już nie stawało się ludźmi.

- Około dwudziestu.

- Co jecie?

- Małe króliczki. – zwróciła brwi, więc uśmiechnąłem się szeroko i powiedziałem – Dorosłe króliki też. Jestem jednakowo-okazyjnym królikopożeraczem.

Nie zwolniła tempa.

- Co było na twojej twarzy tamtej nocy, gdy pozwoliłeś mi się dotknąć? – jej głos przy tym pytaniu pozostał taki sam, lecz coś wokół jej oczu zacieśniło się, jakby nie była pewna czy chce usłyszeć odpowiedź.

Trudno było mi sobie przypomnieć tamtą noc – jej palce w mojej krecie, jej oddech poruszający włoskami na boku mojej twarzy, przyjemność, lecz jednocześnie czucie się winnym za bycie blisko niej. Chłopiec. Ten który został ugryziony. O to tak naprawdę pytała.

- Masz na myśli, że na mojej twarzy była krew?

Grace przytaknęła.

Część mnie czuła się odrobinę smutna z powodu, że musiała zapytać, lecz oczy wiście musiała. Miała niemal każdy powód, by mi nie ufać.

- To nie była jego krew – tego chłopca.

- Jacka – powiedziała.

- Jacka – powtórzyłem. – Wiem, że ten atak się wydarzył, ale nie byłem przy nim. – musiałem sięgnąć głębiej do mojej pamięci by odnaleźć źródło krwi na moim pysku. Mój ludzki mózg zaopatrzone był w logiczne odpowiedzi – królik, jeleni, masakra na drodze – wszystkie z nich

natychmiastowo stały się silniejsze niż moje aktualne wilcze wspomnienia. W końcu wyrwałem prawdziwą odpowiedź z moich myśli, choć nie byłem z niej dumny. – To był kot. Ta krew. Złapałem kota.

Grace wypuściła oddech.

- Nie jesteś zła, że był to kot? – spytałem.

- Musisz jeść. Jeśli to nie był Jack, nie obchodzi mnie czy to była walabia*. – powiedziała. Lecz było oczywiste, że jej myśli wciąż wędrowały ku Jackowi. Staralem się przypomnieć tę odrobinę tego, co wiedziałem o ataku, nienawidząc myśli że mogłaby pomyśleć źle o mojej paczce.

- Sprowokował ich, wiesz? – powiedziałem.

- On co? Nie było cię tam, prawda?

Potrząsnąłem głową i z trudem wyjaśniłem.

- Nie możemy, my, wilki – gdy się porozumiewamy to za pomocą obrazów. Nic skomplikowanego. Ani przez wielkie odległości. Lecz jeśli jesteśmy zaraz przy sobie, możemy dzielić obraz z innym wilkiem. I takim sposobem wilki, które zaatakowały Jacka, pokazały mi obrazy.

- Potrafisz czytać w czyichś myślach? – Grace spytała, z niedowierzaniem.

Żywiolowo pokręciłem głową.

- Nie. Ja ... to trudno wyjaśnić jako czło ... jako ja. To po prostu sposób mówienia, lecz nasze mózgi są inne niż wilcze. Nie ma żadnych abstrakcyjnych konceptów, naprawdę. Rzeczy takie jak czas, i imiona, i skomplikowane emocje nie wchodzi tu w rachubę. Naprawdę, chodzi tu o rzeczy jak polowanie czy ostrzeganie się nawzajem o niebezpieczeństwie.

- A co widziałeś o Jacku?

Spuściłem głowę. Czuję się dziwnie, przywołując wilcze wspomnienie z ludzkiego umysłu. Przejrzałem przez mgliste obrazy w mojej głowie, rozpoznając teraz, że czerwone plamy na futrach wilków były ranami po kulach, a plamy na ich wargach były krwią Jacka.

- Niektóre wilki pokazały mi coś o zostaniu uderzonymi przez niego. Pistolet? Musiał mieć pistolet BB. Nosił czerwoną koszulkę. – wilki biednie postrzegały kolory, lecz czerwień mogliśmy dojrzeć.

- Dlaczego by to robił?

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem. To nie ten rodzaj rzeczy o którym sobie mówimy.

Grace była cicho, podejrzewam że wciąż myślała o Jacku. Siedzieliśmy w bliskiej ciszy dopóki nie zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest zła. Potem przemówiła.

- Więc nigdy nie jest dane ci otworzyć Gwiazdkowych prezentów.

Spojrzałem na nią, nie wiedząc, jak jej odpowiedzieć. Święta były tym, co działo się w innym życiu, tym przed wilkami.

Grace spojrzała na kierownicę.

- Pomyślałam sobie, że nigdy nie było cię w lecie, a Gwiazdkę kochałam zawsze, bo wiedziałam, że zawsze tam będziesz. W lasach. Jako wilk. Chyba to przez zimno, prawda? Ale to znaczy, że nigdy nie jest ci dane otworzyć prezentów.

Potrząsnąłem głową. Zmieniałem się teraz zbyt szybko by nawet zobaczyć świąteczne dekoracje w sklepach.

Grace zmarszczyła czoło nad kierownicą.

- Czy myślisz o mnie, gdy jesteś wilkiem?

Gdy byłem wilkiem, byłem wspomnieniem chłopca, walczącego by trzymać się nic nie znaczących słów. Nie chciałem jej powiedzieć prawdy: że nie pamiętałem jej imienia.

- Myślę o zapachu, jakim pachniesz. – powiedziałem, zgodnie z prawdą. Sięgnąłem i podniosłem kilka kosmyków jej włosów do mojego nosa. Zapach jej szamponu przypominał mi o zapachu jej skóry. Przełknąłem ślinę i pozwoliłem jej włosom opaść z powrotem na jej ramię.

Oczy Grace podążyły za moją dłoń od jej ramienia do mojego kolana, i zobaczyłem, jak również przełyka ślinę. Oczywiście pytanie – kiedy znów się przemienię – wisiało między nami, lecz żadne z nas nie ubrało go w słowa. Nie byłem jeszcze gotowy, by jej powiedzieć. Moja pierś bolała mnie na samą myśl zostawienia tego wszystkiego za sobą.

- Więc – powiedziała znów, kładąc dłonie na kierownicę. – Wiesz, jak jeździć?

Wyciągnąłem mój portfel z kieszeni jeansów i zaoferowałem go.

- Wydaje się, że takiego zdania jest stan Minnesota.

Wyciągnęła moje prawo jazdy, oparła je o kierownicę, i przeczytała na głos:

- Samuel K. Roth – dodała, z lekkim zdziwieniem – To aktualne prawko. Naprawdę musisz być prawdziwy.

Zaśmiałem się.

- Wciąż w to wątpisz?

Zamiast odpowiedzi, Grace oddała mój portfel i spytała:

- Czy to twoje prawdziwe nazwisko? Czy nie jesteś rzekomo martwy, jak Jack?

Nie byłem pewien, czy chciałem o tym rozmawiać, lecz i tak odpowiedziałem.

- To nie było to samo. Nie zostałem aż tak mocno pogryziony, i jacyś obcy ocalili mnie przed zaciągnięciem. Nikt nie ogłosił mnie martwym, tak jak zrobili to z Jackiem. Więc tak, to moje prawdziwe imię.

Grace spojrzała zamyślona, i zastanawiałem się co sobie myślała. Potem nagle spojrzała na mnie, z ciemnym wyrazem.

- Więc twoi rodzice wiedzą, czym jesteś, prawda? To dlatego oni ... - zatrzymała się i jakby na pół zamknęła oczy. Znowm mogłem dostrzec, jak przełyka ślinę.

- Jesteś po tym chory przez tygodnie – powiedziałem, ratując ją przed dokończeniem zdania. – Po tej wilczej toksynie, jak sądzę. – spauzowałem, wspomnienia migały przez moją głowę jak zdjęcia z czyjś aparatu. – Myśleli, że byłem opętany. Potem stało się ciepło i poprawiłem się – znaczy się, stałem się stabilny, i myśleli, że zostałem wyleczony. Ocalony, jak sądzę. Do zimy. Przez jakiś czas starali się by kościół coś zrobił w mojej sprawie. Ostatecznie sami zdecydowali coś z tym zrobić. Obydwoje odsiadują teraz dożywocie. Nie zdawali sobie sprawę, że trudniej jest nas zabić niż większość ludzi.

Twarz Grace zbliżała się do bladego odcieniu zieleni, a knykcie na jej dłoniach, kurczowo trzymające się kierownicy stały się białe.

- Porozmawiajmy o czymś innym.

- Przepraszam – powiedziałem, i naprawdę było mi przykro. – Porozmawiajmy o autach. Czy to ten jest twoim narzeczonym? To znaczy, zakładając, że będzie dobrze pracował? Nie wiem nic na temat aut, ale mogę bynajmniej udawać. „Dobrze pracuje” brzmi jak coś, co powiedział by ktoś gdyby wiedział o czym mówi, prawda?

Podchwyciła temat, pieszcząc kierownicę.

- Podoba mi się.

- Jest strasznie wstrętny. – powiedziałem wspaniałomyślnie. – Ale wygląda na taki, co by w nosie miał śnieg. A gdybyś uderzyła w jelenia, po prostu miałby czkawkę a potem pojechał dalej.

Grace dodała:

- Dodatkowo, ma nieco atrakcyjne przednie siedzenia. To znaczy, mogę po prostu ... - Grace pochyliła się nad siedzeniem w moim kierunku, delikatnie kładąc jedną z jej rąk na mojej nodze. Teraz była zaledwie cal ode mnie, wystarczająco blisko że poczułem żar jej oddechu na moich wargach. Wystarczająco blisko, że mogłem wyczuć, że czeka na to, bym ja również się do niej pochylił.

W mojej głowie mignął obraz Grace na jej podwórku, jej wyciągnięta ręka, błagająca mnie bym do niej podszedł. Lecz wtedy nie mogłem tego zrobić. Byłem w innym świecie, tym, który nakazywał mi zachowanie odległości. Teraz nie mogłem powstrzymać się od zastanawiania się, czy wciąż żyję w tym świecie, związany przez jego reguły. Moja ludzka skóra jedynie ze mnie przedrzeźniała, drwiła ze mnie za pomocą bogactw, które rozpląnęłyby się przy pierwszym mrozie.

Nie angażowałem się i odwróciłem wzrok, zanim zdołałem ujrzyć jej rozczarowanie. Cisza między nami była gęsta.

- Opowiedz mi o okresie po tym, jak zostałeś ugryziona – powiedziałem, po prostu by coś powiedzieć. – Rozchorowałaś się?

Grace pochyliła się na swoim siedzeniu i westchnęła. Zastanawiałem się, jak wiele razy przedtem ją rozczarowałem.

- Nie wiem. To było tak dawno. Sądzę, że możliwe. Pamiętam że miałam grypę zaraz potem.

Po moim ugryzieniu, również miałem objawy grypowe. Wyczerpanie, drżenie z ciepła i zimna, mdłości wypalające gardło, kości nie mogące się doczekać przemiany.

Grace wzruszyła ramionami.

- To było tego roku gdy zostałam zamknięta w samochodzie. Było to jakiś miesiąc czy dwa po ataku. Była wiosna, lecz było naprawdę gorąco. Tata zabrał mnie ze sobą by załatwić coś na mieście, chyba dlatego że byłam zbyt mała by mnie zostawić. – zerknęła na mnie by zobaczyć, czy słucham. Słuchałem.

- Tak czy inaczej, miałam grypę, jak sądzę, i spałam jak najęta. Więc w drodze powrotnej zasnąłam na tylnym siedzeniu ... i następną rzeczą jaką pamiętam było obudzenie się w szpitalu. Tata chyba wrócił do domu i wyjął zakupy spożywcze, a o mnie zapomniał. Po prostu zostawił mnie zamkniętą w aucie, jak sądzę. Mówili mi, że próbowałam się wydostać, ale nie pamiętam tego, naprawdę. Nie pamiętam niczego aż do szpitala, gdzie pielęgniarka mówiła, że jeśli chodzi o temperaturę to był to najgorętszy, rekordowy majowy dzień dla Mercy Falls. Lekarz powiedział memu ojcu, że żar w aucie powinien mnie zabić, więc jestem dziewczynką cudu. Jak to się ma do odpowiedzialnego rodzicielstwa?

Potrząsnąłem głową w niedowierzaniu. Nastąpiła krótka cisza która dała mi wystarczająco czasu by zauważyć konsternację w jej wyrazie i przypomnieć mi, że szczerze żałowałem, że nie pocałowałem jej chwilkę temu. Myślałem o tym by raczej powiedzieć „Pokaż mi co miałaś na myśli wcześniej, gdy powiedziałaś że naprawdę spodobało ci się przednie siedzenie”. Lecz nie mogłem wyobrazić sobie, jak moje usta formują te słowa, więc miast tego po prostu ująłem jej dłoń i przebiegłem palcem po wewnętrznej stronie jej dłoni i pomiędzy jej palcami, odnajdując ślady linii jej dłoni i pozwalając mojej skórze uczyć się na pamięć jej odcisków palców.

Grace wydała mały dźwięk wdzięczności i zamknęła oczy, podczas gdy moje palce kreśliły kółka na jej skórze. Jakimś cudem, było to nawet lepsze niż całowanie.

Obydwoje zadrżeliśmy gdy ktoś stuknął w okno po mojej stronie auta. Kierowca ciężarówki holowniczej i właściciel parkingu stali tam, przyglądając się nam. Jego głos przebrnął do nas, stłumiony przez szkło.

- Znaleźliście to, czego szukaliście?

Grace sięgnęła i otworzyła okno. Mówiła do niego, lecz patrzyła na mnie intensywnym wzrokiem, gdy powiedziała:

- Absolutnie.

* to taki ssak z rodzaju zaliczanego do rodziny kangurowatych

Rozdział osiemnasty

Grace

Tamtej nocy Sam znów pozostał w moim łóżku, cnotliwie przycupnięty na najdalszym krańcu materacu, lecz jakimś cudem, podczas nocy, nasze ciała przywędrowały do siebie. Obudziłam się na pół wczesnym rankiem, na długo przed świtem, pokój był obmyty bladym światłem księżyca, i odkryłam, że byłam przyciśnięta do pleców Sama, a moje ręce okrążyły moją klatkę niczym u mumii. Ledwie mogłam dostrzec ciemny zakręt jego ramienia, i coś w kształcie, które ono utworzyło, geście, który sugerowało, napełniło mnie swego rodzaju drapieżnym, okropnym uczuciem. Jego ciało było ciepłe i pachniał tak dobrze – jak wilk, drzewa, dom – że zanurzyłam moją twarz w jego ramieniu i znów zamknęłam oczy. Wydał z siebie delikatny głos i skrzył swoje ramiona w tył, przyciskając bliżej.

Sekundy zanim znów odpłynęłam w sen, a mój oddech zwalniał, by przypasować się do jego oddechu, dopadła mnie krótka, paląca myśl: Nie mogę bez tego żyć.

Musiało istnieć jakieś lekarstwo.

Rozdział dziewiętnasty

Grace

Następny dzień był niepasująco jasny do tej pory roku, zbyt piękny by pójść do szkoły, lecz nie mogłam ominąć drugiego dnia bez zjawienia się z naprawdę dobrą wymówką. Nie to żebym zostawała zbyt daleko w tyle; po prostu wydawało się, że jeśli nigdy nie tęsknisz za szkołą przez pewien okres czasu, ludzie zazwyczaj zauważają, gdy rzeczywiście tęsknisz. Rachel zadzwoniła już dwa razy i zostawiła złowieszczą wiadomość głosową, głoszącą, że wzięłam „zły dzień na zerwanie się z zajęć, Grace Brisbane!”. Olivia nie dzwoniła od naszej kłótni na holu, więc zgadywałam że oznaczało to, że się do siebie nie odzywamy.

Sam zawiózł mnie do szkoły Bronciem podczas gdy ja pospiesznie nadrabiałam moje zadanie domowe z angielskiego, którego nie zrobiłam dzień wcześniej. Gdy zaparkował, otworzyłam drzwi, wpuszczając powiew niepodobnie do tej pory roku ciepłego powietrza. Sam odwrócił się twarzą do otwartych drzwi, jego oczy były na pół zamknięte.

- Kocham tą pogodę. Czuję się tak bardzo sobą.

Obserwując go wygrzewającego się w słońcu, zima wydawała się miliony mil stąd i nie mogłam sobie wyobrazić jak mnie opuszcza. Chciałam zapamiętać krzywą linię jego nosa na późniejsze śnienie na jawie. Przez chwilę poczułam irracjonalne dźgnięcie winy, że moje uczucia do Sama zastępowały te, które żywiłam do mojego wilka – dopóki nie przypomniałam sobie, że to on był moim wilkiem. Ciągle w kółko miałam dziwne uczucie, że na fakt jego bycia usuwa się pode mną ziemia, a natychmiastowo po tym uczuciu następowała ulga. Moja obsesja była teraz taka ... prosta. Jedyłą rzeczą, którą musiałam wyjaśnić moim przyjaciółkom było to, skąd mój nowy chłopak pochodzi.

- Chyba muszę już iść – powiedziałam. – Nie chcę iść.

Oczy Sama całkowicie się otworzyły i skupiły na mnie.

- Będę tu, gdy wrócisz, obiecuję – dodał, bardzo formalnie: - Mogę użyć twojego samochodu? Chcę zobaczyć, czy Beck jest wciąż człowiekiem, a jeśli nie, to czy w jego domu jest włączony prąd.

Pokiwałam głową, lecz cząstka mnie miała nadzieję, że w domu Becka prądu nie będzie. Tak jakby chciałam z powrotem mieć Sama w moim łóżku, gdzie mogłabym

powstrzymać go od zniknięcia jak sen, którym w istocie był. Wygramoliłam się z Bronca z moim plecakiem.

- Żadnych mandatów, rajdowcu.

Gdy przechodziłam koło przodu wozu, Sam odsunął okno.

- Hej!

- Co?

Nieśmiało powiedział:

- Chodź tu, Grace. – zaśmiałam się na sposób, w jaki wypowiedział moje imię i odwrócił do okna, uśmiechając się jeszcze szerzej gdy zdałam sobie sprawę z tego, czego chce. Jego ostrożny pocałunek mnie nie nabrał: tak szybko jak rozchyliłam lekko wargi, on westchnął i odsunął się.

- Spóźnisz się przeze mnie do szkoły.

Szeroko się uśmiechnęłam. Byłam na krańcu świata.

- Będziesz z powrotem o trzeciej?

- Nie przegapiłbym tego.

Obserwowałam go, gdy wyjeżdżał z parkingu, już czując jak rozciąga się przede mną długość szkolnego dnia.

Zeszyt klepnął mnie w ramię.

- Kto to był?

Odwróciłam się do Rachel i starałam się pomyśleć o czymś, co byłoby prostsze od prawdy.

- Mój kierowca?

Rachel nie nalegała na rozwiązanie problemu, zapewne dlatego że jej mózg już ustawił się na co innego. Chwyciła mój łokieć i zaczęła kierować mnie w kierunku szkoły. Z pewnością, z pewnością musiała czekać na mnie jakaś wieczna nagroda za to, że poszłam do szkoły w tak cudowny dzień jak ten, z Samem w moim samochodzie. Rachel poruszyła moim ramieniem by zdobyć moją uwagę.

- Grace. Skup się. Wczoraj na zewnątrz szkoły widziano wilka. Na parkingu. No, ten tego, każdy go widział jak wyszli uczniowie.

- Co? – odwróciłam się i spojrzałam przez ramię na parking, starając się sobie wyobrazić wilka między samochodami. Rzadkie sosny które okalały parking nie miały związku z lasami Boundary; wilk musiałby przejść kilkanaście ulic i jardów by się na parking dostać. – Jak wyglądał?

Rachel obdarzyła mnie dziwnym spojrzeniem.

- Wilk?

Skinęłam.

- Jak wilk. Szary. – Rachel ujrzała moje miażdżące spojrzenie i wzruszyła ramionami. – Nie wiem, Grace. Niebieskawo-szary? Z utyłtanymi, ohydnyimi bliznami na łapie. Wyglądał niechlujnie.

Więc był to Jack. Musiał być.

- Musiał być w totalnym chaosie – powiedziałam.

- Tak, powinnaś tam być, wilcza dziewczyno. Poważnie. Nikt nie został zraniony, dzięki Bogu, ale Olivia kompletnie się wystraszyła. Cała szkoła się wystraszyła. Isabel była w totalnej hysterii i robiła wielkie scenki. – Rachel ścisnęła mi ramię. – Więc, czemu nie odebrałaś telefonu, tak w ogóle?

Weszliśmy do szkoły; drzwi były otwarte, podpierając się na nóżce i wpuszczając balsamiczne powietrze.

- Bateria mi zdechła.

Rachel zrobiła minę i zaczęła mówić głośniej, by zostać usłyszaną przez tłok uczniów na holu.

- Więc, czy jesteś chora? Nigdy nie przypuszczałam że dożyję dnia w którym nie dotrzesz na zajęcia. Pomiędzy tobą, nieobecną na zajęciach a dzikimi zwierzakami włóczącymi się po parkingu, myślałam, że świat się kończy. Czekałam na deszcz krwi.

- Myślę, że złapałam jednego z tych dwudziestoczworgodzinnych wirusów. – odpowiedziałam.

- Ew, może lepiej cię nie dotykać? –lecz Rachel wcisnęła swoje ramię w moje z szerokim uśmiechem. Zaśmiałam się i odepchnęłam ją, w tym samym momencie widząc Isabel Culpeper. Mój uśmiech zbladł. Opierała się o ścianę przy jednym z wodotrysków z wodą pitną, jej ramiona przygarbione do przodu. Z początku pomyślałam, że patrzyła na swoją komórkę, lecz potem zdałam sobie sprawę z tego, że jej ręce były puste i po prostu gapiła się w ziemię. Gdyby nie była taka chłodna i obojętna, pomyślałabym, że płakała. Zastanawiałam się, czy nie powinnam z nią pogadać.

Jakby czytając moje myśli, Isabel spojrzęła wtedy na mnie, a jej oczy, tak podobne do oczu Jacka, spotkały się z moimi. Mogłam wyczytać z nich swego rodzaju zaczepkę: „Więc co się tak gapisz, hę?”

Szybko odwróciłam wzrok i dalej szłam z Rachel, lecz miałam niewygodne poczucie, że coś zostało niewypowiedziane.

Rozdział dwudziesty

Sam

Gdy leżałem tamtej nocy w łóżku Grace, wstrząśnięty wiadomością o pojawieniu się Jacka w szkole, gapiałem się, nie mogąc zasnąć, w ciemność zakłóconą jedynie przez przyćmioną aureolę jej włosów na poduszce. Myślałem też o wilkach, które nie zachowywały się jak na wilki przystało. A myślałem o Chrście Bohlmann.

Lata minęły odkąd wspomnienie Christy przeszło mi przez myśl, lecz relacja Grace ze zmarszczonym czołem na temat Jacka czającego się tam, gdzie nie należał, w całości je przywróciło.

Pamiętam ostatni dzień, w którym ją zobaczyłem, gdy Christa i Beck kłócili się w kuchni, pokoju gościnnym, korytarzu, potem znów w kuchni, warcząc i wrzeszcząc na siebie nawzajem jak okrążające się wilki. Byłem młody, miałem około ośmiu lat, więc Beck wydawał mi się wtedy niczym gigant - nieznacznego, gniewnego boga ledwie trzymającego swoje nerwy na wodzy. Krążył z Christą po całym domu, przysadzistą młodą kobietą z twarzą pomarszczoną od nerwów.

- Zabiłaś dwoje ludzi, Christo. Kiedy się z tym pogodzisz?

- Zabiłam? Zabiłam? – jej głos był piskliwy dla moich uszu, niczym pazury na szkle. – A co ze mną? Spójrz na mnie. Moje życie jest skończone.

- Nie jest skończone – wyrwał się Beck. – Wciąż oddychasz, czyż nie? Twoje serce wciąż bije? Tego nie mogę powiedzieć o twych dwóch ofiarach.

Pamiętam, że aż skurczyłem się na dźwięk głosu Christy – gardłowego, ledwie zrozumiałego krzyku.

- To nie jest życie!

Beck dał jej kazanie na temat samolubności i odpowiedzialności, a ona mu oddała z nutką bluźnierstwa, którą byłem wręcz zszokowany; nigdy wcześniej nie słyszałem słów.

- A co z tym gościem w piwnicy? – urwał Beck. Z mojego punktu obserwacyjnego w korytarzu mogłem dojrzeć plecy Becka. – Ugryzłaś go, Christo. Zrujnowałaś mu teraz życie. I zabiłaś dwoje ludzi, tylko dlatego, że cię przezywali. Wciąż czekam na to by ujrzeć odrobinę żalu z twojej strony. Kurczę, wziąłbym nawet jedynie gwarancję, że to się więcej nie powtórzy.

- Dlaczego miałabym ci cokolwiek gwarantować? Czy kiedykolwiek mi coś dałeś? – warknęła Christa. Jej ramiona były przygarbione i drgały. – I wy nazywacie siebie paczką? Jesteście zbiorowiskiem. Jesteście obrzydliwością, kultem. Będę robić, co chcę. Przebrnę przez to życie tak jak mi się to podoba.

Głos Becka był strasznie, strasznie równy. Pamiętam, że nagle stało im się wtedy żal Christy, bo Beck przestawał brzmieć jakby był zły wtedy, gdy był w najgorszym ze stanów.

- Obiecuj mi, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

Popatrzała wtedy prosto na mnie – nie, nie na mnie. Prześwidrowała mnie na wskroś. Jej myśli wędrowały gdzieś daleko stąd, uciekając realności jej zmieniającego się ciała. Z dolnej części jej czoła wystawała żyła, a jej paznokcie były pazurami.

- Nie jestem ci nic dłużna. Idź do diabła.

Beck powiedział bardzo cicho:

- Wynoś się z mojego domu.

I zrobiła to. Trzasnęła szklanymi drzwiami tak mocno, że naczynia w szafkach kuchennych zastukotały. Kilka chwil później, usłyszałem, że drzwi otwierają się i znów zamykają, gdy Beck podążył za nią.

Pamiętam że było wystarczająco zimno na zewnątrz że martwiłem się że Beck się przemieni i zostawi mnie samego w domu. Ten lęk był wystarczającą pobudką do tego, bym wyślizgnął się z korytarza do pokoju gościnnego, gdy usłyszałem wielki huk.

Beck cicho wszedł do domu, drżąc z zimna i zagrożenia zmiany. Delikatnie położył broń na ladzie, jakby była zrobiona ze szkła. Potem mnie zauważył, stojącego w pokoju, z rękoma skrzyżowanymi na piersi a palcami kurczowo trzymającymi się moich bicepsów.

Wciąż pamiętam, jak brzmiał jego głos, gdy powiedział: „nie dotykaj tego, Sam”. Pusty. Podarty. Poszedł do swojego biura i położył głowę na swoich ramionach na resztę dnia. O zmroku razem z Ulrikiem wyszli na zewnątrz, ich głosy były niskie i uciszone; przez okno zobaczyłem, jak Ulrik bierze szufłę z garażu.

A teraz - oto jestem, leżę w łóżku u Grace. A gdzieś tam kręcił się Jack. Wkurzeni ludzie nie byli dobrymi wilkołakami.

Podczas gdy Grace była w szkole, podjechałem do domu Becka. Zajazd był pusty, a okna ciemne; nie miałem serca wejść do środka i zobaczyć, jak długo jest już niezamieszany. Bez Becka, wymuszającego na paczce bezpieczeństwo, kto miałby trzymać Jacka w ryzach?

Niepożądane poczucie obowiązku szczyptało mnie w gardło. Beck miał komórkę, lecz nie pamiętałem numeru, nieważne jak długo plądrowałem moje wspomnienia. Przycisnąłem moją twarz do poduszki i modliłem się, by Jack nikogo nie ugryzł, bo gdyby zaczął stawać się problemem, nie sądzę bym był na tyle silny by wykonać to, co byłoby w takiej sytuacji stosowne.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Sam

Gdy budzik Grace zadzwonił do szkoły o 6:45, wykrzykując mi do uszu elektroniczne nieprzyzwoitości, z miejsca wystrzeliłem w powietrze z walącym sercem, tak jak zrobiłem to dzień przedtem. Moja głowa wypchana była snami: wilkami i ludźmi i krwią rozmazaną na wargach.

- Ummmm – wymamrotała Grace, niezaniepokojona, podciągając prześcieradła wokół swojej szyi. – Wyłącz to, dobra? Wstaję już. Wstanę ... za sekundkę. – przewróciła się, jej blond głowa była ledwie widoczna z krańca koca, i utopiła się w łóżku jakby wrosła w materac.

I to by było na tyle. Ona spała, a ja nie.

Pochyliłem się, opierając na oparciu na głowę przy jej łóżku i pozwoliłem jej leżeć przy moim boku, ciepłej i śniącej, jeszcze przez kilka minut. Pogłaskałem jej włosy ostrożnymi palcami, podążając za śladem linii od jej czoła, wokół jej uszu i na dół, aż na sam koniec jej długiej szyi, gdzie jej włosy przestawały być właściwymi włosami, a miast tego stawały się małymi, dziecięcymi kłębuszkami, które były nieźle posadzone. Były fascynujące, te delikatne piórka które miały urosnąć by stać się jej włosami. Niewiarygodnie mnie kusilo, by się nachylić i je ugryźć, tak delikatnie, by ją obudzić i pocałować i sprawić, że spóźni się do szkoły, lecz nie mogłem przestać myśleć o Jacku i Chrście i ludziach, z których byli źli wilkołacy. Gdybym poszedł do szkoły, czy wciąż byłbym w stanie podążyć za tropem Jacka z moim słabszym węchem?

- Grace – wyszeptalem. – Obudź się.

Wydała z siebie delikatny odgłos który, przetłumaczony na ostry język śpiącego, brzmiałby jak „odwal się”.

- Czas wstawać. – powiedziałem i włożyłem mój palec do jej ucha.

Grace pisnęła i uderzyła mnie. Wstała.

Nasze wspólne poranki zaczynały mieć w sobie komfort rutyny. Kiedy Grace, wciąż prześladowana przez sen, potykała się w drodze do prysznicza, włożyłem do tosterka po bułeczce dla każdego z nas i przekonałem ekspres do kawy by zrobić coś, co brzmiałoby jak robienie kawy. Wracając do jej sypialni, słyszałem, jak Grace bezgłośnie śpiewała pod prysznicem podczas gdy ja wkładałem moje jeansy i sprawdzałem, czy na jej suszarkach nie ma skarpet które nie wyglądałyby na tyle dziewczęco że mógłbym je pożyczyć.

Ustyszałem, jak mój oddech przystopował bez nawet poczucia tego. Fotografie, usadowione wśród jej zgrabnie złożonych skarpetek. Zdjęcia wilków. Nasze zdjęcia. Ostrożnie podniosłem stosik z suszarki i cofnąłem się do łóżka. Odwracając się plecami do drzwi, jakbym robił coś zakazanego, kartkowałem powoli zdjęcia. W oglądaniu tych zdjęć moimi ludzkimi oczyma było coś fascynującego. Do niektórych wilków potrafiłem przypiąć imiona; do starszych, które zmieniały się zawsze przede mną. Beck, duży, masywny, granatowo-szary. Paul, czarny i schludnie wyglądający. Ulrik,

brązowawo-szary. Salem, z jego wyszczerbionym uchem i biegającym okiem. Westchnąłem, nie wiedziałem jednak dlaczego.

Otworzyły się za mną drzwi, wpuszczając podmuch pary który pachniał jak mydło Grace. Podeszła do mnie i położyła głowę na moim ramieniu; wdychałem jej zapach.

- Patrzysz na siebie? – spytała.

Moje palce, śmigające między zdjęciami, zamarły.

- Ja na nich jestem?

Grace okrążyła łóżko usiadła przy mnie, stawiając mi czoła.

- Oczywiście. Większość z nich jest twoich – nie poznajesz siebie? Och. Oczywiście że byś nie poznał. Powiedz mi kto jest kim.

Po raz kolejny przekartkowałem zdjęcia, wolniej, podczas gdy ona zmieniała pozycję by usiąść przy mnie. Łóżko jęczało pod jej ruchami.

-To jest Beck. Zawsze opiekował się nowymi wilkami.

Mimo że począwszy ode mnie, było tylko dwoje nowych: Christa i wilk, którego stworzyła, Derek. Faktem było, iż nie byłem przyzwyczajony do młodszych przybyszów – nasza paczka zwykle rosła w inne, starsze wilki, które znajdowały nas, a nie w brutalnie stworzone świeżynki jak Jack.

- Beck jest dla mnie jak ojciec. – brzmiało to dziwnie, mówiąc to w ten sposób, nawet jeśli była to prawda. Nigdy wcześniej nie musiałem tego nikomu wyjaśniać. To on wziął mnie pod swoje skrzydła po tym jak uciekłem z domu, i to on ostrożnie skleił fragmenty mojego rozsądku.

- Można wyczuć twoje uczucia względem niego. – powiedziała Grace, brzmiąc zaskoczona swoją własną intuicją. – Twój głos jest inny, kiedykolwiek o nim mówisz.

- Tak? – teraz to ja byłem zaskoczony. – Jak inny?

Wzruszyła ramionami, wydając się odrobinę nieśmiałą.

- Nie wiem. Dumny, chyba. Uważam, że to słodkie. A to kto?

- Shelby – powiedziałem, a w stosunku do niej w moim głosie nie było żadnej dumy. – Mówiłem ci o niej wcześniej.

Grace obserwowała moją twarz.

Wspomnienie mojego ostatniego spotkania z Shelby wywołało rewolucję w moich jelitach.

- Nie widzimy rzeczy w ten sam sposób. Ona uważa bycie wilkiem za dar.

Grace przytaknęła za mną, a ja byłem wdzięczny, zostawiając to w tym wątku.

Przerzucałem prze kolejne kilka fotografii Shelby i Becka, dopóki nie zatrzymałem się na czarnym kształcie Paula.

- To Paul. Jest liderem naszej paczki, gdy jesteśmy wilkami. Obok niego jest Ulrik. – wskazałem na brązowawo-szarego wilka przy Paulu. – Jest jak szalony wujek, tak jakby. Niemiecki wujek. Dużo klnie.

- Brzmi świetnie.

- Dużo z niego śmiechu. – właściwie, powinienem był powiedzieć to w czasie przeszłym. Nie wiem, czy to był jego ostatni rok, czy wciąż było przed nim jeszcze kolejne lato. Przypomniałem sobie jego śmiech, niczym stado ptaków zbierających się do lotu, i sposobu w jaki trzymał się swojego niemieckiego akcentu, jakby bez niego nie był już Ulrikiem.

- Wszystko w porządku? – spytała Grace, marszcząc czoło.

Potrząsnąłem głową, gapiąc się na wilki na zdjęciach, tak wyraźnie zwierzętami gdy postrzegałem je moimi ludzkimi oczami. Moja rodzina. Ja. Moja przyszłość. Jakimś cudem, fotografie te pomazały linię, której nie byłem gotów jeszcze przekroczyć.

Zdałem sobie sprawę, że ramię Grace kręciło się wokół mojego, jej policzek leżał przy mnie, pocieszając mnie mimo że nie mogła zrozumieć co mnie gryzło.

- Chciałbym abyś ich spotkała. – powiedziałem. – Kiedy wszyscy będą ludźmi.

Nie wiedziałem, jak jej wyjaśnić, jak ogromną częścią mnie byli, ich głosy i twarze jako ludzi, i ich zapachy i kształty jako wilków. Jak bardzo zagubiony się teraz czułem, jako jedyny noszący ludzką skórę.

- Opowiedz mi coś o nich – powiedziała Grace, jej głos był stłumiony przez moją koszulkę.

Pozwoliłem mojej wyobraźni przemknąć przez wspomnienia.

- Beck nauczył mnie jak polować, gdy miałem osiem lat. Nienawidziłem tego.

Pamiętam jak stałem w pokoju gościnnym Becka, gapiąc się na pokryte pierwszym lodem gałęzie zimowych drzew, cudownych i mrugających w porannym słońcu. Podwórko wydawało się niebezpieczną i zamieszkaną przez obcych planetą.

- Dlaczego tego nienawidziłeś? – spytała Grace.

- Nie lubiłem widoku krwi, nie lubiłem niczego ranić. Miałem osiem lat.

W moich wspomnieniach, wydawałem się mały, żaloszny, niewinny. Spędziłem przeszłe letnie pory na pozwalaniu sobie uwierzyć, że ta zima, z Beckiem, będzie inna, że się nie zmienię i że dalej będę jeść jajka, które Beck gotował mi od wieków. Lecz gdy noce zaczęły robić się coraz zimniejsze a moje mięśnie drżały nawet przy krótkich wyprawach, wiedziałem, że nadchodzi czas, w którym nie będę w stanie uniknąć zmiany, a Becka nie będzie już przy mnie by mógł mi gotować. Ale to nie oznaczało, że z ochotą na to poszedłem.

- Dlaczego więc polowanie? – spytała Grace, wiecznie myśląca logicznie. – Dlaczego po prostu nie zostawicie dla siebie jedzenia?

- Ha. Zadałem Beckowi to samo pytanie, a Ulrik powiedział: „Ja*, a szopy i oposy** też?

Grace zaśmiała się, przesadnie zachwycona moją nędznej jakości parodią akcentu Ulrika.

Poczułem przyptyw ciepła na moich policzkach; dobrze mi się z nią rozmawiało o paczce. Kochałem ten błysk w jej oczach, ciekawy grymas jej ust – wiedziała, czym jestem, i chciała wiedzieć więcej. Lecz to nie oznaczało, że powiedzenie jej, komuś spoza paczki, było właściwie. Beck zawsze mówił, że jedynymi ludźmi, którymi musimy przed nami ochraniać jesteście my. Lecz Beck nie znał Grace. A Grace nie była jedynie człowiekiem. Może i się nie zmieniła, lecz została ugryziona. Wewnątrz była wilkiem, musiała być.

- Więc, co się stało? – spytała Grace. – Na co polowałeś?

- Króliczki, oczywiście. – odpowiedziałem. – Beck zabrał mnie na zewnątrz podczas gdy Paul czekał w vanie by mnie potem zabrać gdybym był wystarczająco niestabilny by się przemienić.

Nie mogłem zapomnieć jak Beck zatrzymał mnie przed drzwiami, zanim wyszliśmy, podwójnie się wyginając tak, by mógł spojrzeć mi w oczy. Byłem nieruchomy, starając się nie myśleć o zmieniających się ciałach i łapaniu szyi króliczka w moje zęby. O pożegnaniu się z Beckiem na zimę. Ujął moje chude ramię w swoją dłoń i powiedział: „Sam, przepraszam. Nie bój się.”

Nic nie powiedziałem, bo myślałem że było zimno, i że Beck nie przemieniłby się z powrotem po polowaniu, a potem nie zostałby nikt to by wiedział, jak właściwie gotować dla mnie jajka. Beck robił je idealnie. Nawet jeszcze lepiej. Beck sprawiał, że wciąż byłem Samem. Wtedy, gdy blizny na moich nadgarstkach wciąż były tak świeże, byłem tak niebezpiecznie blisko do łapania się w coś, co nie było ni człowiekiem, ni wilkiem.

- O czym myślisz? – spytała Grace. – Przestałeś mówić.

Spojrzałem w górę; nie zdałem sobie sprawy, że odwróciłem od niej wzrok.

- O przemianie.

Podbródek Grace przycisnął się do mojego ramienia gdy spojrzała mi w twarz; jej głos był niepewny. Zadała mi to samo pytanie, które zadała mi wcześniej.

- Czy to boli?

Pomyślałem o wolnym, agonijnym procesie przemiany, związywaniu się mięśni, wybrzuszaniu się skóry, kruszeniu kości. Dorośli zawsze starali się nie pokazywać mi swoich przemian, chcąc mnie ochronić. Lecz to nie widok ich przemiany mnie przerażał, acz wywoływał on u mnie jedynie litość, gdyż nawet Beck jęczał wtedy z bólu. To moja własna przemiana przerażała mnie, nawet teraz. Zapomnienie o Samie.

Byłem kiepskim kłamcą, więc nawet nie kłopotalem się z próbą.

- Tak.

- Trochę smuci mnie myśl, że musiałeś przechodzić przez to jako mały dzieciak. – powiedziała Grace. Marszczyła na mnie czoło, mrugając zbyt świeżymi oczyma. – Właściwie, bardzo się tym przejmuję. Biedny, mały Sam. – dotknęła mojego policzka palcem; pochyliłem się do jej dłoni.

Pamiętam, że byłem taki dumny, że nie płakałem wtedy w czasie przemiany, nie to co wtedy gdy byłem jeszcze młodszy i rodzice obserwowali mnie z przerażonymi oczyma. Pamiętam Becka jako wilka, odłączającego się i prowadzącego mnie w lasy. Pamiętam też ciepłe, gorzkie uczucie mojego pierwszego zabójstwa na moim pysku. Zmieniłem się z powrotem po tym jak Paul, zawinięty w płaszcz i kapelusz, odebrał mnie. To w vanie, w drodze do domu, uderzyła mnie samotność. Byłem Sam; Beck nie stanie się znów człowiekiem w tym roku.

Teraz wydawało mi się, że ciągle w kółko ma osiem lat, sam i świeżo okaleczony. Moja klatka mnie bolała, mój oddech wyciskał się ze mnie.

- Pokaż mi jak wyglądam – poprosiłem Grace, dając jej zdjęcia. – Proszę.

Pozwoliłem jej wziąć pliczek z mojej dłoni i obserwowałem, jak jej twarz rozjaśnia się podczas gdy śmigająca przez zdjęcia, szukając tego jednego, określonego.

- Proszę. To moje ulubione.

Popatrzałem na zdjęcie, które mi podała. Patrzył na mnie wilk noszący moje oczy, cichy wilk zza lasów, światło słoneczne dotykało krańce jego futra. Patrzyłem i patrzyłem, czekając, aż zacznie to coś dla mnie znaczyć. Czekając na dreszcz rozpoznania. Wydawało się to niesprawiedliwie, że tożsamości innych wilków były dla mnie jasne na ich zdjęciach, a moja była ukryta. Co takiego było w tym zdjęciu, w tym wilku, że oczy Grace tak się rozświetliły?

Co, jeśli nie byłem to ja? Co, jeśli była zakochana w jakimś innym wilku, jedynie myśląc, że byłem to ja? Jak mógłbym kiedykolwiek się tego dowiedzieć?

Grace była nieświadoma moich wątpliwości i źle odczytała moją ciszę, biorąc ją za fascynację. Rozłożyła swoje nogi i wstała, stawiając mi czoła, potem przebiegła ręką po moich włosach. Podniosła swoją dłoń do nosa, głęboko wdychając.

- Wiesz, wciąż pachniesz tak, jak pachniesz będąc wilkiem.

I ot tak, powiedziała chyba jedyną rzecz, która mogłaby mnie pocieszyć. Podałem jej zdjęcie w drodze do wyjścia.

Grace zatrzymała się w drzwiach, słabo oświetlona przez pochmurne, szare światło poranka, i spojrzała na mnie, na moje oczy, usta, dłonie, w sposób taki, że poczułem, jak coś mnie nieznośnie uciska, a potem się rozluźnia.

Nie sądziłem, abym należał tu, do jej świata, jako chłopak, który utknął pomiędzy dwoma życiami, przywlekając ze sobą niebezpieczeństwo ze strony wilków. Lecz gdy wypowiedziała moje imię, czekając, bym za nią podążył, wiedziałem, że zrobię cokolwiek, by z nią zostać.

** Niemieckie „Ja”, to nasze polskie „Tak” ;-)* W wypowiedzi Ulrika użyte drwiączko, jak widać.

*** Oposy przegowane to takie małe torbacze :)*

Rozdział dwudziesty drugi

Sam

Spędziłem zbyt wiele czasu odwożąc Grace i krążąc wokół parkingu, sfrustrowany Jackiem, sfrustrowany deszczem, sfrustrowany ograniczeniami, jakie wyznaczało mi moje ludzkie ciało. Mogłem wyczuć, że był tam wilk – był to nikły, pizmowy ślad wilczego odoru – lecz nie potrafiłem dokładnie określić kierunku bądź nawet móc sobie powiedzieć, że na pewno był to Jack. To było jak chodzenie po omacku.

Ostatecznie się poddałem i po przesiedzeniu kilkunastu minut w samochodzie zdecydowałem skierować się do domu Becka. Nie mogłem wymyśleć konkretnie nic innego, co mogłoby być dobrym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań Jacka, lecz lasy za domem były logicznym miejscem, gdzie ogólnie można by znaleźć wilki. Więc skierowałem się do mojego starego, letniego domu.

Nie miałem pojęcia, czy Beck w ogóle stał się w tym roku człowiekiem; nie potrafiłem nawet wyraźnie przywołać moich własnych letnich miesięcy. Były wspomnieniami rozmytymi w kupie, dopóki nie stały się złożonością pór i zapachów, a ich źródło – zapomniane.

Beck przemieniał się przez więcej lat niż ja, więc wydawało się, mało prawdopodobnie, że był człowiekiem w tym roku, gdy ja nim nie byłem. Lecz również wydawało mi się, że powinienem mieć przed sobą więcej lat przemieniania się w tę i we w tę. Tak długo się nie zmieniałem. Gdzie się podziały moje lata?

Chciałem Becka. Chciałem jego porad. Chciałem wiedzieć, dlaczego postrzał uczynił mnie człowiekiem. Chciałem wiedzieć, jak wiele czasu mi zostało z Grace. Chciałem wiedzieć, czy to był koniec.

„Jesteś najlepszym z nich”, powiedział mi kiedyś. Wciąż pamiętam sposób, w jaki na mnie patrzył, gdy to mówił. Solidny, godny zaufania, wiarygodny. Kotwica w bujającym się morzu. Wiedziałem o co mu chodzi: byłem najbardziej ludzki z paczki. To było po tym, jak ściągnęli Grace z jej opono-huśtawki.

Lecz gdy podjechałem do domu, wciąż był pusty i ciemny, a moje nadzieje się rozproszyły. Przeszło mi przez myśl, że wszystkie inne wilki musiały się już przemienić na zimę; nie zostało już wielu młodych wilków. W tej chwili, oprócz Jacka. Skrzynka pocztowa wypchana była kopertami i kartkami z poczty radzącymi Beckowi przyjść do urzędu, by odebrać resztę. Wszystko stamtąd wyjąłem i wrzuciłem do samochodu Grace. Miałem klucz do jego skrzynki, lecz dopiero później sobie przypomniałem.

Odmówiłem sobie myśli, że nie zobaczę znów Becka.

Lecz faktem pozostało, że jeśli Becka nie było blisko, Jacka nie wtajemniczono. A ktoś musiał go odciągnąć od szkoły i cywilizacji zanim nie przestanie się nieprzewidzialnie przemieniać, co wiązało się z byciem nowym wilkiem. Jego śmierć narobiła wystarczająco szkód dla paczki. Nie

miałem zamiaru pozwolić mu nas wydać, czy to przez publiczne przemienianie się czy to przez ugryzienie kogoś.

Jako że Jack złożył już wizytę w szkole, zdecydowałem działać pod zaożeniem, że próbował również dojść do domu, więc zmierzyłem ku domu Culpeperów. Nie było żadną tajemnicą to, gdzie mieszkali; każdy w miasteczku kojarzył gigantyczną, niczym od Tudorów rezydencję, którą można było zoczyć już z autostrady. Jedyna rezydencja w Mercy Falls. Nie sądziłem by ktokolwiek mógł być w domu o tej porze, lecz zaparkowałem Bronca* Grace jakieś pół mili stąd tak na wszelki wypadek i przemierzałem sosnowe lasy na piechotę.

Z całą pewnością, dom był pusty, wznosząc się nade mną niczym masywna struktura z starej legendy będącej częścią ustnej tradycji. ** Szybkie myszkowanie wokół drzwi pozwoliło mi odnaleźć wyraźny odór wilka.

Nie potrafiłem odgadnąć czy wszedł już do środka, czy też, tak jak ja, przyszedł wtedy, gdy nikogo nie było i powrócił już do lasów. Przypominając sobie, jak bezbronny byłem w mojej ludzkiej formie, pokręciłem się i wąchałem powietrze, szukając w otaczających mnie sosnach w poszukiwaniu oznak życia. Nic. Bynajmniej nic na tyle bliskiego, co wyłapałyby moje ludzkie zmysły.

Za przyczyną dokładności, włamałem się do domu by zobaczyć, czy Jack tam już tam był, odosobniony w zamkniętym pokoju zarezerwowanym dla potworów. Nie troszczyłem się też o „czystość” mojej roboty – roztraskałem szybę w tylnych drzwiach za pomocą cegły i przedostałem przez wyszczerbioną dziurę by przekreślić gałkę.

Wewnątrz znów wąchałem powietrze. Pomyślałem, że wyczułem wilka, lecz zapach ten był słaby i nieco czerstwy. Nie byłem pewien, dlaczego Jack miałby pachnieć w ten sposób, lecz podążyłem za zapachem przez dom. Moja ścieżka prowadziła do wielkiego kompletu drzwi dębowych. Byłem pewien, że zapach prowadzi do tego, co było za nimi.

Ostrożnie je popchnąłem, potem wziąłem ostry oddech.

Wielki hol przede mną pękał w szwach od zwierząt. Wypchanych zwierząt. I nie takich milusich. Przyciemnione pomieszczenie z wysoko umieszczonym sufitem przypominało mi wystawę w muzeum: Zwierzęta Ameryki Północnej, albo coś w rodzaju sanktuarium ku czci śmierci. Moje myśli wyrwały się w poszukiwaniu słów piosenki, lecz zdecydowały się tylko na jedyny wers: **To my nosimy szerokie uśmiechy śmiejących się umarłych.**

Wzdrygnąłem się.

W półświatle które prześwitywało przez okrągłe okna wysoko ponad moją głowę, wydawało się, że jest tu wystarczająco zwierzaków by zaludnić Arkę Noego. Był tu lis, sztywno trzymający wypchaną przepiórkę w swoim pysku. Tam wisiał czarny niedźwiedź, unoszący się nade mną z wyciągniętymi pazurami. Ryś, skradający się nieskończenie wzdłuż kłody. I niedźwiedź polarny, kompletny z wypchaną rybą w jego łapach. To można w ogóle wypchać rybę? Nawet tego nie rozważałem.

A potem, pośród stada jeleni wszystkich rozmiarów i kształtów, ujrzałem źródło zapachu, które wcześniej wykryłem: wilk patrzył na mnie przez swoje ramię z gołymi zębami i groźnymi,

szklanymi oczyma. Podeszedłem do niego, wyciągając ręce by dotknąć jego kruchego futra. Pod moimi palcami rozkwitł czerstwy zapach, uwalniając do moich nozdrzy sekrety i rozpoznałem unikalny zapach moich lasów. Skręciłem palce w piąstkę, odchodząc od wilka z uczuciem dreszczy na skórze. Jeden z nas. A może nie. Może to po prostu wilk. Z tym że nigdy wcześniej nie spotkałem normalnego wilka w naszych lasach.

- Kim byłeś? – wyszeptałem. Lecz jedyna wspólna cecha pomiędzy dwoma formami wilka – oczy – od dawna były wydłubane na rzecz pary szklanych oczu. Zastanawiałem się czy Derek, najeżony kulami w noc w którą zostałem postrzelony, dołączyłby do tego wilka w tej makabrycznej menażerii. Ta myśl skręciła mój żołądek.

Zerknąłem po holu raz jeszcze i cofnąłem się do frontowych drzwi. Każdy kawałek zwierzęcia, który wciąż we mnie pozostawał, krzyczał, bym odszedł od głuchego odoru śmierci, który wypełniał korytarz. Jacka tu nie było. Nie miałem żadnego powodu, by zostać.

*nie wyjaśniłam jeszcze tego, a powinnam – Bronco to nazwa jednego z modeli Forda, a nie jakieś imię dla samochodu (no co, niektórzy ludzie mają takie pomysły :D wystarczy przeczytać książki Lisy McMann ^^)

** w oryginale użyto folk tale, i znalazłam właśnie taką definicję w słowniku angielsko-angielskim, jakiej użyłam – może chodzi tu o pewne podania i legendy przekazywane ustnie, tak jak eposy w Starożytnej Grecji ...

Rozdział dwudziesty trzeci

Grace

- Dzień dobry. – tata zerkał na mnie, rozlewając kawę do podróżnego kubka. Tata był bardzo szybko ubrany, jak na niedzielę; chyba musi starać się sprzedać jakiś kurort jakiemuś bogatemu inwestorowi. – Muszę się spotkać z Ralphem w biurze o ósmej trzydzieści. W sprawie kurortu Wyndhaven.

Zamrugałam kilka razy, moje oczy były zaczerwienione. Całe moje ciało było lepkie i powolne od snu.

- Nie mów do mnie jeszcze. Nie jestem jeszcze rozbudzona.

Przez moją mgłę, poczułam ułkanie winy z powodu tego, że nie jestem bardziej przyjacielska; naprawdę, nie widziałam go od dni, a co dopiero z nim rozmawiać. Sam i ja spędziliśmy ostatnią noc na rozmowie o dziwnym pokoju z wypchanymi zwierzętami u Culpeperów i zastanawialiśmy się, z ciągłą irytacją jaką daje uczucie drapiącego swetra, gdzie Jack mógłby się pojawić następnym razem. Ten zwyczajny poranek z tatą wydawał się niczym nagły powrót do mojego przed-Samowego życia.

Tata wskazał na mnie czajniczką.

- Chcesz trochę?

Złożyłam dłonie i wyciągnęłam je do niego.

- Nalej tutaj. Plusnę sobie trochę na twarz. Gdzie mama?

Nie słyszałam, żeby kręciła się po schodach. W mamy przypadku przygotowywanie się do opuszczenia domu wymagało wielu pozbawionych skrupułów huków i hałasu skrobiących butów dochodzącego z sypialni.

- W jakiejś galerii w Minneapolis.

- Dlaczego wyszła tak wcześnie? Przecież to praktycznie jeszcze wczorajszy dzień.

Tata nie odpowiedział; patrzył na telewizję ponad moją głowę, gdzie wyświetlano jakiś poranny talk show. Gość programu, ubrany w khaki, otoczony był szczeniakami wszelkiego rodzaju zwierząt w pudłach i klatkach. Wyraźnie mi to przypomniało pokój zwierząt który opisał Sam. Tata zmarszczył czoło gdy jeden z dwóch prezenterów ostrożnie pieścił małego oposa, który syknął. Odchrząknęłam.

- Tato. Skup się. Daj mi kubek do kawy i napełnij go, albo umrę. A jeśli umrę, to się nie wykpię.

Tata, wciąż patrzący na telewizję, po omacku szukał w szafkach kubka. Jego palce odnalazły mój ulubiony – niebieski, z jajkiem rudzika, który zrobiła jedna z przyjaciółek mamy – i popchnął go i czajnik przez ladę w moim kierunku. Para uderzyła mi w twarz, podczas gdy lałam napój.

-Więc, Grace, jak tam w szkole? - zapytałam samą siebie.

Tata skinął głową, jego oczy patrzyły na małą koalę, która teraz wierciła się w ramionach gościa.

- Och, jest w porządku. – kontynuowałam, a tata wydał z siebie pomruk zgody. Dodałam: - Nic specjalnego, oprócz multum pand, które przynieśli, i nauczycieli porzucających nas kanibalistycznym brutalnościami. – zapauzowałam, by zobaczyć, czy już zdobyłam jego uwagę, a potem kontynuowałam. – Cały budynek się zapalił, potem zawałam zajęcia z dramatu, a potem seks seks seks.

Oczy taty nagle skupiły się, potem odwrócił się do mnie i zmarszczył czoło.

- Powiedziałaś, że czego cię uczą w tej szkole?

Cóż, bynajmniej załapał więcej z początku niż po nim podejrzewałam.

- Niczego ważnego. Piszemy krótkie historyjki na angielskim. Są okropne. Absolutnie nie mam talentu do pisania fikcji.

- Fikcji o seksie? – spytał z powątpiewaniem.

Potrząsnęłam głową.

- Tato, idź do pracy. Spóźnisz się.

Tata podrapał się w policzek; brakowało mu golenia.

- To mi o czymś przypomniało. Muszę oddać Tomowi tę oczyszczarkę. Widziałaś ją?

- Że komu musisz oddać oczyszczarkę?

- Oczyszczarkę do broni. Chyba położyłem ją na ladzie. A może pod nią ... - ukląkł i zaczął szeleścić w szafce pod zlewem.

Zmarszczyłam czoło.

- Po co ci oczyszczarka do broni?

Wskazał na swój gabinet.

- Do broni.

W mojej głowie rozległ się dźwięk ostrzegawczy małych dzwoneczków. Wiedziałałam, że mój tata ma strzelbę; wisiła na ścianie w jego gabinecie. Lecz nie pamiętam, żeby kiedykolwiek przedtem ją czyścić. Czyści się bronię, po tym, jak się je użyje, prawda?

- Po co pożyczasz oczyszczarkę?

- Tom pożyczył mi ją bym oczyścił strzelbę po tym, jak wyszliśmy. Wiem, że powinienem czyścić ją częściej, ale po prostu o niej nie myślę gdy jej nie używam.

- Tom Culpeper? – powiedziałam.

Wychylił swoją głowę z szafki, z butelką w dłoni.

- Tak.

- Poszedłeś strzelać z Tomem Culpeperem? To byłeś ty tamtego dnia?

Moje policzki zaczynały parzyć. Modliłam się, by powiedział, że nie.

Tata obdarzył mnie takiego rodzaju spojrzeniem, które zwykle poprzedzało powiedzenie przez niego słów: „Grace, zwykle jesteś taka rozsądna”.

- Coś trzeba było zrobić, Grace.

- Byłeś częścią tego wielkiego polowania? Tych, którzy pognali za wilkami? – zapytałam. – Nie mogę uwierzyć, że ty ...

Obraz taty skradającego się przez drzewa, z lufą w ręku, wilków uciekających przed nim, nagle był zbyt silny, i musiałam przestać.

- Grace, zrobiłem to również z myślą o tobie. – powiedział.

Mój głos wydobył się bardzo nisko.

- Zastrześliś jakiegokolwiek z nich?

Tata chyba zdawał sobie sprawę z tego, że to pytanie było ważne.

- Strzały ostrzegawcze – powiedział.

Nie wiedziałam, czy była to prawda, czy też nie, lecz nie chciałam z nim dłużej rozmawiać. Potrząsnęłam głową i odwróciłam się.

- Nie dąsaj się – powiedział tata. Pocałował mnie w policzek – pozostałam tak nieruchoma, jak on – i zebrał swoją kawę i aktówkę. – Trzymaj się. Później się zobaczymy.

Stojąc w kuchni, obejmując ramionami niebieski kubek, słuchałam jak Taurus taty żywotliwie dudnił na tarasie a potem powoli blaknął. Po jego wyjściu, dom osiadł w swoją znajomą ciszę, zarówno pocieszną jak i depresyjną. Mógł to być jakikolwiek inny poranek, cichy i z kawą w moich rękach – lecz nie był. Głos taty – strzały ostrzegawcze – wciąż wisiał w powietrzu.

Wiedział, co czułam w stosunku do wilków, a i tak udał się za moje plecy i uknuł plan z Tomem Culpeperem.

Zdrada ukąsiła.

Delikatny hałas z ganka przykuł moją uwagę. W korytarzu stał Sam, jego włosy były mokre i najeżone od prysznic, jego oczy spoczywały na mnie. Na jego twarzy wypisane było pytanie, lecz nic nie powiedziałam. Zastanawiałam się, co zrobiłby tata, gdyby wiedział o Samie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Grace

Spędziłam lepszą część poranka i popołudnia na brnięciu przez moje zadanie domowe z angielskiego podczas gdy Sam wyciągał się na kanapie, z powieścią w dłoni. Był to niejasny rodzaj tortury, być z nim w tym samym pomieszczeniu lecz oddzieloną całkiem skutecznie przez podręcznik do angielskiego. Po paru godzinach, przerwanych jedynie krótką przerwą na lunch, nie mogłam już tego znieść.

- Czuję się, jakbym marnowała nasz wspólny czas. – wyznałam.

Sam nie odpowiedział i zdałam sobie sprawę z tego, że mnie nie słyszał. Powtórzyłam moje oświadczenie, a on mrugnął oczyma powoli skupiającymi się na mnie podczas gdy powracał z jakiegokolwiek świata w którym przebywał. Powiedział:

- Jestem szczęśliwy po prostu będąc tu z tobą. To wystarcza.

Studiowałam jego twarz przez długą chwilę, starając się zdecydować czy naprawdę to miał na myśli.

Znacząc numer strony, Sam zamknął książkę swoimi ostrożnymi palcami i powiedział:

- Chcesz gdzieś pójść? Jeśli zrobiłaś już wystarczająco, możemy pomyszkować w domu Becka żeby zobaczyć, czy Jack już tam dotarł.

Spodobał mi się ten pomysł. Od pojawienia się Jacka w szkole, czułam się niespokojnie wobec tego gdzie i w jakiej postaci się ukáže.

- Myślisz, że tam będzie?

- Nie wiem. Nowe wilki zawsze wydawały się znajdować drogę, i tam ma zwyczaj żyć paczka, w tym odcinku lasów Boundary za domem. – powiedział Sam. – Byłoby miło myśleć, że w końcu odnalazł swoją drogę do paczki.

Jego twarz wydawała się wtedy zmartwiona, lecz nie powiedział dlaczego. Wiedziałam, dlaczego chciałam, by Jack wpasował się w paczkę – nie chciałam, by ktokolwiek wydał wilki za to, czym były. Lecz Sam wydał się być zaniepokojony o coś więcej, coś większego i bardziej nie dającego się nazwać.

W złotym świetle popołudnia, prowadziłam Bronca do domu Becka, podczas gdy Sam mną pilotował. Musieliśmy podjechać krętą drogą wokół lasów Boundary przez dobre trzydzieści pięć minut by dotrzeć do domu. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak daleko rozciągały się lasy dopóki nie okrążyliśmy ich w całości. To chyba miało sens; jak mógłbyś schować całą paczkę wilków bez pomocy setek niezamieszkanymi akrów? Wjechałam Bronciem na wjazd, mrużąc oczy na fasadę z cegieł. Ciemne okna wyglądały niczym zamknięte oczy; dom był przytłaczająco pusty. Gdy Sam otworzył swoje drzwi, słodki zapach sosen które stały niczym strażnicy wokół podwórza wypełnił moje nozdrza.

- *Niezły dom. – gapiłam się na wysokie okna błyszczące w popołudniowym słońcu. Ceglany dom takich rozmiarów z łatwością mógł wyglądać imponująco, lecz coś w atmosferze tego mienia wydawało się rozbrajające - może rozwalające się, nierównie przecięte żywopłoty na przedzie albo zniszczony karmnik dla ptaków który wyglądał, jakby wyrósł z trawnika. Było to miejsce krzepiącego rodzaju. Wyglądało na miejsce, które wykreowałoby chłopca takiego, jak Sam. Spytałam:*

- *Jak sposobem Beck go dostał?*

Zmarszczył czoło.

- *Dom? Był prawnikiem dla starych, dzianych kolesi, więc ma pieniądze. Kupił go dla paczki.*

- *To strasznie hojne z jego strony. – powiedziałam. Zatrzasnęłam drzwi samochodu. – Cholera.*

Sam pochylił się na maskę Bronca w moją stronę.

- *Co?*

- *Właśnie zatrzasnęłam klucze w samochodzie. Mój mózg był na autopilocie.*

Sam lekceważąco wzruszył ramionami.

- *Beck ma w domu slim-jima*. Możemy go wziąć gdy będziemy wracać z lasów.*

- *Slim-jima? Jakież intrygujące. – powiedziałam, szeroko się do niego uśmiechając. – Lubię mężczyzn z asami w rękawie.*

- *Cóż, jednego już masz – odpowiedział Sam. Potrząsnął głową w kierunku drzew na podwórzu. – Gotowa na wejście?*

Myśl o tym była zarówno przekonująca, jak i przerażająca. Nie byłam w lasach od nocy polowania, a jeszcze przedtem, przed wieczorem gdy widziałam Jacka przygwożdżonego przez inne wilki. Wydawało się, jakby jedynymi moimi wspomnieniami związanymi z tymi lasami były chwile przemocy.

Zdałam sobie sprawę, że Sam wyciągał swoją dłoń w moim kierunku.

- *Boisz się?*

Zastanawiałam się, czy istniał sposób pozwalający mi na ujęcie jego dłoni bez przyznawania się do strachu. Może nie strachu, acz jakiegoś uczucia które pełzało pod moją skórą i podnosiło włosy na moich ramionach. Było chłodno, nie jakiś jałowy środek zimy. Leżało dużo jedzenia dla wilków po to, by nie musiały nas atakować. Wilki to nieśmiałe stworzenia.

Sam ujął moją dłoń; jego uścisk był pewny, a jego skóra na mojej wydawała się ciepła w mroźnym, zimowym powietrzu. Jego oczy lustrowały mnie, duże i lśniące w popołudniowej poświacie, i przez chwilę znalazłam się w zasięgu jego spojrzenia, przypominając sobie te same oczy lustrujące mnie z wilczej twarzy.

- *Nie musimy szukać go teraz – powiedział.*

- Chcę iść. – była to prawda. Część mnie chciała ujrzeć, gdzie żył Sam w tych zimnych miesiącach, gdy nie zasiadywał się na brzegu naszego podwórza. A druga część mnie, ta, która bolała stratą gdy paczka wyła w nocy, błagała by podążyć za jej nikłym zapachem do lasów. Wszystko to przeważało nad każdą ociupiną mnie, która była niespokojna. By udowodnić moją chęć, podążyłam w kierunku podwórka, zbliżając się do krańca lasów, wciąż trzymając Sama za rękę.

- Będą się od nas trzymali z daleka – powiedział Sam, jakby wciąż musiał mnie zapewniać. – Jack jest jedynym, który by się do nas zbliżył.

Spojrzałam na niego z wykrzywioną brwią.

- Taaa, a propos tego. Nie „wsmaruje” na nas niczym w horrorze, czyż nie?

- To nie czyni z ciebie potwora. Zabiera ci jedynie twoje skrępowanie. – powiedział Sam. – Czy dużo „smarował” gdy był w szkole?

Jak reszta szkoły, słyszałam opowieść o tym, jak Jack wpakował jakiegoś dzieciaka do szpitala po imprezie. Odrzuciłam to jako plotkę, dopóki na własne oczy nie zobaczyłam tego chłopaka, chodzącego holami z wciąż w połowie spuchniętą twarzą. Jack nie potrzebował transformacji by stać się potworem.

Zrobiłam minę.

- Odrobinę „smarował”, otóż to.

- Jeśli to ci choć trochę poprawi humor – powiedział Sam. – nie sądzę, by był tutaj. Lecz wciąż mam nadzieję, że jest.

Podążyliśmy więc w lasy. Ten był nieco innego rodzaju lasem niż ten, który rosnął wzdłuż podwórka moich rodziców. Te drzewa mocno do siebie przylegały, podszyt wpychał się między pnie jakby trzymał je w pionie. Jeżyny przyczepiały mi się do jeansów, a Sam co chwilę przystawał by zdjąć rzepki z naszych kostek. Podczas naszego powolnego postępu nie ujrzeliśmy ani śladu Jacka ani jakiegokolwiek z wilków. Prawdę mówiąc, nie wydawało mi się żeby Samowi dobrze szło z przeszukiwaniem lasów wokół nas. Zrobiłam wielki pokaz rozglądania się wokół więc mogłam udawać że nie widziałam, jak co kilka sekund na mnie zerka.

Nie potrwało długo nim miałam całą głowę w rzepkach, ciągnących boleśnie moje włosy gdy się zaplątywały.

Sam zatrzymał mnie by wydziobać rzepki.

- Potem już będzie lepiej. – obiecał. To słodkie że pomyślał że mogę się na tyle wkurzyć, żeby wrócić z powrotem do auta. Jakbym miała cokolwiek lepszego do roboty niż czucie, jak ostrożnie wyjmuję kolce rzeppek z moich włosów.

- O to się nie martwię – zapewniłam go. – Po prostu myślę, że nigdy nie wiemy, czy nie było tu kogoś innego. Lasy ciągną się w nieskończoność.

Sam przebiegł palcami po moich włosach jakby sprawdzał, czy nie ma więcej rzepek, choć wiedziałam, że wszystkie już zniknęły, i on prawdopodobnie też. Zatrzymał się, uśmiechając się do mnie, potem wziął głęboki wdech.

- Nie wygląda na to, żebyśmy byli sami.

Popatrzał na mnie, i wiedziałam, że czeka na moje potwierdzenie – na moje przyznanie mu racji, że jeśli spróbuję, mogę wyczuć zapach życia paczki w ukryciu wszędzie wokół nas. Zamiast tego, znów wyciągnęłam do niego rękę.

- Prowadź, detektywie.

Wyraz twarzy Sama zrobił się odrobinę tęskny, lecz prowadził mnie przez podszyt w górę po stopniowym wzniesieniu. Wedle jego obietnicy, było lepiej. Kolce rozrzedzały się, a drzewa rosły coraz wyżej i proście, ich gałęzie nie zaczynały się niżej niż pięć stóp ponad naszymi głowami. Biała, złuszczone kora brzozy wyglądała maślanie w długim, nachylającym się popołudniowym świetle, a ich liście były delikatnie złote. Odwróciłam się do Sama, a jego oczy odbiły się w moim kierunku tą samą cudowną żółcią.

Nagle zastygłam w bezruchu. To były moje lasy. Żłociste lasy, w które zawsze uciekałam w mojej wyobraźni. Sam, obserwując moją twarz, puścił moją dłoń i odsunął się, by na mnie popatrzeć.

- Dom – powiedział. Chyba czekał, aż coś powiem. A może i nie czekał, aż coś powiem. Może widział to na mojej twarzy. Nie miałam nic do powiedzenia – po prostu rozglądałam się w skrzącym się świetle i liściach wiszących na gałęziach niczym pióra.

- Hej – Sam ujął moje ramię, patrząc bokiem na moją twarz, jakby szukał łez. – Wyglądasz zasmucona.

Obróciłam się w powolnym kole; powietrze wokół mnie zdawało się nakrapiane i tętniące życiem. Powiedziałam:

- Zwykłam wyobrażać sobie jak tu przychodzę, gdy byłam młodsza. Nie mogę tylko rozgryźć, w jaki sposób mogłabym je widzieć.

Najprawdopodobniej gadałam bzdury, lecz wciąż mówiłam, starając się to wywnioskować.

- Lasy za moim domem tak nie wyglądają. Żadnych brzoź. Żadnych żółtych liści. Nie wiem, jak bym ten las rozpoznała.

- Może ktoś ci o nim mówił?

- Chyba pamiętałabym gdyby ktoś mi powiedział każdy maleńki detal o tej części lasów, aż po kolor skrzącego się powietrza. Nie wiem nawet, jak ktoś mógłby mi to wszystko powiedzieć.

Sam powiedział:

- Mówiłem ci. Wilki mają śmieszne sposoby na komunikowanie się. Pokazują sobie obrazy, gdy są blisko siebie.

Odwrociłam się do miejsca, w którym stał, ciemny kleks w zetknięciu ze światłem, i obdarzyłam go spojrzeniem.

- Nie masz zamiaru przestać, czyż nie?

Sam po prostu miarowo się na mnie patrzył, cichym, łubinowym wzrokiem który tak dobrze znałam, smutnym i skupionym.

- Dlaczego wciąż to przywołujesz?

- Zostałaś ugryziona – powoli mnie okrążył, szurając stopą o liście, patrząc na mnie spod jego ciemnych brwi.

- Więc?

- Więc chodzi o to, kim jesteś. Chodzi tu o ciebie będącą jedną z nas. Nie rozpoznałabyś tych lasów, gdybyś również nie była wilkiem, Grace. Tylko jeden z nas byłby w stanie ujrzeć to, co ci pokazałem. – jego głos był tak poważny, jego oczy tak głębokie. – Nie mógłbym... nie mógłbym nawet w tej chwili z tobą rozmawiać, gdybyś nie była taka jak my. Nie powinniśmy rozmawiać o tym, kim jesteśmy z normalnymi ludźmi. Nie to że mamy tonę reguł według których musimy żyć, lecz Beck powiedział mi że to jedyna reguła której po prostu nie łamiemy.

To dla mnie nie miało sensu.

- Czemu nie?

Sam nic nie powiedział, lecz jego palce dotknęły jego szyi w miejscu, gdzie go postrzelono; gdy to zrobił, ujrzałam blade, lśniące blizny na jego nadgarstkach. Wieczne noszenie dowodu ludzkiej przemocy przez kogoś tak delikatnego jak Sam wydawało się niewłaściwe. Zadrzałam w rosnącym ziąbku popołudnia. Głos Sama był delikatny.

- Beck opowiadał mi historie. Ludzie zabijają nas na wszelkiego rodzaju okropne sposoby. Giniemy w laboratoriach, i zostajemy rozstrzelani, i zatrują nas. Może i nauka nas zmienia, Grace, lecz wszystkim tym, co widzą ludzie, jest magia. Wierzę Beckowi. Nie możemy się zdradzać ludziom, którzy nie są jak my.

Powiedziałam:

- Nie zmieniam się, Sam. Naprawdę nie jestem taka jak ty. - rozczarowanie wywołało gulę w moim gardle, której nie mogłam przełknąć.

Nie odpowiedział. Staliśmy razem w lesie przez długą chwilę zanim westchnął i znów przemówił.

- Po tym jak zostałaś ugryziona, wiedziałem co by się stało. Czekałem na twoją przemianę, każdej nocy, bym mógł cię odnieść i powstrzymać od zrobienia krzywdy. – chłodny powiew wiatru uniół jego włosy i posłał deszcz złotych liści migoczących naokoło niego. Rozwinął ramiona, pozwalając im upaść na jego dłonie. Wyglądał ja ciemny anioł w wiecznym, jesiennym lesie.

- Wiedziałaś, że dostajesz jeden szczęśliwy dzień za każdy, który złapiesz?

Nie wiedziałam co miał na myśli, nawet po tym gdy otworzył swoją piąstkę by pokazać mi drżące liście zmięte w jego dłoni.

- Jeden szczęśliwy dzień za każdy spadający liść, który złapiesz. – głos Sama był niski.

Obserwowałam jak krańce liści powoli się rozwijają, trzepocąc w wietrzyku.

- Jak długo czekałeś?

Byłoby nieznośnie romantycznie gdyby miał odwagę spojrzeć mi w twarz i to powiedzieć, lecz miał tego spuścić wzrok w ziemię i szurał butem w liściach – niezliczonych szansach na szczęśliwe dni – leżących na ziemi.

- Nie przestałem.

Ja również powinnam była powiedzieć coś romantycznego, lecz również nie miałam odwagi. Więc zamiast tego obserwowałam nieśmiały sposób, w jaki przeżuwa swoją wargę i studiując liście, i powiedziałam:

- To musiało być bardzo nudne.

Sam zaśmiał się, śmiesznym, nazbyt skromnym śmiechem.

- Dużo czytałaś. I zbyt dużo czasu spędzałaś przy kuchennym oknie, gdzie nie mogłem cię zbyt dokładnie dojrzeć.

- I nie wystarczająco czasu prawie że naga w środku mojego sypialnianego okna? - dokuczałam.

Sam zrobił się jasnoczerwony.

- To – powiedział – jest tak odległe od tematu rozmowy.

Uśmiechnęłam się słodko na jego zażenowanie, zaczynając znów chodzić, podrzucając kopniakami złote liście. Słyszałam, jak szura za mną liśćmi.

- To jeszcze raz, jaki był temat?

- Zapomnij! – powiedział Sam. – Podoba ci się tu czy nie?

Zatrzymałam się nagle, obracając się by stawić mu czoła.

- Hej.- wskazałam na niego; on wzniosł brwi i również nagle się zatrzymał. – Wcale nie myślałaś, że Jack tu będzie, nie?

Jego grube, ciemne brwi jeszcze bardziej się wydłużyły.

- Czy w ogóle miałaś zamiar go szukać?

Trzymał ręce w górze jakby w geście poddania się.

- Co chcesz, żebym ci powiedział?

- Chciałeś zobaczyć, czy rozpoznam ten las, czyż nie? – wzięłam kolejny krok, zmniejszając odległość między nami. Mogłam wyczuć żar jego ciała, nawet go nie dotykając, w wzrastającym zimnie dnia. – W jakiś sposób powiedziałeś mi o tym lesie. Jak mi go pokazałeś?

- Staram się ci powiedzieć, ale nie słuchasz, bo jesteś uparta. To nasz sposób mówienia – to jedyne słowa, które mamy. Jedynie obrazy. Proste, małe obrazy. Zmieniłaś się Grace, jedynie twoja skóra się nie zmieniła. Chcę, byś mi uwierzyła. – jego dłonie wciąż były uniesione, lecz zaczynał szeroko się do mnie uśmiechać w zawodzącym świetle.

- Więc przyprowadziłeś mnie tu jedynie po to, bym to zobaczyła. – znów postąpiłam naprzód, a on się odsunął.

- Podoba ci się?

- Pod pozorami. – kolejny krok naprzód; kolejny w tył. Jego szeroki uśmiech rozszerzył się jeszcze bardziej.

- Więc podoba ci się?

- Gdy wiedziałeś że nie wpadniemy tu na nikogo.

Jego zęby błyszczały w jego szerokim uśmiechu.

- Podoba ci się?

Uderzyłam rękami o jego klatkę.

- Wiesz że tak. Wiedziałeś, że mi się to spodoba.

Podeszłam by znów go uderzyć pięścią, a on chwycił moje nadgarstki. Przez chwilę staliśmy tam w ten sposób – on patrzący na mnie z połowicznym uśmiechem na twarzy, i jak patrząca na niego: Martwa natura z Chłopcem i Dziewczyną. To byłby idealny moment na pocałowanie mnie, lecz tego nie zrobił. Po prostu na mnie patrzył i patrzył, i z czasem gdy zdałam sobie sprawę że równie dobrze ja mogłam go pocałować, zauważyłam że jego szeroki uśmiech zniknął.

Sam powoli rozluźnił moje nadgarstki i uwolnił je.

- Cieszę się – powiedział, bardzo cicho.

Moje ramiona wciąż wisały przy moich bokach, dokładnie tam, gdzie Sam je położył. Zmarszczyłam czoło.

- Powinieneś był mnie pocałować.

- Myślałem nad tym.

Po prostu patrzyłam na delikatny, smutny kształt jego warg, wyglądających tak, jakim był jego głos. Prawdopodobnie się gapiłam, lecz nie mogłam przestać myśleć o tym jak bardzo chciałam go pocałować i jak głupim było to, że tak mocno tego chciałam.

- Czemu więc tego nie zrobisz?

Pochylił się i obdarzył mnie najłżejszym z pocałunków. Jego wargi, zimne i suche, tak uprzejme i niewiarygodnie doprowadzające do szału.

- Muszę niedługo wejść do środka – wyszeptał. – Robi się zimno.

Po raz pierwszy zwróciłam uwagę na lodowaty wiatr który przecinał moje długie rękawy. Jeden z chłodnych powiewów cisnął tysiącami spadniętych liści z powrotem w powietrze i przez sekundę pomyślałam, że wyczułam wilka.

Sam wzruszył ramionami.

Zerkając na jego twarz w przyciemnionym świetle, nagle zdałam sobie sprawę, że w jego oczach czaił się strach.

** slim-jim to taki cieńki skrawek metalu, którym otworzysz praktycznie każdy zamek ;)*

ROZDZIAŁ 25

SAM

3°C

Nie wróciliśmy do domu. Powrót mógłby oznaczać przyznanie się do czegoś, na co nie byłem jeszcze przed nią gotowy – do tego, czym byłem. Zamiast tego, szliśmy sadząc olbrzymie kroki, deptając po drodze suche liście i gałęzie trzaskające pod naszymi stopami, nasze oddechy zagłuszały inne odgłosy wieczora. Ziąb wślizgnął się za mój kołnierz, wywołując na mojej skórze gęsią skórkę.

Jeśli nie puszcze jej ręki, będzie ze mną wszystko w porządku.

Skręt w złą stronę mógłby nas zaprowadzić z dala od domu, ale nie mogłem skoncentrować się na otaczających mnie drzewach. Nachodziły mnie wizje wyblakłych wspomnień ludzi zmieniających się w wilki, setki zmian w przeciągu tych lat, które spędziłem w paczce. Wspomnienie pierwszego razu, gdy ujrzałem zmieniającego się Beck'a, było żywe w mojej pamięci – prawdziwsze niż krzyczący czerwienią zachód słońca widoczny zza drzew przede mną i Grace. Pamiętam zimne białe światło sączące się przez okna salonu w domu Beck'a, a także chwiejną linię jego ramion, gdy opierał ręce o oparcie kanapy.

Stanąłem przy nim, wpatrzony, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

- Zabierzcie go stąd! – wrzasnął Beck zwrócony twarzą w stronę holu i z na wpół przymkniętymi oczami. – Urlik, zabierz stąd Sama!

Palce Urlika oplotły się wtedy wokół mojej ręki tak samo ciasno, jak palce Grace wokół mojej dłoni teraz, ciągnąc mnie przez las, zawracając nas na ścieżkę, z której wcześniej zboczyliśmy. Noc opadała między drzewa, czekając by nas wyprzedzić, zimna i czarna. Ale Grace nie spuszczała wzroku z jarzącego się poprzez drzewa słońca, zwrócona do niego twarzą.

Błyszczące promienie zachodzącego słońca w połowie mnie oślepiły, zmieniając drzewa w surowe sylwetki, i nagle znów miałem siedem lat. Ujrzałem gwieździsty wzór mojej starej kołdry tak wyraźnie, że potknąłem się. Moje palce kurczowo trzymały materiał, zwijając go w kłębek i drąc pod naciskiem chwytu.

- Mamo! – Mój głos załamał się na drugiej sylabie. – Mamo, niedobrze mi!

Leżałem na podłodze zaplątany w koce głośno wymiotując, trzęsąc się i rzucając po podłodze, usiłując złapać się czegokolwiek, kiedy moja matka przekroczyła próg sypialni, znajoma sylwetka. Spojrzałem na nią, policzkiem opierając się o podłogę, i zacząłem wymawiać jej imię, jednak żaden dźwięk nie wydobył się z moich ust.

Padła na kolana i po raz pierwszy zobaczyła, jak się zmieniam.

- Nareszcie – powiedziała Grace, sprowadzając mój umysł z powrotem do otaczającego nas lasu. Ciężko oddychała, jak gdybyśmy biegli. – Tutaj jest.

Nie mogłem pozwolić, żeby Grace zobaczyła jak się zmieniam. Nie mogłem zmienić się teraz.

Podążyłem za wzrokiem Grace na tyły domu Beck'a, ciepły czerwono-brunatny przebłysk, w tym chłodnym błękitnym wieczorze.

A teraz ja biegłem.

Dwa kroki od samochodu, całe moje nadzieje na ogrzanie się w Bronco legły w gruzach w momencie, gdy Grace bezużytecznie szarpała zamknięte na klucz drzwiczki. W środku, kluczyki tkwiące w stacyjce zakotły się od jej wysiłków. Twarz Grace wykrzywiła się z frustracją.

– Musimy sprawdzić dom – powiedziała.

Nie musieliśmy włamywać się do domu Beck'a. Zawsze zostawiał dodatkowy klucz pod wycieraczką przy tylnych drzwiach. Próbowałem nie myśleć o kluczykach wiszących w stacyjce Bronco; gdybyśmy je mieli, już byłbym ogrzany. Moje ręce zdrząły, gdy wyciągnąłem klucz spod wycieraczki i spróbowałem wsunąć go w martwy zamek. Już byłem obolały. Pośpiesz się, ty idioto. Pośpiesz się.

Po prostu nie mogłem przestać się trząść.

Grace ostrożnie wzięła ode mnie klucz, bez krzty strachu, chociaż musiała wiedzieć, co się dzieje. Zamknęła moją zimną rękę w swojej ciepłej i drżącej dłoni, a drugą wsunęła klucz w zamek i otworzyła go.

Boże, błagam, niech prąd będzie włączony. Niech ogrzewanie będzie włączone.

Jej ręka na moim łokciu pchnęła mnie do ciemnej kuchni. Nie mogłem znieść tego zimna; ogarniało mnie całkowicie. Moje mięśnie zaczęły się kurczyć, przycisnąłem palce do mojej twarzy, zgarbiłem ramiona.

– Nie – powiedziała Grace, głosem cichym i opanowanym, jak gdyby odpowiadała na proste pytanie. – Nie, no dalej.

Odsunęła mnie od drzwi i zamknęła je za mną. Jej dłoń sunęła wzdłuż ściany przy drzwiach, znajdując włącznik, i nagle światło zamigotało, ocknąwszy się nad nami do życia brzydką fluorescencyjną poświatą. Grace pociągnęła mnie raz jeszcze, odciągając mnie dalej od drzwi, ale ja nie chciałem się ruszać. Chciałem zamknąć się w sobie i poddać.

– Nie mogę, Grace. Nie mogę.

Nie wiedziałem, czy powiedziałem to na głos czy nie, ale nawet gdyby, to ona i tak mnie nie słuchała. Zamiast tego, posadziła mnie na podłodze dokładnie pod otworem wentylacyjnym, zdjęła kurtkę i owinęła ją wokół moich ramion i czubka mojej głowy. Wtedy przykucnęła przede mną i przygarnęła moje zimne ręce do swojego ciała.

Zacisnąłem zęby, by ustrzec się przed paplaniną, próbując skupić się na niej, na byciu człowiekiem, na ogrzaniu się. Mówiła coś, ale nie mogłem jej zrozumieć. Była zbyt głośna.

Wszystko było zbyt głośne. Pachniało tutaj. W tej bliskości jej zapach eksplodował w moich nozdrzach. To bolało. Wszystko bolało. Zajęczałem cichutko.

Skoczyła na równe nogi i pobiegła wzdłuż holu, trzaskając dłońmi we włączniki światła, a gdy to zrobiła zniknęła. Jęknąłem i położyłem głowę na kolanach. Nie, nie, nie, nie. Nawet nie wiedziałem, z czym miałbym nadal walczyć. Z bólem? Z drzeniem?

Wróciła. Miała mokre ręce. Złapała mnie za nadgarstki, jej usta się poruszały, lecz rozlegający się głos był nie do rozszyfrowania. Brzmiał, jakby był przeznaczony dla uszu kogoś innego. Gapiłem się na nią.

Pociągnęła mnie znowu; była silniejsza niż myślałem. Stałem na nogach, mój wzrost w jakiś sposób mnie zaskoczył. Zadrzałem tak gwałtownie, że jej kurtka spadła z moich ramion. Powiew zimnego powietrza uderzył w moją szyję wywołując kolejną falę dreszczy, nieomal osunąłem się na kolana.

Grace chwyciła mnie lepiej za ramiona i pociągnęła za sobą, mówiąc przez cały czas niskim, łagodnym głosem. Pchnęła mnie w stronę drzwi, zza których wydobywało się gorąco.

Boże, nie. Nie. Nie. Walczyłem z jej uściskiem, utkwivszy wzrok w wykafelkowanej ścianie małego pomieszczenia. Wanna stała przede mną jak grobowiec. Para wydobywała się z wody, gorąco było takie kuszące i wspaniałe, ale każda część mojego ciała sprzeciwiała się.

– Sam, nie walcz ze mną! Przepraszam. Przepraszam, nie wiem, co jeszcze zrobić.

Z oczyma utkwionymi w wannie, zahaczyłem palce o krawędź drzwi.

– Proszę – szepnąłem.

W mojej głowie pojawił się obraz rąk przytrzymujących mnie na dnie wanny, rąk pachnących dzieciństwem i znajomością, objęciami i czystą pościelą oraz wszystkim, co kiedykolwiek znałem. Wepchnęli mnie do wody. Była ciepła, jak temperatura mojego ciała. Głosy zaczęły odliczać razem. Nie wymawiali mojego imienia. Tnij. Tnij. Tnij. Tnij. Rozdłubywali dziury w mojej skórze, pozwalając wypłynąć temu, co było pod nią. Woda zaczerwieniła się od cienkich, rozwichrzonych strużek. Dyszałem, walczyłem, płakałem. Nie odzywali się. Przytrzymując mnie kobieta roniła łzy do wody. Jestem Sam, mówiłem im trzymając głowę powyżej czerwonej wody. Jestem Sam, jestem Sam, jestem...

– Sam! – Grace oderwała mnie od drzwi i pchnęła na ścianę, potknąłem się i przechyliłem w kierunku wanny; trąciła mnie, ponieważ walczyłem, by odzyskać równowagę, uderzyłem głową w ścianę, a następnie wpadłem do wanny.

Leżałem całkowicie nieruchomo, tonąc. Woda zamykająca się nad moją twarzą parzyła skórę, ogrzewając moje ciało i zatapiając ramiona. Grace delikatnie uniosła moją głowę nad wodę, układając ją ostrożnie w swoich ramionach, z jedną stopą w wannie za mną. Była przesiąknięta wilgocią i drżała.

– Sam – powiedziała. – Boże, przepraszam. Tak mi przykro. Przepraszam. Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić. Proszę wybaczyć mi. Przepraszam.

Nie mogłem przestać się trząść, z palcami uczezionymi brzegu wanny. Chciałem się stamtąd wydostać. Chciałem, by mnie objęła, żebym mógł poczuć się bezpieczny. Chciałem zapomnieć o krwi wypływającej z blizn na moich nadgarstkach.

- Wyciągnij mnie – wyszeptałem. – Proszę wyciągnij mnie stąd.
- Zagrzałeś się już wystarczająco?

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Wykrwawiałem się na śmierć. Zwinąłem dłonie w pięści i przyciągnąłem je do klatki piersiowej. Każda pieszczota wody na moich nadgarstkach wysyłała nową falę drgawek przez moje ciało. Jej twarz była pełna bólu.

- Idę znaleźć termostat i podkręcić ogrzewanie. Sam, musisz tutaj zostać dopóki nie wrócę z ręcznikami. Tak bardzo mi przykro.

Zamknąłem oczy.

Trwałem z głową ledwie uniesioną ponad wodę, niezdolny do poruszenia się, gdy Grace wróciła z naręczem wymieszanych ręczników. Uklękła przy wannie, sięgnęła za mnie, i usłyszałem bulgotanie za moją głową. Poczułem jak zsuwam się razem z wodą w odpływ, w okrężnych czerwonych zawijasach.

- Nie wyciągnę cię, jeśli mi nie pomożesz. Proszę, Sam. – Gapiła się na mnie, jakby czekała aż się poruszę. Woda odpłynęła z moich nadgarstków, ramion, pleców, aż w końcu leżałem w pustej wannie. Grace okryła mnie ręcznikiem, był bardzo ciepły, jakby ogrzała go w jakiś sposób. Następnie wzięła jeden z moich okaleczonych nadgarstków w swoją dłoń i spojrzała na mnie. – Teraz możesz wyjść.

Spojrzałem na nią, nieruchomy, moje nogi przylegały do wykafelkowanej ściany jak jakiś olbrzymi owad.

Sięgnęła w dół i odnalazła moje brwi.

- Masz naprawdę piękne oczy.
- Możemy je zatrzymać – powiedziałem.
- Co? – Grace zaczęła zanim zamilkłem.
- To jedyne, co zatrzymujemy. Nasze oczy pozostają takie same. – Rozluźniłem pięści. – Urodziłem się z takimi oczami. Urodziłem się dla takiego życia.

Jakby nie było żadnej goryczy w moim głosie, Grace odpowiedziała:

- Cóż, są piękne. Piękne i smutne. – Sięgnęła w dół po moje palce, jej wzrok zatrzymał się na moim, wytrzymując moje spojrzenie. – Myślisz, że możesz już wstać?

I wstałem. Patrząc w jej brązowe oczy, wyszedłem z wanny, a ona wyprowadziła mnie z łazienki, sprowadzając mnie na powrót do życia.

ROZDZIAŁ 26

GRACE

1,6°C

Nie mogłam zebrać myśli do kupy. Stałam w kuchni gapiąc się na szafki, które były pokryte poprzypinanymi do nich fotografiami uśmiechniętych ludzi – członków paczki w ludzkiej postaci. Normalnie zaczęłabym szukać wzrokiem pomiędzy nimi twarzy Sama, ale wciąż miałam przed oczami kształt jego rozbitego ciała leżącego w wannie, a w uszach dzwoniło mi przerażenie słyszalne w jego głosie. Wizja trzęsącego się go w lesie tuż przed tym, gdy zdałam sobie sprawę, co się dzieje powtarzała się w mojej głowie ciągle i ciągle od nowa.

Rondel. Puszka zupy. Chleb z zamrażarki. Łyżki. Kuchnia Beck'a była prowadzona przez kogoś, kto był zaznajomiony z dziwnym harmonogramem wilkołaków; była pełna puszkowanego i pakowanego jedzenia z długimi terminami ważności. Ustawiłam w rzędzie na ladzie wszystkie składniki potrzebne do przygotowania prowizorycznego obiadu, zmuszając się do koncentrowania się na wykonywanym zadaniu.

W pokoju obok, Sam siedział pod kocem na kanapie, jego ubrania zaniostałam do pralni. Moje jeansy wciąż były wilgotne, ale musiały poczekać. Włączając palnik pod rondlem, spróbowałam skupić się na zgrabnych czarnych pokrętłach, błyszczącej powierzchni aluminium.

Ale zamiast tego przypominałam sobie Sama leżącego w konwulsjach na podłodze, z zamkniętymi oczami i zwierzęcym jękiem, kiedy zdał sobie sprawę, że zatracą się.

Moje ręce zadrżały, gdy przechyliłam puszkę z zupą do rondla.

Nie mogłam ogarnąć tego w całości.

Chciałabym to ogarnąć.

Widziałam wyraz jego twarzy, kiedy wepchnęłam go do wanny, podobnie jak musieli to zrobić jego rodzice.

Boże, nie mogłam o tym myśleć. Otwierając lodówkę, byłam zaskoczona widokiem mleka w kartonie, pierwsze łatwo psujące się jedzenie, jakie znalazłam w domu. Było to tak nie na miejscu, że poczułam jak moje myśli się wyostają. Sprawdziłam datę ważności – minęła dopiero trzy tygodnie temu – wylałam śmierdzące mleko prosto do zlewu i zajrzałam do lodówki w poszukiwaniu innych oznak nowego życia.

Sam wciąż leżał zwinięty na kanapie, kiedy wyszłam z kuchni, by podać mu miskę z zupą i tosta. Zaakceptował ten fakt z jeszcze bardziej żalnym spojrzeniem niż zwykle.

– Musisz myśleć, że jestem totalnym świrem.

Usiadłam na krześle przykrytym pledem naprzeciw niego, chowając nogi pod siebie, i trzymając swoją miskę z zupą przy klatce piersiowej dla ogrzania. Sufit salonu ciągnął się po sam dach i pokój był wciąż przewiewny.

– Tak bardzo mi przykro.

Sam potrząsnął głową.

- To była jedyna rzecz, jaką mogłaś zrobić. Ja po prostu – nie powinienem był zatracić się w ten sposób.

Skrzywiłam się, przypominając sobie trzask jego uderzającej o ścianę głowy i rozcapierzone palce chwytające powietrze, gdy wpadał do wanny.

- Bardzo dobrze zrobiłaś – powiedział Sam, rzucając na mnie okiem i dłubiąc w toście. Wydawał się rozważać swoje słowa, i powtórzył: - Bardzo dobrze zrobiłaś. Czy ty... - zawahał się i spojrzał w stronę, gdzie siedziałam, kilka stóp od niego. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że pusta przestrzeń na kanapie obok niego stała się boleśnie oczywista.
- Nie boję się ciebie! – powiedziałam. – Czy to jest to, o czym myślisz? Po prostu pomyślałam, że chciałbyś trochę wolnej przestrzeni podczas jedzenia.

Faktycznie, w każdej innej chwili z radością wślizgnęłabym się z nim pod koc – zwłaszcza z nim wyglądającym tak ciepło i seksownie w zestawie starych bluz wyciągniętych z jego pokoju. Ale ja po prostu chciałam – po prostu potrzebowałam uporządkować swoje myśli, a nie sądzę bym mogła to zrobić siedząc tuż obok niego.

Sam uśmiechnął się z wyrazem ulgi na twarzy. – Smaczna ta zupa.

- Dzięki. – W rzeczywistości nie była aż taka dobra, smakowała jak puszka i była mdła, ale byłam na tyle głodna, że mnie to nie obchodziło. A mechaniczne wykonywanie czynności, jaką było jedzenie, pomogło mi pozbyć się z głowy obrazu Sama w wannie.
- Opowiedz mi coś więcej o waszym umysłowym połączeniu – powiedziałam, chcąc zająć go rozmową, by móc słyszeć jego ludzki głos.

Sam przełknął. – Umysłowym-czym?

- Powiedziałaś, że pokazałeś mi lasy, kiedy byłeś wilkiem. I że wilki w ten sposób ze sobą rozmawiają. Powiedz mi o tym coś więcej. Chcę wiedzieć jak to działa.

Sam pochylił się do przodu, aby postawić miskę na podłodze, a gdy usiadł z powrotem i popatrzył na mnie, jego twarz wyglądała na zmęczoną. – To nie jest tak.

- Nie mówiłam, że to jest jak coś takiego! – powiedziałam. – Nie jak co?
- To nie jest supermoc – odpowiedział. – To nagroda pocieszenia. - Gdy na niego spojrzałam, dodał: - To jedyny sposób, w jaki możemy się komunikować. Nie możemy pamiętać słów. Nie moglibyśmy ich wypowiedzieć, nawet gdybyśmy owinęli swoje wilcze mózgi wokół nich. Więc wszystkim, co dostajemy, są małe obrazki, które możemy sobie wysłać. Proste obrazki. Pocztówki z drugiej strony.
- Możesz mi teraz jeden wysłać?

Sam zgarbił się na kanapie, ciaśniej owijając się kocem. – Nawet nie pamiętam jak to teraz robić. Kiedy jestem sobą. Robię to tylko wtedy, gdy jestem wilkiem. Dlaczego miałbym tego teraz potrzebować? Mam słowa. Mogę ci powiedzieć cokolwiek zechcę.

Pomyślałam o mówieniu, że słowa nie wystarczą, ale na samą myśl o tym poczułam, że to boli w nieznanym mi sposób. Więc zamiast tego powiedziałam: - Ale ja nie byłam wilkiem,

kiedy pokazałeś mi lasy. Więc wilki mogą porozumiewać się z innymi członkami paczki, kiedy ci są ludźmi?

Sam rzucił na mnie spojrzeniem spod ciężkich powiek. – Nie wiem. Nigdy nie próbowałem tego z kimkolwiek innym. Tylko z wilkami. – Znowu powiedział: - Dlaczego miałbym tego potrzebować?

Było coś gorzkiego i zmęczonego w jego głosie. Postawiłam swoją miskę na niskim stoliku i dołączyłam do niego na kanapie. Podniósł koc tak, abym mogła przylgnąć do jego boku, a potem oparł swoje czoło o moje, zamykając oczy. Przez dłuższą chwilę po prostu odpoczywał, aż ponownie otworzył oczy.

- Jedyne, o co się troszczyłem, to by pokazać ci, jak znaleźć się w domu – powiedział niskim głosem. Jego oddech ogrzało moje usta. – Gdybyś się zmieniła, chciałem mieć pewność, że będziesz wiedziała jak mnie znaleźć.

Przebiegłam palcami w poprzek trójkąta nagiej klatki piersiowej, która była widoczna nad luźnym kołnierzykiem jego sportowej bluzy. Mój głos wyszedł trochę nierówny: - Cóż, znalazłam cię.

Suszarka zabrzęczała z korytarza, dziwny dźwięk bytności w tym pustym domu. Sam zamrugał i odchylił się do tyłu. – Powinienem wyjąć swoje ubrania. – Otworzył usta, jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze, i nagle się zarumienił.

- Ubrania nigdzie nie pójdą – powiedziałam.
- Podobnie jak my, jeżeli nie włamiemy się do Bronco po kluczyki. – Sam wskazał. – Myślę, że lepiej prędzej niż później. Szczególnie, że musisz to zrobić ty. Nie mogę pozostać na zewnątrz tak długo.

Niechętnie cofnęłam się, aby mógł wstać, owinięty wokół kocem niczym jakiś prymitywny wódz. Mogłam dostrzec pod nim zarys jego kanciastych ramion i pomyślałam o dotyku jego skóry pod moimi palcami. Zobaczył, jak na niego patrzyłam i przez pół sekundy wytrzymał mój wzrok zanim zniknął w ciemnym korytarzu.

Coś gryzło mnie w środku, głodne i pragnące.

Usiadłam na kanapie po tym jak wyszedł, debatując czy pójść za nim do pralni, aż w końcu zdecydowałam. Zabrałam talerze do kuchni, po czym wróciłam do salonu, żeby porozglądać się po zdjęciach stojących na kominku. Chciałam rozgryźć wilkołaka, którego nazywał Beck, posiadacza tego domu. Tego, który wychował Sama.

Salon, jak zewnętrzna strona domu, wyglądał wygodnie i na zamieszkały. Wszystko było zaakcentowane w szkocką kratę i ciemne drewno. Jedna ściana w salonie prawie w całości składała się z wysokich okien, i teraz ponura, ciemna noc wydawała się wkraczać do pokoju bez pozwolenia. Skierowałam się plecami w stronę okien i popatrzyłam na zdjęcia na kominku: luźno upozowana grupa twarzy uśmiechająca się do obiektywu aparatu. To sprawiło, że pomyślałam o fotce Rachel, Olivii i mnie, i poczułam ukłucie straty zanim skoncentrowałam się na ludziach na zdjęciu. Z sześciu postaci na fotografii, moje oczy natychmiast odnalazły Sama. To było jego nieco młodszą wersją, z letnią opalenizną. Jedna dziewczyna na zdjęciu stała obok niego, była mniej więcej w jego wieku, jej białe-blond włosy

sięgały jej za ramiona. Była jedyną osobą, która nie uśmiechała się do aparatu. Zamiast tego wpatrywała się w Sama z intensywnością, która sprawiła, że mój żołądek się skurczył.

Delikatny dotyk na mojej szyi sprawił, że odwróciłam się szybko, obronnie, i Sam odskoczył w tył ze śmiechem i rękami podniesionymi do góry. – Spokojnie!

Przełknęłam warknięcie w swoim gardle, czując się głupio, pocierając zdrętwiałą i mrowiącą skórę na szyi w miejscu, gdzie mnie pocałował. – Powinieneś robić jakiś hałas. – Wskazałam na zdjęcie, wciąż czując się niezycyliwie wobec nieznannej dziewczyny obok niego. – Kto to?

Sam opuścił ręce i stanął za mną, owijając ramiona wokół mojego brzucha. Jego ubranie pachniało czystością i mydłem, jego skóra wydzielala zapach wilka po jego wcześniejszej niemal transformacji. – Shelby. – Oparł swoją głowę na moim ramieniu, policzkiem naprzeciw mojego.

– Jest ładna – trzymałam mój głos na wodzy.

Sam warknął w miękki, dziki sposób, sprawiając, że moje jelita napięły się z tęsknoty. Przycisnął swoje wargi do mojej szyi, niezupełnie w pocałunku. – Poznałaś ją, wiesz?

Nie trzeba było znać fizyki jądrowej, żeby to rozszyfrować. – Biała wilczyca. – I wtedy po prostu zapytałam, ponieważ chciałam wiedzieć. – Dlaczego ona tak na ciebie patrzy?

– Och, Grace – powiedział, zabierając usta z mojej szyi. – Nie wiem. Ona jest...

Nie wiem. Myśli, że jest we mnie zakochana. Ona chce być we mnie zakochana.

– Dlaczego? – zapytałam.

Zaśmiał się lekko, wcale nie rozśmieszony. – Dlaczego zadajesz tak trudne pytania? Nie wiem. Myślę, że miała złe życie, zanim trafiła do paczki. Ona lubi być wilkiem. Lubi należeć. Zgaduję, że może widzi jak Beck i ja jesteśmy przy sobie i myśli, że bycie ze mną sprawiłoby, że należałaby jeszcze bardziej.

– Może jest w tobie zakochana właśnie z tego powodu, kim jesteś – podsunęłam.

Ciało Sama naprężyło się za mną. – Ale to, kim jestem, nie jest tego powodem. To... obsesja.

– Ja mam obsesję – powiedziałam.

Sam wypuścił długi oddech i odsunął się ode mnie.

Westchnęłam. – Nie musiałeś się odsuwać.

– Próbuję być dżentelmenem.

Pochyliłam się do niego, uśmiechając się do jego zmartwionych oczu. – Nie musisz się starać aż tak bardzo.

Wziął oddech, odczekał dłuższą chwilę, i ostrożnie pocałował mnie w szyję, tuż poniżej mojej szczęki. Odwróciłam się w jego ramionach, by móc pocałować jego usta, wciąż uroczo niepewne.

– Myślałam o lodówce – wyszeptałam.

Sam nieznacznie się odsunął, nie oddalając się od moich ramion. – Myślałaś o lodówce?

– Tak. Myślałam o tym jak mogłeś nie wiedzieć czy prąd będzie tu włączony na zimę. Ale jest.

Spojrzał na mnie z marsową miną, a ja potarłam zagięcie między jego brwiami.

- Więc kto płaci rachunki za prąd? Beck? – Gdy kiwnął głową, ciągnęłam. – W lodówce było mleko, Sam. Miało tylko kilka tygodni. Ktoś tutaj był. Niedawno.

Ramiona Sama rozluźniły się wokół mnie, a jego smutne oczy zrobiły się jeszcze smutniejsze. Jego ogólny wyraz był skomplikowany, jego twarz była książką w języku, którego nie rozumiałam.

- Sam – powiedziałam, chcąc sprowadzić go z powrotem do siebie.

Ale jego ciało zeszytniało. – Powinienem zabrać cię do domu. Twoi rodzice będą się martwić.

Zaśmiałam się krótko, bez humoru. – Taaa. Jestem tego pewna. Co jest grane?

- Nic – potrząsnął głową, ale wyraźnie był rozproszony. – To znaczy, nie miałem na myśli niczego. To był piekielny dzień, to wszystko. Po prostu jestem... po prostu jestem zmęczony, tak myślę.

Wyglądał na zmęczonego, było coś ciemnego i ponurego w jego zachowaniu. Zastanawiałam się, czy to, że omal się nie przemienił miało na niego wpływ, czy to może ja powinnam była siedzieć cicho na temat Shelby i Beck'a. – Więc wracasz do domu razem ze mną.

Szarpnął swoją brodę w kierunku domu, w którym się znajdował.

- No, dalej – powiedziałam. – Nadal obawiam się, że znikniesz.
- Nie zniknę.

Nieumyślnie, pomyślałam o nim leżącym i zwiniętym na podłodze, wydającym ciche jęki, gdy walczył, by pozostać człowiekiem. Natychmiast tego pożałowałam. – Nie możesz tego obiecać. Nie chcę wracać do domu. Nie, dopóki ty nie wracasz ze mną.

Sam jęknął cicho. Jego dłonie otarły się o nagą skórę u dołu krawędzi mojego T-shirta, jego kciuki odnajdywały ochotę z mojej strony. – Nie kuś mnie.

Nie odezwałam się, tylko stałam w jego ramionach patrząc na niego.

Wcisnął twarz w moje ramiona i jęknął znowu. – Tak trudno sprawować się jak należy przy tobie. – Odsunął się ode mnie. – Nie wiem czy nadal powinienem z tobą zostawać. Boże, masz dopiero, ile? Masz dopiero siedemnaście lat.

- A ty jesteś taki stary, prawda? – powiedziałam z defensywą w głosie.
- Osiemnaście – powiedział, jakby to był powód do smutku. – Przynajmniej jestem pełnoletni.

Zaśmiałam się, chociaż nie było w tym nic zabawnego. Moje policzki płonęły, a serce waliło w piersiach. – Żartujesz sobie ze mnie?

- Grace – powiedział, a brzmienie mojego imienia natychmiast spowolniło moje serce. Wziął mnie za rękę. – Po prostu chcę zachowywać się właściwie, w porządku? Mam jedyną okazję, aby robić właściwe rzeczy z tobą.

Popatrzyłam na niego. Pokój milczał, z wyjątkiem szumu liści za oknami. Zastanawiałam się, jak w tej chwili wygląda moja twarz, zwrócona do Sama. Czy to było to samo intensywne spojrzenie, co u Shelby na fotografii? Obsesja?

Zimna noc naciskała na okno obok nas, groźba, która została nagle urzeczywistniona dziś wieczorem. Tu nie chodziło o pożądanie. Tu chodziło o strach.

- Proszę, wróć ze mną – powiedziałam. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby odmówił. Nie mogłam znieść tego, że wracając tu jutro, mogłabym odnaleźć go jako wilka.

Sam musiał to ujrzeć w moich oczach, ponieważ tylko skinął głową i poszedł po wytrych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

SAM

3°C

Rodzice Grace byli w domu.

- Nigdy nie m ich w domu – powiedziała Grace, w jej głosie wyraźnie dało się słyszeć irytację. Ale jednak tu byli, lub przynajmniej ich samochody: Taurus jej ojca, srebrny albo niebieski w świetle księżyca, i zaparkowany przed nim mały VW Rabbit jej matki.
- Nawet nie myśl o powiedzeniu „a nie mówiłem” – powiedziała. – Wejść do środka i zobaczę gdzie są, a potem wrócę tu na sprawozdanie.
- Masz na myśli, że to ja wystucham twojego sprawozdania – poprawiłem ją napinając mięśnie, żeby powstrzymać drżenie.
- Tak – odpowiedziała, wyłączając światła. – To. Zaraz wracam.

Obserwując ją jak wbiegała do domu, zsunąłem się niżej w fotelu. Nie mogłem uwierzyć, że ukrywam się w samochodzie w środku przeraźliwie zimnej nocy, czekając na dziewczynę, aż wróci i powie, że teren jest czysty i mogę pójść spać do jej pokoju. Nie na jakąś dziewczynę. Na tę dziewczynę. Grace.

Pojawiła się w drzwiach frontowych i zrobiła skomplikowany gest. Zajęło mi chwilę zrozumienie, że chodzi jej o to, żebym zgasił Bronco i poszedł za nią. Zrobiłem to, wysuwając się jak najszybciej z samochodu i śpiesząc po cichu do holu; ziąb szarpał i szczypał moją odstoniętą skórę. Nie pozwalając mi się zatrzymać, Grace popchnęła mnie prowadząc wzdłuż holu, zamykając drzwi i kierując mnie w stronę kuchni.

- Zapomniałam plecaka – oznajmiła głośno w innym pokoju.

Wykorzystałem ich rozmowę na to, by wpełznąć do sypialni Grace i cicho zamknąć za sobą drzwi. W domu było o kilkanaście stopni cieplej, za co byłem bardzo wdzięczny. Wciąż jeszcze czułem drżenie w moich mięśniach od przebywania na zewnątrz, uczucie, którego nienawidziłem.

To zimno mnie wyczerpało i nie wiedziałem jak długo Grace pozostanie ze swoimi rodzicami, więc wdrapałem się na łóżko nie włączając światła. Siedząc tam w nikłym blasku księżyca, opierając się o poduszki, pocierałem przemarznięte palce u nóg przywracając je do życia i słuchając głosu Grace dochodzącego z holu na dole. Razem z matką prowadziła sympatyczną rozmowę o komedii romantycznej, która właśnie leciała w telewizji. Zdążyłem zauważyć, że Grace i jej rodzice nie mieli żadnych problemów z rozmową o rzeczach nieistotnych. Wydawali się mieć nieograniczone zdolności do wspólnego, przyjemnego zaśmiewania się z bezsensownych tematów, lecz ani razu nie słyszałem, aby rozmawiali o czymkolwiek istotnym i znaczącym.

Było to dla mnie takie dziwne, pochodzącego ze środowiska paczki. Odkąd Beck przygarnął mnie pod swoje skrzydła, byłem otoczony przez rodzinę, a on nigdy mnie nie zawiodł, gdy potrzebowałem jego niepodzielnej uwagi. Wtedy uważałem to za całkiem naturalne, ale teraz czułem się rozpieszczony.

Wciąż siedziałem w łóżku, kiedy klamka obróciła się cichutko. Zastygłem, kompletnie nieruchomy, a następnie wypuściłem powietrze, gdy rozpoznałem oddech Grace. Zamknęła za sobą drzwi i odwróciła się do okna.

Widziałem jej zęby w przygaszonym świetle. – Jesteś tu? – szepnęła.

- Gdzie twoi rodzice? Mają zamiar tu przyjść i mnie zastrzelić?

Grace zamilkła. Ukryta w cieniu, nie wydając z siebie głosu, pozostawała dla mnie niewidoczna.

Właśnie miałem coś powiedzieć, by rozwiązać tę dziwnie niekomfortową sytuację, kiedy się odezwała.

- Nie, są na górze. Mama ustawia Tatę w pozie, żeby go namalować. Więc możesz iść umyć zęby i takie tam. Pod warunkiem, że zrobisz to szybko. Wystarczy, że będziesz śpiewał wysokim głosem, a pomyślą, że to ja. – Jej głos stwardniał, gdy powiedziała Tata, chociaż nie mogłem sobie wyobrazić, dlaczego.
- Niemuzykalnym głosem – poprawiłem ją.

Ominęła mnie idąc do garderoby, po drodze klepiąc mnie w tyłek. – Po prostu idź.

Zostawiwszy buty w jej pokoju, przemknąłem cicho przez hol do łazienki na parterze. Był tam tylko prysznic, za co byłem ogromnie wdzięczny, Grace zawsze upewniała się czy dobrze zamknęła zasłonki, więc nie mogłem tam zaglądać, w każdym razie.

Umyłem zęby jej szczoteczką. Potem stałem tam, chudy nastolatek w za dużej zielonej koszulce, którą pożyczyła od swojego ojca, patrząc w lustro na moje opadające włosy i żółte oczy. Co ty wyrabiasz, Sam?

Zamknąłem oczy, w wilczy sposób nawet kiedy byłem człowiekiem, jakby ukrywając źrenice, mógłbym zmienić to, kim byłem. Wentylator z centralnego ogrzewania zaszumiał, wysyłając subtelne wibracje przez moje bose stopy, przypominając mi, że to jedyna rzecz, która trzyma mnie w ludzkiej formie. Wczesne październikowe noce były już wystarczająco zimne, by obdrzeć mnie ze skóry, a w przyszłym miesiącu, zimne będą również i dni. Co miałem robić – ukrywać się w domu Grace przez całą zimę, obawiając się każdego przeciągu?

Ponownie otworzyłem oczy, wpatrując się w nie w lustrze, dopóki ich kształt i kolor nie wyrażałyby czegokolwiek. Zastanawiałem się, co Grace we mnie widzi, dlaczego ją fascynuję. Czym byłem bez mojej wilczej skóry? Chłopcem tak bardzo wypełnionym słowami, że aż się ze mnie wylewały.

Teraz każdy zwrot, każdy wiersz, który miałem w głowie, kończył się tym samym słowem: miłością.

Musiałem powiedzieć Grace, że to był mój ostatni rok.

Wyjrzałem do holu szukając oznak jej rodziców i zakradłem się z powrotem do sypialni, gdzie Grace już była w łóżku, podłużne, miękkie wybrzuszenie pod kołdrą. Na moment puściłem wodze fantazji, wyobrażając sobie, co ma na sobie. Miałem mgliste wilcze wspomnienie jej wychodzącej z łóżka w którymś wiosennym poranku, ubranej jedynie w za duży T-shirt, i jej wyeksponowane długie nogi, kiedy wysunęła je spod kołdry. Seksowna aż do bólu.

Natychmiast poczułem wstyd za te fantazje. Przez kilka minut chodziłem przy końcu łóżka, myśląc o zimnym prysznicu i wszystkich innych rzeczach, którymi nie były Grace.

- Hej – szepnęła, mętym głosem jakby już spała. – Co ty robisz?
- Ćććśś – powiedziałem, moje policzki płonęły. – Przepraszam, że cię obudziłem. Tylko myślałem.

Jej odpowiedź została złamana ziewaniem. – To przestań myśleć.

Położyłem się do łóżka, trzymając się krawędzi materaca. Coś mnie zmieniło w ten wieczór – coś związanego z Grace, wpatrującą się we mnie niszczonego, nieruchomo leżącego w wannie, gotowego, by się poddać. Dziś wieczorem łóżko wydawało się zbyt małe, by uciec przed jej zapachem, zaspanym brzmieniem jej głosu, ciepłem jej ciała. Dyskretnie wcisnąłem między nas kilka koców i oparłem głowę na poduszce, chcąc pozwolić moim wątpliwościom odlecieć, aby pozwoliły mi spać.

Grace sięgnęła i zaczęła gładzić palcami moje włosy. Zamknąłem oczy i pozwoliłem jej doprowadzać mnie do szaleństwa. Ona rysuje wzory na mojej twarzy/ te linie tworzą niezastąpione kształty/ ta wersja mnie, którą ukrywam głęboko/ leżąc z tobą, leżąc z tobą, leżąc z tobą.

– Lubię twoje włosy – powiedziała.

Nie odpowiedziałem. Myślałem nad melodią pasującą do słów w mojej głowie.

– Przepraszam za dzisiejszy wieczór – wyszeptła. – Nie miałam zamiaru przekroczyć granicy.

Westchnąłem, gdy jej palce owinęły się wokół moich uszu i szyi. – To się dzieje tak szybko. Chcę żebyś... - zrezygnowałem z powiedzenia o miłości do mnie, bo to były tylko moje przypuszczenia – Chcę żebyś była ze mną. Zawsze tego chciałem. Ale nigdy nie pomyślałem, że to naprawdę może się zdarzyć. – Zabrzmiało to zbyt poważnie, więc dodałem: - Jestem przecież mitologicznym stworem. Technicznie rzecz biorąc, nie powinienem istnieć.

Grace zaśmiała się, nisko, tylko dla mnie. – Głuptasie. Dla mnie jesteś bardzo prawdziwy.

– Ty dla mnie też – szepnąłem.

Nastąpiła długa pauza w ciemnościach.

– Chciałabym się zmienić – powiedziała w końcu, ledwie słyszalnie. Otworzyłem oczy, chcąc zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy to mówiła. Był o wiele więcej mówiący niż jakiegokolwiek inne emocje, które widziałem malujące się na jej twarzy: niezmiernie smutny, z wykrzywionymi w tęsknocie wargami.

Wyciągnąłem do niej rękę, przykładając swoją dłoń do jej twarzy. – O nie, nie chciałabyś Grace. Nie chciałabyś.

Potrząsnęła głową na poduszce. – Czuję się taka nieszczęśliwa, gdy słyszę wycie. Czuję się okropnie, kiedy zniknąłeś w lecie.

– Och, aniołku, zabrałbym cię ze sobą, gdybym mógł. – powiedziałem, jednocześnie zaskoczony słowem aniołek, które wyszło z moich ust i poczuciem, że mam prawo ją tak nazywać. Przebiegłem dłonią po jej włosach, chwytając w palce kosmyki. – Ale ty tego nie chcesz. Z każdym rokiem tracę coraz więcej siebie.

Głos Grace był dziwny. – Powiedz mi, co się dzieje, na końcu.

Zajął mi chwilę, aby zrozumieć, co miała na myśli. – Och, na końcu. – Było tysiąc sposobów na powiedzenie jej tego, tysiąc sposobów na podkoloryzowanie tego. Grace nie dałaby się nabrać na różową wersję, jaką Beck uraczył mnie na początku, więc powiedziałem wprost. – Staję się mną – człowiekiem – coraz później każdego roku. Aż w końcu któregoś roku – myślę, że nie będę mógł się zmienić. Widziałem, jak to stało się ze starszymi wilkami. Pewnego roku, nie zamienili się znowu w ludzi i po prostu... zostali wilkami. Żyją odrobinę dłużej niż normalne wilki, ale wciąż, może z piętnaście lat.

– Jak możesz mówić o własnej śmierci w ten sposób?

Spojrzałem jej w oczy, błyszczące w słabym świetle. – Jak inaczej mógłbym o tym mówić?

– Jakbyś tego żałował.

– Żałuję tego każdego dnia.

Grace milczała, ale czułem, że analizuje to, co jej powiedziałem, pragmatycznie układając wszystko na swoim miejscu w głowie. – Byłeś wilkiem, gdy zostałeś postrzelony.

Chciałem przycisnąć palce do jej warg, by nie pozwolić słowom opuścić jej ust w tej formie. Było na to za wcześnie. Jeszcze nie chciałem, żeby to powiedziała.

Ale ona kontynuowała swoim niskim głosem. – Ominąłeś najcieplejsze miesiące w tym roku. Nie było aż tak zimno, gdy cię postrzelono. Było zimno, ale nie mroźno. A ty byłeś wilkiem. Kiedy byłeś człowiekiem w tym roku?

– Nie pamiętam – wyszeptałem.

– Co, jeśli nie zostałeś postrzelony? Kiedy znowu stałbyś się sobą?

Zamknąłem oczy. – Nie wiem, Grace. – To był idealny moment, żeby jej powiedzieć. To mój ostatni rok. Ale nie mogłem tego wydusić. Jeszcze nie. Potrzebowałem kolejnej minuty, kolejnej godziny, kolejnej nocy udawania, że to jeszcze nie koniec.

Grace powoli wzięła drżący wdech, i coś w sposobie, w jaki to uczyniła, powiedziało mi, że ona wie. Wie o wszystkim.

Nie płakała, i pomyślałem, że może ja powinienem.

Grace z powrotem wsunęła palce w moje włosy, a moje palce wciąż tkwiły w jej włosach. Nasze nagie ramiona naciskały jedno na drugie w chłodnym zetknięciu skóry. Każdy najmniejszy ruch jej ocierającego się ramienia wywoływał małe iskierki jej zapachu, kuszącego połączenia kwiatowego mydła, delikatnej woni potu i pragnienia mnie.

Zastanawiałem się, czy zdawała sobie sprawę, jak przejrzysty był jej zapach, mówił mi o jej uczuciach, kiedy ona nie określała ich głośno.

Oczywiście, widziałem, że czuje taki zapach w powietrzu tak samo często jak ja. Musiała wiedzieć, że to doprowadza mnie do szału, każde dotknięcie jej skóry na mojej, drżącej, naelektryzowanej.

Każde dotknięcie odpychało coraz dalej rzeczywistość i wiedzę o zbliżającej się zimie.

Jakby na potwierdzenie, że mam rację, Grace przysunęła się bliżej, wykopując daleko koce spomiędzy nas, przyciskając swoje usta do moich. Pozwoliłem jej rozchylić moje wargi i westchnąłem, smakując jej oddech. Usłyszałem jej cichy, gwałtowny wydech, gdy owinąłem ramiona wokół niej. Każdy z moich zmysłów szeptał do mnie w kółko, żebym przysunął się do niej jeszcze bliżej, bliżej niej, najbliżej jak tylko mogłem. Owinęła swoje nogi wokół moich i całowaliśmy się tak, aż do utarty tchu, dopóki oddalone wycie za oknem nie przywróciło mi moich zmysłów.

Grace wydała cichy odgłos rozczarowania, kiedy wyplątałem się z jej nóg, boleśnie pragnąc więcej. Przesunąłem się, aby leżeć obok niej, z palcami wciąż tkwiącymi w jej włosach. Słuchaliśmy wycia wilków za oknem, tych, które się nie zmieniły. Albo tych, które już nigdy się nie zmienią. Schowaliśmy nasze głowy jedna przy drugiej tak, by nie móc usłyszeć niczego więcej poza wyścigiem naszych serc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

GRACE

9,5°C

W poniedziałek szkoła była dla mnie jak obca planeta. Po dłuższym czasie, siedząc za kierownicą mustanga, obserwując uczniów mijających się na chodnikach, samochody okrążające parking oraz autobusy starannie zajeżdżające na miejsca, zrozumiałam, że to nie szkoła się zmieniała. To ja.

- Musisz iść do szkoły – powiedział Sam, i gdybym go nie znała, nie dosłyszałabym w jego głosie pełnego nadziei znaku zapytania. Zastanawiałam się gdzie by poszedł, gdybym ja siedziała w klasie.
- Wiem – odpowiedziałam, marszcząc brwi na widok różnokolorowych swetrów i szalów podążających do szkoły, niezbity dowód na nadejście zimy. – Tylko to wydaje się takie... - To wydawało się bez znaczenia, odłączone od mojego życia. Trudno było pamiętać, co jest ważnego w siedzeniu w klasie ze stosem notatek, które będą nic nieznaczące w przyszłym roku.

Obok mnie, Sam podskoczył zaskoczony, kiedy drzwi od strony kierowcy otworzyły się. Rachel wgramoliła się do mustanga razem ze swoim plecakiem, spychając mnie z fotela, żeby zrobić miejsce dla siebie.

Zatrzasnęła drzwi i wydała głębokie westchnienie. Samochód wydawał się przepiękny z nią w środku. – Niezła fura. – Pochyliła się do przodu i spojrzała na Sama. – Ooo, kurczę. Hej, koleś! Grace, jestem taka podekscytowana. Kawa! Jesteś na mnie wściekła?

Cofnęłam się zaskoczona. – Nie?

- To dobrze! Bo kiedy nie dzwoniłaś do mnie przez całe wieki, pomyślałam, że albo umarłaś, albo jesteś na mnie zła. A że z całą pewnością nie jesteś martwa, to myślałam, że chodzi o złość. – Zabębniła palcami w kierownicę. – Ale jesteś wkurzona na Olivię, prawda?
- Tak – powiedziałam, pomimo, że nie miałam pewności czy to wciąż prawda. Przypomniałam sobie, o co się pokłóciłyśmy, ale tak naprawdę nie pamiętałam, dlaczego to było takie znaczące. – Nie. Nie sądzę. To było głupie.
- Taa, tak myślałam. – Powiedziała Rachel. Pochyliła się do przodu i oparła brodę o kierownicę tak, by mogła patrzeć na Sama. – Więc, koleś, dlaczego siedzisz w samochodzie Grace?

Wbrew sobie, uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że to, czym był Sam musiało pozostać tajemnicą, ale on sam nie musiał nią być, prawda? I nagle poczułam potrzebę, żeby się nim pochwalić przed Rachel. – Właśnie, koleś. – Powiedziałam, skręcając szyję, by zobaczyć go tuż obok mnie. Przybrał wyraz na coś pomiędzy rozbawieniem, a wątpliwością. – Czemu siedzisz w moim wozie?

- Widocznie jestem kimś zainteresowany – powiedział Sam.
- Wow – odpowiedziała Rachel. – Jak? Długoterminowo czy krótkoterminowo?
- Tak długo, dopóki i ja będę budził zainteresowanie. – Obrócił się twarzą do mojego ramienia w niemym geście sympatii. Próbowałam nie uśmiechać się jak idiotka.
- Oh, w ten sposób, tak? W takim razie, jestem Rachel, jestem podniecona i jestem najlepszą kumpelką Grace – powiedziała wyciągając do niego rękę. Miała założone tęczowe rękawiczki bez palców, naciągnięte aż do łokci. Sam potrząsnął jej dłonią.
- Sam.

- Miło cię poznać, Sam. Idziesz tam? – Kiedy pokręcił przecząco głową, Rachel złapała mnie za rękę i powiedziała: - Taa, tak jak myślałam. W takim razie zamierzam ukraść ci tę miłą osobkę i zabrać ją ze sobą do klasy, bo inaczej się spóźnimy, a mam z nią sporo do obgadania, ponieważ ominęły ją jakieś zwariowane wilcze sprawy, bo nie rozmawia ze swoją drugą najlepszą kumpelką. Więc widzisz, musimy iść. Powiedziałabym, że normalnie nie jestem taka podekscytowana, ale w sumie to jednak trochę jestem. Chodźmy, Grace!

Wymieniliśmy z Samem spojrzenia, jego oczy wyglądały na zmartwione, i wtedy Rachel wyciągnęła mnie z samochodu. Sam przesunął się za kierownicę. Przez chwilę myślałam, że pocałuje mnie na pożegnanie, ale zamiast tego rzucił okiem na Rachel, zanim na moment położył swoje palce na mojej dłoni. Jego policzki były zaróżowione.

Rachel nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się krzywo, zanim pociągnęła mnie w stronę szkoły. Poruszyła moim ramieniem. – Więc to dlatego się nie odzywałaś, co? Ten chłopak jest słodziutki. Uczy się w domu?

Gdy już przepchnęłyśmy się przez szkolne drzwi, obejrzałam się przez ramię na mustanga. Zobaczyłam jak Sam uniósł rękę i pomachał mi, zanim zaczął wycofywać się z parkingu.

- Tak, w obu przypadkach. – Powiedziałam. – Ale o tym później. O co chodzi z tymi wilkami?

Rachel dramatycznie i kurczowo chwyciła mnie za ramiona.

- Olivia widziała jednego. Był na ich frontowej werandzie i zostawił ślady pazurów, Grace. Na drzwiach. Straszne.

Zatrzymałam się na środku korytarza, uczniowie za nami wydawali zirytowane dźwięki i przepychali się wokół nas. Powiedziałam: - Zaczekaj. W domu Olivii?

- Nie, twojej mamy. – Rachel potrząsnęła głową i zdjęła swoje kolorowe rękawiczki. – Tak, w domu Olivii. Gdybyście przestały się kłócić, mogłyby ci sama o tym powiedzieć. Tak w ogóle, to o co się pokłóciłyście? Sprawia mi ból patrzeć na to, jak moje kumpele nie grają ze sobą fair.
- Mówiłam ci, to tylko jakaś głupota. – W pewnym sensie chciałam, żeby przestała gadać, żebym mogła spróbować pomyśleć o wilku w domu Olivii. Czy to znowu był Jack? Dlaczego u Olivii?
- No cóż, wy dwie musicie się dogadać, bo chcę żebyście obie pojechały ze mną na ferie świąteczne. A wiesz, że to już niedługo. To znaczy, nie bardzo, gdy już zaczniesz wszystko planować. No dalej, Grace, po prostu zgódź się! – Zawodziła Rachel.
- Może. – Tak naprawdę to nie wilk martwił mnie najbardziej. To ślady pazurów, które zostawił. Musiałam pogadać z Olivią i dowiedzieć ile było w tym prawdy, znając zamiłowanie Rachel do dobrych historii.
- Czy chodzi o tego chłopaka? On też może jechać! Nie obchodzi mnie to! – powiedziała Rachel.

Korytarz powoli pustoszał; dzwonek zadzwonił nad nami. – Pogadamy o tym później! – powiedziałam i pośpieszyłam Rachel na pierwszą lekcję. Znalazłam swoje stałe miejsce i zaczęłam przeglądać moją pracę domową.

- Musimy pogadać.

Drgnęłam, zwracając uwagę na dźwięk zupełnie obcego głosu: Isabeli Culpeper. Wsunęła swoje niebotycznie wysokie korkowe szpilki pod czyjąś ławkę, i zwróciła się w moją stronę twarzą okoloną perfekcyjnymi, lśniącoymi lokami ozdobionymi pasemkami.

- Tak jakby jesteśmy teraz w klasie, Isabel – powiedziałam, wskazując na nagranie porannych wiadomości puszcanych w telewizorze na przedzie klasy. Nauczycielka była już w klasie, pochylona nad swoim biurkiem. Nie zwracała na nas uwagi, ale nadal nie byłam zachwycona rozmową z Isabel. W najlepszym wypadku potrzebowała pomocy przy zadaniu domowym czy coś w tym rodzaju; w powszechnej opinii byłam dobra z matmy, więc dopuszczałam taką możliwość.

W najgorszym wypadku chciała pogadać o Jack'u.

Sam powiedział, że jedyna zasada panująca w paczce, to nie rozmawiać o wilkołakach z osobami z zewnątrz. Nie chciałam jej łamać.

Twarz Isabel wciąż miała nadąsany i kapryśny wyraz, ale widziałam burzę gradową w jej oczach, niszczącą po drodze malutkie wioski. Rzuciła okiem w kierunku przodu klasy i pochyliła się ku mnie. Poczulałam jej perfumy – róże i lato w chłodzie Minnesoty. – To zajmie tylko chwilę.

Spojrzałam na Rachel, wpatrującą się w Isabel ze zmarszczonymi brwiami. Naprawdę nie chciałam z nią rozmawiać. Tak naprawdę nie wiedziałam o niej zbyt wiele, ale wiedziałam, że była niebezpieczną plotkarą, która szybko mogłaby zredukować moją pozycję w szkole do treningowej tarczy strzelniczej w szkolnej kawiarence. Nie byłam osobą, która chciałaby być popularna, ale pamiętałam, co stało się z ostatnią dziewczyną, która załaziła Isabel za skórę. Wciąż próbowała wyjść spod zawitej plotki, uwzględniającej taniec erotyczny i drużynę piłkarską. – Dlaczego?

- Na osobności – syknęła Isabel. – W korytarzu.

Przewróciłam oczami wycofując się na paluszkach z klasy. Rachel obdarzyła mnie krótkim, zbołałym spojrzeniem. Jestem pewna, że przybrałam taki sam wyraz twarzy. – Dwie sekundy. I to wszystko. – Powiedziałam Isabel, gdy ta wciągała mnie do pustej klasy. Tablica korkowa na przeciwległej ścianie pokryta była anatomicznymi rysunkami; ktoś przypiął stringi do jednej z postaci.

- Taa. Nieważne. – Zamknęła za nami drzwi i obrzuciła mnie takim spojrzeniem, jakbym miała spontanicznie zacząć wyśpiewywać jakąś piosenkę czy coś. Nie wiedziałam na co czekała.

Skrzyżowałam ramiona. – No dobra. O co ci chodzi?

Myślałam, że jestem na to przygotowana, ale kiedy powiedziała: - O mojego brata. Jack'a. – Moje serce załomotało.

Milczałam.

- Zobaczyłam go, gdy biegałam dziś rano.

Przełknęłam ślinę. – Twojego brata.

Isabel wycelowała we mnie idealnym paznokciem, bardziej błyszczącym niż maska mustanga. Jej loki zakotłowały się.

- Och, nie wciskaj mi kitu. Rozmawiałam z nim. On nie jest martwy.

Przez chwilę walczyłam z wizerunkiem Isabel uprawiającej jogging. Nie mogłam tego zobaczyć. Może miała na myśli spacer z swoim Chihuahua. – Aha.

Isabel nie ustawała w wysiłkach. – Coś było z nim cholernie nie tak. I nie mów, że to dlatego, że on jest martwy. Nie jest.

Coś ujmującego w osobowości Isabel – i może fakt, że wiedziałam, iż Jack naprawdę nie jest martwy – sprawiło, że ciężko było mi się w nią wczuć. Powiedziałam: - Isabel, wygląda na to, że wcale nie potrzebujesz mnie do prowadzenia tej rozmowy. Świetnie radzisz sobie sama.

- Zamknij się – powiedziała, co tylko potwierdziło moją teorię. Już miałam jej to powiedzieć, kiedy jej następne słowa mnie zamurowały. – Kiedy zobaczyłam Jack'a, powiedział mi, że tak naprawdę nie umarł. Wtedy zaczął się szarpać i powiedział, że

musi już iść. Kiedy go spytałam, co jest z nim nie tak, odpowiedział, że ty będziesz wiedziała.

Mój głos był zduszony. – Ja? – Ale pamiętałam jego błagające spojrzenie, gdy leżał przyszpilony przez wilczycę. Pomóż mi. Rozpoznał mnie.

- Cóż, nie jest to takie szokujące, prawda? Wszyscy wiedzą, że ty i Olivia Marx macie świra na punkcie tych wilków, i najwyraźniej to ma z nimi coś wspólnego. Więc, co jest grane, Grace?

Nie podobał mi się sposób, w jaki zadała to pytanie – jakby w zasadzie już знаła odpowiedź. Krew szumiała mi w uszach; traciłam głowę. – Słuchaj. Jesteś smutna, załapałam to. Ale poważnie, znajdź sobie pomoc. Wyłącz z tego mnie i Olivię. Nie wiem, co widziałaś, ale to nie był Jack.

Kłamstwo pozostawiło niesmak w moich ustach. Mogłam zobaczyć uzasadnienie dla utrzymywania sekretu paczki, ale Jack był bratem Isabel. Czy nie miała prawa wiedzieć?

- To nie było przywidzenie – warknęła Isabel, kiedy otworzyłam drzwi. – Mam zamiar znaleźć go znowu. I dowiedzieć się, jaki jest twój udział w tej historii.
- Nie mam w niej swojego udziału – powiedziałam. – Po prostu lubię wilki. A teraz muszę wracać do klasy.

Isabel stała w przejściu, patrząc jak odchodzę, i zastanawiałam się co, na samym początku, myślała, że jej powiem?

Wyglądała prawie na opuszczoną, ale być może to była tylko poza.

W każdym razie, powiedziałam: - Isabel, po prostu poszukaj pomocy.

Skrzyżowała ramiona. – Myślałam, że to właśnie robię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

SAM

12°C

Kiedy Grace była w szkole, spędziłem kawał czasu na parkingu, myśląc o spotkaniu z Rachel i zastanawiając się, co miała na myśli mówiąc o wilkach. Rozważałem zapolowanie na Jack'a, ale najpierw chciałem usłyszeć, czego Grace dowiedziała się w szkole zanim ruszyłem szukać wiatru w polu.

Nie bardzo wiedziałem jak zająć swój czas bez Grace i mojej paczki. Czułem się jak ktoś, kto ma jeszcze godzinę do przyjazdu autobusu – za mało czasu, żeby robić coś ważnego, ale zbyt dużo, by siedzieć i czekać.

Subtelne kąsanie chłodnej bryzy powiedziało mi, że nie mogłem wiecznie odkładać wejścia do mojego autobusu.

W końcu zajechałem mustangiem na pocztę. Miałem kluczyk do skrzynki pocztowej Beck'a, ale przede wszystkim, co chciałem zrobić, to przywołać wspomnienia i udawać, że tam na niego wpadnę.

Pamiętałem dzień, w którym Beck zabrał mnie tutaj, żeby odebrać moje podręczniki do szkoły – nawet teraz pamiętałem, że to był wtorek, bo w tamtym okresie wtorek był moim ulubionym dniem. Nie pamiętam dlaczego. Kochałem wyjścia na pocztę razem z Beck'iem; to była jaskinia skarbów z rzędami małych, pozamykanych pudełek zawierających tajemnice i niespodzianki, tylko dla tych, którzy posiadali właściwy klucz.

Szczególnie wyraźnie zapamiętałem naszą rozmowę i emocje malujące się na twarzy Beck'a:

- Sam. No chodź, mały.
- Co to jest?

Beck bezskutecznie próbował otworzyć szklane drzwi napierając na nie plecami, uginając się pod ciężarem wielkiego pudła.

- Twój mózg.
- Ja już mam mózg.
- Gdybyś go miał, otworzyłbyś przede mną te drzwi.

Obrzuciłem go gniewnym spojrzeniem i pozwoliłem jeszcze przez chwilę siłować się z drzwiami, zanim dałem nura pod jego ramiona i uchyliłem drzwi.

- Co to jest, tak naprawdę?
- Podręczniki szkolne. Zamierzamy kształcić cię jak należy, żebyś nie wyrósł na idiotę. Pamiętam, że byłem zaintrygowany „szkołą w pudełku”, wystarczy dodać wody i Sam'a.

Reszta paczki była równie zaintrygowana. Byłem pierwszym ugryzionym przed ukończeniem szkoły, więc edukowanie mnie było nowością dla innych. Przez kilka lat wszyscy po kolei zmagali się z ciężkimi pracami plastycznymi oraz nowymi zeszytami ćwiczeń, cudownie pachnącymi atramentem. Mogliby całymi dniami nabijać mi głowę wiadomościami: Urlik z matematyki, Beck z historii, Paul z gramatyki, a później fizyki. Wykrzykiwali do mnie pytania testowe przez stół w jadalni, wymyślali piosenki do chronologii zmarłych prezydentów, a jedną ze ścian w jadalni przekształcili w ogromną białą tablicę, na której były wypisane hasła dnia i ostre kawały, których nikt nie chciałby powtarzać.

Kiedy skończyłem z pierwszym pudłem książek, Beck je spakował, a na jego miejscu pojawił się kolejny karton. Kiedy się nie uczyłem, surfowałem po Internecie dla innego rodzaju edukacji.

Szukałem zdjęć cyrkowych dziwadeł, synonimów dla słowa stosunek i odpowiedzi na pytanie, dlaczego wpatrywanie się wieczorem w gwiazdy napawa moje serce tęsknotą.

Razem z trzecim pudełkiem książek w paczce pojawił się nowy członek: Shelby, opalona, szczupła dziewczyna pokryta siniakami, potykająca się pod ciężarem wyraźnego południowego akcentu. Pamiętałem, jak Beck powiedział Paulowi: - Nie mogłem tak po prostu jej tam zostawić. Boże! Paul, nie widziałeś, skąd pochodzi. Nie widziałeś, co oni z nią robili.

Było mi przykro z powodu Shelby, która stała się niedostępna dla innych. Byłem jedynym, któremu udało się dobić tratwą ratunkową do brzegu wyspy, jaką była Shelby, złagodzić wypowiedane przez nią słowa, a czasami sprawić, że się uśmiechała. Była dziwna, krucha zwierzyzna, zdolna do wszystkiego, by umocnić kontrolę nad swoim życiem. Kradła rzeczy Beck'a, żeby mógł pytać gdzie się podziały, bawiła się termostatem, żeby przyglądać się jak Paul wstaje z kanapy i go naprawia, chowała moje książki, żebym z nią rozmawiał zamiast czytać. Ale my wszyscy w tym domu mieliśmy swoje demony, czyż nie? Przecież to ja byłem dzieciakiem, który nie mógł znieść widoku łazienki.

Beck odebrał z poczty kolejne pudło z książkami dla Shelby, ale reszta nie chciała robić dla niej tego, co zrobili dla mnie. Zostawiła je więc, żeby zbierały kurz, a zamiast tego informacji o zachowaniu wilków szukała w Internecie.

Teraz, będąc na poczcie, zatrzymałem się przed skrzynką pocztową Beck'a, nr 730. Dotknąłem cyfr odrapanych z farby; trójka niemal zniknęła, na długo przed tym zanim zacząłem tu przychodzić. Włożyłem kluczyk do zamka, ale go nie przekręciłem. Czy to było coś złego, że pragnąłem tego tak bardzo? Zwyczajne życie złożone ze zwykłych lat z Grace, parę dekad przekręcania klucza w skrzynkach pocztowych, leżenia w łóżku i ubierania choinki w zimie?

A teraz myślałem o Shelby, znowu, a wspomnienia te były ostre jak zimno, w stosunku do wspomnień związanych z Grace. Shelby zawsze myślała, że moje przywiązanie do życia ludzkiego jest niedorzeczne. Wciąż pamiętam najgorszą kłótnię, jaką o to stoczyliśmy. Nie pierwszą i nie ostatnią, ale najbardziej okrutną. Leżałem na swoim łóżku, czytając kopię Yeats'a, którą Urlik kupił dla mnie, a Shelby wskoczyła na materac nadeptując na strony książki, zgniatając je pod bosą stopą.

- Chodź posłuchać wycia, jakie znalazłam w Internecie – powiedziała.
- Czytam.
- Moje jest ważniejsze – powiedziała górując nade mną, jej palce dalej gniotły i marszczyły kartki. – Czemu przejmujesz się czytaniem tych rzeczy? – Wskazała na stos podręczników na moim biurku obok łóżka. – To nie jest to, czym będziesz, kiedy dorośniesz. Nie będziesz człowiekiem. Będziesz wilkiem, więc powinieneś się uczyć wilczych rzeczy.
- Zamknij się – powiedziałem.
- Cóż, to prawda. Nie będziesz Samem. Wszystkie te książki to śmieci. Będziesz samcem alfa. Czytałam o tym. A ja będę twoją partnerką. Samicą alfa. – Jej twarz była podekscytowana i zaczerwieniona. Shelby niczego nie pragnęła bardziej, niż pozostawić przeszłość za sobą.

Wyrwałem Yeats'a spod jej stopy i wygładziłem strony.

- Będę Samem. Nigdy nie przestanę nim być.
- Nie będziesz! – Głos Shelby stawał się głośniejszy. Zeskoczyła z łóżka i zepchnęła książki; tysiące słów rozbitych o podłogę. – To tylko udawanie! Nie będziemy mieli imion, będziemy tylko wilkami!
- Zamknij się! Wciąż mogę być Samem będąc wilkiem!

Beck wparował do pokoju, następnie, rozejrzał się patrząc na tę scenę w swój milczący sposób: moje książki, moje życie, moje marzenia, rozrzucone pod stopami Shelby, i na mnie leżącego na łóżku, ściskającego pomarszczonego Yeats'a w zbieleńszych od zaciskania pięściach.

– Co tu się dzieje? – powiedział.

Shelby wycelowała we mnie palcem:

– Powiedz mu! Powiedz, że nie będzie już Samem, kiedy będziemy wilkami. Nie może nim być. Nawet nie będzie znał swojego imienia. A ja nie będę Shelby. – Trzęsła się z wściekłości.

Głos Beck'a był tak cichy, że ledwie mogłem go usłyszeć.

– Sam zawsze będzie Samem. – wziął Shelby pod ramię i wymaszerował z nią z pokoju, jej stopy ślizgały się na moich książkach. Była zszokowana; Beck zawsze uważał, żeby jej nie dotknąć odkąd do nas dołączyła. Nigdy nie widziałem go tak złego. – I nie osmielaj się mówić mu, że jest inaczej, Shelby. Albo zaprowadzę cię tam, skąd przyszedłaś. Odeślę cię z powrotem.

W korytarzu Shelby zaczęła krzyczeć, i nie przestała dopóki Beck nie zatrzasnął drzwi jej sypialni.

Wrócił do mojego pokoju i zatrzymał w drzwiach. Delikatnie odkładałem moje książki na biurko. Słowa drżały w moich rękach zupełnie jak ja sam.

Myślałem, że Beck powie coś, ale on tylko podniósł książkę leżącą obok jego nogi i dołożył ją do mojego stosu zanim wyszedł.

Później, usłyszałem Urlika i Beck'a; nie zdawali sobie sprawy, że w domu nie było wielu miejsc, w których wilkołak nie mógł ich słyszeć.

– Byłeś dla Shelby zbyt surowy – powiedział Urlik. – Ona ma rację. Myślisz, że co on zrobi z tą całą cudowną wiedzą książkową, Beck? Nic, nawet jeśli będzie w stanie robić to, co ty robisz.

Nastąpiła długa przerwa i Urlik powiedział:

– No co? Nie udawaj zdziwionego. Nie trzeba być geniuszem, żeby dojść do tego, co sobie myślałeś. Ale powiedz mi, jak twoim zdaniem Sam miałby iść do szkoły?

Kolejna przerwa. Beck odpowiedział:

– Szkoła letnia. I może jakiś e-learning.

– No dobra. Powiedzmy, że Sam zdobędzie swoje stopnie. I co on z nimi zrobi? Pójdzie do prawniczej szkoły znowu przez Internet? I wtedy jakiego rodzaju prawnikiem by był? Ludzie godzą się z twoimi ekscentrycznymi odejściami na zimę, bo byłeś usatkwowany, gdy cię ugryziono. Sam będzie musiał starać się o takie miejsca pracy, które ignorują jego coroczne nieplanowane zniknięcia. Nabijasz mu głowę całym tym syfem, a i tak będzie musiał szukać pracy na stacjach benzynowych tak samo jak reszta z nas. O ile w ogóle dociągnie dwudziestki.

– Chcesz mu powiedzieć, żeby się poddał? Więc ty to zrób. Ja mu tego nigdy nie powiem.

– Nie mówię jemu, żeby się poddał. Mówię to tobie.

– Sam nie robi niczego, czego by nie chciał. Chce się uczyć. Jest bystry.

– Beck. Sprawiasz, że będzie nieszczęśliwy. Nie możesz dać mu wszystkich narzędzi do osiągnięcia sukcesu, a potem pozwolić mu odkryć, że nie może używać żadnego z nich. Shelby ma rację. W końcu, jesteśmy wilkami. Mogę mu czytać niemiecką poezję, Paul może uczyć go o imiesłowach czasu przeszłego, a ty możesz grać dla niego Mozarta, ale w końcu, to długa, zimna noc i te lasy są nam przeznaczone.

Kolejna przerwa zanim Beck odpowiedział, zmęczony i niepodobny do samego siebie.

– Po prostu zostaw mnie, Urlik, dobra? Zostaw mnie w spokoju.

Następnego dnia Beck powiedział mi, że nie muszę robić zadania domowego, jeśli nie chcę, i pojechał sam. Zaczekałem aż wyjdzie, i wtedy zrobiłem zadanie.

Teraz bardziej niż czegokolwiek chciałem, żeby Beck był tu ze mną. Przekręciłem klucz w zamku, wiedząc, co znajdę – pudełko wypchane kopertami z kilku miesięcy i być może karteczkę, żeby resztę wyciągnąć zza biurka.

Ale kiedy otworzyłem skrzynkę, były tam tylko dwa samotne listy i jakieś tandetne ulotki.

Ktoś tu był. Niedawno.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

SAM

5°C

- Miałbyś coś przeciwko, gdybyśmy przejechali obok domu Olivii? – zapytała Grace, wdrapując się do samochodu, przynosząc ze sobą powiew zimnego powietrza. Przesunąłem się na miejsce pasażera, a ona szybko zatrzasnęła drzwiczki za sobą. Powiedziała: - Przepraszam za to. Zrobiło się bardzo zimno, prawda? W każdym razie, nie chcę, no wiesz, wchodzić do środka. Tylko przejechać. Rachel powiedziała, że wilk kręcił się wokół domu Olivii. Więc może moglibyśmy znaleźć jakąś ścieżkę niedaleko stamtąd.
- Wchodzę w to – powiedziałem. Wziąłem jej dłoń z miejsca, w którym ją położyła i ucałowałem koniuszki jej palców zanim odłożyłem ją na kierownicę. Zgarbiłem się na swoim miejscu i wyjąłem moje tłumaczenie Rilke, które wziąłem ze sobą, by poczytać czekając na nią.

Wargi Grace podniosły się nieznacznie pod moim dotykiem, ale opuszczając parking nie odzywała się. Obserwowałem jej twarz, bardzo skoncentrowaną, usta ściągnięte w wąską kreskę, i czekałem aż będzie gotowa powiedzieć to, co miała na myśli. Gdy tego nie zrobiła sięgnąłem po tomik Rilke i zgarbiłem się w swoim fotelu.

- Co czytasz? – po dłuższej przerwie zapytała Grace.

Byłem prawie pewien, że pragmatyczna Grace nie słyszała o Rilke.

- Poezję.

Grace westchnęła i wpatrywała się na zewnątrz na wymarłe białe niebo, które wydawało się naciskać na drogę przed nami.

- Nie rozumiem poezji. – Wyglądała, jakby zdała sobie sprawę, że jej oświadczenie może mnie urazić, ponieważ szybko dodała: - Może czytam złe rzeczy.
- Prawdopodobnie twój sposób czytania jest zły – powiedziałem. Widziałem stertę książek Grace do przeczytania: literatura faktu, książki o rzeczach, a nie o tym, jak zostały opisane. – Musisz słuchać brzmienia słów, nie tylko tego, co mówią. Jak w piosence. - Gdy zmarszczyła brwi, przekartkowałem książkę i przysunąłem się do niej bliżej na siedzeniu, tak, że nasze biodra naciskały na siebie.

Grace zerknęła w dół na stronę.

- To nawet nie jest po angielsku!
- Niektóre z nich są – powiedziałem. Westchnąłem, przypomniałszy sobie. – Urlik używał Rilke, gdy uczył mnie niemieckiego. A ja użyję tego, żeby nauczyć cię poezji.
- Oczywiście języka obcego – powiedziała.
- Jasne – zgodziłem się. – Posłuchaj tego. „Was soll ich mit meinem Munde? Mit meiner Nacht? Mit meinem Tag? Ich habe keine Geliebte, kein Haus, keine Stelle auf der ich lebe”

Grace zdawała się zastanawiać. Przygryzła wargę w słodki, w pewnym sensie frustrujący sposób.

- Więc co to znaczy?
- Nie o to chodzi. Chodzi o to, jak to brzmi. Nie tylko co to znaczy. – Walczyłem, by znaleźć słowa, które wyraziłyby to, co miałem na myśli. To, co chciałem zrobić, to

przypomnieć jej, jak zakochała się we mnie, jako wilku. Bez słów. Widząc poza oczywistością, jaką była moja wilcza skóra, moje wnętrze. Cokolwiek to było, zawsze byłem Samem.

– Przeczytaj to jeszcze raz – powiedziała.

Zrobiłem to.

Bębniła palcami w kierownicę.

– Brzmi smutno – powiedziała. – Uśmiechasz się – czyli muszę mieć rację.

Przekartkowałem na angielskie tłumaczenie.

– „Co wtedy zrobiłbym z moimi ustami? Z moimi nocami? Z moimi dniami? Nie mam – łup. Nie lubię tego tłumaczenia. Jutro wezmę inne z domu. Ale tak, jest smutne.

– Dostanę nagrodę?

– Może – powiedziałem i wsunąłem rękę w jedną z jej dłoni, splatając nasze palce. Nie odrywając oczu od drogi, podniosła nasze splecione palce do ust. Pocałowała mój palec wskazujący i wzięła go między zęby gryząc delikatnie.

Zerknęła na mnie, jej oczy wyrażały niewypowiedziane wyzwanie.

Byłem całkowicie złapany. Chciałem jej powiedzieć, żeby zjechała na pobocze, bo pragnę ją pocałować.

Ale wtedy zobaczyłem wilka.

– Grace. Stój – zatrzymaj samochód!

Rozejrzała się, próbując dostrzec, co zobaczyłem, ale wilk już skoczył do rowu na poboczu drogi i ruszył w stronę rzadkich lasów.

– Grace, zatrzymaj się. – powiedziałem. - Jack.

Wcisnęła hamulec; mustang zatańczył, gdy próbowała opanować kierownicę. Nie czekałem, aż samochód się zatrzyma. Po prostu pchnąłem drzwi i wybiegłem potykając się, moje kostki wyły z bólu, gdy uderzyłem o zamrażającą ziemię. Sprawdziłem las przede mną. Chmury dymu o ostrym zapachu dryfowały pomiędzy drzewami, mieszając się z ciężkimi, białymi chmurami zepchniętymi w dół; ktoś palił liście po drugiej stronie lasu. Poprzez dym zobaczyłem sino-szarego wilka, wahającego się pod lasem przede mną, niepewny czy był ścigany. Zimne powietrze rzuciło się z pazurami na moją skórę, a wilk obejrzał się na mnie przez ramię. Piwne oczy. Jack. To musiał być on.

A potem zniknął tak po prostu, pogrążając się w dymie. Skoczyłem za nim, biorąc rów na poboczu jednym susem, biegnąc po zimnym podszyciu umierającego lasu.

Kiedy rzuciłem się do lasu, usłyszałem Jack'a upadającego przede mną, bardziej zainteresowany ucieczką niż ostrożnością. Mogłem poczuć smród strachu, jaki przede mną roztaczał. Dym z palącego się drewna był tutaj gęstszy, i ciężko było określić, gdzie kończy się dym, a zaczyna niebo, złapane w sidła nagich gałęzi nad naszymi głowami. Jack był na wpół niewidzialny przede mną, szybszy i zwinniejszy na swoich czterech łapach, i odporny na zimno.

Moje palce były w połowie zdrętwiałe, przepełnione bólem, a ziąb szczyptał w skórę szyi i wykręcał bebechy. Traciłem z oczu wilka przede mną; a ten wewnątrz mnie wydał się nagle bliższy.

– Sam! – krzyknęła Grace. Złapała za tył mojej koszuli zatrzymując mnie i zarzuciła swój płaszcz wokół mnie. Kastałem, z trudem łapiąc powietrze i próbując przełknąć rosnącego we mnie wilka. Owijając wokół mnie swoje ramiona, ponieważ drżałem, powiedziała: - Coś ty sobie myślał? Coś ty...

Nie dokończyła. Pociągnęła mnie z powrotem przez las, oboje potykaliśmy się, a moje kolana ugięły się pode mną. Zwolniłem, zwłaszcza, kiedy dotarliśmy do rowu, ale Grace ani drgnęła, trzymając mnie za łokieć i wciągając do mustanga.

W środku, wtuliłem moją przemarzną twarz w jej gorącą szyję i pozwoliłem jej owinąć ramiona wokół mnie, ponieważ drżałem niekontrolowanie. Byłem w pełni świadomy każdego czubka z moich palców, każdego z osobna małego ukłucia bólu.

- Co ty robisz? – Grace zażądała odpowiedzi, ściskając mnie dość mocno, by zmusić mnie do oddechu. – Sam, nie możesz tego robić! Tam jest lodówka! Myślałeś, że co zrobisz?
- Nie wiem – wyszeptałem w jej szyję, zwijając w kłębek moje dłonie pomiędzy nami, by je ogrzać. Nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że Jack był nieznanym, nie wiedziałem, jaką był osobą, jakiego rodzaju wilkiem był. – Nie wiem – powiedziałem znów.
- Sam, to nie jest tego warte – powiedziała, przyciskając mocno swoją twarz do mojej głowy. – A gdybyś się zmienił? – Jej palce zaciskały się na rękawach mojej koszuli, a jej głos stał się teraz lekko zachrypnięty. – Co ty sobie myślałeś?
- Nie myślałem – powiedziałem, zgodnie z prawdą. Usiadłem z powrotem, nareszcie wystarczająco ogrzany, by powstrzymać drżenie. Przycisnąłem dłonie do nawiewników ciepłego powietrza. – Przepraszam.

Przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza, nie licząc silnika pracującego na jałowym biegu. Wtedy Grace się odezwała:

- Isabel rozmawiała dzisiaj ze mną. Jest siostrą Jack'a. – Przerwała. – Powiedziała, że z nim rozmawiała.

Nie odezwałem się, tylko mocniej oplótłem palce wokół rękawów, jakbym mógł fizycznie złapać ciepło.

- Ale nie możesz tak po prostu za nim biegać. Robi się zbyt zimno, a to nie jest warte ryzyka. Obiecuj mi, że nie zrobisz więcej czegoś takiego.

Spuściłem wzrok. Nie mogłem na nią patrzeć, kiedy brzmiała tak jak teraz. Powiedziałem:

- Co z Isabel? Co powiedziała?

Grace westchnęła.

- Nie wiem. Ona wie, że Jack żyje. Myśli, że wilki mają z tym coś wspólnego. Myśli, że ja coś wiem. Co powinniśmy zrobić?

Przywarłem czołem do swoich dłoni.

- Nie wiem. Chciałbym, żeby Beck był tutaj.

Pomyślałem o dwóch samotnych kopertach w skrzynce pocztowej, o wilku w lesie i o moich mrowiących koniuszkach palców. Może Beck był tutaj.

Nadzieja sprawiała jeszcze większy ból niż zimno.

Może Jack nie był tym, kogo powinienem szukać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

SAM

11,5°C

Odkąd pozwoliłem sobie myśleć, że Beck być może wciąż jest człowiekiem, ten pomysł mnie opętał. Żle spałem, mój umysł przeskakiwał ze sposobu na sposób, w jaki mógłbym go wytropić. Zatłoczony był też przez wątpliwości – to mógł być każdy inny członek paczki, który odebrał pocztę czy kupił mleko – ale nic nie mogłem na to poradzić. Nadzieja zwyciężała ponad wszystko. Następnego dnia przy śniadaniu rozmawiałem z Grace o jej zadaniu domowym z rachunków – wyglądało to dla mnie zupełnie niezrozumiale – oraz o jej bogatej, podekscytowanej przyjaciółce Rachel, o pogodzie, o tym, że żółwie nie mają zębów, ale tak naprawdę, to o czym myślałem, to był Beck.

Po tym jak podrzuciłem Grace do szkoły, przez chwilę próbowałem udawać, że nie zmierzam prosto do domu Beck'a.

Nie było go tam. Już to wiedziałem.

Ale nie zaszkodziłoby, gdybym sprawdził jeszcze raz.

Po drodze myślałem nad tym, co Grace powiedziała tamtej nocy o elektryczności i mleku w lodówce. Być może, tylko może, Beck będzie tam, uwalniając mnie od odpowiedzialności za Jack'a i eliminując nieznośny ciężar bycia ostatnim z mojego gatunku. Nawet jeśli dom wciąż był pusty, mogłem wziąć więcej ubrań i moja inną kopię Rilke oraz przejść się po pokojach, czując zapach wspomnień pokrewieństwa.

Cofnąłem się pamięcią o trzy krótkie lata, kiedy więcej z nas mogło powrócić do naszej prawdziwej, ludzkiej formy z pierwszym pocałunkiem ciepłej wiosny. Dom był wtedy pełny – Paul, Shelby, Urlik, Beck, Derek, a nawet szalony Salem byli ludźmi w tym samym czasie. Dorastanie w tym obłędzie razem, sprawiało, że wydawało się to trochę mniej szalone.

Zwolniłem dotarłszy do drogi Beck'a, moje serce podskoczyło, kiedy zobaczyłem samochód wjeżdżający na jego podjazd, a następnie zatoneło, gdy zobaczyłem, że to nieznajomy Tahoe. Światła hamowania zaświeciły tępo w szarym dniu, więc opuściłem szybę, żeby spróbować złapać odrobinę zapachu. Zanim cokolwiek pochwyciłem, usłyszałem otwierające się drzwi od strony kierowcy i zamykające po drugiej stronie SUV'a. Wtedy powiew powietrza posłał zapach kierowcy prosto do mnie, czysty i lekko zadymiony.

Beck. Zaparkowałem mustanga na poboczu drogi i wyskoczyłem z niego, uśmiechając się na widok Beck'a wychodzącego zza samochodu. Jego oczy rozszerzyły się na chwilę, po czym też się uśmiechnął.

- Sam! – było coś dziwnego w jego głosie – niespodzianka, jak myślę. Jego uśmiech się rozszerzył. – Sam, dzięki Bogu. Przyjechałeś tu!

Objął mnie i poklepał po plecach w sposób, jaki zawsze udawało mu się otrzymać, bez sprawiania wrażenia gejowskiego. Musiał się wziąć z tego, że był prawnikiem; wiedział, jak prowadzić z ludźmi pogaduszki. Nie mogłem nie zauważyć, że był większy w pasie; nie z powodu tłuszczu. Nie wiem ile koszulek musiał włożyć pod płaszczem, żeby utrzymać wystarczająco ciepła, by pozostać człowiekiem, ale widziałem niedobrane kołnierzyki co najmniej dwóch.

- Gdzie się podziewałeś?
- Ja... - właśnie miałem mu opowiedzieć całą historię w pigułce - od postrzału, poprzez spotkanie Grace, aż po zobaczenie Jack'a, ale nie zrobiłem tego. Nie wiem dlaczego. Z

pewnością nie z powodu Beck'a, który obserwował mnie z powagą swoimi intensywnie niebieskimi oczyma. To było coś, jakiś dziwny zapach, słaby, ale znajomy, który sprawiał, że moje mięśnie się zaciskały, a język przyklejał do podniebienia. Nie był taki jak powinien. Nie powinien tak pachnieć. Moja odpowiedź wyszła bardziej ostrożna niż zamierzałem. – Byłem w pobliżu. Nie tutaj. Ciebie też tu nie było, jak zauważyłem.

- Nie – Beck przyznał. Zawrócił na tył Tahoe. Zauważyłem, że furgonetka jest grubo pokryta brudem, który pachniał, jakby pochodził skądś indziej, przyklejonym do nadkoli i rozbryzganym na błotnikach. – Salem i ja byliśmy w Kanadzie.

To dlatego ostatnio nigdzie nie widziałem Salema. Salem zawsze sprawiał problemy: nie był całkiem w porządku, kiedy był człowiekiem, więc nie mógł być w porządku będąc wilkiem. Byłem pewien, że był tym, który ściągnął Grace z huśtawki. Jak Beck zdołał odbywać z nim podróż, było ponad moje możliwości. Ale dlaczego z nim podróżował, tego tym bardziej nie rozumiałem.

- Pachniesz jak szpital – Beck zerknął na mnie. – A wyglądasz jak piekło.
- Dzięki – powiedziałem. Naprawdę nie myślałem, że zapach szpitala może się utrzymywać przez tydzień, ale zmarszczony nos Becka mówił co innego. – Zostałem postrzelony.

Beck przycisnął palce do ust i powiedział przez nie:

- Boże. Gdzie? Mam nadzieję, że w żadnym miejscu, które mogłoby mnie zawstydzić.

Wskazałem na moją szyję.

- Nigdzie, czym nie byłbyś zainteresowany.
- Czy wszystko w porządku?

Miał na myśli, czy z nami było wszystko w porządku. Czy ktoś wiedział? Jest dziewczyna. Jest niesamowita. Wie, ale jest dobrze. Wyp próbowałem te słowa w mojej głowie, ale nie było żadnego sposobu na to, by ich wydźwięk był w porządku. Cały czas słyszałem Beck'a, jak mówił, że nie możemy powierzać naszego sekretu nikomu oprócz nas. Więc tylko wzruszyłem ramionami. – W porządku jak zawsze.

I wtedy mój żołądek się przewrócił. Beck wyczuje zapach Grace w domu.

- Boże, Sam – powiedział. – Czemu nie zadzwoniłeś do mnie na komórkę? Kiedy cię postrzelono?
- Nie mam twojego numeru. Na telefon z tego roku. – Co roku mamy nowe telefony, bo nie używamy ich w ciągu zimy.

Kolejne spojrzenie, które mi się nie spodobało. Współczucie. Nie, litość. Udawałem, że tego nie widzę.

Beck sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon komórkowy.

- Masz, weź ten. To Salema. Jakby miał zamiar jeszcze go używać.
- Szczeknij raz na tak, dwa razy na nie?

Beck uśmiechnął się.

- Dokładnie. W każdym razie, ma już zapisany w pamięci mój numer. Więc korzystaj z niego. Będziesz musiał dokupić ładowarkę.

Myślałem, że właśnie miał zamiar zapytać, gdzie się zatrzymałem, a ja nie chciałem odpowiadać. Więc wskazałem brodą w kierunku Tahoe.

- Skąd cały ten brud? I skąd ta podróż? – Zapukałem pięścią w bok samochodu i ku mojemu zdziwieniu, coś zapukało od środka. Bardziej głucho. Jak kopniak. Uniósłem brew. – Salem jest w środku?

- Jest z powrotem w lasach. Zmienił się w Kanadzie, łajdak, i musiałem go tak sprowadzić z powrotem, rzucał się tak, jak to już wychodzi z mody. I wiesz co, myślę, że jest szalony.

Oboje roześmieliśmy się – jak gdyby trzeba było to powiedzieć.

Spojrzałem z powrotem na miejsce, w którym poczułem uderzenie.

- Więc co to było?

Beck uniósł brwi.

- Przyszłość. Chcesz zobaczyć?

Wzruszyłem ramionami i cofnąłem się, żeby mógł otworzyć tylne drzwi. Jeśli myślałem, że byłem przygotowany na to, co zobaczę w środku, myliłem się w około czterdziestu różnych możliwościach. Tylne siedzenia zostały złożone, żeby zrobić więcej miejsca, a wewnątrz poszerzonego bagażnika były trzy ciała. Ludzkie. Jedno siedziało niezgrabnie przy oparciach foteli, drugie było zwinięte w pozycji embrionalnej, a trzecie leżało krzywo wzdłuż drzwi. Ich ręce były ciasno związane.

Gapiłem się, a chłopiec siedzący przy fotelach popatrzył na mnie, oczyma nabiegłymi krwią. W moim wieku, może trochę młodszy. Czerwień była rozsmarowana wzdłuż jego ramion, i teraz zobaczyłem, że ciągnie się wzdłuż całego pojazdu. Wtedy ich poczułem: metaliczny odór krwi, spocona woń strachu, ziemisty zapach pasujący do brudu na Tahoe. I zapach wilków, wilków, wszędzie – Beck’a, Salema, a także nieznanym wilków.

Dziewczyna zwinięta w kłębek drżała, a kiedy zerknąłem na chłopca, gapiącego się na mnie w ciemnościach, zauważyłem, że on również się trzęsie, zaciskając palce jedne na drugich, zaplatanych w węzłe strachu.

- Pomocy – powiedział.

Cofnąłem się, kilka stóp do podjazdu, moje kolana słabły pode mną. Zakryłem usta, następnie podszedłem, żeby na nich popatrzeć. Oczy chłopca błagały.

Byłem świadomy, że Beck stoi blisko, po prostu mnie obserwując, ale nie mogłem się powstrzymać przed patrzeniem na te dzieciaki. Mój głos brzmiał obco.

- Nie, nie. Te dzieci zostały ugryzione. Beck, zostały ugryzione.

Obróciłem się z rękoma splecionymi za głową, a potem obróciłem się znów, by ponownie na nich popatrzeć. Chłopiec wzdrygnął się gwałtownie, ale nie spuszczał ze mnie wzroku. Pomocy.

- Do diabła, Beck. Coś ty zrobił? Coś ty do diabła zrobił?

- Skończyłeś już? – zapytał spokojnie.

Odróciłem się znów, zaciskając oczy i otwierając je ponownie.

- Skończyłem? Jak mogę skończyć? Beck, te dzieciaki się zmieniają.

- Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać, dopóki nie skończysz.

- Beck, czy ty to widzisz? – oparłem się o Tahoe, zaglądając do środka na dziewczynę, jej palce drapały poplamiony krwią dywanik. Miała może z osiemnaście lat, ubrana w obcisłą farbowaną koszulkę. Odepchnąłem się, cofając, jakby to mogło sprawić, że znikną. – Co jest grane?

W tylnej części samochodu chłopiec zaczął jęczeć, przyciskając twarz do związanych nadgarstków. Jego skóra była ciemna, jakby zaczął zmieniać się na dobre.

Odróciłem się. Nie mogłem na to patrzeć. Nie pamiętałem, jak to było w tych pierwszych dniach. Splotłem palce za głową, a ramiona przyciskałem do uszu jak w imadle, mówiąc cholera, cholera, cholera raz za razem, dopóki nie przekonałem się, że nie słyszę jego płaczu. Nawet nie wołali o pomoc; może już wyczuli, że dom Beck’a jest zbyt wyizolowany, by ktokolwiek mógł ich usłyszeć. Albo się poddali.

- Pomożesz mi zabrać ich do środka? – zapytał Beck.

Obróciłem się ku niemu, widząc wilka wychodzącego zza zapięcia zamka błyskawicznego i koszuli, warczącego, i wracającego jako dziewczyna w farbowanej bluzce, jęcząca u jego stóp. W jednej chwili Beck wskoczył na tył samochodu, zwinny i zwierzęcy, powalając wilka na grzbiet. Złapał jego szczęki jedną ręką i wpatrywał się w wilcze oczy.

- Nawet nie myśl o walce – warknął do wilka. – Nie ty tu rządzisz.

Beck puścił pysk wilka, a jego głowa uderzyła o dywanik z głuchym łoskotem, nie stawiając żadnego oporu. Wilk znowu zaczął się trząść, gotowy, by zmienić się z powrotem jeszcze raz.

Boże. Nie mogłem na to patrzeć. To było tak złe, jak przechodzenie przez to samemu wciąż od nowa, nigdy pewny, jaką skórę przybiorę. Odwróciłem wzrok do Beck'a.

- Zrobiłeś to celowo, czyż nie?

Beck usiadł na tylnej klapie, jakby nie było szponowatego wilka za nim i płaczącej dziewczyny obok niego. I ten kolejny – wciąż nieruchomy. Martwy?

- Sam, to prawdopodobnie mój ostatni rok. Nie sądzę, abym się zmienił w przyszłym roku. Zabrało mi sporo szybkiego myślenia, żeby pozostać ludzkim, jak już się w końcu zmieniłem. – Zobaczył, że mój wzrok padł na różnokolorowe kołnierzyki na jego szyi i skinął głową. – Potrzebujemy tego domu. Paczka go potrzebuje. I potrzebuje opiekuna wciąż zdolnego się zmieniać. Przecież już wiesz. Nie możemy polegać na ludziach. Jesteśmy jedynymi, którzy mogą nas chronić.

Nic nie powiedziałem.

Westchnął ciężko.

- To również twój ostatni rok, prawda, Sam? Myślałem, że w tym roku wcale się nie zmienisz. Byłeś ciągle wilkiem, kiedy ja się zmieniłem, a powinno być odwrotnie. Nie wiem dlaczego dostałeś tak niewiele lat. Może z powodu tego, co zrobili ci twoi rodzice. To taka cholerna szkoda. Jesteś z nich najlepszy.

Nic nie mówiłem, bo nie mogłem złapać tchu. Wszystko, na czym mogłem się skupić, to jego włosy mające na sobie odrobinę krwi. Nie zauważyłem tego wcześniej, bo jego włosy były ciemnokasztanowe, ale krew wyschła na jednym jedynym zeszywniałym kosmyku opadającym na czoło.

- Sam, kto miałby strzec paczki, co? Shelby? Musieliśmy mieć więcej wilków. Więcej wilków na początku swoich lat, żeby to nie było problemem przez następne osiem czy dziesięć lat.

Wpatrywałem się w krew na jego włosach. Mój głos był głuchy.

- A co z Jack'iem?
- Ten dzieciak z bronią? – Beck skrzywił się. – Możemy za to podziękować Salemowi i Shelby. Nie mogę iść go szukać. Jest za zimno. On będzie musiał nas znaleźć. Mam tylko cholerną nadzieję, że nie zrobi wcześniej niczego głupiego. Przy odrobinie szczęścia będzie mieć głowę nie od parady i będzie trzymał się z dala od ludzi dopóki się nie ustabilizuje.

Dziewczyna obok niego krzyczała, wysokim, cienkim zawodzeniem pozbawionym siły, a pomiędzy jednym dreszczem, a drugim jej skóra robiła się kremowo niebieska, z czarnego wilka. Jej ramiona targały nią, a ręce podnosiły do góry stawiając na nowych łapach, u których wcześniej były palce. Pamiętam towarzyszący temu ból, jakbym sam się właśnie zmieniał – ból z powodu starty. Czuję mękę w tym jednym momencie, w którym traciłem siebie. Tę część mnie, dzięki której mogłem być Samem. Tę część mnie, dzięki której mogłem pamiętać imię Grace.

Otarłem łzę spływającą z mojego oka, patrząc na jej walkę. Część mnie chciała potrząsnąć Beckiem za to, co im robił. Ale druga część mnie tylko myślała, dzięki Bogu, że Grace nigdy nie musiała przez to przechodzić.

– Beck – powiedziałem, mrugając przed spojrzeniem na niego. – Pójdiesz za to do piekła.

Nie czekałem na jego reakcję. Po prostu odjechałem, żałując, że w ogóle się tam znalazłem.

Tej nocy, jak każdej innej odkąd ją poznałem, owinąłem Grace swoimi ramionami, słuchając stłumionych ruchów jej rodziców w salonie. Byli jak małe, zajęte, bezmyślne ptaszki, wlatujące i wylatujące ze swojego gniazda o każdej porze dnia i nocy, tak pochłonięte przyjemnością płynącą z budowania gniazda, że nie zauważyli nawet, że było puste od lat.

Byli głośni, zbyt, śmiejąc się, rozmawiając, stukając naczyniami w kuchni, chociaż nigdy nie widziałem żadnego dowodu na to, by choć jedno z nich gotowało. Byli dzieciakami z college'u, którzy znaleźli dziecko w koszyku, i nie wiedzieli, co z nim zrobić. Jak Grace byłaby inna, gdyby miała moją rodzinę – paczkę? Gdyby miała Becka?

W mojej głowie słyszałem Beck'a, przyznającego to, czego się obawiałem. To rzeczywiście był mój ostatni rok.

Odetchnąłem. – Koniec. – Nie na głos, tylko wypróbowałem kształt słowa w moich ustach.

W ostrożnej twierdzy moich ramion Grace westchnęła i przycisnęła twarz do mojej klatki piersiowej. Już spała. W przeciwieństwie do mnie, który musiał tropić sen z zatrutymi strzałami, Grace mogła usnąć w ciągu sekundy. Zazdrościłem jej.

Wszystko, co mogłem widzieć, to Beck i te dzieciaki, tysiące różnych permutacji tej sceny, tańczącej przed moimi oczyma.

Chciałem powiedzieć o tym Grace. Nie chciałem jej o tym powiedzieć.

Było mi wstyd za Beck'a, rozdarty pomiędzy lojalnością wobec niego, a lojalnością wobec siebie – do tej pory nawet nie zdawałem sobie sprawy, że to mogą być dwie różne rzeczy. Nie chciałem, żeby Grace źle o nim myślała – ale potrzebowałem się wygadać, zrzucić ten nieznośny ciężar z mojej klatki piersiowej.

– Idź spać – wymamrotała, ledwo słyszalnie, łapiąc w palce moją koszulkę w sposób, który nie pozwalał mi myśleć o spaniu. Pocałowałem jej zamknięte oczy i westchnąłem. Zrobiła wdzięczny hałas i wyszeptła z wciąż zamkniętymi oczyma: - Ćććśś, Sam. Cokolwiek to jest, może poczekać do rana. A jeśli nie może, to i tak nie jest tego warte. Śpij.

Ponieważ mi to powiedziała, mogłem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

GRACE

7°C

Pierwszą rzeczą, jaką Sam powiedział do mnie następnego dnia było: „Nadszedł czas, żeby zabrać cię na prawdziwą randkę”. Choć właściwie pierwszą rzeczą, jaką powiedział było: „Twoje włosy są z rana przerażające”. Ale pierwszą świadomą rzeczą, jaką powiedział (nie chciałam uwierzyć, że moje włosy wyglądają rano strasznie) było oświadczenie o randce. Dla nauczycieli w szkole był to dzień roboczy, więc mieliśmy cały dzień dla siebie – dzięki czemu czuliśmy się błogo. Powiedział to mieszając płatki owsiane i zerkając przez ramię w kierunku drzwi. Choć moi rodzice zniknęli wcześniej jadąc na jakąś wycieczkę biznesową mojego taty, Sam wciąż wydawał się martwić, że wrócą i pogonią go widłami.

Dotoczyłam do niego przy ladzie i oparłam się o nią, spoglądając w dół do garnka. Nie byłam zachwycona perspektywą płatków owsianych. Już wcześniej próbowałam je przyrządzić i smakowały bardzo... zdrowo.

- A propos tej randki. Gdzie mnie zabierasz? W jakieś ekscytujące miejsce, jak na przykład środek lasu?

Przycisnęłam palce do moich warg, tam gdzie się rozdzielały. Nie uśmiechnęłam się.

- Zabieram cię na normalną randkę. Jedzenie i zabawa, zabawa, zabawa.

Odwrociłam głowę i nagle jego ręka znalazła się w moich włosach.

- Tak to właśnie brzmi – powiedziałam sarkastycznie. – Nie sądziłam, że wymyślisz coś normalnego.
- Możesz mi podać dwie miski? – powiedział. Ustawiłam je na ladzie, a Sam rozdzielił między nie płatki, uwalniając słodki zapach. – Chcę cię zabrać na przyzwoitą randkę, żebyś miała coś prawdziwego do zapa...

Przerwał i spojrzał w dół na miski, z rękami sztywno opartymi o ladę i ramionami uniesionymi aż do uszu. Wreszcie odwrócił się i powiedział:

- Chcę robić rzeczy właściwie. Możemy spróbować zrobić to normalnie?

Z kiwnięciem głowy wzięłam od niego jedną miskę, i spróbowałam pełną łyżkę – było pełne brązowego cukru, syropu klonowego i czegoś lekko pikantnego. Łyżką pokrytą płatkami wskazałam na Sama.

- Nie mam problemu z tym, żeby zrobić to normalnie. To coś jest lepkie.
- Niewdzięcznica – powiedział. – Nie smakuje ci.
- Tak naprawdę jest niezłe.
- Beck zwykł robić to dla mnie, gdy doszedłem do siebie po swojej fiksacji jajecznej – powiedział.
- Miałeś fiksację jajeczną?
- Byłem dziwnym dzieckiem. – Wskazał na moją miskę. – Nie musisz tego jeść, jeśli ci nie smakuje. Jeżeli skończyłaś, idziemy.
- Idziemy gdzie?
- Niespodzianka.

To było wszystko, co pragnęłam usłyszeć. Natychmiast odłożyłam płatki, wzięłam czapkę, płaszcz i plecak do ręki.

Po raz pierwszy tego ranka Sam się roześmiał, i byłam mu za to szalenie wdzięczna.

- Wyglądasz jak szczeniak. Kiedy potrząsam kluczami, ty skaczesz przy drzwiach czekając na spacer.
- Hau!

Sam poklepał moją głowę przy wyjściu i razem wyruszyliśmy w ten zimny, pastelowy poranek. Jak tylko znaleźliśmy się w mustangu i w drodze, znowu go przycisnęłam:

- Więc nie powiesz mi dokąd się wybieramy?
- Nie. Jediną rzeczą, jaką ci powiem, to, żebyś udawała, że to właśnie razem robiliśmy pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy, zamiast postrzału.
- Nie mam tyle wyobraźni.
- Ja mam. Wyobrażę to sobie dla ciebie tak mocno, że będziesz musiała w to uwierzyć. - Uśmiechnął się, żeby zademonstrować swoje wyobrażenie, uśmiechem tak smutnym, że zaparło mi dech w piersi. – Osądzę cię właściwie, i wtedy moja obsesja na twoim punkcie nie wyda się taka przerażająca.
- Wydawało mi się, że to moja obsesja jest przerażająca. – Wyrzałam przez okno, gdy zjechaliśmy z drogi. Niebo rzekało się jednego wolnego płatka śniegu po drugim. – Mam, no wiesz, jak to się nazywa? Syndrom identyfikowania się z osobą, która cię ocaliła?

Sam pokręcił głową i odwrócił się w przeciwnym kierunku do szkoły.

- Masz na myśli syndrom Munchausena, w którym osoba identyfikuje się ze swoim porwaczem.

Potrząsnęłam głową.

- To nie to samo. Czy zespół Munchausena to nie wymyślanie chorób, żeby zwrócić na siebie uwagę?
- To jest to? Po prostu lubię mówić 'Munchausen'. Czuję się jakbym rzeczywiście potrafił mówić po niemiecku, kiedy to wymawiam.

Roześmiałam się.

- Urlik urodził się w Niemczech – powiedział. – Znał wszystkie interesujące dziecięce opowieści o wilkołakach. Zawrócił na główną drogę przez centrum miasta i zaczął wypatrywać miejsca do parkowania. – Mawiał, że ludzie w dawnych czasach chętnie daliby się ugryźć.

Spojrzałam przez okno na Mercy Falls. Sklepy, we wszystkich odcieniach brązu i szarości, wydawały się jeszcze bardziej brązowe i szare pod ołowianym niebem, i jak na październik, czuło się złowrogą bliskość zimy. Nie było żadnych zielonych liści pozostałych na drzewach rosnących przy ulicy, a niektórym całkowicie brakowało liści, zwiększając ponury wygląd miasta. Było to widoczne daleko jak okiem sięgnąć.

- Dlaczego mieliby tego chcieć?
- W ludowych opowieściach zamieniliby się w wilki i kradli owce i inne zwierzęta, kiedy racje żywnościowe były skąpe. A niektórzy z nich zamieniliby się tylko dla zabawy.

Studiowałam jego twarz, próbując wyczytać coś z jego głosu.

- Czy w tym jest coś zabawnego?

Odwrócił wzrok wstydząc się swojej odpowiedzi, jak myślałam, dopóki nie uzmysłowiłam sobie, że patrzy przez ramię, żeby zaparkować równolegle do szeregu sklepów.

- Niektórzy z nas wydają się to lubić, może nawet bardziej niż bycie człowiekiem. Shelby to kocha – ale tak jak mówiłem, myślę, że jej ludzkie życie było dość okropne. Nie

wiem. Wilcza połowa mojego życia jest teraz taką częścią mnie, bez której ciężko wyobrazić sobie życie.

- W dobrym czy złym znaczeniu?

Sam spojrzął na mnie; jego żółte oczy pochwyciły mnie i przytrzymały.

- Brakuje mi bycia mną. Brakuje mi ciebie. Przez cały czas.

Spuściłam wzrok na dłonie.

- Nie, teraz ci nie brakuje.

Sam sięgnął przez siedzenia i dotknął moich włosów, biegnąc po nich w dół, dopóki nie złapał w palce ich końcówek. Studiował je, jakby mogły zawierać tajemnice Grace w nudnych blond pasmach. Jego policzki zarumieniły się lekko; ciągle się czerwienił, gdy mnie pochwalił:

- Nie – zgodził się ze mną. – W tej chwili nawet nie pamiętam, co to znaczy być nieszczęśliwym.

To sprawiło, że poczułam ukłucie łez w kącikach oczu. Zamrugłam, wdzięczna, że wciąż patrzy na moje włosy. Nastąpiła długa przerwa.

- Nie pamiętasz, jak zostałam zaatakowana.
- Co?
- W ogóle nie przypominasz sobie, jak zostałam zaatakowana, prawda?

Zmarszczyłam brwi i wyciągnęłam plecak na kolana zaskoczona pozornie przypadkową zmianą tematu.

- Nie wiem. Może. Wydaje się, że było tam dużo wilków, bardziej to moje myśli, niż faktycznie mogło ich tam tyle być. I pamiętam ciebie – stałeś z tyłu, a potem po prostu dotykałeś mojej ręki – Sam dotknął mojej dłoni – i mojego policzka – dotknął mojego policzka – kiedy inni byli wobec mnie brutalni. Chcieli mnie zjeść, prawda?

Jego głos był miękki.

- Nie pamiętasz, co się stało później? Jak przeżyłaś?

Spróbowałam sobie przypomnieć. Wszystko błyszczało śniegiem, i czerwienią, i czułam oddech na mojej twarzy. Mama krzyczała. Ale musiało być coś pomiędzy tym wszystkim. Musiałam jakoś dostać się z lasu do domu. Spróbowałam wyobrazić sobie chodzenie, potykając się, po śniegu.

- Czy ja szłam?

Spojrzął na mnie, czekając, aż sama odpowiem sobie na pytanie.

- Wiem, że nie. Nie mogę sobie przypomnieć. Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć? – Teraz byłam sfrustrowana niezdolnością mojego własnego mózgu do zastosowania się. Wydawało się, że to taka prosta prośba. Ale pamiętałam tylko zapach Sama, wszędzie, a potem nieznaną dźwięk paniki mamy, jak biegła po telefon.
- Nie martw się tym – powiedział Sam. – To nieważne. – Ale pomyślałam, że najprawdopodobniej było.

Zamknęłam oczy, przywołując zapach lasu tamtego dnia i uczucie telepania, kiedy wracałam do domu, ramiona ciasno owinięte wokół mnie. Otworzyłam oczy.

- Ty mnie niosłeś.

Sam spojrzął na mnie nagle.

To powracało zupełnie jak sny w gorączce.

- Ale ty byłeś człowiekiem – powiedziałam. – Pamiętam, że widziałam cię jako wilka. Ale musiałeś być człowiekiem, żeby mnie nieść. Jak to zrobiłeś?

Bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem jak się zmieniłem. Tak samo, jak zostałem postrzelony i znalazłaś mnie jako człowieka.

Poczułam trzepotanie w klatce piersiowej, jak nadzieja.

- Możesz sprawiać, że się zmieniasz?
- To nie tak. To zdarzyło się tylko dwa razy. I nie byłem w stanie zrobić tego ponownie, nigdy, niezależnie, jak bardzo tego chciałem. A uwierz mi, chciałem tego okropnie. – Sam zgasił mustanga razem z wydechem kończącym rozmowę, a ja sięgnęłam do plecaka po czapkę. Gdy zamykał samochód, stałam na chodniku i czekałam.

Sam obszedł samochód i stanął jak wryty na mój widok.

- O mój Boże, co to jest?

Użyłam kciuka i palca środkowego, żeby pstryknąć różnokolorowy pompon na mojej głowie.

- W moim języku nazywają to czapkę. Utrzymuje moje uszy w cieple.
- O mój Boże – powtórzył i zmniejszył odległość między nami. Objął dłońmi moją twarz i studiował ją. – To strasznie słodkie. – Pocałował mnie, popatrzył na czapkę, i znowu pocałował.

Poprzysięgłam sobie nigdy nie zgubić tej czapki. Sam wciąż trzymał moją twarz; byłam pewna, że wszyscy w mieście na nas patrzą. Ale nie chciałam się odsunąć, i pozwoliłam mu pocałować się jeszcze raz, tym razem miękko jak śnieg, ledwie muskając, a następnie puścił mnie i zamiast tego wziął mnie za rękę.

Odzyskanie głosu zajęło mi chwilę, a kiedy już mogłam mówić, nie mogłam przestać się uśmiechać.

- No dobra. To gdzie idziemy? – Było na tyle zimno, że wiedziałam, że musimy być blisko; nie mogliśmy tu pozostać zbyt długo.

Palce Sama były ciasno splecione z moimi.

- Najpierw do sklepu Grace. Tak zrobiłby prawdziwy dżentelmen.

Zachichotałam, zupełnie jak nie ja, a Sam roześmiał się wiedząc o tym. Byłam nim pijana. Pozwoliłam mu prowadzić się w dół surowego, betonowego bloku do Krętej Półki, małej, niezależnej księgarni; nie byłam tam od lat. Wydawało się to głupie, zważywszy na to, jak wiele książek przeczytałam, ale byłam tylko biedną uczennicą z bardzo ograniczonymi funduszami. Wypożyczałam książki z biblioteki.

- To jest sklep Grace, prawda? – Sam pchnął drzwi, nie czekając na moją odpowiedź. Wspaniała fala zapachu nowych książek wyływała ze środka, natychmiast przypominając mi o Bożym Narodzeniu. Rodzice zawsze kupowali mi książki na Gwiazdkę. Z melodyjnym brzdęknięciem drzwi sklepu zamknęły się za nami, i Sam puścił moją rękę. – Gdzie teraz? Kupię ci książkę. Wiem, że chciałabyś jakąś.

Uśmiechnęłam się do stosów książek, wdychając ponownie ich zapach. Setki tysięcy stron, które nigdy nie były odwracane, czekając na mnie. Półki były z ciepłego, jasnego drewna, wyłożone grzbietami każdego koloru. Polecane tytuły były ułożone na stołach, błyszczące okładki odbijały światło w moją stronę. Za małym schowkiem, gdzie siedział kasjer, ignorując nas, schody były przykryte bogatym, bordowym dywanem, prowadzącym do nieznanego świata.

- Mogłabym tutaj mieszkać – powiedziałam.

Sam obserwował moją twarz z oczywistą przyjemnością.

- Pamiętam, jak obserwowałam cię czytającą książki na huśtawce z opony. Nawet podczas najgłupszej pogody. Czemu nie czytałaś w środku, kiedy było tak zimno?

Moje oczy podążały za rzędami książek.

- Książki są bardziej prawdziwe, kiedy czytasz je na zewnątrz. – Przygryzłam wargę, oczy biegały mi z półki na półkę. – Nie wiem gdzie pójść najpierw.
- Pokażę ci coś – powiedział Sam. Sposób, w jaki to powiedział, pozwolił mi uwierzyć, że to nie było tylko coś, ale bardzo niezwykle coś, z czym czekał cały dzień, żeby mi to w końcu pokazać. Ponownie złapał mnie za rękę i poprowadził przez sklep, mijając niezainteresowanego kasjera, i w górę po cichych schodach, które pochłaniały odgłosy naszych kroków i zatrzymywały je.

Na górze znajdował się mały strych, mniejszy niż połowa sklepu poniżej, z balustradą mającą uchronić nas przed upadkiem z powrotem na parter.

- Któregoś lata pracowałem tutaj. Siedziałem. Czekał. – Sam poprowadził mnie do poobijanej, bordowej kanapy zajmującej sporą część wolnej przestrzeni. Zdjęłam czapkę i usiadłam, oczarowana nim, przyglądając się jego tyłczkowi, kiedy przeszukiwał półki w poszukiwaniu czegokolwiek, co chciał tam znaleźć. Nieświadomy mojego spojrzenia, pochylił się przebiegając palcami po grzbietach książek, jakby byli starymi znajomymi. Obserwowałam pochyłość jego ramion, nachylenie głowy, sposób, w jaki podpierał się jedną ręką z palcami rozłożonymi jak krab na podłodze, kiedy klęczał przy półkach. W końcu znalazł to, czego szukał i podszedł do kanapy.
- Zamknij oczy – powiedział. Nie czekając na mnie, położył rękę na moich powiekach, zasłaniając je dla mnie. Poczułam przesunięcie kanapy, kiedy wślizgnął się obok mnie, usłyszałam niewytłumaczalnie głośny dźwięk otwierania okładki, strony wewnątrz szeleściły między sobą, gdy je odwracał.

Wtedy poczułam jego oddech na moim uchu jak powiedział, ledwie słyszalnym głosem:

- „Jestem sam na tym świecie, lecz jeszcze niewystarczająco samotny, by czynić każdą godzinę świętą. Jestem pokorny na tym świecie, lecz jeszcze niewystarczająco pokorny dla siebie, by być czymś dla ciebie, ciemnym i przebiegłym. Chcę mojej woli i chcę iść w parze z moją wolą jak to zmierza ku działaniu” – Przerwał, na długo, jedynym dźwiękiem był jego oddech, lekko zdarty, zanim zaczął kontynuować. – „I chcę, w tych cichych, jakby niepewnych czasach, być z kimś, kto wie, albo innym samotnym. Chcę odzwierciedlać wszystko o tobie, i nigdy nie chcę być zbyt ślepy i zbyt staroświecki by zachować głęboki i chwiejny obraz mnie. Chcę się rozwijać. Nie chcę zostać złożony gdziekolwiek, ponieważ w miejscu, gdzie jestem złożony, jestem kłamstwem”.

Obróciłam twarz w kierunku jego głosu, z oczami wciąż zamkniętymi, a on przycisnął swoje wargi do moich. Poczułam, jak jego usta odsuwają się nieznacznie, tylko na moment, i usłyszałam szelest książki delikatnie odłożonej na podłogę, a potem owinął mnie swoimi ramionami.

Jego usta smakowały chłodnie i ostro, miętą i zimą, ale jego dłonie, miękko na moim karku, składały obietnicę długich dni, lat, wieków. Kręciło mi się w głowie, jakbym nie dostawała wystarczająco dużo powietrza, jakby mój oddech został skradziony tak szybko, jak tylko go wzięłam. Sam położył się na kanapie, tylko trochę, i pociągnął mnie w krąg, jaki utworzyło jego ciało, i całował mnie, całował tak ostrożnie, jakby moje usta były kwiatem i gdyby dotknął ich zbyt mocno, mogłyby się stłuc.

Nie wiem jak długo leżeliśmy na kanapie spleceni ze sobą, cicho się całując, zanim Sam zauważył, że płaczę. Poczułam jego wahanie, gdy posmakował słonej wody na swoim języku, i zdał sobie sprawę, co ten smak oznacza.

- Grace. Czy ty... płaczesz?

Nie powiedziałam niczego, ponieważ to tylko uczyniłoby powód moich łez bardziej realnym. Sam otarł je kciukiem, a następnie owinął rękaw wokół pięści i osuszył ślady łez materiałem.

- Grace, co się stało? Zrobiłem coś nie tak? – Żółte oczy Sama śmigały po mojej twarzy szukając wskazówek, kiedy potrząsnęłam głową. Na dole, usłyszałam kasjera dzwoniącego na następnego klienta. Wydawało się to bardzo dalekie.
- Nie – powiedziałam w końcu. Wytarłam kolejną łzę wypływającą z mojego oka, zanim mogła spaść. – Nie, zrobisz wszystko tak jak trzeba. To tylko... - Nie mogłam tego powiedzieć. Nie mogłam.

Sam ani drgnął.

- ...to, że to jest mój ostatni rok.

Przygryzłam wargę, mocno, i otarłam kolejną łzę.

- Nie jestem na to gotowa. Nigdy nie będę.

Nie odpowiedział. Może nie było nic do powiedzenia. Zamiast tego, znowu owinął ramiona wokół mnie, tylko tym razem skierował mój policzek na swoją klatkę piersiową i przebiegł dłońią z tyłu mojej głowy, niezdarnie, ale pocieszająco. Zamknęłam oczy i słuchałam bicia jego serca, aż moje zrównało się z nim w jednym rytmie. W końcu ułożył policzek na czubku mojej głowy i wyszeptał:

- Nie mamy czasu, by się smucić.

Słońce stało się wspaniałe w chwili, gdy wychodziliśmy z księgarni, i zszokowana zdałam sobie sprawę, jak wiele czasu minęło. Na zawołanie, zaburczało mi w brzuchu.

- Obiad – powiedziałam. – Natychmiast. Uschnę, jeśli czegoś nie zjem. Wtedy będziesz dręczony poczuciem winy.
- Nie wątpię w to. – Sam wziął torebkę z nowymi książkami i zawrócił, by zostawić ją w mustangu, ale znieruchomiał w połowie drogi zapatrzony gdzieś za mną. – Cholera. Mamy towarzystwo.

Odwrócił się do mnie plecami i otworzył samochód, rzucając książki na siedzenie pasażera, starając się wyglądać niepozornie. Obróciłam się i zobaczyłam Olivię, wyglądającą na zaniedbaną i zmęczoną. Wtedy John pojawił się za nią i postąpił mi szeroki uśmiech. Nie widziałam go odkąd poznałam Sama, i porównując go z nim, nie mogłam pojąć, jak kiedykolwiek mogłam sądzić, że jest przystojny. Wyglądał szaro i zwyczajnie w porównaniu do czarnych włosów Sama i jego złotych oczu.

- Hej, piękna – powiedział John.

To sprawiło, że Sam odwrócił się w pośpiechu. Nie ruszył w moją stronę, ale nie musiał – jego żółte oczy zatrzymały Johna na drodze. Albo może była to tylko postawa Sama obok mnie, z usztywnionymi ramionami. W ciągu sekundy przeszło mi przez myśl, że Sam może być w niebezpieczeństwie – że może normalnie uspokajał wilka wewnątrz siebie dużo bardziej, niż on na to pozwalał.

John miał dziwny, nieczytelny wyraz twarzy, który sprawił, że zastanowiłam się czy te wszystkie miesiące udawanego flirtowania nie były prawdziwsze niż sądziłam.

- Cześć – powiedziała Olivia. Rzuciła okiem na Sama, którego wzrok był utkwiony w aparacie przewieszonym przez jej ramię. Spojrzał w dół i przetarł oczy, jakby coś mu do jednego wpadło.

Dyskomfort Sama był widoczny, więc mój uśmiech wydał się nieszczerzy.

- Cześć. To zabawne wpaść na was tutaj.
- Robimy zakupy dla mamy. – Wzrok Johna powędrował do Sama i uśmiechnął się nieco zbyt przyjemnie. Moje policzki płonęły od toczącej się niemej testosteronowej bitwy;

było to swego rodzaju pochlebne, jeśli nie trochę dziwne. – A Olivia chciała zahaczyć po drodze o księgarnię. Tu jest okropnie zimno. Ja wchodzę do środka.

- Wpuszczają tam analfabetów? – Drażniłam się, jak za dawnych czasów.

John uśmiechnął się wtedy, całe napięcie zniknęło, uśmiechnął się również do Sama, coś jak „Taa, powodzenia”, i wszedł do sklepu. Sam jakby odwzajemnił uśmiech, ze zmrużonymi oczami, wciąż zachowując się jakby coś do nich miał. Olivia pozostała na chodniku tuż za drzwiami, otulona ramionami.

- Nigdy nie pomyślałabym, że zobaczę cię tak wcześnie poza domem w dniu wolnym od szkoły. – Powiedziała. Mówiła do mnie, ale patrzyła na Sama. – Myślałam, że hibernujesz w dni wolne.
- Nie, nie dzisiaj. – Powiedziałam. Po tak długim czasie nie rozmawiania z nią, czułam się jakbym już nie wiedziała jak to robić. – Wstałam wcześnie, żeby zobaczyć, jakie to uczucie.
- Zdumiewające – odpowiedziała. Ciągłe patrzyła na Sama, niezadane pytanie wisiało w powietrzu. Nie chciałam ich sobie przedstawiać, odkąd Sam poczuł się nieswojo w obecności Olivii i jej aparatu, ale byłam bardzo świadoma sposobu, w jaki na nas patrzyła: przestrzeń pomiędzy nami, to jak się zmieniała, kiedy oboje się poruszaliśmy, połączeni niewidzialnymi sznurkami. I swobodny kontakt. Jej oczy podążyły za jego dłoń, kiedy lekko dotknął mojego rękawa, a następnie przeniosły się na jego drugą dłoń, wciąż opartą o klamkę samochodowych drzwi – wygodnie, jakby je otwierał wcześniej wiele razy. Jakby należał do mnie i do mustanga. W końcu Olivia się odezwała. – Kto to?

Rzuciłam okiem na Sama, dla aprobaty. Jego powieki wciąż były opuszczone, ocieniając jego oczy.

- Sam – powiedział łagodnie.

Coś było nie tak z jego głosem. Nie patrzył na aparat, ale wydawało mi się, że mogę wyczuć jak dużą skupia na nim uwagę. Mój głos nieumyślnie odbił się echem jego niepokoju, gdy powiedziałam:

- To jest Olivia. Olive, Sam i ja wyszliśmy razem. Mam na myśli randkę.

Oczekiwałam na jakiś komentarz, ale zamiast tego powiedziała:

- Poznaję cię. – Obok mnie Sam zeszywniał, dopóki nie dodała: - Z księgarni, prawda?

Sam spojrział na nią błyskawicznie, a ona skinęła głową, niemal niezauważalnie.

- Tak. Z księgarni.

Olivia, z wciąż skrzyżowanymi ramionami, zacisnęła palce na krawędzi swetra, ale wciąż nie spuszczała Sama z oczu. Wydawała się mieć trudności ze znalezieniem słów.

- Ja... Nosisz kontakty? Przepraszam, że jestem taka tępa. Często musisz być o to pytany.
- Tak. – powiedział. – Często jestem o to pytany. I tak, noszę je.

Coś w rodzaju rozczarowania pojawiło się na twarzy Olivii.

- Cóż, są naprawdę ekstra. Hm. Miło było cię poznać. – Zwracając się do mnie, powiedziała: - Przepraszam. To było naprawdę głupie klócić się z tobą.

Cokolwiek planowałam powiedzieć, wyparowało, kiedy przeprosiła.

- Ja też przepraszam – odpowiedziałam, trochę słabo, bo nie byłam pewna czy mam za co ją przepraszać.

Olivia spojrzała na Sama, a potem na mnie.

- Taa. Ja tylko... Mogłabyś do mnie zadzwonić? Później?

Zamrugłam ze zdziwienia.

- No jasne! Kiedy?
- Ja... Właściwie, czy to ja mogę do ciebie zadzwonić? Nie wiem, kiedy będzie dobry moment. Może być? Mogę po prostu zadzwonić na twoją komórkę?
- W każdej chwili. Jesteś pewna, że nie chcesz gdzieś iść i porozmawiać teraz?
- Hm, nie, nie teraz. Nie mogę, ze względu na Johna. – Potrząsnęła głową i znowu popatrzyła na Sama. – Chce się spotkać. Później będzie w porządku, tak myślę. Dzięki, Grace. Naprawdę. Przepraszam za naszą głupią sprzeczkę.

Zacisnęłam usta. Dlaczego ona mi dziękowała?

John wystawił głowę zza drzwi księgarni.

- Olive? Idziesz, czy co?

Olivia machnęła do nas i zniknęła w księgarni z cichym brzdęknięciem dzwonka przy drzwiach.

Sam złożył ręce z tyłu głowy i wziął duży, chwiejny oddech. Krążył w kółko po chodniku nie opuszczając dłoni.

Przeszłam za nim i otworzyłam drzwi od strony pasażera.

- Zamierzasz powiedzieć mi, co się dzieje? Po prostu wstydzisz się aparatu, czy to coś więcej?

Sam przeszedł z drugiej strony mustanga i wszedł do niego, zatrzasnął drzwi, jakby zamykając Olivię i wszystkie dziwactwa z obecnej rozmowy.

- Przepraszam. Po prostu... Widziałem jednego z wilków na drugi dzień i ta sprawa z Jack'iem nie daje mi spokoju. I Olivia – zrobiła zdjęcie każdemu z nas. Jako wilkom. A moje oczy... Bałem się, że Olivia wie o mnie więcej niż mówiła i po prostu – ześwirował. Wiem. Zachowałem się jakbym był walnięty, tak?
- Tak, właśnie tak się zachowałeś. Masz szczęście, że ona zachowywała się jakby była jeszcze bardziej walnięta niż ty. Mam nadzieję, że później zadzwoni. – Ogarnął mnie niepokój.

Sam dotknął mojego ramienia.

- Chcesz pójść gdzieś coś zjeść, czy wolisz jechać do domu?

Jęknęłam i położyłam czoło na dłoniach.

- Po prostu jedźmy do domu. Kurczę. Czuję się tak dziwnie, nie dowiedziawszy się, o czym ona mówiła.

Sam nie odezwał się, ale to było w porządku. W kółko i w kółko zastanawiałam się, co powiedziała Olivia, próbując dowiedzieć się, dlaczego ta rozmowa wydawała się taka niezręczna. Próbując dowiedzieć się, co nie zostało powiedziane. Powinno być powiedziane jej coś więcej po tym, jak mnie przeprosiła. Ale co więcej było do powiedzenia?

Podróżowaliśmy w ciszy z powrotem w kierunku domu, aż zdałam sobie sprawę, jak bardzo samolubna byłam.

- Przepraszam, rujnę naszą randkę. – Sięgnęłam i wzięłam Sama za wolną rękę; ścisnął swoje palce wokół moich. – Najpierw wrzeszczałam, czego nigdy nie robię - do twojej wiadomości – a teraz jestem całkowicie rozproszona przez Olivię.
- Zamknij się – powiedział Sam sympatycznie. – Mamy jeszcze mnóstwo czasu. I miło zobaczyć... twoje emocje... choć raz. Zamiast bycia tak cholernie stoicką.

Uśmiechnęłam się na tę myśl.

- Stoicką? Podoba mi się to.

- Tak myślałem, że ci się spodoba. Ale to było miłe nie być niewydarzonym choć jeden raz.

Wybuchłam śmiechem.

- To nie są słowa, których użyłabym do opisanie ciebie.
- Nie uważasz mnie za delikatny kwiatusek w porównaniu z tobą? – Kiedy znów się roześmiałam, naciskał. – No dobra, więc jakich użyłabyś słów?

Oparłam się w fotelu, myśląc, a Sam spojrział na mnie z powątpiewaniem. Miał prawo tak patrzeć. Moja głowa nie współpracowała ze słowami zbyt dobrze – przynajmniej jeżeli chodzi o abstrakcyjne, opisowe rzeczy.

- Wrażliwy – spróbowałam.
- Mięczak – Sam przetłumaczył.
- Twórczy.
- Niebezpieczny Emo.
- Zamyślony.
- Feng shui.

Śmiałam się tak mocno, że parsknęłam.

- Jak uzyskałeś feng shui z „zamyślony”?
- No wiesz, bo w feng shui możesz zaaranżować meble, rośliny i inne rzeczy w zamyślony sposób. – Sam wzruszył ramionami. – Żeby cię uspokoić. Zenlike. Albo coś takiego. Nie jestem w stu procentach pewien jak to wszystko działa, oprócz zamyślonej części.

Żartobliwie uderzyłam go w ramię i spojrzałam przez okno, gdy zbliżaliśmy się do domu. Jechaliśmy przez aleję dębową prowadzącą do domu moich rodziców. Nudne pomarańczowo brązowe liście, suche i martwe, trzymały się gałęzi i powiewały na wietrze, czekały na podmuch wiatru, który uderzyłby nimi o ziemię. To było takie jak Sam: przemijające. Letni liść czepiał się zimowej gałęzi tak długo, jak to było możliwe.

- Jesteś piękny i smutny – powiedziałam w końcu, nie patrząc na niego. – Zupełnie jak twoje oczy. Jesteś jak pieśń, którą słyszałam będąc małym dzieckiem, ale zapomniałam o niej, dopóki nie usłyszałam jej znowu.

Przez jakiś czas słychać było tylko szum opon na drodze, a następnie Sam powiedział cicho:

- Dziękuję.

Wróciliśmy do domu i spaliśmy na moim łóżku przez całe popołudnie, nasze nogi splątały się razem, a moja twarz ukryła się w jego szyi, radio szumiło w tle. W porze kolacji zeszliśmy do kuchni w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Kiedy Sam ostrożnie komponował kanapki, próbowałam dodzwonić się do Olivii.

Odebrał John.

- Przykro, mi Grace. Wyszła. Mam jej coś przekazać, czy tylko chcesz żeby do ciebie zadzwoniła?
- Niech do mnie zadzwoni. – powiedziałam, w jakiś sposób czując, że zawiodłam Olivię. Odłożyłam słuchawkę i przejechałam palcem po ładzie z roztargnieniem. Wciąż myślałam o tym, co powiedziała. „Głupio tak się kłócić”. – Zauważyłeś – zapytałam Sama – kiedy podeszliśmy, ten zapach z przodu. O krok od frontu?

Sam podał mi kanapkę.

- Tak.
- Jak siki. Wilcze siki.

- Tak – głos Sama brzmiał nieszczęśliwie.
- Jak myślisz, kto to był?
- Ja nie myślę – powiedział Sam. – Ja to wiem. To Shelby. Potrafię wyczuć jej zapach. Wysikała się na tarasie jeszcze raz, znowu. Poczułem ten zapach, gdy byłem tam wczoraj.

Pamiętałam jej oczy, patrzące na moje przez okno sypialni i krzywiące się.

- Dlaczego ona to robi?

Sam potrząsnął głową i zabrzmiał niepewnie, kiedy mówił:

- Mam tylko nadzieję, że chodzi o mnie, a nie o ciebie. Mam nadzieję, że tylko za mną podąża. – Jego oczy przesunęły się do frontowego przedpokoju; z daleka usłyszałam, jak samochód wjeżdża na drogę. – Myślę, że to twoja mama. No to znikam. – Skrzywiłam się za nim, gdy wycofał się do mojego pokoju razem z kanapką, cicho zamykając za sobą drzwi, zostawiając wszystkie pytania i wątpliwości na temat Shelby tutaj ze mną.

Na zewnątrz przed domem, opony samochodu potoczyły się na podjazd. Wzięłam plecak i usadowiłam się tak, że zanim mama weszła siedziałam przy kuchennym stole wyglądając, jakbym wpatrywała się w jakieś trudne zadanie.

Mama wpadła i rzuciła stos papierów na kuchenną ladę przynosząc ze sobą powiew zimnego powietrza. Skrzywiłam się, mając nadzieję, że Sam nie poczuje tego za drzwiami mojej sypialni. Jej klucze zabrzęczały, kiedy ześlizgnęły się na podłogę. Podniosła je, klnąc cicho pod nosem, i rzuciła z powrotem na górę papierów.

- Jadłaś już? Przekąsiłabym coś. Graliśmy w paintball na wycieczce! To znaczy, jego firma za to zapłaciła.

Skrzywiłam się na nią. Połowa mojego mózgu wciąż myślała o Shelby, czając się gdzieś w domu, obserwującą Sama, lub obserwującą mnie. Albo obserwującą nas razem.

- Co, żeby zintegrować grupę, tak?

Mama nie odpowiedziała. Otworzyła lodówkę i zapytała:

- Czy mamy coś, co mogę zjeść przed telewizorem? Boże! Co to jest?
- To jest schab, mamó. To na jutro.

Zadrzała i zamknęła lodówkę.

- To wygląda jak gigantyczny, schłodzony ślimak. Chcesz obejrzeć ze mną film?

Popatrzyłam za nią w kierunku korytarza, szukając taty, ale hol był pusty.

- Gdzie tato?
- Poszedł na skrzydełka z nowymi kolegami z pracy. Zachowujesz się, jakbym zapytała cię o to tylko dlatego, że jego tu nie ma. – Mama tłukła się w kuchni nasypując sobie musli i zostawiając otwarte pudełko na ladzie, zanim udała się w stronę kanapy.

Dawno, dawno temu podskoczyłabym z radości na wyjątkową okazję tulenia się z mamą na kanapie. Ale teraz, było na to trochę za późno. Miałam kogoś innego, kto na mnie czekał.

- Czuję się trochę zmęczona – powiedziałam mamie. – Myślę, że wolałabym raczej położyć się wcześniej spać.

Nie zdawałam sobie sprawy, że chciałam, żeby jej twarz się zasmuciła, dopóki tak się nie stało. Po prostu wskoczyła na kanapę i złapała pilot. Kiedy odwróciłam się, by wyjść, powiedziała:

- Tak poza tym, nie zostawiaj worka ze śmieciami z tyłu na tarasie, dobrze? Zwierzęta się do niego dobierają.

- Tak – powiedziałam. Miałam wrażenie, że wiedziałam, które zwierzęta w szczególności. Zostałam ją oglądającą film na kanapie, porwałam moją pracę domową i zaniósłam wszystko do mojego pokoju. Otwierając drzwi do mojej sypialni, znalazłam Sama zwinętego na moim łóżku, czytającego powieść w świetle lampki nocnej, wyglądającego, jakby tutaj należał. Wiedziałam, że musiał usłyszeć jak wchodzę, ale nawet na chwilę nie podniósł wzroku znad książki, dopóki nie skończył rozdziału. Uwielbiałam patrzeć na kształt jego ciała, jaki przybierało, gdy czytał, od krzywizny jego zgiętej szyi nad stronami, aż po uformowanie jego stóp w skarpetkach.

Wreszcie, zatrzymał palec w książce i zamknął ją, uśmiechając się do mnie i przechylając brwi w ten sam co zawsze rzewny sposób. Wyciągnął rękę w geście zaproszenia, a ja rzuciłam podręczniki w nogi łóżka i dołączyłam do niego. Jedną ręką trzymał powieść, a drugą głaskał mnie po włosach, i razem przeczytaliśmy ostatnie trzy rozdziały. To była dziwna książka, w której wszyscy zostali uprowadzeni z Ziemi z wyjątkiem głównego bohatera i jego miłości, i musieli wybrać, czy przystąpić do ich ostatecznej misji znalezienia tych, którzy zostali uprowadzeni czy zatrzymać Ziemię dla siebie i odbudować populację w ich wolnym czasie. Kiedy skończyliśmy, Sam przewrócił się na plecy i wpatrywał w sufit. Rysowałam palcami powolne kręgi na jego płaskim brzuchu.

- Co ty byś wybrała? – zapytał.

W książce, bohaterowie szukali innych, tylko po to, żeby się rozdzielić i skończyć samotnie. Z jakiegoś powodu, pytanie Sama spowodowało szybsze bicie mojego serca, i chwyciłam jego T-shirt w garść.

- Duh – powiedziałam.

Usta Sama zwinęły się.

Dopiero później zdałam sobie sprawę, że Olivia nie odezwała się do mnie. Kiedy zadzwoniłam do niej do domu, jej matka powiedziała mi, że wyszła i wciąż jej nie ma.

Mały, wewnętrzny głosik w mojej głowie powiedział: „Wyszła, gdzie?”. Gdzie można wyjść w Mercy Falls?

Tej nocy, gdy zasnąłam, śniłam o twarzy Shelby w moim oknie i oczach Jack'a w lesie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

SAM

5°C

Tej nocy, po raz pierwszy od dłuższego czasu, śniłem o psach pana Dario.

Obudziłem się, spocony i drżący, czując smak krwi w ustach. Odsunąłem się od Grace, czując, jakby moje łomoczące serce mogło ją zbudzić i oblizałem zakrwawione usta. Ugryzłem się w język.

Tak łatwo było zapomnieć o prymitywnej przemocy w moim świecie, kiedy byłem człowiekiem, bezpiecznym w łóżku Grace. Łatwo było nas widzieć w sposób, w jaki ona musiała nas widzieć: duchy w lesie, ciche, magiczne. I gdybyśmy byli tylko wilkami, może miałyby rację. Prawdziwe wilki nie byłyby zagrożeniem. Ale te nie były prawdziwymi wilkami.

Sen podszeptął, że ignorowałem znaki. Ten, który mówił, że przemoc z mojego świata przynoszą do świata Grace. Wilki w jej szkole, w domu jej przyjaciółki, a teraz w jej domu. Wilki, które ukryły ludzkie serca pod swoimi skórami.

Leżąc tutaj w łóżku Grace w ciemnym pokoju, nadstawiłem uszu, nasłuchując. Myślałem, że słyszę pazury na podłodze tarasu i wyobrażałem sobie, że czuję zapach Shelby nawet przez okno. Wiedziałem, że mnie pragnęła – chciała tego, na co się godziłem. Byłem pupilem Beck'a, lidera ludzkiej paczki, a także Paula, lidera paczki wilczej, i logicznym następcą ich obu. W naszym małym świecie, posiadałem sporą władzę.

A Shelby, o tak, ona chciała władzy.

Udowodniły to psy Dario. Kiedy miałem trzynaście lat i mieszkalem w domu Beck'a, nasz najbliższy sąsiad (jakieś siedemdziesiąt pięć hektarów od nas) wyprowadził się i sprzedał swój gigantyczny dom bogatemu ekscentrykowi imieniem Dario. Osobiście, pan Dario niezbyt mi imponował. Miał specyficzny zapach, który sugerował, że zmarł, a następnie został zakonserwowany. Większość czasu, który spędzaliśmy u niego w domu poświęcał na tłumaczenie skomplikowanego urządzenia alarmowego, które zainstalował w celu chronienia swojego biznesu związanego z antykami („Miał na myśli narkotyki”, powiedział mi Beck później) i rozwodził się poetycko na temat psów stróżujących, które wyrzucił z domu, gdy wyjechał.

Wtedy nam je pokazał. Były ożywionymi gargulcami, wpienionymi warczącymi maskami z pomarszczoną, bladą skórą. Rasy południowoamerykańskie przeznaczały je do strzeżenia bydła, jak powiedział pan Dario. Wyglądał na zadowolonego, kiedy wyjaśniał, że mogłyby oderwać człowiekowi twarz i ją zjeść. Ekspresja Beck'a była wątpliwa, kiedy powiedział, że ma nadzieję, iż pan Dario nie pozwala wy dostać się im z posiadłości. Wskazując na obroże z metalowymi kolcami od wewnątrz („Wyrzasa piekło z tych psów” powiedział Beck później i zrobił trzęsący się ruch ukazujący porażenie prądem), pan Dario zapewnił nas, że jedynymi ludźmi, którym mogłyby oderwać twarze, byli złodzieje zakradający się nocą na posesję, by ukraść jego antyki. Pokazał nam pudełko elektryczne, kontrolujące rażące prądem obroże i utrzymujące psy blisko domu; było poryte sypką czarną farbą zostawiającą ciemne plamy na jego rękach.

Nikt inny nie wydawał się myśleć o tych psach, ale ja miałem na ich punkcie obsesję. Wszystko, o czym mogłem myśleć, były one puszczane luzem, rozrywające na strzępy Beck'a lub Paula, odrywające jednemu z nich twarz i zjadające ją. Przez wiele tygodni byłem pochłonięty ideą psów, i podczas letnich upałów znalazłem Beck'a w kuchni ubranego w krótkie spodenki i T-shirt, marynującego żeberka na grilla.

– Beck?

Nie spojrział znad swojego starannego zajęcia.

- Czego potrzebujesz, Sam?
- Czy możesz mi pokazać, jak zabić psy pana Dario? – Beck odwrócił się twarzą do mnie, i dodałem: - Gdybym musiał?
- Nie będziesz musiał.

Nienawidziłem się prosić, ale mimo wszystko, zrobiłem to.

- Proszę?

Beck skrzywił się.

- Nie masz wystarczająco mocnego żołądka na tego typu robotę. – To była prawda – jako człowiek, miałem zadręczającą wrażliwość na widok krwi.
- Proszę?

Beck zrobił minę i odmówił mi, ale następnego dnia przywiózł do domu pół tuzina surowych kurczaków, i nauczył mnie, jak znaleźć słabe strony w stawach i je złamać. Kiedy nie zemdlałem na widok uszkodzeń kurczaków, przyniósł czerwone mięso ociekające krwią i sprawił, że moje szczęki zacisnęły się z obrzydzenia. Kości były twarde, zimne, bezlitosne pod moimi dłońmi, niemożliwe do złamania bez znalezienia stawu.

- Już jesteś tym zmęczony? – zapytał Beck po kilku dniach. Potrząsnąłem głową; psy nawiedzały moje sny i przewijały się przez piosenki, które pisałem. Więc kontynuowaliśmy. Beck znalazł amatorskie filmy wideo z walk psów; razem oglądaliśmy, jak zabijały siebie nawzajem. Trzymałem dłoń przyciśniętą do ust, mój żołądek burzył się na widok zakrzepłej krwi, patrzyłem jak niektóre psy rzucają się do szyi, a inne do przednich łap łamiąc je i sprawiając, że ich przeciwnicy byli bezsilni. Beck wskazał jedną szczególnie nierówną walkę, olbrzymiego pit bulla i małego mieszańca teriera. – Patrz na tego małego psa. To byłbyś ty. Kiedy jesteś człowiekiem, jesteś silniejszy niż większość ludzi, ale nie mógłbyś dorównać siłą jednemu z psów Dario. Zobacz jak walczy ten mały. Osłabia tego dużego. A następnie go dusi.

Obejrzałem, jak mały terier zabija większego psa. Potem Beck i ja wyszliśmy z domu i walczyliśmy – duży pies, mały pies.

Lato zniknęło. Zaczęliśmy się zmieniać, jeden po drugim, najstarsi i najbardziej ostrożni z nas w pierwszej kolejności. Wkrótce została zaledwie garstka ludzi: Beck, z zaciętości, Urlik, z czystej przebiegłości, Shelby, by być bliżej Beck'a i mnie. I ja, ponieważ byłem młody i jeszcze nie na tyle kruchy.

Nigdy nie zapomnę odgłosów psych walk. Ktoś, kto tego nie słyszał, nie może wyobrazić sobie takiego pierwotnego okrucieństwa dwóch psów zdecydowanych zniszczyć siebie nawzajem. Nawet będąc wilkiem nigdy nie natknąłem się na ten rodzaj walki – w paczce walczone o dominację, nie po to, by zabić.

Byłem w lasach; Beck powiedział mi, żebym nie opuszczał domu, więc oczywiście wyszedłem na wieczorny spacer. Miałem na wpół pomysł, żeby napisać piosenkę dokładnie w momencie pomiędzy dniem i nocą, i właśnie chwyciłem liryczny kawałek, gdy usłyszałem walkę psów. Dźwięk był blisko, gdzieś tutaj w lesie, nie w pobliżu domu pana Dario, ale wiedziałem, że to nie mogły być wilki. Natychmiast rozpoznałem to falujące warczenie.

I wtedy ukazały się. Dwa olbrzymie białe duchy psów w ciemnym wieczorze: potwory pana Dario. Wraz z nimi czarny wilk, walczący, krwawiący, tarzający się w zaroślach. Wilk, Paul, robił wszystko, co dyktowane było zachowaniem paczki – uszy z tyłu, ogon na dole, w połowie odwrócona głowa – wszystko, co robił, krzychało uległością. Ale psy nie znały zachowania paczki; wszystko, co znały, było atakiem. Więc zaczęli szarpać Paula na strzępy.

- Hej! – krzyknąłem, głosem nie tak mocnym, jak oczekiwałem. Spróbowałem jeszcze raz, tym razem niemal warknąłem. – Hej!

Jeden z psów przerwał i ruszył na mnie; odwróciłem się i zatoczyłem, z oczyma utkwionymi w drugim białym demonie, jego zęby zacisnęły się na gardle czarnego wilka. Paul z trudem łapał oddech, bok jego twarzy został naznaczony szkarłatem. Rzuciłem się na psa, który go trzymał, i cała nasza trójka upadła na ziemię z łoskotem. Potwór był ciężki, pokryty smugami krwi, i cały umięśniony. Wyciągnąłem żałośnie słabą ludzką rękę, by złapać go za gardło i chybiłem. Zabójczy ciężar uderzył w moje plecy i poczułem gorącą ślinę na mojej szyi. Przekręciłem się w samą porę, by uniknąć śmiertelnego ugryzienia od jednego psa, a zamiast tego otrzymałem od drugiego zatapiające się zęby w moim ramieniu. Czułem jak kość chrzęści o kość – chore, płomienne uczucie psich zębów ślizgających się po moim obojczyku.

- Beck! – krzyknąłem. Było nieznosnie trudno myśleć przez ten ból i Paula umierającego na moich oczach. Przypomniał mi się mały terier – szybki, śmiercionośny, brutalny. Wyciągnąłem rękę w kierunku psa, który trzymał szyję Paula w śmiertelnym uścisku. Chwyciłem za przednią łapę, znalazłem staw, i nie myślałem o krwi. Nie myślałem o tym, jaki to wywoła odgłos. Nie myślałem o niczym, tylko o mechanicznym działaniu.

Oczy psa wywróciły się. Świszczał przez nos, ale nie zwolnił chwytu.

Mój instynkt przetrwania wrzeszczał na mnie, by zdjąć z siebie drugie zwierzę; szarpało miażdżąc moje ramię w szczękach, które zdawały się ciężkie jak żelazo i gorące jak ogień. Wyobraziłem sobie, jak moje kości wyrwywają się wolno z ich właściwych pozycji. Wyobraziłem sobie, jak moje ramię zostaje wyrwane ze stawu. Ale Paul nie mógł czekać.

Nie czułem zbyt dobrze mojej prawej ręki, ale lewą złapałem za gardziel psa i wykręciłem, ścisnąłem dusząc go, dopóki nie usłyszałem, jak potwór sapie. Byłem tym małym terierem. Pies był niestrudzony w swoim uchwycie na szyi Paula, ale ja również byłem niestrudzony w swoim. Sięgając spod drugiego psa, który przyciskał moje ramię do ziemi, machnąłem martwą prawą ręką w kierunku pierwszego psa i zamknąłem w uścisku jego nozdrza. Nie myślałem o niczym – mój umysł był daleko, w domu, jakimś ciepłym miejscu, słuchając muzyki, czytając wiersz, gdziekolwiek, ale nie tutaj, zabijając.

Przez straszną minutę nic się nie działo. Miałem gwiazdy przed oczami. Wtedy pies osunął się na ziemię i Paul wypadł z jego uścisku. Wszędzie była krew – moja, Paula, psów.

- Nie puszczaj! – to był głos Beck'a, usłyszałem teraz głuchy odgłos kroków między drzewami. – Nie puszczaj! Jeszcze nie jest martwy!

Już nie czułem rąk – nie czułem niczego – ale myślałem, że ciągle trzymam psa za szyję, tego, który gryzł Paula. Wtedy poczułem jak zęby wbite w moje ramię szarpnęły, kiedy pies chwytający moją szyję zachwiał się. Wilk, Urlik, warczał, dochodząc jego szyi i odciągając go ode mnie. Usłyszałem wystrzał i zdałem sobie sprawę, że to broń. Znów kolejny wystrzał, znacznie bliżej, i szarpnięcie pod moimi palcami. Urlik cofnął się od nas, ciężko oddychając, po czym nastąpiła taka cisza, że dzwoniło mi w uszach.

Beck delikatnie odjął moje dłonie od gardła zdechłego psa i zamiast tego przycisnął je do mojego ramienia. Krwawienie zmniejszyło się; natychmiast zacząłem czuć się lepiej, gdy moje niewiarygodnie zmasakrowane ciało zaczęło się samo leczyć.

Beck uklęknął przede mną. Trząśnięcie z zimna, jego skóra poszarzała.

- Miałeś rację, nie? Ocaliłeś go. Te biedne cholerne kurczaki nie poszły na marne.

Za nim, w milczeniu i z założonymi rękoma stała Shelby, patrząc, jak Paul sapał w suche, martwe liście. Patrząc na mnie i Becka ze złączonymi głowami. Dłonie zacisnęła w pięści, a jedna z nich miała na sobie czarną, rozmazaną plamę.

Teraz, w miękkiej ciemności pokoju Grace, obróciłem się i przycisnąłem twarz do jej ramienia. To dziwne, że moje najbardziej agresywne momenty przeżyłem jako człowiek, nie jako wilk.

Na zewnątrz, usłyszałem wyraźne drapanie pazurami po podłodze tarasu. Zamknąłem oczy i próbowałem skoncentrować się na odgłosie bicia serca Grace.

Smak krwi w moich ustach przypomniał mi o zimie.

Wiedziałem, że to Shelby wypuściła te psy.

Chciała, żebym był na szczycie, z nią u swego boku, a Paul stał na mojej drodze. A teraz Grace stała na jej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

GRACE

9,5°C

Dni zlały się w kolaż wspólnych obrazów: chłodne spacerunki przez szkolny parking, puste miejsce Olivii w szkolnej ławce, oddech Sam'a przy moim uchu, ślady łap na zamarzniętych źdźbłach trawy na naszym podwórzu.

Z zapartym tchem czekałam na nadejście weekendu, choć nie wiedziałam, na co czekam. Sam rzucał się i kręcił poprzedniej nocy, nękany przez koszmary, a w sobotę rano wyglądał tak strasznie, że zamiast planować wyjście, ulokowałam go na kanapie jak tylko moi rodzice wyszli do znajomych.

Ułożyłam się w zagięciu ramienia Sam'a, kiedy on przeskakiwał z kanału na kanał. Zdecydowaliśmy się na thriller sci-fi, który w produkcji był prawdopodobnie tańszy od mustanga. Gumowate macki były wszędzie, gdy Sam w końcu coś powiedział.

– Czy to cię nie martwi? Że twoi rodzice są tacy, jacy są?

Wtuliłam twarz pod jego pachę. Pachniała dokładnie Sam'em.

– Nie rozmawiajmy o nich.

– Właśnie, że porozmawiajmy o nich.

– Och, dlaczego? Co tu jest do gadania? Jest dobrze. Oni są dobrzy. Są jacy są.

Palce Sam'a delikatnie ujęły mnie za podbródek i uniosły moją twarz do góry.

– Grace, to nie jest w porządku. Jestem tutaj od – ile to już tygodni minęło? Nawet nie wiem. Ale wiem jak jest, i nie jest dobrze.

– Są kim są. Nigdy nie wiedziałam, że rodzice innych różnią się od moich, dopóki nie zaczęłam chodzić do szkoły. Dopóki nie zaczęłam czytać. Ale poważnie, Sam, jest w porządku.

Moja skóra była gorąca. Odsunęłam podbródek od jego dłoni i zapatrzyłam się w ekran, na którym składany samochód tonął w szlamie.

– Grace – powiedział Sam miękko. Siedział tak nieruchomo, że choć jeden raz to ja byłam dzikim zwierzęciem, które zniknęłoby, gdyby tylko poruszył mięśniami. – Nie musisz przy mnie udawać.

Patrzyłam, jak samochód rozpada się na kawałki, razem z kierowcą i pasażerem. Trudno było powiedzieć, o co chodzi, z przyciszonym dźwiękiem, ale wyglądało to, jakby kawałki auta przekształcały się w macki. Na drugim planie jakiś mężczyzna spacerował z psem, i zdawał się nawet tego nie zauważać. Jak mógł tego nie dostrzegać?

Nie patrzyłam na Sama, ale wiedziałam, że on patrzy na mnie, a nie na telewizor.

Nie wiedziałam, jakiej oczekiwał odpowiedzi. Nie miałam nic do powiedzenia. To nie był problem. To był sposób życia.

Macki na ekranie zaczęły pełzać po ziemi w poszukiwaniu pierwotnego mackowatego potwora, żeby móc się ponownie z nim połączyć. Jednak nie było sposobu, żeby mogły to zrobić; prawdziwy potwór płonął w Waszyngtonie, roztopiając wokół pomnik waszyngtoński. Nowe macki będą musiały dręczyć świat na własną rękę.

– Dlaczego nie mogę sprawić, żeby kochali mnie choć trochę bardziej?

Czy ja to powiedziałam? To nie brzmiało jak mój głos. Palce Sam'a potarły mój policzek, ale nie było tam żadnych łez. Nawet nie byłam ich bliska.

– Grace, oni cię kochają. Tu nie chodzi o ciebie. To jest ich problem.

– Tak bardzo się starałam. Nigdy nie pakuję się w kłopoty. Zawsze odrabiam zadania domowe. Gotuję dla nich te pieprzone posiłki, kiedy są w domu, czyli nigdy... - Zdecydowanie to nie mój

głos. Ja nie klnę. – I prawie zostałam zabita, dwa razy, ale oni nie zmienili się w ogóle. To nie jest tak, że chcę żeby skakali wokół mnie. Chcę po prostu, pewnego dnia, po prostu chcę... - nie mogłam dokończyć zdania, ponieważ nie wiedziałam, jak.

Sam przygarnął mnie do siebie.

- Och, Grace. Przepraszam. Nie chciałem doprowadzić cię do płaczu.
- Ja nie płaczę.

Otarł moje policzki kciukiem, ostrożnie, i pokazał mi łzę uwięzioną na koniuszku jego palca. Czując się głupio, pozwoliłam mu posadzić się na kolanach i schować pod jego brodą. Odzyskałam swój głos, w stłumionym schronieniu jego ramion.

- Może jestem za dobra. Gdybym miała kłopoty w szkole, albo podpalała ludziom garaże, może wtedy zwróciliby na mnie uwagę.
- Ty nie jesteś taka. Przecież wiesz o tym – powiedział. – Są po prostu głupi i samolubni, to wszystko. Przepraszam, że zapytałem, ok? Po prostu obejrzyjmy ten durny film.

Oparłam policzek o jego klatkę piersiową i słuchałam głuchego odgłosu bicia jego serca. Brzmiało tak zwyczajnie, normalne ludzkie serce. Był już człowiekiem wystarczająco długo, że już prawie nie zauważałam zapachu lasu na nim, nie pamiętałam jak się czułam zagrzebując palce w jego sierści. Sam podgłośnił i siedzieliśmy tak, jedno stworzenie w dwóch ciałach, przez dłuższy czas, aż zapomniałam z jakiego właściwie powodu byłam smutna, i znów mogłam być sobą.

- Chciałabym mieć to, co ty masz – powiedziałam.
- A co ja takiego mam?
- Swoją paczkę. Beck’a. Urlika. Kiedy mówisz o nich, widzę jak ważni są dla ciebie – powiedziałam. – To dzięki nim jesteś teraz taką osobą. – Przycisnęłam palec do jego klatki piersiowej. – Oni są wspaniali, więc ty też jesteś wspaniałą.

Sam zamknął oczy.

- Nie wiem o tym. – Otworzył oczy. – W każdym razie, twoi rodzice też sprawili, że jesteś kim jesteś. Myślisz, że byłabyś taka niezależna, gdyby częściej byli obok ciebie? Przynajmniej jesteś kimś, kiedy nie ma ich w pobliżu. Czuję, że nie jestem tym, kim byłem przedtem. Ponieważ tak wiele z bycia mną, jest bycie z Beck’iem i Urlikiem oraz resztą.

Usłyszałam samochód wjeżdżający na podjazd i wyprostowałam się. Wiedziałam, że Sam też to usłyszał.

- Czas zniknąć – powiedział.

Ale złapałam go za ramię.

- Mam już dość tego ukrywania się. Myślę, że nadszedł czas, abyś ich poznał.

Nie sprzeczał się, ale rzucił zaniepokojone spojrzenie w kierunku drzwi.

- I tak doszliśmy do końca – powiedział.
- Nie dramatyzuj. Przecież cię nie zabiją.

Spojrzał na mnie.

Gorąco wylało się na moje policzki.

- Sam, nie miałam tego na myśli... Boże, przepraszam. – Chciałam odwrócić wzrok od jego twarzy, ale nie mogłam, zupełnie jak od wypadku samochodowego. Czekałam na zderzenie, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się. To było jak brak połączenia pomiędzy wspomnieniami o jego rodzicach, a jego emocjami; mały niewypał, który miłosiernie trzymał go w całości.

Sam uratował mnie zmieniając temat, co było niezwykle wspaniałomyślne.

- Powinienem grać przyjaznego chłopaka czy jesteśmy tylko przyjaciółmi?
- Chłopaka. Ja nie udaję.

Sam odsunął się ode mnie o dwa cale i zabrał rękę z tyłu mojej głowy i zamiast tego położył ją za mną na oparciu kanapy. Zwrócił się do ściany:

- Witajcie, rodzice Grace. Jestem chłopakiem Grace. Proszę zwrócić uwagę na niewinną odległość między nami. Jestem bardzo odpowiedzialny i nigdy nie włożyłem języka w usta waszej córki.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i oboje podskoczyliśmy z pasującymi do tego nerwowymi chichotami.

- Czy to ty, Grace? – Głos mamy dochodził lekko z przedpokoju. – Czy może jesteś włamywaczem?
- Włamywaczem – odpowiedziałam.
- Zaraz się zmczę – wyszeptał Sam wprost do mojego ucha.
- Jesteś pewna, że to ty, Grace? – Mama brzmiała podejrzliwie; nie przywykła do mnie śmiejącej się. – Czy jest tutaj Rachel?

Tato pierwszy pojawił się w drzwiach salonu i zatrzymał się, natychmiast zauważając Sama.

W ledwie dostrzegalnym ruchu, Sam odwrócił głowę na tyle, by światło nie padało na jego żółte oczy, automatyczny gest, który uświadomił mi, że Sam był dziwakiem, jeszcze zanim został wilkiem.

Tato utkwiał wzrok w Samie, po prostu patrząc. Sam odpowiadał wzrokiem, napięty, ale nie przerażony. Czy siedziałby tak spokojnie, gdyby wiedział, że ojciec był jednym z łowców w lesie? Nagle poczułam wstyd za mojego ojca, kolejnego człowieka, którego wilki musiały się obawiać; byłam wdzięczna, że nie powiedziałam o niczym Samowi.

Mój głos był napięty.

- Tato, to jest Sam. Sam, to mój tato.

Tato patrzył na niego jeszcze sekundę dłużej, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Proszę, powiedz, że jesteś jej chłopakiem.

Oczy Sama zrobiły się idealnie okrągłe i wypuściłam głęboki oddech.

- Tak, to mój chłopak, tato.
- Cóż, to miłe. Zaczynałem myśleć, że nie robisz tego rodzaju rzeczy.
- Tato.
- Co tam się dzieje? – Głos mamy dochodził z daleka. Była już w kuchni, grzebiąc w lodówce. Jedzenie na imprezie musiało być kiepskie. – Kim jest Sam?
- To mój chłopak.

Razem z pojawieniem się mamy, do pokoju wpadła wszechobecna chmura oparów terpentyny; miała farbę rozsmarowaną na przedramionach. Znając mamę, domyślałam się, że celowo ją tak zostawiła zanim wyszła. Spojrzała na mnie, potem na Sama i znowu na mnie, z lekko zdziwionym wyrazem twarzy.

- Mamo, to Sam. Sam, moja mama.

Poczułam emocje wyłaniające się z obojga z nich, choć nie mogłam dokładnie określić, jakie. Mama gapiła się na oczy Sama, po prostu gapiła się i gapiła, Sam wydawał się przytwierdzony do swojego miejsca. Uderzyłam go w ramię.

- Miło mi panią poznać – powiedział automatycznym głosem.
- Mamo – wyszczałam. – Mamo. Ziemia do mamy.

Na jej usprawiedliwienie, wyglądała na lekko zmieszaną, kiedy się z tego wyrwała. Powiedziała do Sama, przepraszając:

- Twoja twarz wygląda bardzo znajomo. – Ta. Jasne. Chyba nawet niemowlę mogło powiedzieć, że to było przejrzyste usprawiedliwienie na wpatrywanie się w jego oczy.
- Kiedyś pracowałem w śródmiejskiej księgarni? – głos Sama był pełen nadziei.

Mama kiwnęła na niego palcem.

- Założę się, że to jest to. – Wtedy uśmiechnęła się promiennie do Sama, używając swojego stuwatowego uśmiechu, usuwając wszelkie społeczne zbrodnie, które może właśnie popełniła. – Cóż, miło cię poznać. Idę na górę popracować trochę. – Pokazała swoje umorusane farbą ręce, wskazując, co miała na myśli mówiąc „praca”, i poczułam krótki przebłysk rozdrażnienia wobec niej. Wiedziałam, że jej seryjny flirt jest po prostu charakterystyczny, reakcja odruchowa na każdego nieznanego mężczyznę, który wszedł w okres dojrzewania, ale jednak. Pora dorosnąć.

Sam zaskoczył mnie mówiąc:

- Chciałbym zobaczyć studio, jak już tu jestem, jeśli nie ma pani nic przeciwko. Grace opowiadała mi trochę o pani sztuce i bardzo chciałem to obejrzeć. – Częściowo było to prawdą. Opowiadałam mu o jej wyjątkowo obrzydliwym pokazie, na który poszłam, gdzie wszystkie obrazy zostały nazwane rodzajami chmur, ale były portretami kobiet w strojach kąpielowych. „Wyrazista” sztuka żeglowała ponad moją głowę. Nie rozumiałam tego. Nie chciałam tego rozumieć.

Mama uśmiechnęła się sztucznie. Prawdopodobnie myślała, że pojmowanie przez Sama wyrazistej sztuki było podobne do mojego.

Spojrzałam na Sama z powątpiewaniem. Ten rodzaj podlizywania się zupełnie do niego nie pasował. Kiedy mama zniknęła na górę, a tato w swoim gabinecie, zapytałam:

- Prosisz się o ukaranie?

Sam podgłośnił telewizor w momencie, gdy jakaś kobieta miała zostać pożarta przez potwora z mackami. Wszystko, co pozostało po ataku, to sztucznie wyglądająca ręka leżąca na chodniku.

- Po prostu pomyślałem, że muszę sprawić, by mnie polubiła.
- Jedyną osobą w tym domu, która musi cię lubić, jestem ja. Nimi się nie martw.

Sam wziął poduszkę z kanapy i przytulił ją do siebie, wciskając w nią twarz. Jego głos był przytłumiony.

- Być może będzie musiała mnie znosić przez dłuższy czas, wiesz?
- Jak długi?
- Dłuższy – jego uśmiech był zdumiewająco słodki.
- Na zawsze?

Usta Sama uśmiechnęły się, ale ponad tym uśmiechem, jego żółte oczy posmutniały, jakby wiedział, że to kłamstwo.

- Dłużej.

Zmniejszyłam odległość między nami i usadowiłam się w zagięciu jego ramienia, i powróciliśmy do oglądania mackowatego potwora powoli pełzającego kanałami niczego niepodważającego miasta. Oczy Sama migały po ekranie, jakby rzeczywiście oglądał daremne międzygalaktyczne bitwy, ale ja siedziałam tam i próbowałam zrozumieć, dlaczego Sam musiał się zmienić, a ja nie.

ROZDZIAŁ TZRYDZIESTY PIĄTY

SAM

9,5°C

Po filmie sci-fi (świat został ocalony, ale liczba ofiar wśród ludzi była wysoka), usiadłem z Grace przy małym śniadaniowym stoliku w pobliżu drzwi wychodzących na taras i przyglądałem się jak odrabiała zadanie domowe. Byłem niewyobrażalnie zmęczony – chłodniejsza pogoda wgrzyzała się we mnie boleśnie, nawet, jeśli nie mogła złapać mnie na tyle mocno, by mnie zmienić – najchętniej wczołgałbym się do łóżka Grace albo na kanapę, żeby się przespać. Ale moja wilcza strona była niespokojna i niezdolna do spania z obcymi ludźmi wokół. Więc żeby się rozbudzić, zostawiłem Grace na dole odrabiającą zadanie przy gasnącym świetle wlewającym się z okien do pokoju i poszedłem na górę zobaczyć studio.

Łatwo było je znaleźć; w holu na górze było tylko dwoje drzwi, a zza jednych z nich wydobywał się pomarańczowy, chemiczny zapach. Drzwi były lekko uchylone. Popchnąłem je i zamrugałem. Cały pokój był doskonale oświetlony przez lampy wyposażone w żarówki przeznaczone do naśladowania naturalnego światła dziennego, a efekt przypominał coś pomiędzy pustynią w południe, a Wal-Martem.

Ściany były ukryte za wysokimi płótnami, które opierały się o każdą dostępną przestrzeń. Wspaniałe bogactwo kolorów, realistyczne postaci w nierealistycznych pozach, normalne kształty w nienormalnych kolorach, niespodziewane rzeczy w zwykłych miejscach. Obrazy były jak zapadanie w sen, gdzie wszystko, co znasz, przedstawione było w nieznamy sposób.

*„Wszystko jest możliwe w tej króliczej norze,
Lustro czy portret od ciebie dostałam?
Każda senna zmiana będzie badała
Przepiętkne pustkowie w cudownym kolorze.”*

Stanąłem przed dwoma wielkimi malowidłami opartymi o ścianę. Na obu mężczyzna całował kobietę w szyję, w identycznych pozach, lecz skrajnie różnych kolorach. Jeden był upstrzony czerwieniami i fioletami. Był jasny, brzydki, bardzo komercyjny. Drugi był ciemny, niebieski, lawendowy, trudny do odczytania. Subtelny i uroczy. Przypomni mi o całowaniu Grace w księgarni, jak czuła się w moich ramionach, ciepła i prawdziwa.

– Który ci się podoba?

Głos jej matki zabrzmiał jasno i przystępnie. Wyobraziłem go sobie jako jej galeryjny ton. Taki, którego używała, żeby oglądający wyciągali swoje portfele w zasięg jej wzroku.

Przechyliłem głowę w kierunku niebieskiego.

- Bezkonkurencyjnie.
- Naprawdę? – Wydawała się szczerze zaskoczona. – Nikt nigdy nie powiedział tego przedtem. Ten jest dużo bardziej popularny. – Pojawiła się w zasięgu mojego wzroku i mogłem zobaczyć, że wskazuje na czerwony. – Sprzedałam setki jego odbitek.
- Jest bardzo ładny – powiedziałem uprzejmie, a ona się roześmiała.
- Jest okropny. Wiesz jak się nazywają? – Wskazała na niebieski, potem na czerwony. – Miłość i Pożądanie.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Chyba oblałem test na ilość testosteronu, czy tak?
- Dlatego, że wybrałeś miłość? Nie sądzę, ale to tylko moje zdanie. Grace powiedziała, że to głupota malować to samo dwa razy. I że na obydwóch jego oczy są zbyt blisko siebie, w każdym razie.

Uśmiechnąłem się.

- Brzmi jak coś, co mogłaby powiedzieć. Ale ona nie jest artystką.

Jej usta przybrały żaloszny kształt.

- Nie. Ona jest bardzo praktyczna. Nie wiem, po kim to ma.

Powoli przeszedłem do kolejnego zbioru obrazów – fauna i flora przechadzająca się pomiędzy półkami odzieżowymi, jeleni, który przysiadł na oknie wieżowca, ryba spoglądająca z kanału burzowego.

- To panią rozczarowuje.
- Och, nie. Nie. Grace, to po prostu Grace, i musisz ją zaakceptować taką, jaka jest. – Zawiesiła rozmowę, pozwalając mi patrzeć; lata dobrego szkolenia handlowego w zakresie podświadomej praktyki. – Przypuszczam, że będzie mieć łatwiej w życiu, bo znajdzie normalną pracę, dobrą i stabilną.

Odpowiadając nie patrzyłem na nią.

- Zdaje się, że mama nie protestuje zbyt mocno.

Usłyszałem jej westchnienie.

- Myślę, że każdy rodzic chce, żeby ich dziecko było takie jak on. Wszystko, o co dba Grace, to liczby, książki i sposób, w jaki działają rzeczy. Ciężko jest mi ją zrozumieć.
- I vice versa.
- Tak. Ale ty jesteś artystą, prawda? Musisz być.

Wzruszyłem ramionami. Zauważyłem futerał na gitarę obok drzwi do jej studia, i gorączkowo próbowałem znaleźć melodię dla niektórych utworów w mojej głowie.

- Nie, jeżeli chodzi o malowanie. Trochę gram na gitarze.

Nastąpiła długa pauza; obserwowała mnie patrzącego na obraz lisa wyglądającego spod zaparkowanego samochodu.

- Nosisz kontakty?

Zadawano mi to pytanie już tyle razy, że nawet nie zastanawiałem się nad tym, ile nerwów zabierało, żeby o to spytać.

- Nie.
- Mam teraz okropny temat malarski. Z przyjemnością zrobiłabym szybki portret przedstawiający ciebie. – Roześmiała się. To był bardzo nieśmiały dźwięk. – To dlatego na dole tak na ciebie patrzyłam. Pomyślałam po prostu, że dałoby to niesamowity efekt kolorystyczny, twoje czarne włosy i te oczy. Przypominasz mi wilki z naszego lasu. Grace mówiła ci o nich?

Moje ciało zeszytywniało. Poczułem, że jest zbyt blisko, jakby się wtrącała, zwłaszcza po wpadnięciu na Oliwię. Mój wilczy instynkt natychmiastowo wyrwał się. Ruszył w dół po schodach, szarpnął otwierając drzwi, i zatopił się bezpiecznie między drzewami. Zajęło mi kilka chwil, by zwalczyć chęć ucieczki i przekonać siebie, że to niemożliwe, żeby ona coś wiedziała, a ja doszukiwałem się zbyt wiele w jej słowach. Kolejna długa chwila i zdałem sobie sprawę, że zbyt długo stałem nic nie mówiąc.

- Och, nie miałam zamiaru cię zakłopotać. – Jej słowa padały jedno za drugim. – Nie musisz dla mnie pozować. Wiem, że niektórzy ludzie czują się tym bardzo skrępowani. I prawdopodobnie chciałbyś już wrócić na dół do Grace.

Czułem się w obowiązku nadrobić za moje grubiaństwo.

- Nie, nie. W porządku. To znaczy, czuję pewnego rodzaju skrępowanie w związku z tym. Czy mogę coś robić, gdy będzie mnie pani malować? To znaczy, żebym nie musiał po prostu siedzieć i wpatrywać się w przestrzeń?

Dosłownie pobiegła do swojej sztalugi.

- Oczywiście, że możesz! Dlaczego nie zagrasz na gitarze? Och, to będzie super. Dziękuję ci. Możesz po prostu usiąść tam, pod tymi światłami. – Podczas gdy wyciągałem gitarę,

przebiegła przez swoje studio jeszcze kilka razy, biorąc dla mnie krzesło, regulując reflektory i upinając żółty materiał, żeby odbijał złote światło po jednej stronie mojej twarzy.

- Czy muszę postarać się siedzieć nieruchomo?

Machnęła pędzlem w moim kierunku, jakby to było odpowiedzią na moje pytanie, oparła nowe płótno o sztalugę i wycisnęła na paletę tubkę czarnej farby.

- Nie, nie, po prostu graj.

Więc nastroiłem gitarę, usiadłem tam w złotym świetle i zacząłem grać i nucić pod nosem, myśląc o tych wszystkich czasach, kiedy siadałem na kanapie Beck'a i grałem piosenki dla paczki, o Paulu grającym razem ze mną na gitarze i o nas śpiewających razem harmonijnie. W tle usłyszałem szuranie, szuranie szpachelki o paletę i pędzla o płótno, i zastanawiałem się, co robiła z moją twarzą, gdy nie zwracałem na nią uwagi.

- Słyszę jak nucisz – powiedziała. – Śpiewasz?

Mruknąłem, wciąż beczynn timerze przebiegając palcami.

Jej pędzel w ogóle nie przestawał się ruszać.

- Czy to twoje piosenki?

- Tak.

- Napisałeś jedną dla Grace?

Napisałem tysiąc piosenek dla Grace.

- Tak.

- Chciałabym jej posłuchać.

Nie przestając grać, modulowałem ostrożnie w tonacji durowej. Po raz pierwszy tego lata śpiewałem na głos. Była to najszczęśliwsza melodia, jaką kiedykolwiek napisałem, a zarazem najprostsza.

„Wpadłem na nią latem, moją słodką letnią dziewczynę
Z lata jest stworzona, moja słodka letnia dziewczyna
Uwielbiam spędzać zimę z moją słodką letnią dziewczyną
Ale nie jestem wystarczająco ciepły dla mojej słodkiej letniej dziewczyny
Jest lato, gdy się uśmiecha, śmieję się jak dziecko
To lato naszego życia; zatrzymamy je przez chwilę
Ona utrzymuje ciepło, letni powiew krąży wokół dłoni
Byłbym szczęśliwy tego lata, jeśli to wszystko, co kiedykolwiek mieliśmy”

Popatrzyła na mnie.

- Nie wiem, co powiedzieć – pokazała mi swoją rękę. – Mam gęsią skórkę.

Postawiłem gitarę na podłodze, bardzo ostrożnie, tak, żeby struny nie wydały żadnego dźwięku. Nagle wydało się bardzo nagłące, by spędzać moje chwile, tak cenne i policzone, z Grace.

W momencie, gdy podjąłem tę decyzję, z dołu dobiegł okropny łomot. To było tak głośne i tak niewłaściwe, że na chwilę jej matka i ja spojrzeliśmy na siebie ze zmarszczonymi brwiami, jakbyśmy nie mogli uwierzyć w dobiegający nas odgłos.

Następnie był krzyk.

Tuż potem usłyszałem warknięcie, i już nie było mnie w pokoju zanim zdążyłem usłyszeć cokolwiek więcej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

SAM

9,5°C

Pamiętam twarz Shelby, gdy zapytała:

- Chciałbyś zobaczyć moje blizny?
- Od czego? – zapytałem.
- Od ataku. Wilków.
- Nie.

I tak mi je pokazała. Jej brzuch był pobrużdżony bliznami, które zniknęły pod biustonoszem.

- To wyglądało jak tatar po tym jak mnie pogryzły.

Nie chciałem wiedzieć.

Shelby nie opuściła koszulki.

- To musi być piekło, kiedy coś zabijamy. Musimy być najgorszym sposobem na śmierć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

SAM

5,5°C

Orgia uczuć dopadła mnie, kiedy znalazłem się w salonie. Brutalnie zimne powietrze smagało moje oczy i wykręcało mi żołądek. Mój wzrok szybko odnalazł poszarpany otwór w drzwiach na taras; częściowo pęknięte szkło wisało niepewnie we framudze, a cienkie, zabarwione na różowo kawałki wały się po podłodze, migocząc światłem z powrotem na mnie.

Krzesełko przy wnęcie jadalnej zostało przewrócone. To wyglądało, jakby ktoś obryzgał podłogę czerwoną farbą, niekończące się dziwne kształty upuszczone i rozsmarowane od drzwi do kuchni. Wtedy wyczułem Shelby. Przez chwilę stałem tam, zmrożony nieobecnością Grace, lodowatym powietrzem oraz zapachem krwi i mokrej sierści.

– Sam!

To musiała być Grace, choć jej głos brzmiał dziwnie i nie do poznania – ktoś ją udawał. Gramoliłem się, ślizgając się na plamach krwi i chwytając za framugę drzwi, by wciągnąć się do kuchni.

Scena była surrealistyczna w przyjemnym świetle kuchni. Krwawe ślady łap pokazywały kierunek, w którym Shelby otrząsnęła się i skręciła, przyciskając Grace do szafek. Grace walczyła z nią, kopła, ale Shelby była masywna i aż śmierdziało od niej adrenaliną. Zobaczyłem przebłysk bólu w oczach Grace, szczery i szeroki, zanim Shelby szarpnęła jej ciałem. Widziałem ten obraz wcześniej.

Już nie czułem zimna. Zobaczyłem żelazny garnek na kuchence i złapałem go; ramię zabolowało mnie od ciężaru. Nie chciałem uderzyć Grace – rozbiłem go o biodro Shelby.

Shelby warknęła na mnie, zaciskając zęby. Nie musieliśmy mówić w tym samym języku, żebym zrozumiał, co chciała mi przekazać. Nie zbliżaj się. Obraz wypełnił moje pole widzenia, czysty, jasny, przykuwający uwagę: Grace leżąca na kuchennej podłodze, trzęsąca się, umierająca, podczas gdy Shelby się temu przyglądała. Byłem sparaliżowany ostrą wizją wpadającą w moje myśli – to musiało być takie samo uczucie, kiedy pokazałem Grace obraz złotego lasu. To było ostre jak brzytwa wspomnienie, wspomnienie Grace walczącej o oddech.

Puściłem garnek i rzuciłem się na Shelby.

Odnalazłem jej pysk przyciśnięty do ramienia Grace, i znów poczułem jej szczęki. Zaciskając palce na wrażliwej skórze, przycisnąłem do góry, do jej tchawicy, aż Shelby zaskowyczała. Jej chwyt rozluźnił się na tyle, że mogłem odepchnąć się stopami od szafki i stoczyć ją z Grace. Tarzaliśmy się po podłodze, jej pazury stukwały i drapały po kafelkach, a moje buty skrzypiały i ślizgały się na krwi, którą ociekała. Warczała pode mną, wściekła, próbując złapać mnie za twarz, nie gryząc mnie jednak. Obraz martwej Grace na podłodze nie opuszczał moich myśli.

Przypomniałem sobie o łamaniu kości kurczaków.

W moim umyśle, doskonale widziałem jakby to było zabić Shelby.

Wyszarpnęła się spode mnie, z moich rąk, jakby czytała w moich myślach.

– Tato, nie, uważaj! – Grace wrzasnęła.

Broń wypaliła, bardzo blisko.

Na krótką chwilę, czas stanął w miejscu. Niezupełnie się zatrzymał. To jakby zatańczyło i załśniło w miejscu, światła zamigotały i przygasły przed ponownym pojawieniem się. Gdyby ta chwila była rzeczywista, byłbym motylem trzepoczącym skrzydełkami w kierunku słońca.

Shelby wypadła z mojego uścisku, martwy ciężar, i opadłem z powrotem na szafki za mną.

Była martwa. Albo przynajmniej bliska śmierci, ponieważ drżała. Ale wszystko, o czym zdawałem się myśleć, był bałagan, jakiego narobiłem na podłodze w kuchni. Wpatrywałem się w białe kwadraty linoleum,

mój wzrok podążał za cienkimi smugami krwi stworzonymi przez moje buty, aż dotarł do jednego czerwonego odcisku łąpy na środku kuchni, w jakiś sposób doskonale zachowanego.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak mocno czułem krew i wtedy spojrzałem w dół na moje trzęsące się ręce i ujrzałem czerwień rozsmarowaną na moich dłoniach i nadgarstkach. Z trudem przypomniałem sobie, że to krew Shelby. Nie żyła. To była jej krew. Nie moja. Jej.

Moi rodzice liczyli od tyłu, powoli, a krew wypływała z moich żył.

Byłem gotów wymiotować.

Byłem lodowaty.

Byłem...

- Musimy go przesunąć! – Dziewczęcy głos był przeraźliwie głośny w tej ciszy. – Trzeba zabrać go w jakieś ciepłe miejsce. Ze mną wszystko w porządku. Jestem cała. Ja tylko – pomóżcie mi go przesunąć!

Ich głosy wdzierały się do mojej głowy, zbyt głośne i zbyt wiele ich było. Czułem ruch wokół mnie, ich ciała i moja skóra kłębiły się i obracały, ale głęboko we mnie, jakaś moja część pozostawała kompletnie nieruchoma.

Grace. Trzymałem się tego jednego imienia. Jeśli zatrzymam to w mojej głowie, będzie ze mną dobrze.

Grace.

Trząłem się, trząłem; moja skóra odchodziła.

Grace.

Moje kości były ściśnięte, napięte, naciskały na mięśnie.

Grace.

Jej oczy mnie trzymały, nawet kiedy przestałem odczuwać jej palce zaciśnięte na moich ramionach.

- Sam – powiedziała. – Nie odchodź.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

GRACE

3,5°C

- Kto mógłby zrobić dziecku coś takiego? – Mama zrobiła minę. Nie byłam pewna, czy ta mina była spowodowana tym, co jej przed chwilą powiedziałam, czy smrodem sików i antyseptycznym zapachem szpitala.

Wzruszyłam ramionami i przekręciłam się niewygodnie na łóżku. Naprawdę nie potrzebowałam tu być. Rana na moim ramieniu nawet nie wymagała szwów. Jedyne czego potrzebowałam, to zobaczyć się z Samem.

- Więc on jest strasznie pokrzywdzony – mama popatrzyła na szpitalny telewizor, choć był wyłączony. Nie czekała na moją odpowiedź. – No, oczywiście. Oczywiście, że jest. Musiał być. Nie przeżywasz czegoś takiego, jeśli nie zostaniesz zniszczony. Biedny dzieciak. Wyglądał jakby naprawdę odczuwał ból.

Miałam nadzieję, że mama przestanie o tym paplać do czasu, gdy Sam skończy rozmawiać z pielęgniarką. Nie chciałam myśleć o krzywiźnie jego ramion, nienaturalnym kształcie, jaki przybrało jego ciało w reakcji na zimno. No i miałam nadzieję, że Sam zrozumie dlaczego opowiedziałam mamie o jego rodzicach – jej wiedza o nich była lepsza niż jej wiedza o wilkach.

- Mówiłam ci, mamo. Pamięć o tym naprawdę go martwi. Wiadomo, że ześwirował, kiedy zobaczył krew na swoich rękach. To warunkowania klasyczne, czy jak to tam nazywają. Sprawdź w Google.

Mama owinęła się ramionami.

- Gdyby jego tam nie było...
- Tak, umarłabym, bla bla bla. Ale był tam. Dlaczego wszyscy przejmują się tym bardziej niż ja? – Większość śladów po zębach Shelby stała się już brzydkimi siniakami – chociaż nawet w przybliżeniu nie leczyłam się tak szybko jak Sam kiedy został postrzelony.
- Ponieważ ty nie posiadasz instynktu przetrwania, Grace. Jesteś jak czołg, który brnie naprzód, myśląc, że nic nie może go powstrzymać, dopóki na swojej drodze nie napotka większego czołgu. Jesteś pewna, że chcesz chodzić z kimś, kto ma za sobą taką przeszłość? – Mama wydawała się nakręcać tą teorią. – Mógłby mieć załamanie nerwowe. Czytałam, że ludzie mają je w wieku dwudziestu ośmiu lat. Mógłby być całkiem normalny, a potem nagle się pochłastać. To znaczy, wiesz, że nigdy nie mówiłam ci co masz zrobić ze swoim życiem aż do teraz. Ale jeśli... co jeśli poproszę cię, żebyś przestała się z nim widywać?

Tego się nie spodziewałam. Mój głos był łamiący się.

- Powiedziałabym, że ze względu na swoje nierodzicielskie zachowanie aż do tej chwili, zrzekaś się prawa do utrzymywania nade mną władzy. Sam i ja jesteśmy razem. Nie ma innej opcji.

Mama wyrzuciła ręce w górę jakby chciała powstrzymać czołg-Grace przed wjechaniem w nią.

- No dobrze. W porządku. Tylko bądź ostrożna, dobrze? Zresztą. Idę się czegoś napić.

I tak po prostu, jej rodzicielska energia wyczerpała się. Odgrywała mamusię wioząc nas do szpitala, przyglądając się jak pielęgniarka pochyla się nad moimi ranami i ostrzegając mnie przed moim psychicznym chłopakiem, a teraz już skończyła. Było oczywiste, że przeżyję, więc skończyła swoją służbę.

Kilka minut po tym jak wyszła, drzwi otworzyły się, i Sam podszedł do mojego łóżka. Wyglądał blado i na zmęczonego w zielonkawym świetle. Zmęczony, ale ludzki.

- Co ci robili? – zapytałam.

Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu zupełnie pozbawionym humoru.

- Założyli mi bandaż na rozcięcia, które się uleczyły jak tylko go założyli. Co jej powiedziałaś? – rozejrzał się za moją mamą.
- Powiedziałam jej o twoich rodzicach i że to dlatego było z tobą źle. Uwierzyła mi. Jest ok. czy z tobą wszystko w porządku? Czy ty... - Nie byłam pewna o co pytam. W końcu powiedziałam: - Tato powiedział, że była martwa. Shelby. Chyba nie mogła uzdrowić się tak jak ty. To stało się zbyt szybko.

Sam położył dłonie po obu stronach mojej szyi i pocałował mnie. Przycisnął swoje czoło do mojego, tak że patrzyliśmy na siebie i wyglądał tak, jakby miał tylko jedno oko.

- Pójdę do piekła.
- Co?

Jego jedno oko zamrugało.

- Ponieważ powinienem czuć się źle dlatego że ona nie żyje.

Odsunęłam się, by zobaczyć wyraz jego twarzy; był dziwnie pusty. Nie byłam pewna co powiedzieć w świetle tej informacji, ale Sam wyratował mnie biorąc mnie za rękę i ściskając je mocno.

- Wiem, że powinienem być teraz smutny. Ale po prostu czuję się jakbym właśnie uniknął tego olbrzymiego pocisku. Ja się nie przemieniłem, ty jesteś cała, i na tę chwilę, ona jest tylko jedną rzeczą mniej, o którą już nie muszę się martwić. Czuję się... po prostu czuję się, jakbym był pijany.
- Mama myśli, że jesteś wybrakowanym towarem – powiedziałam mu.

Sam znowu mnie pocałował, na chwilę zamykając oczy, po czym pocałował mnie po raz trzeci, lekko.

- Jestem. Chcesz uciec?

Nie wiedziałam, czy miał na myśli ucieczkę ze szpitala, czy od niego.

- Panie Roth? – w drzwiach pojawiła się pielęgniarka. – Może pan tu zostać, ale powinien pan usiąść.

Tak samo jak ja, Sam musiał dostać serię zastrzyków przeciw wściekliźnie – standardowa procedura szpitalna po nieuzasadnionym ataku zwierzęcia. To nie było tak, że mogliśmy powiedzieć personelowi, że Sam znał to zwierzę osobiście i że to zwierzę było mordercze, a nie wściekłe. Przesunęłam się, żeby zrobić miejsce dla Sama, który usiadł obok mnie patrząc z niepokojem na strzykawkę w ręce pielęgniarki.

- Nie patrz na igłę – doradziła pielęgniarka podwijając jego zakrwawiony rękaw dłonią w gumowej rękawiczce. Sam odwrócił się do mojej twarzy, ale jego spojrzenie było odległe i nieostre, a jego umysł gdzieś indziej, kiedy pielęgniarka wbijała igłę w jego skórę. Kiedy patrzyłam, jak naciska strzykawkę, fantazjowałam, że to ja jestem lekarstwem dla Sama – ciekłe lato wstrzykiwane wprost do jego żył.

Ktoś zapukał do drzwi i kolejna pielęgniarka wystawiła zza nich swoją głowę.

- Brenda, skończyłaś? – zapytała. – Chyba potrzebują cię w 302. Jest tam jakaś szalejąca dziewczyna.
- Och, świetnie – powiedziała Brenda sarkastycznie. – Z waszą dwójką skończyłam. – Zwróciła się do mnie: - Kiedy tam skończę podrzucę twojej mamie robotę papierkową.
- Dzięki – powiedział Sam i wziął mnie za rękę. Razem zeszliśmy do holu, i przez jedną dziwną chwilę poczułam się tak, jak tej pierwszej nocy kiedy się poznaliśmy, jakby cały ten czas w ogóle nie minął.
- Zaczekaj – powiedziałam, gdy weszliśmy do poczekalni, a Sam pozwolił mi się zatrzymać. Zmrużyłam oczy patrząc wzdłuż zatłoczonego pomieszczenia, ale kobieta, którą zdawało mi się, że widziałam, zniknęła.
- Kogo szukasz?

- Zdawało mi się, że widziałam mamę Olivii. – Jeszcze raz spojrzałam wzdłuż poczekalni, ale były tam same nieznajome twarze.

Zobaczyłam, że nozdrza Sama rozszerzyły się, a jego brwi ściągnęły się bliżej oczu, ale nic nie powiedział, kiedy szliśmy w stronę szklanych szpitalnych drzwi. Na zewnątrz, mama podprowadziła już samochód pod krawężnik, nie zdając sobie sprawy, jaką przysługę zrobiła dla Sama.

Za samochodem, delikatne płatki śniegu wirowały, zwarte przez zimno. Wzrok Sama powędrował w stronę drzew po drugiej stronie parkingu, ledwo widocznych w świetle ulicznych latarni. Zastanawiałam się, czy myślał o śmiertelnym chłódzie, który sączył się przez szczeliny w drzwiach, albo o złamanym ciele Shelby, które już nigdy nie będzie ludzkie, lub może, jak ja, wciąż myślał o strzykawce pełnej ciekłego lata.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

SAM

5,5°C

Moje życie w kawałkach: spokojna niedziela, zapach kawy w oddechu Grace, nieznajomy widok brudowatej nowej blizny na moim ramieniu, niebezpieczny zapach śniegu w powietrzu. Dwa różne światy krążące wokół siebie, zbliżające się do siebie coraz bardziej, wiążące ze sobą w sposób, jakiego nigdy sobie nie wyobrażałem.

Bliskość przemiany poprzedniego dnia wciąż wisiła nade mną, mroczne wspomnienie wilczej woni złapanej w moje włosy i koniuszki palców. Zbyt łatwo byłoby się poddać. Nawet teraz, dobę później, wciąż czułem jakby moje ciało z tym walczyło.

Byłem tak wyczerpany.

Próbowałem zatracić się w powieści, zwinięty w miękkim skórzanym fotelu, na wpół drzemiąc. Od czasu, gdy wieczorami temperatura zaczęła ostro spadać w ciągu ostatnich kilku dni, spędzaliśmy nasz wolny czas w gabinecie jej ojca, wyraźnie nieużywanym. Poza jej sypialnią, było to najcieplejsze i najmniej przewiewne miejsce w domu. Lubiałem ten pokój. Ściany były pokryte ciemno oprawionymi encyklopediami, zbyt starymi, by mogły być przydatne, oraz zastawione nagrodami w postaci tabliczek z ciemnego drewna za biegi w maratonach, zbyt starymi, by mogły być znaczące. Całe studio było bardzo małe i brązowe, królicza nora stworzona z ciemnej skóry i przydymionego pachnącego drewna.

Grace siedziała przy biurku odrabiając zadanie domowe, z włosami oświetlonymi jak na starym obrazie przez parę matowo złotych lampek biurkowych. Sposób, w jaki usiadła, pochylając głowę w upartej koncentracji, pochłaniał mnie dużo bardziej niż książka.

Uświadomiłem sobie, że pióro Grace nie poruszało się od dłuższego czasu. Zapytałem:

– O czym myślisz?

Odwrociła się na krześle w moją stronę i zastukała piórem w usta; był to uroczy gest, który sprawił, że zapragnąłem ją pocałować.

– O pralce i suszarce. Myślałam o tym, że kiedy się wyprowadzę, będę musiała chodzić do pralni samoobsługowej, albo kupić pralkę i suszarkę.

Po prostu na nią patrzyłem, na równi zachwycony, co przerażony spojrzeniem na przedziwny sposób, w jaki funkcjonował jej umysł.

– To cię odrywało od twojej pracy domowej?

– Nie odrywało mnie – ciężko powiedziała Grace. – Zrobiłam sobie przerwę od czytania tych głupich opowiadań na angielski. – Odwróciła się z powrotem i oparła o biurko.

Przez kilka dłuższych chwil panowała cisza; wciąż nie przykładła pióra do kartki. W końcu, nie podnosząc głowy, powiedziała:

– Myślisz, że istnieje lekarstwo?

Zamknąłem oczy wzdychając.

– Och, Grace.

Grace upierała się.

– No powiedz mi. To nauka? Czy magia? Czym jesteś?

– Czy to ważne, czym?

– No jasne – odparła sfrustrowana. – Czary byłyby niepojęte. Nauka zna lekarstwo. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, jak to się wszystko zaczęło?

Nie otwierałem oczu.

- Pewnego dnia wilk ugryzł człowieka, a człowiek go złapał. Magia czy nauka, to jedno i to samo. Jedyną magiczną rzeczą jest to, że nie potrafimy tego wyjaśnić.

Grace nie powiedziała już nic więcej, ale czułem jej niepokój. Siedziałem tam cicho, chowając się za książką, wiedząc, że oczekuje ode mnie słów – słów, których nie chciałem jej dać. Nie wiedziałem, które z nas jest bardziej samolubne – ona, czekając na coś, czego nikt nie mógł obiecać, czy ja, nie obiecując jej czegoś, co było zbyt boleśnie niemożliwe, by tego chcieć.

Zanim którekolwiek z nas mogło przelamać tę kłopotliwą ciszę, drzwi do gabinetu otworzyły się i wszedł jej ojciec, jego druciane oprawki zaparowały od zmiany temperatury. Rozejrzał się po pokoju, obejmując wzrokiem zmiany, jakie w nim poczyniliśmy. Nieużywana gitara ze studia jej matki leżała oparta o mój fotel. Stos moich podartych kieszonkowych książek na stoliku. Schludny stosik zatemperowanych ołówków na biurku. Jego wzrok zatrzymał się na ekspresie do kawy, który Grace tutaj przyniosła, by zaspokoić swoje kofeinowe pragnienie; wydawał się tym zafascynowany tak samo, jak ja. Ekspres do kawy dzieciennych rozmiarów. Dla dzieciaków potrzebujących szybkiego napoju orzeźwiającego.

- Jesteśmy w domu. Przejęliście mój pokój?
- Był zaniedbywany – powiedziała Grace, nie podnosząc wzroku znad zadania. – Był zbyt przydatny, żeby pozwolić mu się marnować. A teraz nie możesz go już odzyskać.
- Niewątpliwie – zauważył. Spojrzał na mnie, zatopionego w jego fotelu. – Co czytasz?
- *Bel Canto* – odpowiedziałem.
- Nigdy o tym nie słyszałem. O czym jest?

Zerknął na okładkę; puściłem ją, żeby mógł ją zobaczyć.

- „Śpiewacy operowi i siekana cebula. I rewolwery.”

Ku mojemu zaskoczeniu jego twarz rozjaśniła się i napętniła zrozumieniem.

- Brzmi jak coś, co mogłaby przeczytać matka Grace.

Grace okręciła się w krześle.

- Tato, co zrobisz z ciałem?

Zamrugnął.

- Co?
- Po tym jak to zastrzeliłeś. Co zrobisz z ciałem?
- Och. Wyniosłem na taras.
- I?
- I co?

Grace odepchnęła się od biurka, zirytowana.

- No i co zrobisz po tym? Przecież wiem, że nie zostawiłeś go żeby zgnił na tarasie.

Powolne, chore uczucie zaczęło ogarniać mój żołądek.

- Grace, dlaczego to jest taki problem? Jestem pewien, że mama się tym zajęła.

Grace przycisnęła palce do czoła.

- Tato, jak możesz myśleć, że mama to ruszyła? Była z nami w szpitalu!
- Nie myślałem o tym tak naprawdę. Chciałem zadzwonić po obrońców zwierząt, żeby go zabrali, ale zostawiłem to na następny dzień, więc myślałem, że jedno z was ich wezwało.

Grace zrobiła stłumiony hałas.

- Tato! Mama nawet nie może zadzwonić, żeby zamówić pizzę! Jak mogłaby wezwać obrońców zwierząt?

Jej ojciec wrzucił ramionami i zamieszał swoją zupę.

- Dziwne rzeczy się zdarzają. Zresztą, nie warto się tym denerwować. Więc musiało go zabrać jakieś dzikie zwierzę. Nie sądzę, żeby jakieś inne zwierzę mogło się zarazić wścieklizną od martwego zwierzęcia.

Grace skrzyżowała ramiona i spiorunowała go wzrokiem, jakby ten komentarz był zbyt głupi, żeby uświetnić go odpowiedzią.

- Nie dąsaj się – powiedział i pchnął drzwi ramieniem, żeby wyjść. – To nie wypada.

Jej głos był lodowaty.

- Wszystkim muszę zajmować się sama.

Uśmiechnął się do niej czule, w jakiś sposób zmniejszając wielkość jej gniewu.

- Bez ciebie bylibyśmy zgubieni, zapewne. Nie siedź do późna.

Drzwi zatrzasnęły się za nim cicho, a Grace zaczęła patrzeć na książki, biurko, zamknięte drzwi. Wszystko, z wyjątkiem mojej twarzy.

Zamknąłem książkę nie zaznaczając strony.

- Ona nie jest martwa.
- Mama mogła wezwać obrońców zwierząt – powiedziała Grace do biurka.
- Twoja mama nie wezwała obrońców zwierząt. Shelby żyje.
- Sam. Zamknij się. Proszę. Tego nie wiemy. Jeden z wilków mógł porwać jej ciało z tarasu. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. – Spojrzała na mnie wreszcie, i zobaczyłem, że Grace, mimo całkowitej niezdolności do czytania z ludzi, odkryła, czym była dla mnie Shelby. Moja przeszłość wynurzała się przede mną, próbując wykraść zanim zrobi to zima.

Poczułem jak wszystko wymyka mi się z rąk. Znalazłem raj i chwyciłem się go tak mocno jak tylko mogłem, ale on się strzępił, niematerialna nić prześlizgiwała się pomiędzy moimi palcami, zbyt delikatna by ją utrzymać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

SAM

14,5°C

Więc zacząłem ich szukać.

Każdego dnia, kiedy Grace była w szkole, szukałem ich, dwóch wilków, którym nie ufałem, dwóch, które powinny być martwe. Mercy Falls było małe. Lasy Boundary... nie były tak małe, ale bardziej znajome, i może bardziej skłonne do wyjawienia mi swoich tajemnic.

Znalazłbym Shelby i Jack'a i stanął z nimi twarzą w twarz na moich własnych zasadach. Ale Shelby nie zostawiła żadnych śladów na tarasie, więc może naprawdę zniknęła. Jack'a też nigdzie nie było – znalazłem się w martwym punkcie. Duch, który nie pozostawił żadnych zwłok. Miałem ochotę przeczesać całe hrabstwo w poszukiwaniu jego śladów. Pomyślałem – miałem taką nadzieję – że on również umarł i przestał być problemem. Został potrącony przez jakiś pojazd Ministerstwa ds. Transportu i wyrzucony na wysypisko. Ale nie było żadnych śladów prowadzących do szosy, żadnych oznaczonych drzew, żadnego zapachu nowego wilka utrzymującego się na szkolnym parkingu. Dosłownie zapadł się pod ziemię, zupełnie jak śnieg latem.

Powinienem się cieszyć. Jego zniknięcie oznaczało dyskrecję. Jego zniknięcie oznaczało, że nie był już moim problemem.

Ale po prostu nie mogłem tego zaakceptować. My, wilki, robiliśmy wiele rzeczy: przemienialiśmy się, ukrywaliśmy, wyliszy do bladego, samotnego księżyca – ale nigdy nie znikaliśmy całkowicie. Ludzie znikali. To ludzie uczynili z nas potwory.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

GRACE

12°C

Sam i ja byliśmy jak konie na karuzeli. Podążaliśmy wciąż tą samą trasą – dom, szkoła, dom, szkoła, księgarnia, dom, szkoła, dom itd. – ale tak naprawdę krążyliśmy wokół ogromnego problemu ani trochę się do niego nie zbliżając. Sedno sprawy: Zima. Chłód. Strata.

Nie rozmawialiśmy o nadchodzących możliwościach, ale ciągle wyczuwałam chłód mroku, jaki to na nas rzucało. Kiedyś czytałam opowieść, w naprawdę strasznym zbiorze mitów greckich, o człowieku imieniem Domokles, nad którego tronem zawieszony był miecz na pojedynczym końskim włosie. To byliśmy my – człowieczeństwo Sama wiszące na cienkiej nici.

W poniedziałek, jak na karuzeli, wróciłam jak zwykle do szkoły. Mimo, że od ataku Shelby minęły tylko dwa dni, nawet siniaki zniknęły. Wyglądało na to, że po tym wszystkim miałam w sobie trochę z wilkołaczego uzdrawiania.

Byłam zaskoczona nieobecnością Olivii. W zeszłym roku nie opuściła nawet jednego dnia.

Czekałam i czekałam aż wejdzie do jednej z dwóch klas, które dzieliłyśmy przed lunchem, ale jej nie było. Patrzyłam na jej pustą ławkę w klasie. Mogła po prostu być chora, ale część mnie, którą starałam się ignorować mówiła, że chodziło o coś więcej. Na czwartej lekcji wślizgnęłam się na moje zwykłe miejsce za Rachel.

– Rachel, hej, widziałaś Olivie?

Rachel odwróciła się do mnie.

– Hm?

– Olivia. Nie ma z tobą fizyki?

Wzruszyła ramionami.

– Nie odzywała się do mnie od piątku. Próbowaliśmy do niej dzwonić i jej mama powiedziała, że jest chora. Ale co z tobą, kwiatuszku? Gdzie się podziewałaś przez cały weekend? W ogóle nie dzwonisz, nie piszesz.

– Zostałam pogryziona przez szopa – powiedziałam. – Dostałam serię zastrzyków przeciwko wścieklicznie, a w niedzielę musiałam to odespać. Żeby się upewnić, że nie zacznę toczyć piany z ust i z furią atakować ludzi.

– Ohyda. Gdzie to cię użarło?

Wskazałam na moje dzinsy.

– W kostkę. Już prawie nie widać. Martwię się o Olivie. Nie mogłam się do niej dodzwonić.

Rachel nachmurzyła się i skrzyżowała nogi; jak zwykle była ubrana w paski, tym razem – pasiaste rajstopy. Powiedziała:

– Tak samo jak ja. Myślisz, że ona nas unika? Ciągłe jest na ciebie zła?

Potrząsnęłam głową.

– Nie sądzę.

Rachel zrobiła minę.

– Z nami wszystko ok, prawda? To znaczy, nie rozmawialiśmy ostatnio ze sobą. O tym, co się działo. No bo trochę się działo. Ale my, no wiesz, nie rozmawialiśmy. Ani nie przychodziliśmy do siebie. Albo coś w tym stylu.

– Z nami w porządku – powiedziałam stanowczo.

Potała swoje tęczowe rajstopy i przygryzła wargę zanim powiedziała:

– Czy uważasz, że powinniśmy, wiesz, pójść do niej do domu i spróbować ją złapać?

Nie odpowiedziałam od razu, a ona nie nalegała. To był nieznany teren dla obydwu z nas: nigdy nie musiałyśmy się wysilać, żeby utrzymać nasze trio razem. Nie wiedziałam, czy śledzenie Olivii było słuszne. wydawało się to trochę drastyczne, ale tak naprawdę ile już czasu minęło odkąd ostatni raz ją widziałyśmy, albo rozmawiałyśmy z nią? Odpowiedziałam powoli.

– A gdybyśmy zaczekały do końca tygodnia? Jeśli do tego czasu nie da znaku życia, to wtedy...?

Rachel z ulgą skinęła głową.

– Spoczko.

Odwróciła się na swoim krześle do pana Rink, zdzierającego gardło na przedzie klasy, by zwrócić na siebie naszą uwagę.

– No dobra dzieciaki, pewnie słyszeliście już o tym kilka razy od nauczycieli, ale nie pijcie wody z fontann i nie całujcie nieznanym, ok? Departament Zdrowia poinformował o kilku przypadkach zapalenia opon mózgowych w tej części stanu. A tę chorobę powodują... ktoś odpowie? Smarki! Śluz! Całowanie i lizanie! Nie róbcie tego!

Z tyłu klasy pojawiło się gwizdanie pełne zrozumienia.

– Dopóki nie możecie robić żadnej z tych rzeczy, zrobimy coś niemal równie dobrego. Nauka o społeczeństwie! Otwórzcie podręczniki na stronie sto dwunastej.

Po raz tysięczny zerknęłam w stronę drzwi z nadzieją, że wejdzie przez nie Olivia, i otworzyłam książkę.

W przerwie na lunch wykradłam się na korytarz i zadzwoniłam do domu Olivii. Po dwunastu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Nie zostawiłam wiadomości; jeżeli opuszczała lekcje z innego powodu niż choroba, nie chciałam, żeby jej mama odsłuchiwała wiadomość z pytaniem, gdzie była podczas zajęć. Właśnie miałam zamknąć szafkę, gdy zauważyłam, że najmniejsza kieszonka mojego plecaka została częściowo rozpięta. Wystawał z niej kawałek papieru z wypisanym na nim moim imieniem. Rozwinęłam go i poczułam jak na moje policzki wylewa się rumieniec, gdy rozpoznałam niechlujne pismo Sama.

„ZNOWU I ZNOWU, JEDNAKŻE, ZNAMY JĘZYK MIŁOŚCI, I MAŁY CMENTARZ ZE SWOIMI OPŁAKIWANYMI IMIONAMI I ZDUMIEWAJĄCO TAJEMNĄ PRZEPAŚCIĄ, W KTÓREJ INNI ZNAJDUJĄ SWÓJ KONIEC: ZNOWU I ZNOWU DWOJE Z NAS WYCHODZI SPOD STAROŻYTNYCH DRZEW, ŚCIELĄ NASZE ŁOŻE ZNOWU I ZNOWU POMIĘDZY KWIATAMI, TWARZĄ W TWARZ Z NIEBIOSAMI.”

TO JEST RILKE. ŻAŁUJĘ, ŻE TO NIE JA GO DLA CIEBIE NAPISAŁEM.

Zupełnie tego nie rozumiałam, ale czytając na głos myślałam o Samie, szepcząc słowa do siebie. W moich ustach, forma tych słów nabrała piękna. Czułam, że się uśmiecham, nawet jeśli nie było wokół nikogo, kto mógłby to zobaczyć. Moje obawy wciąż tam były, ale w tej chwili unosiłam się nad nimi, ogrzewana pamięcią o Samie.

Nie chciałam rozwiewać moich cichych, pogodnych uczuć w hałaśliwej kawiarence, więc wycofałam się do pustej klasy na następną lekcję i zajęłam miejsce. Rzuciłam notatki z angielskiego na ławkę i jeszcze raz rozprostowałam liścik, by go znowu przeczytać.

Siedząc w pustej klasie i słuchając oddalonych dźwięków uczniów hałasujących w kafejce, przypomniało mi się, jak dostałam mdłości na lekcji i zostałam wysłana do szkolnej pielęgniarki. Gabinet miał taki sam zagłuszający dystans, co satelita do głośniejszej planety, jaką była szkoła. Spędziłam tam sporo czasu po tym, jak wilki mnie zaatakowały, cierpiąc z powodu grypy, która tak naprawdę nie była chyba gripą.

Przez niezmierną ilość czasu wpatrywałam się w otwarty telefon komórkowy, myśląc o ugryzieniach. O tym jak się po nich rozchorowałam. I jak mi się polepszyło. Dlaczego tylko ja wydobrzałam?

– Zmieniłaś zdanie?

Moja broda drgnęła w górę na dźwięk głosu, i znalazłam się twarzą w twarz z Isabel siedzącą w ławce obok. Ku mojemu zdziwieniu nie wyglądała już tak doskonale jak zwykle; miała worki pod oczami tylko częściowo ukryte pod makijażem, ale przekrwionych oczu nie dało się ukryć.

– Słucham?

– W sprawie Jack’a. O tym, czy cokolwiek o nim wiesz.

Popatrzyłam na nią ostrożnie. Słyszałam kiedyś, że prawnicy nigdy nie zadają pytania o ile nie znają już na nie odpowiedzi, a głos Isabel brzmiał zaskakująco pewnie.

Sięgnęła długim, nienaturalnie opalonym ramieniem do torby i wyjęła z niej plik papierów. Rzuciła go na moją książkę do poezji.

– Twoja przyjaciółka to upuściła.

Zajął mi chwilę uświadomienie sobie, że leży przede mną stos błyszczącego papieru fotograficznego, a te zdjęcia muszą być odbitkami Olivii. Żołądek mi się wyrócił. Pierwsze kilka fotografii przedstawiało las, nic szczególnie niezwykłego. Później były wilki. Szalony przegowany wilk w połowie ukryty za drzewami. I ten czarny wilk – czy Sam mówił mi jak ma na imię? Zawahałam się, trzymając palce na krawędzi kartki, gotowe by ją odwrócić. Isabel widocznie się spięła, przygotowując się na to, co zobaczę na kolejnej stronie. Wiedziałam, że cokolwiek Olivia uchwyciła aparatem, będzie trudne do wyjaśnienia.

W końcu, zniecierpliwiona, Isabel pochyliła się nad przejściem i chwyciła kilka kartek z góry.

– Po prostu przewróć stronę.

Było to zdjęcie Jack’a. Jack’a jako wilka. Zbliżenie jego oczu w wilczym łbie.

Na kolejnym był Jack we własnej osobie. Jako człowiek. Nagi.

Ujęcie miało swego rodzaju surową, artystyczną moc, wyglądało prawie na upozowane, sposób, w jaki ramiona Jack’a oplatały jego ciało, głowa ponad ramieniem była zwrócona w stronę aparatu, ukazując długie zadrapania na bladej krzywiźnie jego pleców.

Przygryzłam wargę i spojrzałam na jego twarz na obydwu zdjęciach. Nie było fotografii jego przemiany, ale podobieństwo oczu było druzgocące. To zbliżenie wilczego pyska – to było warte pieniędzy. I wtedy do mnie dotarło, co te zdjęcia tak naprawdę oznaczały, ich prawdziwa wymowa. Nie to, że Isabel wiedziała. Ale Olivia. To ona zrobiła te zdjęcia, więc to oczywiste, że musi wiedzieć. Ale od jak dawna, i dlaczego nic mi nie powiedziała?

– Powiedz coś.

W końcu, podniosłam wzrok ze zdjęć na Isabel.

– Co chcesz, żebym powiedziała?

Isabel westchnęła z irytacją.

– Widzisz zdjęcia. On żyje. Jest właśnie tutaj.

Znowu spojrzałam na Jacka zerkającego zza drzew. Wyglądał zimno w swojej nowej skórze.

– Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć. Czego ty ode mnie chcesz?

Wydawała się walczyć sama z sobą. Przez okamgnienie wyglądała, jakby chciała na mnie warknąć, ale wtedy zamknęła oczy. Otworzyła je i spojrzała na tablicę.

– Nie masz brata, prawda? Ani żadnego rodzeństwa?

– Nie. Jestem jedynaczką.

Isabel wzruszyła ramionami.

– Więc nie wiem jak ci to wyjaśnić. On jest moim bratem. Myślałam, że jest martwy. Ale nie jest. On żyje. Jest właśnie tutaj, ale nie wiem gdzie dokładnie. Nie wiem co to jest. Ale myślę –

myślę, że ty wiesz. Tylko że ty mi nie pomożesz. – Spojrzała na mnie, a jej oczy gwałtownie rozbłyły. – Czy ja ci kiedykolwiek coś zrobiłam?

Zająknęłam się. Prawda była taka, że Jack był jej bratem. Wydawało się, że powinna wiedzieć. Gdyby tylko to nie ona mnie o to pytała.

- Isabel... musisz wiedzieć, dlaczego obawiam się z tobą rozmawiać. Wiem, że nie zrobiłaś mi niczego osobiście. Ale znam ludzi, których zniszczyłaś. Tylko... powiedz mi, dlaczego powinnam ci zaufać.

Isabel porwała zdjęcia z ławki i wepchnęła je z powrotem do torby.

- Tak jak powiedziałaś. Bo nigdy nie zrobiłam niczego tobie. A może dlatego, że myślę, że cokolwiek złego dzieje się z Jackiem – to samo stało się też z twoim chłopakiem.

Sparaliżowało mnie na myśl o zdjęciach z kupki, których nie widziałam. Czy Sam tam był? Może Olivia wiedziała o wilkach dłużej ode mnie – próbowałam odtworzyć, co dokładnie powiedziała Olivia podczas naszego sporu, i przypomnieć sobie o jakimkolwiek podwójnym znaczeniu jej słów. Isabel gapiła się na mnie, czekając aż coś powiem, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć. W końcu warknęłam.

- No dobra, przestań się na mnie gapić. Pozwól mi pomyśleć. – Drzwi trzasnęły, gdy uczniowie zaczęli wolnym krokiem wkraczać do klasy. Wyrwałam kartkę z mojego notatnika i zapisałam na niej swój numer telefonu. – To moja komórka. Zadzwon do mnie po szkole to wymyślimy gdzie się spotkać. Tak sądzę.

Isabel wzięła numer. Oczekiwałam zobaczyć na jej twarzy satysfakcję, ale ku mojemu zaskoczeniu, wyglądała na chorą tak jak ja się czułam. Wilki były tajemnicą, którą nikt nie chciał się dzielić.

- Mamy problem.

Sam obrócił się w siedzeniu kierowcy, by na mnie spojrzeć.

- Nie powinnaś być jeszcze na lekcjach?
- Urwałam się wcześniej. – Ostatnią lekcją była sztuka. Nikt nie zamierzał tęsknić za mną i moją gliniano-drucianą rzeźbą, w każdym razie. – Isabel wie.

Sam zamrugął powoli.

- Kim jest Isabel?
- Siostrą Jack'a, pamiętasz? – Skręciłam ogrzewanie – Sam musiał nastawić na piekielną temperaturę – i popchnęłam plecak w dół do moich stóp. Wyjaśniłam mu, co zaszło, pomijając jak przyprawiające o gęsią skórkę było zdjęcia Jack'a-człowieka. – Nie mam pojęcia, co przedstawiały pozostałe zdjęcia.

Sam natychmiast pominął kwestię Isabel.

- To były zdjęcia Olivii?
- Tak.

Niepokój miał wypisany na twarzy.

- Zastanawiam się, czy to ma coś wspólnego z zachowaniem Olivii w księgarni. Ze mną. – Kiedy nie odpowiedziałam, spojrzał na kierownicę, albo coś za nią. – Jeśli wiedziała, czym jesteśmy, ten cały jej komentarz o oczach wydaje się bardzo logiczny. Próbowała namówić nas do przyznania się.
- Tak, faktycznie. To ma jakiś sens – powiedziałam.

Westchnął ciężko.

- Nagle przyszło mi do głowy, co powiedziała Rachel. O wilku, który był w domu Olivii.

Zamknęłam oczy i otworzyłam je ponownie, wciąż mając przed nimi obraz Jack'a owiniętego ramionami.

- Uh. Nie chcę o tym myśleć. A co z Isabel? Naprawdę nie mogę jej unikać. I nie mogę ciągle kłamać; wyglądam na idiotkę.

Sam uśmiechnął się do mnie lekko.

- Cóż, zapytałbym cię, jakiego rodzaju jest osobą i co według ciebie powinniśmy zrobić...
- ...ale jestem do dupy w czytaniu z ludzi – dokończyłam za niego.
- Ty to powiedziałaś, nie ja. Tylko pamiętaj o tym.
- No dobra, to co robimy? Czemu czuję, że jako jedyna funkcjonuję w trybie paniki? Ty jesteś totalnie... spokojny.

Sam wzruszył ramionami.

- Całkowity brak gotowości na coś takiego, prawdopodobnie. Nie sędzę, żebym wiedział co zaplanować, żeby się z nią nie spotkać. Gdybym porozmawiał z nią wtedy, gdy miała zdjęcia, może bym się martwił, ale teraz, nie mogę myśleć o tym konkretnie. Nie wiem, Isabel brzmi jak jedno z przyjemniejszych imion.
- Obszczekujesz nie to drzewo – zaśmiałam się.

Zrobił melodramatyczną minę i skrzył się w łzawej agonii tak przesadnie, że zrobiło mi się lepiej.

- Jest okropna?
- Do tej pory tak myślałam. Ale teraz? – Wzruszyłam ramionami. – Sędziowie wciąż nieobecni. To co robimy?
- Myślę, że powinniśmy się z nią spotkać.
- Oboje? Gdzie?
- Tak, oboje. To nie tylko twój problem. Nie wiem. W jakimś cichym miejscu. Gdzieś, gdzie mogę się w nią wczuć, zanim zdecydujemy, co jej powiedzieć. – Zmarszczył brwi. – Nie byłaby pierwszym członkiem rodziny, który by się dowiedział.

Po jego minie stwierdziłam, że nie mógł mówić o swoich rodzicach – jego ekspresja nie zmieniłaby się, gdyby tak było.

- To ktoś już wie?
- Żona Becka wiedziała.
- Czas przeszły?
- Rak piersi. To było długo przede mną. Nigdy jej nie poznałem. Dowiedziałem się o niej od Paula, i to tylko przez przypadek. Beck nie chciał, żebym o niej wiedział. Myślę, że dlatego, że większość ludzi nie radzi sobie z nami zbyt dobrze, więc nie chciał, żebym myślał, że mogę wyjść i znaleźć sobie jakąś ładną, młodą żonkę tylko dla siebie, albo coś w tym stylu.

Wydawało się niesprawiedliwe, że dwie takie tragedie mogą spotkać jedną parę. Zdałam sobie sprawę, zbyt późno, by to skomentować, że niemal przeoczyłam nieznaną gorycz w jego głosie. Rozmyślałam nad tym, by coś powiedzieć, zapytać go o Becka, ale chwila minęła zagubiona w hałasie włączonego przez Sama radia i odpalonego silnika.

Wycofał mustanga z parkingu, marszcząc czoło od natłoku myśli.

- Do diabła z zasadami – powiedział. – Chcę się z nią spotkać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

SAM

12°C

Pierwszymi słowami, które kiedykolwiek usłyszałem od Isabel były:

- Czy mogę zapytać dlaczego do jasnej cholery zamiast rozmawiać o moim bracie robimy jakieś quiche¹? – Wypełza właśnie z białego masywnego busa, który w zasadzie zatarasował cały podjazd Brisbanów. Moim pierwszym wrażeniem było to, że jest wysoka – prawdopodobnie z powodu pięciocalowych obcasów w kozakach do samego tyłka, które włożyła – kończąc na jej lokach – miała ich na głowie więcej niż porcelanowa lalka.
- Nie – powiedziała Grace i pokochałem ją za sposób, w jaki to zrobiła, nie dopuszczający do dyskusji.

Isabel fuknęła głośno, a gdyby ten odgłos przerobić na pocisk, miałby w sobie wystarczająco siarczanu, by zetrzeć mały kraj z powierzchni ziemi.

- A mogę zapytać kim on jest?

Rzuciłem na nią okiem dokładnie w momencie, w którym taksowała wzrokiem mój tyłek. Odwróciła się szybko, gdy powtórzyłem:

- Nie.

Grace zaprowadziła nas do domu. Zwracając się w holu do Isabel powiedziała:

- Nie zadawaj żadnych pytań odnośnie Jack’a. Moja mama jest w domu.
- Czy to ty Grace? – mama Grace zawołała z piętra.
- Tak! Będziemy robić quiche! – Grace powiesiła swój płaszcz i skinęła na nas, żebyśmy zrobili to samo.
- Przywiozłam parę rzeczy ze studia, po prostu usuńcie je sobie z drogi! – odkrzyknęła jej mama.

Isabel zmarszczyła nos i nie zdejmowała kurtki podbitej futrem, trzymając ręce w kieszeniach i pozostając z tyłu, podczas gdy Grace przesuwiała pudełka pod ściany przedpokoju, żeby utorować dla nas drogę pomiędzy tymi rupieciami. Isabel wyglądała zupełnie nie na miejscu w komfortowo zagraconej kuchni. Nie mogłem zdecydować, czy to jej idealne sztuczne loczki sprawiały, że poźółkłe linoleum wyglądało jeszcze bardziej żałośnie, czy może stara popękana podłoga sprawiała, że jej fryzura wyglądała sztuczniej i doskonalej. Aż do tej chwili nie zwróciłem uwagi na to, że kuchnia Grace jest tak obskurna.

Isabel odsunęła się jeszcze bardziej, kiedy Grace podwinęła rękawy i myła ręce w zlewie.

- Sam, włącz radio i znajdź coś dobrego, mógłbyś?

Znalazłem mały odtwarzacz na ladzie wśród pojemników z solą i cukrem i włączyłem go.

- O Boże, my naprawdę będziemy robić quiche – jęknęła Isabel. – Myślałam, że to przykrywka dla czegoś innego. – Uśmiechnąłem się do niej, a ona pochwyciła mój wzrok i zrobiła udręczoną minę. Ale jej ekspresja była trochę przerysowana – nie wierzyłem w ten cały jej niepokój. Coś w jej oczach mówiło mi, że była co najmniej ciekawa tej sytuacji. A sytuacja wyglądała tak: nie zamierzałem zwierzać się Isabel, dopóki nie będę cholernie pewny jaką jest osobą.

Wtedy weszła mama Grace, pachnąca pomarańczową wonią terpentyny.

- Cześć Sam. Też robisz quiche?
- Próbuję – powiedziałem szczerze.

Zaśmiała się.

¹ Quiche – rodzaj zapiekanki warzywnej

- Zabawne. A to kto?
- Isabel – odpowiedziała Grace. – Mamo, nie wiesz gdzie jest ta zielona książka kucharska? Zawsze miałam ją tutaj. Był w niej przepis na quiche.

Jej mama bezradnie wzruszyła ramionami i uklękła przy jednym z pudeł na podłodze.

- Chyba dostała nóg. Co oni puszczają w tym radiu? Sam, ty potrafisz zagrać lepiej niż oni.

Podczas gdy Grace grzebała wśród książek kucharskich schowanych w rogu lady, ja przetaczałem stacje radiowe dopóki mama Grace nie powiedziała: - Zostaw to! – kiedy natrafiłem na jakąś funkowo-popowo brzmiącą stację. Stała trzymając pudełko. – Chyba już skończyłam tutaj robotę. Bawcie się dobrze, dzieciaki. Wróć... kiedyś.

Grace ledwie zauważyła jej zniknięcie. Wskazała na mnie.

- Isabel - jajka, ser i mleko są w lodówce. Sam, musimy zrobić kruche ciasto na spód. Możesz rozgrzać piekarnik do dwustu trzydziestu stopni i podać jakieś naczynia?

Isabel gapiła się na zawartość lodówki.

- Tutaj jest, tak jakby, jakieś osiem tysięcy rodzajów sera. Wszystkie wyglądają dla mnie tak samo.
- Nastaw piekarnik, a Sam weźmie ser i resztę składników. On się zna na jedzeniu – powiedziała Grace. Stała na palcach, żeby dosięgnąć mąki na górnej półce; cudownie rozciągnęła swoje ciało, a to napełniło mnie pragnieniem, by dotknąć jej wyeksponowanej skóry na dole pleców. Ale wtedy dosięgnęła mąki i zdjęła ją na dół, a ja przegapiłem swoją szansę, więc zamieniłem się miejscami z Isabel, wziąłem jakiś pikantny cheddar, jajka i mleko, i rzuciłem to wszystko na ladę.

Grace wsypywała już mąkę do miski, a w tym czasie ja rozbijałem jajka i mieszałem je z odrobiną majonezu. Kuchnia nagle była pełna działania, jak gdybyśmy byli legionem.

- Co to jest do diabła? – domagała się odpowiedzi Isabel wpatrując się w pakunek, który podała jej Grace.

Grace parsknęła śmiechem.

- To grzyby.
- To wygląda, jakby wyszło z drugiego końca krowy.
- Polubiłabym tę krowę – Grace pochyliła się za Isabel, żeby wrzucić do garnka trochę masła. – Jej tyłek byłby wart miliony. Podsmażaj je przez kilka minut aż zrobią się miękkie i pyszne.
- Jak długo?
- Aż będą pyszne – powtórzyłem.
- Słyszałaś go – powiedziała Grace. Wyciągnęła rękę. – Patelnia!
- Pomóż jej – powiedziałem do Isabel. – Zajmę się pysznością dopóki będziesz zajęta.
- Ja już jestem pyszniutka – wymamrotała Isabel. Podała Grace dwie patelnie, a ta zręcznie rozwinęła ciasto i ułożyła je na dnie każdej z nich. Zaczęła pokazywać Isabel jak karbować brzegi. Cały proces wydawał się jej bardzo dobrze znany; przyszło mi na myśl, że Grace mogłaby zrobić to wszystko dużo szybciej bez mnie i Isabel plątających się jej pod nogami.

Isabel złapała mnie na uśmiechaniu się na widok ich dwóch karbujących kruche ciasto.

- Co ci tak wesoło? Patrz na swoje grzyby!

Uratowałem grzyby w ostatniej chwili i dodałem do nich szpinak, który Grace wsadziła mi w rękę.

- Moja maskara – głos Isabel rozległ się ponad wzrastającą wrzawą, więc zerknąłem, by zobaczyć je obie śmiejące się i zażawione podczas krojenia cebuli. A wtedy ostry zapach cebuli dotarł też do mojego nosa i zapiekł mnie w oczy.

Zaoferowałem im patelnię, na której smażyłem grzyby.

- Wrzućcie ją tutaj. To nieco zabije ten zapach.

Isabel zsunęła cebulę z deski do krojenia na patelnię, a Grace klepnęła mnie w tyłek ręką utyłaną w mące. Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć, czy zostawiła ślad, podczas gdy ona pokrywała dłonie resztą mąki, i spróbowała jeszcze raz.

- To moja piosenka! – Grace nagle krzyknęła. – Daj głośniej! Daj głośniej!

To była Mariah Carey w najgorszym z możliwych sposobów, ale teraz wydawała się bardzo na miejscu. Podgłośniłem aż głośniczki zaczęły brzęczeć o stojące przy nich puszki. Złapałem Grace za rękę i przyciągnąłem do siebie i zaczęliśmy tańczyć, jakbyśmy byli fajni, strasznie niezdarci i nieznośnie sexy, ona ocierająca się o mnie z rękoma w powietrzu, moje ramiona wokół jej talii, zbyt nisko, by mogło być to niewinne.

Pomyślałem sobie, że życie mierzy się na podstawie takich momentów. Grace odchyliła głowę do tyłu, kładąc długą, bladą szyję na moim ramieniu, żeby dosięgnąć moich ust, i tuż przed tym, gdy ją pocałowałem, zobaczyłem oczy Isabel wpatrujące się tęsknie w nasz pocałunek.

- Powiedz mi na jak długo mam nastawić minutnik – powiedziała Isabel zerkając na mnie i odwracając wzrok. – I może wtedy moglibyśmy pogadać...?

Grace wciąż opierała się o mnie plecami, bezpieczna w moich ramionach, pokryta mąką i tak całkowicie jadalna, że aż bolało mnie pragnienie bycia z nią sam na sam, tu i teraz. Upojona moją obecnością wskazała leniwie na otwartą książkę kucharską leżącą na ladzie. Isabel wczytała się w przepis i nastawiła minutnik.

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy uświadomiliśmy sobie, że skończyliśmy. Wziąłem głęboki oddech i zwróciłem się twarzą do Olivii.

- Dobra, powiem ci, co się dzieje z Jackiem.

Isabel i Grace wyglądały na zaskoczone.

- Usiądźmy – zaproponowała Grace, wyswabadzając się z moich ramion. – Tam jest salon. Przyniosę kawę.

Razem z Isabel przeszliśmy do salonu. Tak jak kuchnia, był zagracony w ten sam sposób, którego nie zauważyłem, dopóki nie pojawiła się tu Isabel. Musiała przenieść kupkę rozłożonego prania, żeby usiąść na kanapie. Nie chciałem siedzieć obok niej, więc usiadłem w bujanym fotelu naprzeciwko.

Patrząc na mnie kątem oka Isabel zapytała:

- Dlaczego nie jesteś taki jak Jack? Dlaczego nie zmieniasz się tam i z powrotem?

Nie wzdrygnąłem się; gdyby Grace nie ostrzegła mnie jak dużo wie Isabel, prawdopodobnie bym to zrobił.

- Jestem taki dłużej niż on. Im więcej czasu mija, tym robisz się stabilniejszy. Na początku zmieniasz się w kółko tam i z powrotem. Temperatura ma tu małe znaczenie, ale nie tak duże jak później.

Isabel natychmiast wypaliła z kolejnym pytaniem:

- Ty mu to zrobisz?

Pozwoliłem obrzydzeniu wypłynąć na moją twarz.

- Nie wiem, kto to zrobił. Jest nas wielu i nie każdy z nas jest miłym człowiekiem. – Nic nie powiedziałem o jego wiatrówce.
- Dlaczego jest taki zły?
- Nie wiem – wzruszyłem ramionami. – Może dlatego, że jest złą osobą?

Ekspresja Isabel wyglądała... jakbym trafił w sedno.

- Spójrz, ugryzienie nie zamienia cię w potwora. Ono tylko zamienia cię w wilka. Jesteś tym, kim jesteś. Kiedy jesteś wilkiem, albo kiedy się zmieniasz, nie masz naturalnych ludzkich zahamowań, więc jeśli z natury jesteś zły albo agresywny, stajesz się jeszcze gorszy.

Grace weszła niepewnie z trzema kubkami kawy. Isabel wzięła jeden z bobrem na boku, a ja wziąłem drugi z nazwą banku. Grace dosiadła się do Isabel.

Isabel przymknęła oczy na sekundę.

- Dobra. Pozwól mi to zrozumieć. Mój brat tak naprawdę nie został zabity przez wilki. Został tylko pokiereszowany, a następnie zamienił się w wilkołaka? Sorki, ale brakuje mi tutaj tej całej sprawy z nieśmiertelnością. A nie powinno być tu jeszcze mowy o księżycu, srebrnych kulach i innych pierdołach takich jak te?
- Uzdrowił się, ale to trwa długo – powiedziałem jej. – Tak naprawdę nigdy nie był martwy. Nie wiem jak uciekł z prosektorium. Księżyc i srebro to tylko mit. Nie wiem jak to wyjaśnić. To jest... to jest choroba, która pogarsza się, kiedy jest zimno. Myślę, że mit związany z księżycem wziął się stąd, że nocą robi się bardzo zimno, więc kiedy jesteśmy nowi, bardzo często zmieniamy się nocą. Dlatego ludzie myśleli, że jest to spowodowane wpływem księżyca.

Isabel wydawała się przyjmować to bardzo dobrze. Nie zemdląta, ani nie wyglądała na wystraszoną. Pociągnęła łyk kawy.

- Grace, to jest obrzydliwe.
- To instant – przeprosiła Grace.
- No więc, mój brat rozpoznaje mnie, kiedy jest wilkiem? – zapytała Isabel.

Grace spojrzała na mnie; nie potrafiłem odwzajemnić jej spojrzenia, kiedy odpowiadałem.

- Może troszeczkę. Niektórzy z nas w ogóle nie pamiętają niczego ze swojego życia, kiedy są wilkami. Niektórzy pamiętają niewiele.

Grace odwróciła wzrok, upijając łyk kawy, udając, że je to nie obchodzi.

- Więc jest sfera?

Isabel zadała dobre pytanie. Przytaknąłem.

- Ale Jack ich jeszcze nie znalazł. Albo oni nie znaleźli jego.

Przez dłuższą chwilę Isabel wodziła palcem po krawędzi kubka. W końcu popatrzyła na mnie, a następnie na Grace i z powrotem.

- Dobra, to gdzie jest haczyk?

Zamrugąłem.

- Co masz na myśli?
- To, że siedzisz tutaj sobie po prostu rozmawiając, a Grace udaje, że wszystko jest w porządku, ale nie jest w porządku, prawda?

Chyba nie mogłem być zaskoczony jej intuicją. Nie wdrapałbyś się na szczyt licealnego łańcucha pokarmowego, gdybyś nie potrafił czytać z ludzi. Spojrzałem na mój wciąż pełny kubek. Nie lubiłem kawy – miała zbyt mocny i gorzki smak. Byłem wilkiem zbyt długo; straciłem smak jeżeli chodzi o to.

- Mamy datę ważności. Im więcej czasu minęło od ugryzienia, tym mniejszy chłód może zamienić nas w wilki. I potrzeba więcej ciepła, żeby zamienić nas z powrotem w ludzi. Ostatecznie, po prostu się już nie zmieniamy, by znowu być ludźmi.
- Jak długo?

Nie patrzyłem na Grace.

- To zależy od wilka. Wiele lat dla większości.
- Ale nie dla ciebie.

Zamknij się Isabel. Nie chciałem testować spokojnego zachowania Grace ani chwili dłużej. Potrząsnąłem nieznacznie głową, mając nadzieję, że Grace naprawdę patrzy przez okno, a nie na mnie.

– A gdybyście mieszkali na Florydzie, albo w jakimś innym naprawdę ciepłym miejscu?

Poczułem ulgę, że zeszła z mojego tematu.

– Kilkoro z nas próbowało. Ale to nie działa. To po prostu sprawia, że jesteś przewrażliwiony na najmniejsze zmiany temperatury. – Urlik, Melissa i wilk imieniem Bauer wyjechali do Texasu któregoś roku w nadziei na wyprzedzenie zimy. Wciąż pamiętam podekscytowany telefon Urlika po tygodniach nie zmieniania się – a następnie jego przygnębiony powrót bez Bauera, po tym jak przeszli obok uchylonych drzwi klimatyzowanego sklepu, a Bauer natychmiast się przemienił. Okazało się, że policja ds. zwierząt w Texasie nie wierzyła w broń ze środkiem uspokajającym.

– A co jeżeli chodzi o równik? Gdzie temperatura nigdy się nie zmienia?

– Nie wiem – starałem się nie brzmieć irytująco. – Nikt z nas nie postanowił udać się do lasów tropikalnych, ale będę o tym pamiętać, kiedy wygram w lotto.

– Nie musisz być głupkiem – powiedziała Isabel odstawiając swój kubek z kawą na stos magazynów. – Tylko spytałam. Więc każdy, kto zostaje ugryziony, następnie się zmienia?

Każdy, z wyjątkiem jednej osoby, którą chciałbym zabrać ze sobą.

– Prawie. – Usłyszałem swój głos, jak bardzo był zmęczony, i nie obchodziło mnie to.

Isabel zacisnęła wargi i myślałem, że będzie naciskać na to dalej, ale nie.

– Więc tak to wygląda. Mój brat jest wilkołakiem, prawdziwym wilkołakiem, i nie ma na to lekarstwa.

Grace zmrużyła oczy, a ja chciałbym móc wiedzieć, o czym myślała.

– Tak. Wiesz o co chodzi. Ale ty już wcześniej o wszystkim wiedziałaś. Więc po co nas pytałaś?

Isabel wzruszyła ramionami.

– Myślę, że czekałam na kogoś, kto wyskoczy zza kurtyny i powie „Nabraliśmy cię!”. A nie te wszystkie rzeczy o wilkołakach. A wy co myśleliście?

Chciałem jej powiedzieć, że tak naprawdę nie było takiej rzeczy jak wilkołaki. Że byli ludzie, były wilki, i byli ci z nas, którzy byli na drodze od jednego do drugiego. Ale byłem po prostu zmęczony, więc nie powiedziałem nic.

– Przrzeknij, że nikomu nie powiesz – Grace przemówiła nagle. – Nie sądzę, że jeszcze tego nie zrobiłaś, ale teraz nie możesz nikomu powiedzieć.

– Masz mnie za idiotkę? Mój ojciec postrzelił jednego z nich, bo był na nie wściekły. Myślisz, że mam zamiar powiedzieć mu, że Jack jest teraz jednym z nich? A moja matka już zdążyła zażyć doodbytnicze leki. Jasne, byłaby mi wielką pomocą. Po prostu zamierzam poradzić sobie z tym sama, na własną rękę.

Grace wymieniła ze mną spojrzenie mówiące „Dobre przypuszczenie, Sam”.

– I razem z nami – Grace dodała. – Pomożemy ci, kiedy będziemy mogli. Jack nie musi być sam, ale to my pierwsi musimy go odnaleźć.

Isabel strzepnęła niewidzialną drobinę kurzu z jednego ze swoich butów, jakby nie wiedziała co zrobić z życzliwością. W końcu, ciągle patrząc na buty, powiedziała:

– No nie wiem. Nie był zbyt przyjemny, kiedy ostatni raz go widziałam. Nie wiem, czy chcę go odnaleźć.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Za co?

Za to, że nie byłem w stanie powiedzieć, że ten parszywy temperament wziął się od ugryzienia i mógłby odejść. Wzruszyłem ramionami. Czułem, że często to robię.

- Za to, że nie miałem szczęśliwszych wiadomości.

W kuchni rozległo się niskie, drażniące brzęczenie.

- Quiche jest gotowe – powiedziała Isabel. – Przynajmniej mam nagrodę pocieszenia. – Popatrzyła na mnie, a potem na Grace. – Więc wkrótce przestanie się zmieniać tam i z powrotem, tak? Ponieważ już prawie mamy zimę?

Kiwnąłem głową.

- Dobrze – powiedziała Isabel, zerkając przez okno na nagie gałęzie drzew. Patrząc w dal na las, gdzie teraz był dom Jacka, a już nie długo także mój. – Nie może dotrzeć tutaj zbyt wcześnie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

GRACE

7°C

Byłam zombie przez bezsenność. Byłam...

Wypracowanie na angielski.

Głos pana Rinka.

Migotanie światła jarzeniówki nad moją ławką.

Biologia.

Kamienna twarz Isabel.

Ciężkie powieki.

- Ziemia do Grace – powiedziała Rachel, ściskając mnie za łokieć, kiedy mijają mnie na chodniku. – Tam jest Olivia. Nawet nie widziałam jej w klasie, a ty?

Podążyłam za spojrzeniem Rachel w stronę dzieciaków czekających na szkolny autobus. Olivia była wśród nich, podskakując, by utrzymać ciepło. Bez aparatu. Pomyślałam o tych zdjęciach.

- Muszę z nią pogadać.
- Tak. Musisz – powiedziała Rachel. – Bo musisz być na omówieniu warunków przed naszymi wakacjami w gorących, słonecznych miejscach tej zimy. Poszłabym z tobą, ale tato czeka i ma jakieś spotkanie w Duluth. Wkurzy się jeśli nie ewakuuję się stąd w tej sekundzie. Powtórzysz mi co powiedziała!

Pobiegła wzdłuż parkingu, a ja potruchtałam do Olivii.

- Olivia.

Drgnęła, a ja złapałam ją za łokieć, jakby miała odlecieć, gdybym tego nie zrobiła.

- Próbowalam się do ciebie dodzwonić.

Olivia pociągnęła swoją czapkę w dół i skuliła się przed chłodem.

- Tak ?

Przez chwilę myślałam, żeby poczekać i zobaczyć, co powie. Sprawdzić, czy przyznałaby się do wiedzy o wilkach bez namawiania. Ale autobus się zatrzymywał, a ja nie chciałam czekać. Zniżyłam głos i powiedziałam wprost do jej ucha:

- Widziałam twoje zdjęcia. Jacka.

Nagle odwróciła się przodem do mnie.

- To ty je zabrałaś?

Spróbowałam, z pewnym sukcesem, trzymać oskarżycielski ton z dala od mojego głosu.

- Isabel mi je pokazała.

Olivia zbladła.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie zadzwoniłaś? – domagałam się.

Przygryzła wargi i popatrzyła wzdłuż parkingu.

- Zamierzałam, na początku. Powiedzieć ci, że miałaś rację. Ale wtedy wpadłam na Jacka, a on powiedział mi, że nie mogę mówić o nim nikomu, a ja poczułam się winna, jakbym robiła coś złego.

Gapiałam się na nią.

- Rozmawiałaś z nim?

Olivia wzruszyła ramionami, nieszczęśliwa i drżąca w narastającym chłdzie popołudnia.

- Robiłam zdjęcia wilkom jak zwykle i go zobaczyłam. Zobaczyłam go – zniżyła głos i pochyliła się do mnie – jak się zmienia. Staje się z powrotem człowiekiem. Nie mogłam w to uwierzyć. On

nie miał żadnych ubrań, a mój dom był niedaleko, więc zmusiłam go do pójścia za mną, żeby wziął jakieś ubrania Johna. Chyba po prostu starałam się przekonać samą siebie, że nie jestem szalona.

- Dzięki – powiedziałam sarkastycznie.

Zajęło jej chwilę, zanim powiedziała:

- Och, Grace, wiem. Wiem, że mówiłaś mi o tym na samym początku, ale co miałam zrobić – uwierzyć ci? To brzmi niemożliwie. To wygląda niemożliwie. Ale jest mi go żal. On teraz nigdzie nie należy.
- Jak długo to się dzieje?! – Coś mnie ukłuło. Zdrada, albo coś innego. Powiedziałam Olivii na samym początku o moich podejrzeniach, a ona czekała aż do niej przyjdę, żeby się do czegoś przyznać.
- Nie wiem. Jakiś czas. Dawałam mu jedzenie i prałam jego ubrania i rzeczy. Nie wiem, gdzie się zatrzymywał. Dużo rozmawialiśmy, dopóki nie pokłóciliśmy się o lekarstwo. Uciekałam z lekcji, żeby z nim rozmawiać i zdobyć więcej zdjęć wilków. Chciałam zobaczyć, czy któryś z pozostałych się zmieni. – Przerwała. – Grace, on powiedział, że ty zostałam ugryziona i wyzdrowiałaś.
- To prawda. To, że zostałam ugryziona. Wiedziałaś o tym. Ale nigdy nie zmieniałam się w wilka, oczywiście.

Jej oczy były skupione na mnie.

- Nigdy?

Potrząsnęłam głową.

- Nie. Nie powiedziałaś nikomu innemu?

Olivia postawiła mi kolejne miażdżące spojrzenie.

- Nie jestem idiotką.
- Cóż, Isabel jakoś zdobyła te zdjęcia. Jeśli ona mogła, każdy mógł.
- Nie mam żadnych zdjęć, które naprawdę pokazują co jest grane – powiedziała Olivia. – Mówiłam ci, nie jestem skończona idiotką. Mam tylko zdjęcia przed i po. Nikt by niczemu z tego nie uwierzył.
- Isabel uwierzyła – powiedziałam.

Olivia spojrzała na mnie spod byka.

- Jestem ostrożna. A poza tym, nie widziałam go odkąd się pokłóciliśmy. Muszę iść. – Pokazała na autobus. – Naprawdę nigdy się nie zmieniłaś?

Teraz była moja kolej, żeby spojrzeć na nią miażdżąco.

- Ja cię nigdy nie okłamałam, Olive.

Patrzyła na mnie przez długi moment, a potem powiedziała:

- Chcesz wrócić do mojego domu?

Nawet chciałam, żeby przeprosiła. Za to, że mi nie zaufała. Za to, że nie odpowiadała na telefony. Za kłótnie ze mną. Za to, że nie powiedziała, że miałam rację. Więc powiedziałam tylko:

- Czekam na Sama.
- Dobra. Może innego dnia w tym tygodniu?

Zamrugałam.

- Może.

A następnie odeszła do autobusu, zwykła sylwetka w oknach torująca sobie drogę w kierunku tyłu. Myślałam, że słysząc jej przyznanie się do wiedzy o wilkach da mi jakieś... zamknięcie, ale wszystko co

czułam, było niepokojącym lękiem. Po wszystkich poszukiwaniach Jacka, okazało się, że Olivia wiedziała przez cały czas gdzie go znaleźć. Nie byłam pewna co mam o tym sądzić.

Na parkingu zobaczyłam powoli zbliżającego się mustanga, skierowanego w moją stronę. Widok Sama za kierownicą uspokoił mnie w sposób, w jaki rozmowa z Olivią nie. Dziwne, że zobaczenie własnego auta mogło mnie tak uszczęśliwić.

Sam pochylił się, żeby odblokować dla mnie drzwi po stronie pasażera. Wciąż wyglądał na nieco zmęczonego. Podał mi kubek parującej kawy w styropianowym kubku.

- Twój telefon dzwonił dosłownie kilka minut temu.
- Dzięki – wdrapałam się do mustanga i z wdzięcznością wzięłam od niego kawę. – Dzisiaj jestem jak zombie. Umierałam z pragnienia kofeiny i właśnie odbyłam najdziwniejszą rozmowę z Olivią. Opowiem ci o tym jak już będę odpowiednio nakofeinowana. Gdzie mój telefon? – Sam wskazał na schowek.

Pakując się do mustanga otworzyłam schowek i wyjęłam telefon. Jedna nowa wiadomość. Wybrałam numer mojej poczty głosowej, włączyłam na głośnomówiący i dałam pauzę kiedy odwracałam się do Sama.

- Teraz jestem gotowa – powiedziałam do niego.

Sam spojrzał na mnie, pełen wątpliwości.

- Na?
- Mój pocałunek.

Sam przygryzł wargę.

- Wolę atak z zaskoczenia.

„Masz jedną nową wiadomość” powiedziało niemowlę nagrane na komórce.

Skrzywiłam się, rzucając się z powrotem na siedzenie.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Uśmiechnął się.

- „Cześć kochanie! Nigdy nie zgadniesz, na kogo dzisiaj wpadłam!” – Głos mamy zabrzmiał z głośnika telefonu.
- Mogłeś po prostu rzucić się na mnie – zasugerowałam. – Dla mnie byłoby to ok.
- „Naomi Ett! Wiesz, z mojej szkoły” – mama brzmiała na podekscytowaną.
- Nie sądziłem, że jesteś tego rodzaju dziewczyną – powiedział Sam. Pomyślałam, że chyba żartował.
- „Teraz jest już mężatką i w ogóle, a w mieście jest tylko na trochę, więc ja i tata spędzimy z nią jakiś czas” – mama kontynuowała.

Skrzywiłam się na niego.

- Nie jestem. Ale przy tobie, wszystkie zakłady są odwołane.
- „Więc nie wrócimy, aż do późnej nocy – mama zakończyła wiadomość. – Pamiętaj, że w lodówce są jakieś resztki, no i mamy ze sobą telefon, gdybyś nas potrzebowała.”

Moje resztki. Z zapiekanki, którą sama zrobiłam.

Sam wpatrywał się w telefon, kiedy niemowlę zaczęło tam, gdzie mama skończyła. „Żeby odsłuchać tę wiadomość jeszcze raz, wciśnij jeden. Żeby usunąć tę wiadomość...”

Usunęłam ją. Sam wciąż patrzył na telefon, z odległym spojrzeniem. Nie wiedziałam, o czym myślał. Być może, podobnie do mnie, jego głowa pełna była tuzina różnych problemów, zbyt bezkształtnych i nieuchwytnych, by je rozwiązać.

Zamknęłam telefon, a ten dźwięk zdał się złamać jego zakłęcie. Oczy Sama nagle były skupione na mnie.

- Chodź ze mną.

Uniosłam brew.

- Nie, poważnie. Pójdźmy gdzieś. Mogę cię zabrać gdzieś dziś wieczorem? Na coś lepszego niż resztki?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Może myślałam nad tym, co chciałam powiedzieć „Naprawdę myślisz, że musisz o to pytać?”.

Patrzyłam na niego uważnie, podczas gdy Sam plótł, słowo za słowem. Gdybym nie czuła woni powietrza w tym momencie, prawdopodobnie nie zdawałabym sobie sprawy, że coś jest nie w porządku. Ale wyptywający od niego zbyt słodki zapach był niepokojem. Niepokojem o mnie? Niepokojem o coś, co się dzisiaj wydarzyło? Niepokojem o prognozę pogody?

- Co się dzieje? – zapytałam.
- Po prostu chcę dzisiaj wyjechać z miasta. Chcę się stąd wyrwać na trochę. Mini wakacje. Kilka godzin w życiu kogoś innego, wiesz? To znaczy, nie musimy tego robić jeśli nie chcesz. A jeśli myślisz, że to jest...
- Sam – powiedziałam. – Zamknij się.

Zamknął się.

- Zaczynaj prowadzić.

Ruszyliśmy.

Sam wjechał na międzystanową autostradę i jechaliśmy i jechaliśmy, aż niebo poróżowiło nad drzewami, a ptaki przelatujące nad drogą stały się tylko ciemnymi sylwetkami. Było na tyle zimno, że samochody włączające się do ruchu wydmuchiwały w mroźne powietrze widoczne chmury białych spalin. Sam prowadził jedną ręką, a drugą splótł z palcami mojej dłoni. To było dużo lepsze od siedzenia w domu przy zapiekance.

Kiedy zjechaliśmy z międzystanowej, albo zdążyłam przyzwyczaić się do zapachu lęku Sama, albo on się uspokoił, ponieważ jedynym zapachem w samochodzie była jego piżmowa, wilcza woń drewna.

- Więc... - powiedziałam i przejechałam palcem po wewnętrznej stronie jego dłoni. – To gdzie my w ogóle jedziemy?

Sam rzucił na mnie okiem, a uliczne latarnie oświetlały jego smętny uśmiech.

- W Duluth jest cudowny sklep ze słodyczami.

To było niesamowicie słodkie, że wiozł nas godzinę tylko po to, by wstąpić do sklepu ze słodyczami. Niewiarygodnie głupie, jeśli wziąć pod uwagę prognozę pogody, ale przesłodkie mimo to.

- Nigdy tam nie byłam.
- Mają najbardziej niezwykle karmelowe jabłka – przyrzekł Sam. – I te lepkie rzeczy, nawet nie wiem, czym one są. Pewnie mają z milion kalorii. I gorąca czekolada – kurczę, Grace. Ona jest wprost niewiarygodna.

Nie potrafiłam myśleć o niczym, co mogłabym powiedzieć. Byłam idiotycznie zachwycona sposobem, w jaki powiedział „Grace”. Ten ton. Sposób, w jaki układały się jego usta przy samogłoskach. Tembr jego głosu utkwiony w mojej głowie jak muzyka.

- Nawet napisałem piosenkę o ich truflach – wyznał.

To przykuło moja uwagę.

- Słyszałam, że grałeś dla mojej mamy na gitarze. Powiedziała mi, że to była piosenka o mnie. Dlaczego nigdy mi jej nie zaśpiewałeś?

Sam wzruszył ramionami.

Spojrzałam za niego na jasno oświetlone miasto, każdy budynek i most oświetlony dzielnie przeciwko wczesnej zimowej ciemności; dojeżdżaliśmy do centrum. Nie mogłam sobie przypomnieć ostatniego razu, kiedy tu byłam.

- To mogłoby być bardzo romantyczne. I zwiększyć twój ulatniający się stereotyp o rówieśnikach.

Sam nie odrywał wzroku od jezdni, ale jego wargi uniosły się w uśmiechu. I ja się uśmiechnęłam, a potem popatrzyłam w dal obserwując, jak zbliżamy się do centrum. Nawet nie zwracał uwagi na znaki drogowe, kiedy poruszał się po swojemu wieczornymi ulicami.

W końcu zaparkował równoległe i wskazał na ciepło oświetlony sklep kilka drzwi przed nami. Odwrócił się do mnie.

- Raj.

Oboje wysiedliśmy z auta i przebiegliśmy dystans do sklepu. Nie wiedziałam jak bardzo jest zimno, ale mój oddech formował przede mną bezkształtny obłok, kiedy otwierałam szklane drzwi sklepu ze słodyczami. Sam wszedł w ciepły żółty blask za mną z rękoma oplecionymi wokół siebie. Dzwonek wciąż rozbrzmiewał od naszego wejścia, kiedy Sam wyszedł zza mnie i przyciągnął mnie do siebie, miażdżąc ramionami moją klatkę piersiową. Szepnął mi do ucha:

- Nie patrz. Zamknij oczy i poczuj to. Naprawdę poczuj. Wiem, że potrafisz.

Odchyliłam głowę do tyłu opierając ją o jego ramię, czując ciepło jego ciała, i zamknęłam oczy. Mój nos był centymetry od skóry na jego szyi, i to właśnie ten zapach czułam. Ziemisty, dziki, złożony.

- Nie mnie – powiedział.
- To wszystko, co czuję – wymamrotałam, otwierając oczy, by na niego spojrzeć.
- Nie bądź uparta – Sam obrócił mnie nieznacznie, abym stała przodem do centrum sklepu. Zobaczyłam półki pełne puszkowanych ciasteczek i cukierków oraz blask szklanej cukierkowej lady za nimi. – Poddaj się choć raz. To jest tego warte.

Jego smutne oczy błagały mnie, by odkryć coś, co pozostawiłam nietknięte przez wiele lat. Coś więcej niż nietknięte – coś, co pogrzebałam żywcem. Pogrzebałam, kiedy myślałam, że jestem sama. Teraz miałam przy boku Sama, tulącego mnie mocno do swojej piersi, jego oddech owiewający ciepłym podmuchem moje ucho.

Zamknęłam oczy, rozszerzyłam nozdrza i pozwoliłam zapachom wdrzeć się do mojego nosa. Najsilniejszy z nich, karmelu i brązowego cukru, zapach żółto-pomarańczowy jak słońce, dotarł do niego jako pierwszy. To było łatwe. Zapach, który każdy zauważyłby po wejściu do sklepu. Później czekolada, oczywiście, gorzka ciemna i słodka mleczna czekolada. Nie sądzę, żeby zwykła dziewczyna mogła poczuć cokolwiek ponadto, i jakaś część mnie chciała się w tym miejscu zatrzymać. Ale czułam bijące serce Sama za moimi plecami, i tym razem poddałam się.

Mięta pieprzowa wirowała w moich nozdrzach, ostra jak szkło, następnie malinowy zapach, niemal zbyt słodki, jak przedojrzały owoc. Jabłko, kruche i soczyste. Orzechy, maślane, ciepłe, ziemiste, jak Sam. Subtelny, łagodny zapach białej czekolady. Och Boże, jakby mokka, bogata, ciemna i grzeszna. Westchnęłam z przyjemnością, ale zapachów było jeszcze więcej. Maślane ciasteczka na półkach dodawały mączysty, pocieszający zapach, lizaki feerii zapachów owoców, zbyt skoncentrowanych, by były prawdziwe. Słone ugryzienie precelków, jasny zapach cytryny, kruchy brzeg anyżu. Zapachy, których nawet nazw nie znałam. Jęknęłam.

Sam nagroził mnie najłżejszym z pocałunków w moje ucho, zanim do niego przemówił.

- Czy to nie jest niesamowite?

Otworzyłam oczy; kolory wydawały się nieciekawe w porównaniu z tym, czego właśnie doświadczyłam. Nie mogłam wymyśleć niczego, co nie brzmiałoby banalnie, więc po prostu skinęłam głową. Pocałował mnie ponownie, w policzek, spojrzał mi w twarz, jego ekspresja była jasna i zachwycona, cokolwiek zobaczył w mojej. Przyszło mi do głowy, że nie dzielił tego miejsce, tego doświadczenia z nikim innym. Tylko ze mną.

- Kocham to – powiedziałam w końcu głosem tak niskim, że nie byłam pewna czy mógł to usłyszeć. Oczywiście, że mógł. Mógł słyszeć wszystko to, co ja.

Nie byłam pewna, czy jestem gotowa przyznać, jak nienormalna jestem.

Sam uwolnił z uścisku całą mnie prócz mojej ręki i pociągnął w głąb sklepu.

- Chodź. Teraz trudniejsza część. Wybierz coś. Co chcesz? Wybierz coś. Cokolwiek. Kupię to dla ciebie.

Chcę ciebie. Czując uchwyt jego dłoni na mojej, muskanie jego skóry o moją, widząc sposób, w jaki się poruszał przede mną, na równi człowieczy co wilczy, mając w pamięci jego zapach – pragnienie pocałowania go sprawiało mi ból.

Ręka Sama zacisnęła się na mojej jakby czytał w moich myślach, i poprowadził mnie do cukierkowej lady. Wpatrywałam się w rzędy doskonałych czekolad, kruchych ciasteczek, powlekanych precli i truflii.

- Zimno dziś, prawda? – zagadnęła dziewczyna stojąca za ladą. – Chyba spadnie śnieg. Nie mogę się doczekać. – Spojrzała na nas i posłała cielecy, pobłażliwy uśmiech, a ja zastanowiłam się jak głupio szczęśliwie musimy wyglądać, trzymając się za ręce i pożerając wzrokiem czekoladki.
- Co jest najlepsze? – zapytałam.

Dziewczyna natychmiast wskazała kilka półek z czekoladami. Sam potrząsnął głową.

- Możemy dostać dwie gorące czekolady?
- Z bitą śmietaną?
- Chyba nie musisz o to pytać?

Uśmiechnęła się do nas i odwróciła, że by je przygotować. Bogaty zapach czekolady rozniósł się ponad ladą, gdy otworzyła puszkę z kakao. Podczas gdy wkraplała ekstrakt z mięty pieprzowej na dno papierowych kubków, odwróciłam się do Sama i złapałam go za drugą rękę. Stojąc na palcach skradłam z jego ust delikatny pocałunek.

- Atak z zaskoczenia – powiedziałam.

Sam pochylił się i oddał pocałunek, przygryzając moja dolną wargę, co wywołało u mnie dreszcze.

- Kontratak z zaskoczenia.
- Cwaniaczek – powiedziałam, głosem cichszym niż zamierzałam.
- Wy dwoje jesteście zbyt słodcy – powiedziała dziewczyna, stawiając dwa kubki przykryte bitą śmietaną na ladzie. Miała rodzaj krzywego, otwartego uśmiechu, co sprawiło, iż pomyślałam, że dużo się śmiała. – Poważnie. Jak długo chodzicie ze sobą?

Sam puścił moją rękę i wyjął portfel, żeby zapłacić rachunek.

- Sześć lat.

Zmarszczyłam nos, by ukryć śmiech. Oczywiście, jeśli policzyłby czas, kiedy byliśmy dwoma zupełnie różnymi gatunkami.

- Wow – dziewczyna pokiwała głową z uznaniem. – To całkiem niezwykle jak na parę w waszym wieku.

Sam podał mi moją gorącą czekoladę i nie odpowiedział. Ale jego żółte oczy patrzyły na mnie zaborczo – zastanawiałam się czy zdawał sobie sprawę, że sposób, w jaki na mnie patrzył był bardziej intymny, niż lubieżne dotykanie mogłoby kiedykolwiek być.

Kucnęłam, by zobaczyć migdałową korę na półce pod ladą. Nie byłam dość śmiała, by patrzeć na którekolwiek z nich, gdy przyznałam:

- Cóż, to była miłość od pierwszego wejrzenia.

Dziewczyna westchnęła.

- To takie romantyczne. Zróbcie mi przysługę, nigdy się nie zmieniajcie. Świat potrzebuje więcej miłości od pierwszego wejrzenia.

Głos Sama był chropawy.

- Chcesz któreś z tych, Grace?

Coś w jego głosie, nieoczekiwanie, uświadomiło mi, że moje słowa wywarły większy efekt, niż zamierzałam. Zastanawiałam się, kiedy ostatni raz ktoś mu powiedział, że go kocha.

To było naprawdę zbyt smutne, żeby o tym myśleć.

Wstałam i ponownie złapałam Sama za rękę; jego palce chwyciły moje tak mocno, że nieomal mnie to zabolowało. Odezwałam się.

- W sumie te masy maślane wyglądają fantastycznie. Możemy któreś wziąć?

Sam skinął na dziewczynę za ladą. Kilka minut później, niosłam małą papierową torebkę ze słodyczami, a Sam miał na nosie bitą śmietanę. Wskazałam na nią, a on skrzywił się, zakłopotany, wycierając nos rękawem.

- Pójdę uruchomić auto – powiedziałam, podając mu torebkę. Popatrzył na mnie bez słowa, więc dodałam: - Żeby je rozgrzać.
- Och. Racja. Dobry pomysł.

Myślę, że zapomniał jak zimno było na zewnątrz. Ja nie, bynajmniej, i miałam okropny obraz w mojej głowie jak trzęsie się spazmatycznie, podczas gdy ja próbuję zwiększyć temperaturę. Zostawiłam go w sklepie i udałam się w ciemną zimową noc.

To było bardzo dziwne, gdy zaraz po tym, kiedy zamknęły się za mną drzwi, nagle poczułam się zupełnie sama, napadnięta przez bezkresną noc, zagubiona bez dotyku i zapachu Sama, który mnie zakotwiczał. Wszystko tutaj było dla mnie nieznanym. Gdyby Sam stał się teraz wilkiem, nie wiem jak długo zajęłoby mi znalezienie drogi do domu, albo co bym z nim zrobiła – nie byłabym w stanie zostawić go tutaj, mile od jego lasów. Straciłabym go w obu jego postaciach. Ulica już była pokryta bielą, i coraz więcej płatków śniegu dryfowało w dół wokół mnie, delikatnie i złowieszczo. Kiedy odblokowałam drzwiczki samochodu, mój oddech upiornie kształtował się przede mną.

Rosnący niepokój był dla mnie niezwykły. Drżąca czekałam w mustangu dopóki się nie rozgrzał, sącząc gorącą czekoladę. Sam miał rację – ta czekolada była niesamowita, i od razu poczułam się lepiej. Odrobina mięty wystrzeliwała zimnem w moich ustach, a w tym samym czasie czekolada napełniała je ciepłem. To było również uspokajające, i do czasu gdy w samochodzie zrobiło się ciepło, poczułam się głupio za wyobrażanie sobie, że cokolwiek mogłoby pójść dzisiaj nie tak.

Wyskoczyłam z mustanga i wsadziłam głowę do sklepu, znajdując Sama stojącego przy drzwiach.

- Jest gotowy.

Sam wyraźnie zadrżał, gdy poczuł powiew zimnego powietrza wlatującego przez otwarte drzwi, więc bez słowa czmychnął do auta. Rzuciłam podziękowania do dziewczyny stojącej za ladą zanim ruszyłam za Samem, ale w drodze do auta, zobaczyłam na chodniku coś, co sprawiło, że przystanęłam. Pod świeżymi śladami, które zrobił Sam, były jeszcze jedne, starsze, których wcześniej nie zauważyłam. Wydeptane tam i z powrotem na świeżym śniegu przed sklepem ze słodyczami.

Mój wzrok podążył ich drogą, kiedy prowadziły tam i z powrotem przy sklepie, kroki długie i lekkie, a następnie pozwoliłam swojemu spojrzeniu podążyć za nimi w dół chodnika. Jakieś piętnaście stóp dalej leżał ciemny stosik, z dala od jasnego światła ulicznej latarni. Zawahałam się, myśląc „Tylko dostań się do samochodu”, ale wtedy instynkt zabódł mnie, i podeszłam do tego.

To była ciemna kurtka, para dżinsów i golf, a prowadząc z dala od odzieży widniał szlak łap odcisniętych w cienkiej warstewce śniegu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

SAM

0°C

Może zabrzmiało to głupio, ale jedną z rzeczy, które kochałem w Grace, było to, że nie musiała rozmawiać. Czasem chciałem, żeby moje milczenie pozostało milczeniem, pełnym rozmyślań, wolnym od słów. Gdzie inna dziewczyna mogłaby próbować zmusić mnie do rozmowy, Grace tylko złapała mnie za rękę, kładąc nasze splecione dłonie na mojej nodze i oparła głowę o moje ramię, dopóki nie byliśmy już daleko za Duluth. Nie pytała skąd znałem drogę w mieście, albo dlaczego mój wzrok zatrzymał się na ulicy, którą moi rodzice zwykli jeździć żeby dostać się do naszego sąsiedztwa, albo jak to było, kiedy dzieciak z Duluth skończył żyjąc w wilczej sforze blisko kanadyjskiej granicy.

A kiedy w końcu przemówiła, wyjmując rękę z mojej żeby sięgnąć z woreczka cukierek, opowiedziała mi jak, jako dziecko, zrobiła kiedyś ciasteczka z resztek ugotowanych wielkanocnych jajek zamiast z surowych. To było dokładnie to, czego chciałem – piękne zakłócenie ciszy.

Do czasu, gdy usłyszałem melodyczny dzwonek telefonu komórkowego. Malejący zbiór cyfrowych nutek wydobywających się z mojej kieszeni. Przez chwilę nie mogłem zrozumieć, dlaczego telefon znajdował się w mojej kurtce, i wtedy przypomniałem sobie Becka, jak wkładał mi komórkę do ręki, kiedy się na niego gapiłem. Powiedział wtedy, że bym zadzwonił, kiedy będę go potrzebował.

Zabawne, że powiedział „kiedy”, nie „jeśli”.

– Czy to telefon? – brwi Grace ściągnęły się ponad jej oczami. – Masz telefon?

Piękne zakłócenie ciszy rozbiło się wokół mnie jak tylko wygrzebałem go z kieszeni.

– Nie miałem – powiedziałem z trudem. Nie przestawała na mnie patrzeć, a okruszyna krzywdy w jej oczach zabiła mnie. Wstyd wypłynął na moje policzki. – Właśnie go dostałem – powiedziałem. Telefon zadzwonił ponownie i odebrałem go. Nie musiałem patrzeć na wyświetlacz, żeby wiedzieć, kto dzwonił.

– Gdzie jesteś Sam? Jest zimno – głos Becka pełen był prawdziwej troski, którą zawsze doceniałem.

Byłem świadomy wzroku Grace na mnie.

Nie chciałem jego troski.

– Mam się dobrze.

Beck zrobił pauzę, a ja wyobraziłem sobie, jak analizował ton mojego głosu.

– Sam, to nie jest takie czarno białe. Spróbuj to zrozumieć. Nawet nie dałeś mi szansy porozmawiania z tobą. Czy ja kiedykolwiek się myliłem?

– Teraz – powiedziałem i rozłączyłem się. Schowałem telefon z powrotem do kieszeni, niemal oczekując, że zadzwoni ponownie. Tak jakby miałem nadzieję, że nie będę musiał na niego odpowiadać.

Grace nie zapytała kto to był. Nie poprosiła mnie, że bym jej powiedział o czym rozmawialiśmy. Wiedziałem, że czekała że bym pośpieszył jej z informacją, i wiedziałem, że powinienem, ale nie chciałem. Po prostu... po prostu nie mogłem znieść myśli, że mogłaby zobaczyć Becka w takim świetle. Albo może nie mogłem znieść myśli, że to ja go w takim świetle widziałem.

Nie powiedziałem nic.

Grace przełknęła zanim wyjęła swój własny telefon.

– To mi przypomniało, że powinnam sprawdzić wiadomości. Ha. Tak jakby moja rodzinka chciała zadzwonić.

Studiowała swoją komórkę; niebieski ekran oświetlał jej dłoń i rzucał upiorne światło na jej brodę.

- Dzwonili? – zapytałem.
- Oczywiście, że nie. Spędzają czas ze starymi znajomymi. – Wystukała ich numer i czekała. Usłyszałem szmer po drugiej stronie telefonu, zbyt cichy, bym mógł go zrozumieć. – Cześć, to ja. Tak. Nic mi nie jest. Och. Dobra. W takim razie nie będę czekać. Bawcie się dobrze. Pa. – Uderzeniem zamknęła telefon, zwróciła swoje brązowe oczy na mnie i uśmiechnęła się blado. – Ucieknijmy i pobierzmy się.
- Musielibyśmy pojechać do Vegas – powiedziałem. – Nie ma tu nikogo, kto udzieliłby nam ślubu o tej godzinie, nie licząc łosi i kilku pijanych facetów.
- To musiałby być jeleni – powiedziała Grace stanowczo. – Pijani faceci mogliby bełkotać nasze imiona, a to zepsułoby magię chwili.
- W jakiś sposób, posiadanie jelenia za prowadzącego ceremonię wilkołaka i ludzkiej dziewczyny wydaje się dziwnie odpowiednie, w każdym razie.

Grace zaśmiała się.

- I przykułoby to uwagę moich rodziców. „Mamo, tato, wyszłam za mąż. Nie patrzcie tak na mnie. On się leni tylko raz w roku”.

Potrząsnąłem głową. Miałem ochotę jej podziękować, ale zamiast tego powiedziałem:

- To Beck dzwonił.
- Beck?
- Tak. Był w Kanadzie razem z Salemem – jednym z wilków, który kompletnie oszalał. – To była tylko część prawdy, ale przynajmniej prawdy.
- Chcę go poznać – nagle powiedziała Grace. Moja twarz musiała wyglądać zabawnie, bo dodała: - Mam na myśli Becka. On jest praktycznie twoim ojcem, czyż nie?

Potałem palcami kierownicę, przenosząc wzrok z drogi na moje zbiele od uścisku kłykcie. Dziwne, że niektórzy ludzie uważali skórę za rzecz oczywistą, nigdy nie zastanawiając się nad tym, jakby to było ją stracić.

*Moja skóra łuszczy się
Uciekając od swojego chwytu
Obdarty z poczucia humoru
Jest mi ciężko być sobą*

Pomyślałem o najbardziej ojcowskim wspomnieniu Becka.

- W jego domu mieliśmy taki wielki grill, pamiętam jak jednej nocy był już zmęczony gotowaniem i powiedział „Sam, tej nocy ty nas nakarmisz”. Pokazał mi jak naciskać na środek steków, żeby zobaczyć jak mocno są już usmażone, i jak wysmażyć je szybko z każdej strony, żeby zatrzymać w nich soki.
- Pewnie były niesamowite, prawda?
- Spaliłem je wszystkie na węgiel – powiedziałem. – Porównałbym je do węgla drzewnego, ale ten jednak jest jeszcze w jakiś sposób jadalny.

Grace zaczęła się śmiać.

- Beck zjadł swój – powiedziałem, uśmiechając się ponuro na to wspomnienie. – Powiedział, że to był najlepszy stek, jaki w życiu jadł, ponieważ to nie on musiał go przyrządzić.

Miałem wrażenie jakby to było strasznie dawno temu.

Grace uśmiechała się do mnie, jakby opowieści o mnie i liderze mojej sfory były najlepszą rzeczą pod słońcem. Jakby to było inspirujące. Jakbyśmy coś mieli, Beck i ja, ojciec i syn.

W głowie zobaczyłem obraz, dzieciaka siedzącego z tyłu Tahoe patrzącego na mnie i mówiącego „Pomocy”.

- Jak dawno to było? – Grace zapytała. – To znaczy nie steki. Kiedy zostałeś ugryziony?
- Miałem siedem lat. To było jedenaście lat temu.
- Dlaczego byłeś w lasach? Przecież jesteś z Duluth, prawda? Albo przynajmniej tak jest napisane na twoim prawie jazdy.
- Nie zostałem zaatakowany w lesie – powiedziałem. – To było we wszystkich gazetach.

Oczy Grace trzymały mnie; odwróciłem wzrok na matową drogę przed nami.

- Dwa wilki zaatakowały mnie, kiedy szedłem na szkolny autobus. Jeden z nich mnie przytrzymał, a drugi ugryzł. – Rozdarł mnie tak naprawdę, jakby jego jedynym celem było zaczerpnięcie krwi. Ależ oczywiście, właśnie to było celem, czyż nie? Patrząc wstecz, wszystko wydawało się boleśnie oczywiste. Nigdy nie myślałem, żeby patrzeć poza moje proste dziecięce wspomnienia związane z byciem ugryzionym przez wilki, i Beckiem wkraczającym jako mój zbawiciel po tym jak moi rodzice usiłowali mnie zabić. Byłem tak blisko Becka, a Beck był tak szlachetny, że nie chciałem patrzeć głębiej. Ale teraz, opowiadając tę historię Grace, dotarła do mnie nieunikniona prawda: atak na mnie nie był przypadkiem. Zostałem wybrany, ścigany i wywleczony na ulicę, by zostać zarażonym, zupełnie jak te dzieciaki na tyłach Tahoe. Później przybył Beck, żeby ułożyć moje życie na nowo.

Jesteś z nich najlepszy, usłyszałem w głowie głos Becka. Myślał, że go przeżyję i przejmę panowanie nad sforą. Powinienem być zły. Wściekły za to, że moje życie zostało mi odebrane. Ale we mnie był tylko biały szum, głucho brzęczenie nicości.

- W mieście? – zapytała Grace.
- Na przedmieściach. Wokół nie było jakichkolwiek lasów. Sąsiedzi powiedzieli, że widzieli wilki przebiegające przez ich podwórka, które uciekały po tym, co zrobiły.

Grace nie odezwała się. Fakt, że byłem rozmyślnie poszukiwany był dla mnie oczywisty, ale czekałem na Grace, żeby to powiedziała. Nawet chciałem, żeby to zrobiła, wytknęła niesprawiedliwość. Ale nie zrobiła tego. Czułem tylko, jak spogląda na mnie z marsową miną, myśląc.

- Które wilki? – zapytała w końcu.
- Nie pamiętam. Jednym z nich mógł być Paul, bo jeden był czarny. To wszystko, co wiem.

Na kilka długich chwil zapanowała cisza, i dojechaliśmy do domu. Podjazd do jej domu wciąż stał pusty, a Grace westchnęła głęboko.

- Wygląda na to, że znowu mamy to miejsce tylko dla siebie – powiedziała. – Zostań tu i zaczekaj aż otworzę drzwi, dobrze?

Grace wyskoczyła z auta, wpuszczając podmuch zimnego powietrza szczypiącego moje policzki. Podkręciłem ogrzewanie jak tylko się dało, żeby przygotować się na podróż do domu. Oparty o nawiewniki, czułem ciepło żądłące moją skórę, mocno zaciskając oczy, starając się zmusić siłą woli z powrotem do zatracenia jakie czułem wcześniej. Wtedy, kiedy trzymałem Grace w ramionach w sklepie ze słodyczami, kiedy czułem jak jej ciepłe ciało opiera się o moje, kiedy patrzyłem jak wciąga zapach powietrza, wiedząc, że czuje moją woń – zadrżałem. Nie wiedziałem, czy mógłbym zostać z nią kolejną noc, zachowując się odpowiednio.

- Sam! – Grace zawołała z zewnątrz. Otworzyłem oczy, koncentrując się na jej głowie wystającej zza popękanych drzwi frontowych. Próbowwała utrzymać w przedpokoju najwyższą temperaturę jak tylko było to możliwe. Mądrze.

Czas uciekać. Gasząc samochód, wyskoczyłem z niego i pomknąłem śliskim chodnikiem, z nogami ślizgającymi się lekko, ze szczypiącą od mrozu skórą.

Grace zatrzasnęła za mną drzwi, zamykając chłód na zewnątrz. Oplotła mnie ramionami, używając swojego ciepła mojemu ciału. Jej głos był zadyszany szeptem przy moim uchu.

– Ciepło ci?

Moje oczy, zaczynające oswajać się z ciemnością panującą w przedpokoju, uchwyciły blask w jej oczach, zarys jej włosów, krągłość jej ramion wokół mnie. Lustro na ścianie oferowało podobnie matowy portret zarysu jej ciała opartego o moje. Pozwoliłem jej trzymać mnie w ramionach przez dłuższą chwilę, zanim powiedziałem:

– Tak, w porządku.

– Chcesz coś zjeść? – jej głos wydawał się hałaśliwy w pustym domu, odbijał się echem od drewnianej podłogi. Jedynym innym dźwiękiem był szum powietrza przepływającego przez grzewcze otwory wentylacyjne, stały, niski powiew. Wnikliwie zdawałem sobie sprawę, że jesteśmy sami.

Przełknąłem.

– Chcę iść do łóżka.

– Ja też – w jej głosie słychać było ulgę.

Prawie pożałowałem, że się ze mną zgodziła, bo gdybym tutaj został, jedząc kanapkę, oglądając telewizję – cokolwiek, mógłbym oderwać swoją uwagę od tego, jak bardzo jej pragnąłem.

Ale ona zgodziła się ze mną. Zrzucając buty za drzwiami, poczłapała przez hol przede mną. Wślizgnęliśmy się do jej ciemnej sypialni, pozbawionej światła, prócz blasku księżycy odbijającego się od cienkiej warstewki śniegu za oknem. Drzwi zamknęły się z cichym szurnięciem, a ona oparła się o nie z rękoma wciąż na klamce. Minęła dłuższa chwila zanim się odezwała.

– Dlaczego tak ostrożnie się ze mną obchodzisz, Samie Roth?

Próbowałem powiedzieć jej prawdę.

– Ja... To jest... Nie jestem zwierzęciem.

– Nie boję się ciebie – powiedziała.

Nie wyglądała na wystraszoną. Była piękna, księżycowa, kusząca, pachnąca miętą pieprzową i mydłem. Spędziłem jedenaście lat patrząc, jak reszta sfory staje się zwierzętami, hamując swoje instynkty kontrolowałem się, walczyłem o to, by pozostać człowiekiem, walczyłem o to, by robić dobre rzeczy.

Jakby czytając w moich myślach, Grace powiedziała:

– Możesz mi powiedzieć, czy to tylko twoja wilcza strona chce mnie całować?

Wszystko we mnie chciało ją całować wystarczająco mocno, by sprawić, że zniknę. Położyłem dłonie po obu stronach jej głowy, drzwi skrzypnęły, kiedy się o nie oparłem, i przycisnąłem swoje usta do jej warg. Oddała pocałunek, gorącymi ustami, językiem dotykając moich zębów, wciąż oparta o drzwi z rękoma za plecami. Wszystko we mnie buzowało, pragnąłem zamknąć te kilka cali przestrzeni między nami.

Pocałowała mnie mocniej, wdmuchując powietrze w moje usta, gryząc moją dolną wargę. Och, do diabła, to było niesamowite. Mruknąłem zanim zdążyłem się powstrzymać, ale zanim jeszcze pomyślałem, by poczuć się zakłopotanym, Grace wyjęła ręce zza pleców i zarzuciła mi je na szyję przyciągając do siebie.

– To było takie seksowne – powiedziała nierównym głosem. – Nie sądziłam, że możesz być jeszcze bardziej seksowny.

Pocałowałem ją ponownie, zanim mogła powiedzieć coś jeszcze, wycofując się z nią w głąb pokoju z ramionami splecionymi w świetle księżycy. Zaczepiła palce o krawędzie moich dżinsów, kciukami ocierając o moją talię, przyciągając do siebie jeszcze bardziej.

– O Boże, Grace. Ty... znacznie przeceniasz moja samokontrolę.

– Ja nie szukam samokontroli.

Moje ręce znalazły się pod jej bluzką, dłonie przyciskałem do jej pleców, z palcami rozłożonymi po bokach; nawet nie pamiętam jak się tam znalazły.

– Ja... Nie chcę zrobić czegoś, czego będziesz żałowała.

Plecy Grace wygięły się w łuk pod moimi palcami, jakby mój dotyk przywołał je do życia.

– Więc nie przestawaj.

Wyobrażałem sobie jak to mówi na tyle różnych sposobów, ale żadna z moich fantazji nie zbliżyła się nawet do pełnej uniesienia rzeczywistości.

Niezdarnie położyliśmy się na łóżku, a część mnie ciągle myślała o tym, że powinniśmy być cicho w razie gdyby jej rodzice wrócili. Ale Grace pomogła mi zdjąć koszulkę przez głowę i przebiegła palcami w dół mojej klatki piersiowej, i zamruczałem, zapominając o wszystkim, oprócz jej palców na moim ciele. Mój umysł poszukiwał słów połączonych razem, by opisać ten moment, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Nie mogłem myśleć o niczym, tylko o mięśniach jej dłoni o moją skórę.

– Cudownie pachniesz – wyszeptła Grace. – Za każdym razem, gdy cię dotykam, to wychodzi z ciebie coraz mocniej. – Jej nozdrza zadrgały jak u wilka, wyczuwając jak bardzo jej pragnąłem. Wiedząc czym jestem, i pragnąc mnie mimo to.

Pozwoliła mi przycisnąć się delikatnie w dół do poduszek. Oparłem ręce po obu jej stronach, siedząc na niej okrakiem w moich dżinsach.

– Jesteś pewna? – spytałem.

Jej oczy były jasne, podekscytowane. Kiwnęła głową.

Zsunąłem się w dół, by pocałować jej brzuch; czułem się tak dobrze, tak naturalnie, jakbym robił to już tysiąc razy wcześniej, i miałbym to robić ponownie kolejne tysiąc razy.

Zobaczyłem lśniące, brzydkie blizny, jakie sfera zostawiła na jej szyi i obojczyku, i również je ucałowałem.

Grace naciągnęła na nas koce i zrzuciliśmy pod nimi swoje ubrania. A kiedy przycisnęliśmy nasze ciała do siebie, zrzuciłem swoją skórę z mruknięciem, poddając się temu, nie będą wilkiem ani człowiekiem, tylko po prostu Samem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

GRACE

- 1°C

Dzwonił telefon. To była pierwsza rzecz, o której pomyślałam. Drugą rzeczą było nagie ramię Sama leżące na mojej klatce piersiowej. Trzecią to, że moja twarz była zimna w miejscach, które wystawały spod koców. Zamrugałam, próbując się rozbudzić, dziwnie zdezorientowana w moim własnym pokoju. Po chwili uświadomiłam sobie, że tarcza mojego budzika zwykle rozświetlona jest ciemna, a jedynym źródłem światła w pokoju był księżyc wiszący za oknem oraz wyświetlacz komórki.

Wyciągnęłam rękę w powietrze, żeby sięgnąć telefon, ostrożnie, by nie zbudzić Sama; telefon uciął z chwilą, gdy wzięłam go do ręki. Boże, powietrze tutaj było lodowate. Prąd musiał sięgnąć z powodu gołolodzi, jaką zapowiadali w prognozie pogody. Zastanawiałam się jak długo nie będzie elektryczności i czy będę musiała martwić się o Sama, że się wyziębi. Ostrożnie uniosłam koce i odnalazłam go zwiniętego przy mnie, z głową wtuloną do mojego boku, jedynie blade, nagie ramiona widoczne w słabym świetle księżyca.

Czekałam na to, by poczuć się źle, z jego ciałem przyciśniętym do mojego, ale wreszcie czułam, że żyję, aż moje serce waliło jak młotem powodując dreszcze. To, Sam i ja, to było moje życie. Życie, kiedy chodziłam do szkoły, wyczekiwałam na rodziców i wysłuchiwałam Rachel jak daje upust gniewowi na swoje rodzeństwo – to w porównaniu z nowym życiem wypadło blade. To były rzeczy, które robiłam czekając na Sama. Na zewnątrz, dalekie i zasmucone, wilki zaczęły wyc, a kilka sekund później telefon zadzwonił ponownie, nutki stopniowo zmniejszające skalę, dziwne, cyfrowe echo wilków.

Nie zdawałam sobie sprawy ze swojej pomyłki dopóki nie przystawiłam go do ucha.

- Sam – głos po drugiej stronie był nieznajomy. Głupia ja. Wzięłam telefon Sama ze stolika nocnego, nie mój. Przez dwie sekundy rozważałam, jak odpowiedzieć. Myślałam nad odrzuceniem rozmowy, ale nie potrafiłam tego zrobić.
- Nie – odpowiedziałam. – Nie Sam.

Głos był przyjemny, ale słychać było ostry ton pod słowami.

- Przepraszam. Musiałem pomylić numery.
- Nie – powiedziałam, zanim zdążył się rozłączyć. – To jest telefon Sama.

Nastąpiła długa, ciężąca cisza.

- Och. – Kolejna pauza. – Jesteś tą dziewczyną, prawda? Tą, która była w moim domu?

Zastanowiłam się, co mogę zyskać poprzez zaprzeczenie temu i wyciągnęłam pusty los.

- Tak.
- Masz jakieś imię?
- A ty?

Zaśmiał się krótko, zupełnie bez humoru, ale jednak nie nieprzyjemnie.

- Chyba cię lubię. Jestem Beck.
- To ma sens. – Odwróciłam głowę od Sama, który wciąż oddychał ciężko, mój głos tłumiony był przez ręce, którymi owijał głowę. – Co zrobisz, że się tak wkurzył?

Kolejny krótki śmiech.

- Ciągłe jest na mnie zły?

Rozważałam jak odpowiedzieć.

- Nie teraz. Śpi. Przekazać mu coś? – gapiłam się na numer Becka na wyświetlaczu starając się go zapamiętać.

Nastąpiła kolejna długa pauza, tak długa, że już myślałam, że Beck się rozłączył, ale wtedy westchnął głośno.

- Jeden z jego... przyjaciół został ranny. Myślisz, że możesz go obudzić?

Jeden z wilków. To musiało być to. Dałam nura pod koce.

- Och... oczywiście. Oczywiście, że to zrobię.

Odłożyłam słuchawkę i delikatnie odsunęłam rękę Sama tak, że mogłam zobaczyć jego ucho i bok twarzy.

- Sam, obudź się. Telefon. To ważne.

Obróciłam głowę, abym mogła zobaczyć, że jego żółte oczy są już otwarte.

- Daj na głośnomówiący.

Zrobiłam to i oparłam telefon o mój brzuch, tak że wyświetlacz rozświetlił małe niebieskie koło na moim bezrękawniku.

- Co się dzieje? – Sam uniósł się na jednym łokciu, a potem skrzywił się, gdy poczuł chłód i szarpnął koce w górę wokół nas, tworząc namiot wokół telefonu.

- Ktoś zaatakował Paula. Jest w okropnym stanie, porozrywany na strzępy.

Usta Sama utworzyły kształt litery o. Nie sądzę, żeby myślał o tym, jak wygląda jego twarz – oczy były daleko, ze swoją sforą. W końcu powiedział:

- Mógłbyś... mogłeś... Czy on wciąż krwawi? Był człowiekiem?

- Człowiek. Próbowałam spytać go kto to zrobił, żebym mógł go zabić. Myślałam... Sam, naprawdę myślałam, że będę do ciebie dzwonił, żeby powiedzieć, że on nie żyje. Było tak źle. Ale rany już się zamykają. Jednak rzecz w tym, że na całym jego ciele było pełno małych ukąszeń, na jego szyi, nadgarstkach, brzuchu, to wyglądało tak, jakby...

- ...jakby ktoś wiedział jak go zabić – dokończył Sam.

- Zrobił to wilk – powiedział Beck. – Tyle wiemy.

- Jeden z twoich nowych? – Sam warknął, z zaskakującą siłą.

- Sam.

- Czy mógł to być jeden z twoich nowych?

- Sam. Nie. Oni są w środku.

Ciało Sama wciąż było napięte obok mnie, a ja gmatwałam się pomiędzy możliwymi znaczeniami zwrotu: Jeden z twoich nowych. Czy Jack nie był jedynym nowym wilkiem?

- Przyjedziesz? – zapytał Beck. – Możesz? Czy jest zbyt zimno?

- Nie wiem. – Z zakrzywienia jego warg wywnioskowałam, że odpowiadał tylko na pierwsze pytanie. Cokolwiek to było, co trzymało go na dystans od Becka, było bardzo silne.

Głos Becka zmienił się, był miękniejszy, młodszy, bardziej bezbronny.

- Proszę, nie gniewaj się na mnie dłużej, Sam. Nie mogę tego znieść.

Sam odwrócił twarz od telefonu.

- Sam – powiedział Beck łagodnie.

Poczułam jak Sam zadrżał obok mnie, a następnie zamknął oczy.

- Jesteś tam?

Popatrzyłam na Sama, ale on wciąż się nie odzywał. Nic nie mogłam na to poradzić, było mi żal Becka z tego powodu.

- Ja jestem – powiedziałam.

Nastąpiła długa pauza, całkowicie pozbawiona szumu czy trzasków, i pomyślałam, że Beck się rozłączył. Ale wtedy zapytał mnie, w bardzo ostrożny sposób.

- Jak dużo wiesz o Samie, dziewczyno bez imienia?

- Wszystko.

Przerwa. A potem:

- Chciałbym cię poznać.

Sam sięgnął po telefon, a następnie go zamknął. Blask wyświetlacza zniknął, pozostawiając nas w ciemności pod kocami.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

GRACE

7°C

Moi rodzice nawet nie wiedzieli. Następnego ranka po nocy spędzonej razem z Samem, wydawało się, że największą rzeczą w moim umyśle było to, że moi rodzice nie mieli o tym pojęcia. Domyślałam się, że to było normalne. Domyślałam się, że odrobina poczucia winy też była normalna. Domyślałam się, że uczucie zawrotów głowy było normalne. To było tak, jakbym od samego początku myślała, że jestem kompletnym obrazkiem, a Sam odkrył, że jestem układanką, rozebrał mnie na kawałki, a potem poskładał jeszcze raz od nowa. Byłam w pełni świadoma każdego odrębnego z uczuć, powiązanych ze sobą bardzo mocno.

Sam był spokojny, nawet za bardzo, pozwalając mi prowadzić i trzymając moją prawą rękę w obu swoich dłoniach, podczas gdy ja prowadziłam drugą. Mogłabym zapłacić milion dolców, żeby tylko dowiedzieć się, o czym myślał.

– Co chciałbyś robić popołudniu? – zapytałam w końcu.

Spojrzał przez okno, palcami pocierając tył mojej ręki. Świat na zewnątrz wyglądał sucho i papierowo. Oczekując na śnieg.

– Cokolwiek, byle z tobą.

– Cokolwiek?

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się. Był to zabawny, koślawy uśmiech. Myślę, że być może czuł takie same zawroty głowy, co ja.

– Tak, cokolwiek, tak długo, dopóki będziesz przy mnie.

– Chciałabym spotkać się z Beckiem – powiedziałam.

Tam. To było na zewnątrz. To był jeden z puzzli, który utknął w mojej głowie, odkąd odebrałam tamten telefon.

Sam się nie odezwał. Wzrok miał utkwiony w szkole, prawdopodobnie myśląc, że gdyby poczekał kilka minut, mógł zostawić mnie na chodniku i uniknąć tej dyskusji. Nagle westchnął jakby był totalnie zmęczony.

– Boże, Grace. Dlaczego?

– On praktycznie jest twoim ojcem, Sam. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. To nie może być takie trudne do zrozumienia.

– Chciałabyś, żeby wszystko było na swoim miejscu. – Wzrok Sama powędrował w stronę grupki uczniów wolno idących przez parking. Unikałam znalezienia miejsca do parkowania. – Po prostu chcesz przeprowadzić magiczne swaty między mną, a nim tak, żebyś mogła poczuć, że wszystko znowu jest na swoim miejscu.

– Jeśli mówiąc tak próbujesz mnie zirytować, to nie uda ci się. Ja już wiem, że to prawda.

Sam milczał, podczas gdy ja po raz kolejny okrążałam parking, aż w końcu jęknął.

– Grace, nienawidzę tego. Nienawidzę konfrontacji.

– Nie będzie żadnej konfrontacji. On chce cię zobaczyć.

– Nie wiesz wszystkiego, co się dzieje. A dzieją się straszne rzeczy. Będzie konfrontacja, jeśli pozostały mi jeszcze jakieś zasady. A trudno to sobie wyobrazić po ostatniej nocy.

Pośpiesznie znalazłam miejsce parkingowe w jednym z najdalszych końców parkingu, tak żebym mogła spojrzeć mu w twarz bez ciekawskich spojrzeń oczu uczniów zmierzających na chodnik.

– Czujesz się winny?

– Nie. Może. Troszeczkę. Czuję się... niespokojnie.

– Zabezpieczyliśmy się – powiedziałam.

Sam nie patrzył na mnie.

- Nie o to mi chodzi. Ja po prostu... po prostu... po prostu mam nadzieję, że to była odpowiednia pora.
- To była odpowiednia pora.

Odwrócił twarz.

- Jediną rzeczą, nad którą się zastanawiam, to... czy uprawiałaś s... kochałaś się... ze mną, żeby odegrać się na swoich rodzicach?

Po prostu się na niego gapiłam. Wtedy wzięłam plecach z tylnego siedzenia. Nagle poczułam się wściekła, uszy i policzki miałam gorące, i nie wiedziałam dlaczego. Nie poznawałam własnego głosu, kiedy mu odpowiedziałam.

- To bardzo miła rzecz do powiedzenia.

Sam nie patrzył na mnie. To wyglądało jakby boczna strona szkoły go fascynowała. Tak fascynowała, że nie mógł spojrzeć mi w twarz podczas oskarżania mnie, że go wykorzystałam. Przeszła przede mną nowa fala gniewu.

- Czy masz tak gówniane poczucie własnej wartości, że myślisz, że nie pragnęłam ciebie właśnie dla ciebie? – pchnęłam drzwi i wyslizgnęłam się z auta; Sam wzdrygnął się od powietrza wlatującego do wewnątrz, choć nie było na tyle zimne, by zrobić mu krzywdę. – To idealny sposób, by to zrujnować. Po prostu sposób, na zrujnowanie tego.

Już miałam trzasnąć drzwiami, ale Sam sięgnął przez siedzenia i zatrzymał je w pół drogi.

- Zaczekaj. Grace, zaczekaj.
- Co?
- Nie pozwolę ci odejść w taki sposób. – Jego oczy błagały mnie, z absolutnym smutkiem. Zerknęłam na gęsią skórę, która pojawiła się na jego ręce, i na lekkie drżenie jego ramion w zimnym przeciągu. I już mnie miał. Nie ważne jak byłam zła, oboje wiedzieliśmy, co mogłoby się zdarzyć, kiedy ja byłabym w szkole. Nienawidziłam tego. Tego strachu. Nienawidziłam tego.
- Przepraszam, że to powiedziałem – Sam wypalił, spiesząc się, by wydobyć słowa przed moim odejściem. – Masz rację. Po prostu nie mogłem uwierzyć w to, że coś – ktoś – tak dobry mógł mi się przytrafić. Nie wściekaj się na mnie, Grace. Proszę, nie wściekaj się.

Zamknęłam oczy. Przez krótką chwilę z całego serca pragnęłam, żeby był normalnym chłopcem, abym mogła szturmować dalej z dumą i oburzeniem. Ale nie był. Był tak słaby, jak motyl jesienią, czekając na zniszczenie przez pierwszy mróz. Więc przełknęłam swoją złość, łyk goryczy, i szerzej otworzyłam drzwi.

- Nie chcę, żebyś kiedykolwiek pomyślał jeszcze raz coś takiego, Samie Roth.

Przymknął powieki, gdy wypowiedziałam jego imię, na okamgnienie zakrywając rękami swoje żółte oczy, a potem wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka.

- Przepraszam.

Chwyciłam jego dłoń i splótłam nasze palce ze sobą, skupiając wzrok na jego twarzy.

- Jak myślisz, jak poczułby się Beck, gdybyś odszedł wściekły?

Sam zaśmiał się, pozbawiony poczucia humoru, nazbyt skromnym śmiechem, który przypomniatł mi Becka i jego telefon poprzedniej nocy, i spuścił wzrok. Wiedział, że mam jego numer. Zabrał palce.

- Pojedziemy. Dobrze, pojedziemy.

Już miałam odejść, ale zatrzymałam się.

- Dlaczego jesteś na niego zły, Sam? Dlaczego jesteś na niego tak wściekły, podczas gdy nigdy nie widziałam, żebyś był tak zły na swoich prawdziwych rodziców?

Mina Sama powiedziała mi, że nie zastanawiał się wcześniej nad tym pytaniem, i odpowiedź na nie zabrała mu długi czas.

- Ponieważ Beck – Beck nie musiał robić tego, co zrobił. Moi rodzice musieli. Oni myśleli, że jestem potworem. Bali się. Nie kalkulowali tego.

Jego twarz była pełna bólu i niepewności. Podeszłam do samochodu i pocałowałam go delikatnie. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć, więc pocałowałam go znowu, wzięłam plecak i wyszłam w szarość dnia.

Kiedy oglądnęłam się przez ramię, wciąż tam siedział, z cichym i wilczym spojrzeniem. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, były jego oczy przymknięte przed wiatrem, zmierzwiłone czarne włosy, w jakiś sposób przypominające mi o pierwszej nocy, kiedy go w ogóle zobaczyłam.

Niespodziewany powiew wiatru podniósł mi włosy z szyi, zimny i przenikliwy.

Zima nagle była wyczuwalna bardzo blisko. Zatrzymałam się na chodniku, zamknęłam oczy, walcząc z niewiarygodnym pragnieniem, by wrócić do Sama. W końcu obowiązek zwyciężył i skierowałam się do szkoły. Ale czułam, jakby to był błąd.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

SAM

6,5°C

Po tym jak Grace wysiadła z auta, poczułem się źle. Źle z powodu kłótni z nią, źle z powodu wątpliwości, źle z powodu chłodu, który był na tyle ciepły, by tylko utrzymać mnie w ciele człowieka. Bardziej niż źle – czułem się niespokojny, nerwowy. Zbyt wiele niezwiązanych ze sobą końcówek: Jack, Isabel, Olivia, Shelby, Beck.

Nie mogłem w to uwierzyć, że Grace i ja jedziemy zobaczyć się z Beckiem. Podkręciłem ciepło w mustangu i oparłem głowę o kierownicę na kilka długich chwil, dopóki pofałdowany winyl nie zaczął sprawiać bólu mojemu czołu. Z termostatem nastawionym na maksa przez cały czas, nie zajęło dużo czasu, by samochód stał się duszny i gorący, ale czułem się w nim dobrze. Było daleko do przemiany. Byłem stanowczo w swojej własnej skórze.

Początkowo myślałem, że mogę siedzieć tak przez cały dzień, śpiewając piosenkę pod nosem „*Blisko do słońca jest bliżej mnie, czuję, że moja skóra trzyma się tak mocno*” i czekając na Grace, ale zajęło mi pół godziny takiego siedzenia, by zdecydować, że muszę jechać. Co więcej, musiałem odpokutować za to, co powiedziałem Grace. Więc zdecydowałem pojechać jeszcze raz do domu Jacka. Wciąż się nie pojawił, martwy czy też w gazetach, i było to jedyne miejsce, gdzie mogłem pomyśleć o ponownym rozpoczęciu poszukiwań. Grace cieszyłaby się widząc, że próbuję dla niej ułożyć wszystko na swoje miejsce.

Zostawiłem mustanga na wyizolowanej drodze niedaleko domu Culpeperów i przemknąłem przez las. Sosny były bezbarwne z obietnicą śniegu, ich końce falowały nieznacznie na wietrze, którego nie mogłem poczuć pod gałęziami. Włosy na karku drapały nieprzyjemnie; surowe choinki śmierdziały wilkiem. To był zapach, jakby dzieciak nasikał na każde jedno drzewo. Zarozumiały bękart.

Ruch po mojej prawej stronie sprawił, że podskoczyłem, napięty, rzuciłem się nisko na ziemię. Wstrzymałem oddech.

To tylko sarna. Złapałem krótkie mignięcie szerokich oczu, długie nogi i biały ogon, zanim odeszła, zaskakująco niezgrabna w zaroślach. Jej obecność w lasach pocieszała, jednak jej bycie tutaj oznaczało, że nie ma tutaj Jacka. Nie miałem przy sobie żadnej broni z wyjątkiem swoich rąk. Tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu sprostałyby one nowemu niestabilnemu wilkowi z adrenaliną po swojej stronie.

W pobliżu domu, zamarłem na skraju lasu, wsłuchując się w głosy docierające zza drzew. Dziewczyna i chłopak, głosy podniesione i zagniewane, stojący gdzieś nieopodal tylnego wejścia. Skradając się w cieniu domu, prześlizgnąłem się za róg przed nimi, cichy jak wilk. Nie rozpoznawałem męskiego głosu, gwałtownego i głębokiego, ale instynkt podpowiadał mi, że to był Jack. Drugi głos należał do Isabel. Myślałem o ujawnieniu się, ale zawahałem się, czekając aż usłyszę, o co się kłóć.

Głos Isabel był wysoki.

- Nie rozumiem, o czym ty mówisz. Za co przepraszasz? Za zniknięcie? Za zostanie ugryzionym? Za...
- Za Chloe – powiedział chłopak.

Nastąpiła pauza.

- Co masz na myśli, mówiąc „Za Chloe”? Co pies ma do tego wszystkiego? Wiesz gdzie ona jest?
- Isabel, do cholery. Czy ty mnie słuchałaś? Czasami jesteś taka głupia. Mówiłem ci, że nie wiem co robię, po tym jak się zmienię.

Zasłoniłem usta, by powstrzymać się od śmiechu. Jack zeżarł jej psa.

- Czy ty mówisz, że ona... ty... Boże! Ale z ciebie dupek!

- Nic nie mogłem na to poradzić. Powiedziałem ci, czym byłem. Nie powinnaś pozwalać jej uciekać.
- Czy ty w ogóle masz pojęcie ile ten pies kosztował?

Jack krzyknął niezadowolony.

- To co ja mam powiedzieć rodzicom? Mamo, tato, Jack jest wilkołakiem, i zgadnijcie, jak zaginęła Chloe? On ją zjadł.
- Nic im nie mów! – Jack powiedział pośpiesznie. – W każdym razie myślę, że to zatrzymałem. Myślę, że znalazłem lekarstwo.

Zmarszczyłem brwi.

- Lekarstwo. – Głos Isabel był płytki. – Jak wyleczysz bycie wilkołakiem?
- Nie zamartwiaj się o to swoim blond mózgiem. Ja po prostu... Daj mi kilka dni bym się upewnił. Jeśli będę pewny, powiem im o wszystkim.
- Dobra. Nieważne. Boże – nie mogę uwierzyć, że zjadłeś Chloe.
- Możesz się zamknąć i nie gadać o tym? Zaczynasz mnie wkurzać.
- Nieważne. A co z resztą? Bo przecież są jeszcze inni? Nie możesz pójść do nich, żeby ci pomogli?
- Isabel, zamknij się. Mówię ci, myślę, że to rozgryzłem. Nie potrzebuję żadnej pomocy.
- Nie myśl, że tak po prostu...

Hałas, ostry i nie na miejscu. Trzaśnięcie gałęzi? Uderzenie?

Głos Isabel brzmiał inaczej, gdy przemówiła ponownie. Nie tak silnie.

- Po prostu nie pozwól, żeby cię zobaczyli, zgoda? Mama jest na terapii – z twojego powodu, a tata jest poza miastem. Wracam do szkoły. Nie mogę uwierzyć, że sprowadziłeś mnie tutaj po to, by powiedzieć mi, że zjadłeś mojego psa.
- Sprowadziłem cię tu po to, by powiedzieć, że to wyleczyłem. Wyglądasz na podekscytowaną. Jasne. Nie bardzo.
- To super. Wspaniale. Cześć.

Chwilę później usłyszałem jak SUV Isabel stacza się z podjazdu i znów się zawahałem. Nie miałem zbytnej ochoty ujawniać się nowemu wilkowi, który ma problemy z kontrolą gniewu, dopóki nie byłem pewny swojego otoczenia, ale musiałem albo wrócić do samochodu, albo znaleźć się w ciepłym domu. A dom był bliżej. Powoli zakradłem się wokół tylnej części budynku, nasłuchując pozycji Jacka. Nic. Musiał wejść do środka.

Podszedłem do drzwi, do których włamałem się wcześniej w tym tygodniu – szyba już została wprawiona – i wypróbowałem klamkę. Otwarte. Jak miło.

W środku, natychmiast usłyszałem, jak Jack krąży wokoło, głośny w odmiennie nieruchomym domu, i przemknąłem przez ciemny przedpokój do długiej kuchni z wysokim sufitem, całej w czarno-białych kafelkach i czarnych blatach daleko, jak okiem sięgnąć. Światło lejące się z dwóch okien po prawej stronie było białe i czyste, odbijało się od białych ścian i padało na czarne patelnie zwisające z sufitu. To wyglądało, jakby całe pomieszczenie było czarno-białe. Zdecydowanie bardziej preferowałem kuchnię Grace – ciepłą, zagraconą, pachnącą cynamonem, czosnkiem i chlebem – niż to przepastne, sterylne pomieszczenie.

Jack skierowany był do mnie tyłem, kiedy przykucnął przed lodówką ze stali nierdzewnej, grzebiąc między szufladkami. Znieruchomiałem, ale jego przeszukiwanie lodówki ukryło odgłos mojego podejścia. Nie było wiatru, który mógłby ponieść do niego mój zapach, więc stałem przez długą minutę oceniając jego i moje możliwości. Był wysoki, szeroki w ramionach, miał czarne kręcone włosy, jak grecki posąg. Coś w sposobie w jaki się nosił sugerowało nadmierną pewność siebie, i z jakiegoś powodu, zirytowało mnie to.

Przetknąłem warknięcie i prześlizgnąłem się przez drzwi, cicho podnosząc się na ladę naprzeciw. Wysokość dałaby mi lekką przewagę, gdyby Jack zrobił się agresywny.

Odsunąłem się od lodówki i rzuciłem jedzenie na blat kuchennej wysepki wyczyszczonej na wysoki połysk. Przez kilka długich minut przyglądałem się, jak przyrządza kanapkę. Ostrożnie układał mięsa i sery, kroił chleb ostrym nożem, i wtedy spojrzał do góry.

- Jezu – powiedział.
- Cześć – skwitowałem.
- Czego chcesz? – Nie wyglądał na przestraszonego; nie byłem wystarczająco duży, by przerazić go w pojedynkę.

Nie wiedziałem, jak mu odpowiedzieć. Po usłyszeniu jego rozmowy z Isabel zmieniło się to, o co chciałem go pytać.

- No więc czym jest to, o czym myślisz, że cię wyleczy?

Teraz wyglądał na wystraszonego. Tylko przez chwilę, a potem to zniknęło, zgubione w pewnym sobie, zaciętym wyrazie jego twarzy.

- O czym ty gadasz?
- Myślisz, że znalazłeś lekarstwo. Dlaczego tak myślisz?
- Dobra, stary. Kim ty jesteś?

Naprawdę go nie lubiłem. Nie wiedziałem dlaczego; po prostu czułem to w kościach, że naprawdę go nie lubiłem. Gdybym nie myślał, że jest zagrożeniem dla Grace, Olivii i Isabel, powiedziałbym 'do diabła z nim' i zostawiłbym go tutaj samego. Mimo to, moja niechęć ułatwiała mi konfrontacje z nim. Dzięki temu łatwiej było mi grać rolę faceta, który zna odpowiedź na wszystkie pytania.

- Kimś takim jak ty. Kimś, kto został ugryziony. – Wyglądał, jakby miał zamiar zaprotestować, więc uniosłem dłoń, by go powstrzymać. – Jeśli myślisz, że powiesz coś w stylu 'Złapałeś nie tego faceta', nie kłopotz się. Widziałem cię jako wilka. Więc po prostu powiedz mi, dlaczego myślisz, że znalazłeś sposób, by to zatrzymać.
- Dlaczego miałbym ci ufać?
- Ponieważ, w przeciwieństwie do twojego ojca, nie wypycham zwierząt i nie ustawiam ich w swoim holu. I ponieważ naprawdę nie chcę, żebyś pokazywał się na terenie szkoły i na progach domów ludzi wystawiając sforę. Po prostu staramy się przetrwać z tym głównianym losem, jaki został nam dany. Nie potrzebujemy jakiegoś lizusowatego, bogatego śmiecia takiego jak ty, który ujawni nas przed resztą świata, żeby mogli przyjść po nas z widłami.

Jack warknął. Jak dla mnie za bardzo przypominało to zwierzęce warknięcie, i moja myśl została potwierdzona, kiedy zobaczyłem, że zaczyna lekko drżeć. Wciąż był niestabilny, mógł się zmienić w każdej chwili.

- Już nie muszę się tym martwić. Dostaję lekarstwo, więc możesz stąd spieprzać i zostawić mnie w spokoju. – Odwrócił się tyłem do kuchennej wysepki i stanął naprzeciw lady, która wcześniej znajdowała się za nim.

Zeskoczyłem z blatu, na którym stałem.

- Jack, na to nie ma lekarstwa.
- Mylisz się – warknął. – Jest jeszcze jeden wilk, który został uleczony.

Przesuwał się w kierunku stojaka na noże. Powinienem uciekać do drzwi, ale jego słowa mnie zmroziły.

- Co?
- Tak, zabrało mi to cały ten czas, ale rozgryzłem to. W szkole jest dziewczyna, która została ugryziona i wyleczona. Grace. Wiem, że ona zna lekarstwo. I bardzo szybko mi o tym powie.

Mój świat się zachwiał.

- Trzymaj się od niej z daleka.

Jack uśmiechnął się do mnie, a może to był tylko grymas. Jego ręka znajdowała się na ladzie, macając do tyłu w kierunku noży, a jego nozdrza rozszerzyły się, wdychając słabą woń wilka, którą zimno przyniosło na moja skórę. Odezwał się.

- Dlaczego? Nie chciałbyś też tego wiedzieć? Albo może ona już cię wyleczyła?
- Nie ma lekarstwa. Ona o niczym nie wie. – Nienawidziłem tego, jak wiele mój głos ujawniał; moje uczucia do Grace robiły wrażenie niebezpiecznie przejrzystych.
- Nie wiesz tego, człowieku – powiedział Jack. Sięgnął po nóż, ale jego ręka trzęsła się zbyt mocno, żeby złapać uchwyt za pierwszym razem. – A teraz wynocha stąd.

Ale ja się nie ruszyłem. Nie mogłem myśleć o niczym gorszym jak o jego konfrontacji z Grace. O nim drżącym, niestabilnym, agresywnym; i o niej, niezdolnej dać mu odpowiedzi, jakich poszukiwał.

Jackowi udało się złapać i wyciągnąć nóż o groźnym wyglądzie, ząbkowane ostrze odbijało białoczną kuchnię w tuzin różnych kierunków. Trząśnięcie było tak bardzo, że ledwie mogłem utrzymać nóż przede mną.

- Poprosiłem cię, byś wyszedł.

Moje instynkty namawiały mnie, żebym skoczył na niego jakbym był wilkiem, ryczał nad jego karkiem zmuszając go do poddania się. Sprawić, by obiecał trzymać się od niej z daleka. Ale to nie działało w ten sposób, kiedy byłeś człowiekiem, nie kiedy twój przeciwnik był o wiele silniejszy. Podeszedłem do niego, utkwivszy wzrok w jego oczach zamiast na nożu, i spróbowałem innej taktyki.

- Jack. Proszę. Ona nie zna odpowiedzi, ale mogę ci to ułatwić.
- Spadaj ode mnie. – Jack zrobił krok w moim kierunku, a potem do tyłu nim przyklął na jedno kolano. Nóż uderzył o kafelki; skrzywiłem się zanim wylądował, ale jego upadek był zaskakująco stłumiony. Jack prawie w ogóle nie wydał żadnego dźwięku, kiedy podążył za nożem na podłogę. Jego palce były pazurami, skręcającymi i rozprostowującymi się na białoczarnych kwadratach. Mówił coś, ale było to niezrozumiałe. Słowa ułożyły się w mojej głowie. Miały należeć do niego, ale tak naprawdę były o mnie. *„Świat słów zagubionych na życiu, zajmuję swoje miejsce wśród żywych trupów, okradziony z własnego głosu zawsze daję, tysiące słów temu bezimiennemu strachowi.”*

Przykucnąłem obok niego, odsuwając nóż od jego ciała, tak by nie mógł się nim zranić. Nie było sensu pytać go teraz o cokolwiek. Westchnąłem słuchając jego jęku, płaczu, krzyku. Byliśmy teraz równi sobie, ja i Jack. Dla całego swojego uprzywilejowania, ładnych włosów i pewnych siebie ramion, nie był wcale lepszy ode mnie.

Jack zajęczał.

- Powinieneś się cieszyć – powiedziałem do zdyszanego wilka. – Tym razem nie zwymiotowałeś.

Jack przyglądał mi się przez dłuższą chwilę nieruchomymi piwnymi oczyma, a potem skoczył na równe nogi rzucając się do drzwi.

Chciałem tylko odejść, ale nie miałem żadnego wyboru. Jakakolwiek możliwość pozostawienia go zniknęła, gdy tylko wypowiedział imię Grace.

Skoczyłem za nim. Przedzieraliśmy się przez dom, jego pazury ślizgały się po twardej drewnianej podłodze, a moje buty skrzypiały za nim. Popędziłem do holu pełnego uśmiechających się zwierząt, trzymając się tuż za nim; smród ich martwych skór wypełnił moje nozdrza. Jack miał dwie zalety: znał dom i był wilkiem. Stawiałem, że użyje znanego otoczenia by się ukryć, zamiast wypróbować swoje nieznanne zwierzęce siły.

Źle obstawiłem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

GRACE

9,5°C

Sam nigdy wcześniej się nie spóźniał. Zawsze czekał w mustangu, kiedy ja kończyłam lekcje i wychodziłam ze szkoły, więc nigdy nie musiałam się martwić gdzie jest, albo co robić podczas oczekiwania na niego.

Ale dzisiaj czekałam.

Czekałam do czasu, aż uczniowie załadowali się do autobusów. Do czasu aż pozostający w tyle uczniowie skierowywali się do swoich samochodów i znikali jeden za drugim. Czekałam do czasu, aż nauczyciele wyszli ze szkoły i wsiedli do swoich samochodów. Pomyślałam o wyjęciu mojej pracy domowej. Pomyślałam o słońcu skradającym się w dół w kierunku granicy lasu i zastanawiałam się jak zimno może być w cieniu.

- Twoja podwózka się spóźnia, Grace? – Pan Rink spytał uprzejmie, wychodząc. Zmienił koszulę po lekcjach i pachniał trochę wodą kolońską.

Musiałam wyglądać na zagubioną, siedząc na skraju krawężnika przy niewielkim trawniku przed szkołą, trzymając plecak na kolanach.

- Troszeczkę.
- Potrzebujesz po kogoś zadzwonić?

Kątem oka zauważyłam, jak mustang wjeżdża na parking i pozwoliłam sobie na głębokie westchnienie. Uśmiechnęłam się do pana Rinka.

- Nie. Właśnie się pokazali.
- To dobrze – powiedział. – Zanosi się na to, że później zrobi się bardzo zimno. Śnieg!
- Hurra! – powiedziałam kwaśno, a on zaśmiał się i pomachał odchodząc do swojego samochodu. Szarpnęłam plecak na ramię i pobiegłam do mustanga. Otwierając drzwi od strony pasażera wskoczyłam do środka.

Sekundę później zorientowałam się, że z zapachem jest coś nie tak. Podniosłam oczy na kierowcę i skrzyżowałam ręce na piersi, trzęsąc się.

- Gdzie jest Sam?
- Masz na myśli faceta, który powinien siedzieć na moim miejscu – powiedział Jack.

Chociaż widziałam, jak jego oczy spoglądają z ciała wilka, chociaż słyszałam od Isabel, że go widziała, chociaż przez kilka tygodni wiedzieliśmy, że żyje, nie byłam przygotowana na zobaczenie Jacka na żywo. Jego czarne kręcone włosy, dłuższe niż wtedy, kiedy po raz ostatni widziałam go na korytarzach, jego piwne oczy, jego ręce uczone kierownicy. Prawdziwe. Żywe. Moje serce waliło w piersi.

Oczy Jacka utkwione były w drodze, kiedy wyrwał z parkingu. Wyobraziłam sobie, jak myślał, że nie będę próbować uciekać z mustanga podczas jazdy, ale nie musiał się o to martwić. Byłam wmurowana w siedzenie poprzez niewiadomą: Gdzie był Sam?

- Tak, mam na myśli faceta, który powinien tu siedzieć – mój głos wyszedł jak warknięcie. – Gdzie on jest?

Jack zerknął na mnie; był nerwowy, trząsł się. Jak brzmiało to słowo, którym Sam określał nowe wilki? Niestabilne?

- Nie próbuję być tu czarnym charakterem, Grace. Ale potrzebuję odpowiedzi i to szybko, bo inaczej stanę się naprawdę złym facetem.
- Prowadzisz jak idiota. Jeśli nie chcesz zostać zatrzymanym przez gliniarzy, lepiej zwolnij. Dokąd jedziemy?

- Nie wiem. Ty mi powiedz. Chcę wiedzieć, jak to powstrzymać i chcę to wiedzieć teraz, bo to się pogarsza.

Nie wiedziałam, czy miał na myśli, że pogarsza się, bo pogoda robi się coraz zimniejsza, czy pogarsza mu się właśnie w tej sekundzie.

- Nic ci nie powiem, dopóki nie zabierzesz mnie tam, gdzie jest Sam. – Jack nie odpowiedział. Odezwałam się. – Nie mam zamiaru się w to bawić. Gdzie on jest?

Jack szarpnął głową w moim kierunku.

- Chyba mnie nie zrozumiałaś. To ja prowadzę, to ja wiem gdzie on się znajduje, i to ja mogę oderwać ci głowę jak tylko się zmienię, więc wydaje mi się, że to ty jesteś osobą, która powinna zacząć się moczyć i powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć.

Jego dłonie zaciskały się na kierownicy, napinając ramiona, które drżały. Boże, niedługo się zmieni. Musiałam coś wymyślić, żeby ściągnąć go z drogi.

- Co chcesz wiedzieć?
- Jak to zatrzymać. Wiem, że znasz lekarstwo. Wiem, że zostałaś ugryziona.
- Jack, nie wiem jak to zatrzymać. Nie mogę cię uleczyć.
- Jasne, tak myślałem, że to powiesz. Dlatego właśnie ugryzłem twoją głupią przyjaciółkę. Bo jeśli nie będziesz walczyć o to, by wyleczyć mnie, wiem, że zrobisz to dla niej. Tylko musiałem się upewnić, że ona zmieni się naprawdę.

Oszłamiający sens tego zdania skradł mój oddech; ledwie mogłam wydobyć głos.

- Ugryzłeś Olivie?
- Jesteś idiotką? Właśnie to powiedziałem. Więc teraz lepiej zacznij gadać, ponieważ mam zamiar aahh. – Szyja Jacka drgnęła, szarpiąc niezgrabnie. Moje wilcze zmysły wrzeszczały na mnie w panicznym strachu przed emocjami wypływającymi z niego falami.

Wyciągnęłam rękę i podkręciłam ogrzewanie. Nie wiedziałam jak dużą sprawi to różnicę, ale na pewno nie mogło zaszkodzić.

- To przez chłód. Zimno zamienia cię w wilka, a ciepło to powstrzymuje. – Mówiłam szybko, próbując powstrzymać go przed wtrąceniem się, próbując powstrzymać go przed wścieknięciem się jeszcze bardziej. – Jest gorzej, jeśli po raz pierwszy zostałeś ugryziony. Zmieniasz się tam i z powrotem przez cały czas, ale to się stabilizuje. Możesz być człowiekiem dłużej – przez całe lato. – Ramiona Jacka zadrżały ponownie, i samochodem rzuciło na żwirowane pobocze zanim powrócił na jezdnię. – Nie możesz teraz prowadzić! Proszę. Nie ucieknę ani nic takiego – chcę ci pomóc, naprawdę chcę. Ale musisz zabrać mnie do Sama.
- Zamknij się – głos Jacka po części był warknięciem. – Ta suka też powiedziała, że chce mi pomóc. Skończyłem z tym. Powiedziała mi, że zostałaś ugryziona i się nie zmieniłaś. Śledziłem cię. Było zimno. Nie zmieniłaś się. Więc co to jest? Olivia powiedziała, że nie wie.

Moja skóra paliła od nawiewu grzejnika i siły jego emocji. Za każdym razem, gdy mówił Olivia, to było jak cios w podbrzusze.

- Ona nie wie. Zostałam ugryziona, miała rację. Ale nigdy się nie zmieniłam, ani razu. Nie mam lekarstwa. Po prostu się nie zmieniłam. Nie wiem dlaczego, nikt tego nie wie. Proszę...
- Przestań mnie okłamywać. – Teraz ciężko było go zrozumieć. – Chcę teraz poznać prawdę, albo stanie ci się krzywa.

Zamknęłam oczy. Czułam, że tracę równowagę, a cały świat kręci się daleko ode mnie. Musiało być coś, co mogłabym mu powiedzieć i sprawić, że mu się polepszy. Otworzyłam oczy.

- Dobra. Okej. Jest lekarstwo. Ale nie wystarczy tego dla wszystkich, więc nikt nie chce ci o nim powiedzieć. – Skrzywiłam się, kiedy trzasnął w kierownicę dłonią z ciemnymi paznokciami.

Oczami wyobraźni odwróciłam się od obcej rzeczywistości w stronę obrazu pielęgniarki przysuwającej strzykawkę z zastrzykiem przeciwko wściekliznie do skóry Sama. – To rodzaj szczepienia, prosto w żyłę. Ale to boli. Bardzo. Jesteś pewny, że tego chcesz?

- Przemiana boli – warknął Jack.
- Dobra. Jeśli zabiorę cię w miejsce, gdzie to się znajduje, powiesz mi gdzie jest Sam?
- Obojętnie! Powiedz, gdzie mam jechać. Przysięgam na Boga, jeśli kłamiesz, zabiję cię.

Dałam mu wskazówki do domu Becka i modliłam się, żeby wytrzymał tak długo. Wyjęłam telefon z mojego plecaka.

Mustang gwałtownie skręcił, ponieważ uwaga Jacka skupiła się na mnie.

- Co robisz?
- Dzwonię do Becka. To on ma lekarstwo. Muszę mu powiedzieć, żeby nie dawał nikomu ostatniej dawki zanim tam nie dotrzemy. W porządku?
- Poważnie, lepiej, żebyś nie kłamała...
- Patrz. To numer, pod który dzwonię. Nie na policję. – Numer Becka powrócił do mnie; byłam lepsza w cyfrach niż słowach. Zaczęłam dzwonić. Odbierz. Odbierz. Niech to będzie dobra decyzja.
- Halo?

Rozpoznałam głos.

- Cześć. Beck, tu Grace.
- Grace? Przykro mi, twój głos brzmi znajomo, ale...

Wesłam mu w słowo.

- Masz jeszcze trochę towaru? Lekarstwa? Proszę powiedz, że nie zużyłeś ostatniej dawki.

Beck milczał.

Udawałam, że odpowiada.

- Bogu dzięki. Słuchaj. Jadę w samochodzie z Jackiem Culpeperem. Ma gdzieś Sama i nie chce mi powiedzieć gdzie, dopóki nie dostanie lekarstwa. Jesteśmy jakieś dziesięć minut drogi od ciebie.

Beck odezwał się, bardzo cicho.

- Cholera.

Z jakiegoś powodu sprawiło to, że moja klatka piersiowa zadrżała; zajęło mi chwilę uświadomienie sobie, że to zduszony szloch.

- Tak. Będziesz tam?
- Tak. Oczywiście. Grace – ciągle tam jesteś? Czy on może mnie usłyszeć?
- Nie.
- Bądź pewna siebie, dobrze? Postaraj się nie bać. Nie patrz mu w oczy, ale bądź asertywna. Będziemy czekać w domu. Zabierz go do środka. Nie mogę wyjść na zewnątrz, bo się zmienię, a wtedy wszystko spieprzymy.
- Co on mówi? – zażądał Jack.
- Mówi, do których drzwi powinieneś wejść, żeby się tam dostać. Żebyś znalazł się tam jak najszybciej, zanim się zmienisz. Nie może użyć na tobie lekarstwa, jeśli będziesz wilkiem.
- Dobra dziewczynka – powiedział Beck.

Z jakiegoś powodu niespodziewana dobroć Becka była trudna do zniesienia – sprawiło to, że łzy zapiekły mnie w oczy, gdzie nie zrobiły tego groźby Jacka.

- Będziemy tam wkrótce. – Zatrzasnęłam telefon i popatrzyłam na Jacka. Nie prosto w oczy, ale na bok jego głowy. – Wjedź prosto na ich podjazd, a frontowe drzwi będą otwarte.

- Skąd mam wiedzieć, że mogę ci ufać?

Wzruszyłam ramionami.

- Tak jak powiedziałaś. Wiesz gdzie jest Sam. Nic ci się nie stanie, ponieważ my nie wiemy, gdzie on jest.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

SAM

4,5°C

Chłód przylgnał do mojej skóry. Ziemista ciemność napierała na moje oczy, tak ciężka, że zamrugałem, by usunąć ją z moich tęczywek. Gdy to zrobiłem, ujrzałem przed sobą mętny biały prostokąt – szczelinę w drzwiach. Bez żadnych dodatkowych kształtów, na podstawie których mógłbym to oszacować, nie mogłem powiedzieć, czy znajdowała się ona rozpaczliwie blisko, czy strasznie daleko. Zapachy tłoczyły się wokół mnie, zakurzone, organiczne, chemiczne. Mój oddech był bardzo głośny, więc gdziekolwiek byłem, miejsce to było ciasne. Schowek na narzędzia?

Cholera. Było zimno. Nie tak zimno, abym się zmienił. Jeszcze. Ale wkrótce będzie. Znajdowałem się w pozycji leżącej – dlaczego leżałem? Stałem na nogi i mocno przygryzłem wargę, by powstrzymać się od sapnięcia na głos. Coś było nie tak z moją kostką. Spróbowałem jeszcze raz, ostrożnie, kruchy jelonek na nowych nogach. Zatoczyłem się na bok, wymachując ramionami, szukając jakiegoś rodzaju wsparcia. Moje dłonie przesunęły się po mnóstwie kolczastych narzędzi tortur wiszących na ścianach. Nie miałem pojęcia czym one były – zimne, metalowe, brudne.

Przez chwilę stałem na czworakach, wsłuchując się we własny oddech, czując krew spływającą po moich palcach i myślałem o tym, żeby się poddać. Byłem już taki zmęczony od tej walki. Czułem się, jakbym walczył już od tygodni.

W końcu podniosłem się na nogi i pokuśtykałem do drzwi, z rękoma wyciągniętymi przed siebie, by chronić swoje ciało przed kolejną dawką niespodzianek. Lodowate powietrze sączyło się przez szparę w drzwiach. Opływało moje ciało jak woda. Sięgnąłem do klamki, ale nic tam nie było prócz obdartego drewna. Drzazga wbiła się w mój palec i zakląłem bardzo cicho. Oparłem ramię o drzwi i pchnąłem myśląc, proszę otwórzcie się, jeżeli istnieje jakaś sprawiedliwość na tym świecie.

Nic.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

GRACE

4°C

Podniosłam swój plecak.

- To tutaj.

Wydawało się to głupie, że dom Becka wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy Sam przywiózł mnie tutaj, żeby zaprowadzić mnie do złocistego lasu, bo okoliczności były szalenie różne, ale tak to wyglądało. Jedyną różnicą był ciężki SUV Becka zaparkowany na podjeździe.

Jack już zjeżdżał na pobocze. Wyjął kluczyki ze stacyjki i spojrzał na mnie, ostrożnymi oczami.

- Wyjdź za mną. – Zrobiłam jak kazał, zczekałam, aż okrąży samochód i otworzy mi drzwiczki. Zsunęłam się z siedzenia, a on złapał mnie mocno za rękę. Jego ramiona były mocno ściągnięte, a usta miał lekko otwarte – myślę, że nawet tego nie zauważył. Chyba raczej powinnam się martwić tym, że mnie zaatakuję, ale jedyne o czym mogłam myśleć, to że on się zmieni i nie dowiemy się gdzie jest Sam, aż będzie za późno.

Modliłam się, żeby Sam był w jakimś ciepłym miejscu, gdzieś z dala od zimowego powietrza.

- Pośpiesz się – powiedziałam, szarpiąc ramieniem w uchwycie Jacka, niemal biegnąc do frontowych drzwi. – Nie mamy czasu.

Jack spróbował otworzyć drzwi; były otwarte, tak jak obiecałam. Wepchnął mnie do domu pierwszą, zanim sam wszedł i zatrzasnął za nami drzwi. Mój nos uchwycił lekką nutkę rozmarynu w powietrzu – ktoś gotował, i z jakiegoś powodu przypomniła mi się anegdotka Sama o smażeniu steków dla Becka, i wtedy usłyszałam krzyk i warknięcie za mną.

Oba odgłosy pochodziły od Jacka. To nie była cicha walka Sama próbującego pozostać człowiekiem, jaką widziałam już wcześniej. To było agresywne, złe, głośne. Wargi Jacka rozdarły się w warknięciu, jego twarz zaczęła przekształcać się w pysk, a jego skóra w jednej chwili zaczęła zmieniać kolor. Sięgnął po mnie, jakby chciał mnie uderzyć, ale jego ręce wygięły się w łapy zakończone ciemnymi i twardymi pazurami. Jego skóra wybrzuszała się i mieniła na chwilę przed każdą radykalną zmianą, jak łożysko okrywające przerażające, dziczące niemowlę.

Wpatrywałam się w koszulkę zwisającą wokół brzucha wilka. Nie mogłam oderwać od tego wzroku. To był jedyny szczegół, który mógł przekonać mój umysł, że to zwierzę naprawdę przed chwilą było Jackiem.

Ten Jack był wściekły zupełnie tak, jak w samochodzie, ale ta wściekłość nie miała żadnego kierunku, żadnej ludzkiej kontroli. Jego wargi cofnęły się pokazując zęby i ułożyły się w warknięcie, ale żaden dźwięk się nie pojawił.

- Cofnij się!

Mężczyzna wparował do holu, zaskakująco zwinny biorąc pod uwagę jego wzrost, i pobiegł wprost na Jacka. Jack, zbity z tropu, przykucnął defensywnie, i mężczyzna wylądował na nim całym swoim ciężarem.

- Na ziemię! – warknął mężczyzna, a ja wzdrygnęłam się, zanim uświadomiłam sobie, że mówił do wilka. – Nie ruszaj się. To jest mój dom. Tutaj jesteś niczym. – Trzymał rękę wokół pyska Jacka i krzyczał mu prosto w twarz. Jack świszczwał przez swoje zakleszczone szczęki, a Beck przycisnął jego głowę do podłogi. Oczy Becka mignęły w górę na mnie, i chociaż przyciskał do ziemi ogromnego wilka jedną ręką, jego głos utrzymywał doskonały poziom. – Grace? Możesz pomóc?

Stałam całkowicie nieruchomo, patrząc.

- Tak.

- Chwyć za krawędź dywanika, na którym siedzi. Zaciągniemy go do łazienki. Jest...
- Wiem, gdzie to jest.
- Dobrze. No to idziemy. Spróbuję ci pomóc, ale muszę trzymać swoją wagę na nim.

Wspólnie wyciągnęliśmy Jacka z holu do łazienki, gdzie kiedyś zmusiłam Sama do wejścia do wanny. Beck, w połowie na dywanie, a w połowie poza nim, znalazł się za Jackiem i wepchnął go do pomieszczenia, a ja wkopałam za nim resztę dywaniku. Beck skoczył do tyłu i zatrzasnął drzwi, blokując je. Klamka została odwrócona tak, że blokada była na zewnątrz, co kazało mi zastanowić się, jak często takie rzeczy zdarzały się wcześniej.

Beck złapał głęboki oddech, który wyglądał na niedopowiedzenie i spojrzał na mnie.

- Nic ci nie jest? Ugryzł cię?

Potrząsnęłam głową, nieszczęśliwa.

- To nie jest ważne. Jak teraz znajdziemy Sama?

Beck pokazał mi głowę, żebym poszła za nim do pachnącej rozmarynem kuchni. Zrobiłam to, patrząc nieufnie, kiedy zobaczyłam kolejną osobę siedzącą na ladzie. Nie byłabym w stanie opisać go inaczej jak ciemny, gdyby ktoś zapytał mnie o to później. Był po prostu ciemny, cichy i nieruchomy, i pachnący wilkiem. Miał blizny na dłoniach wyglądające na świeże; to musiał być Paul. Nie odezwał się, a Beck też nic nie powiedział, kiedy pochyłał się sięgając po telefon komórkowy.

Wystukał numer i dał na głośnomówiący. Popatrzył na mnie.

- Jak bardzo jest na mnie wściekły? Pozbył się swojej komórki?
- Nie sądzę. Nie znałam jego numeru.

Beck wpatrywał się w telefon i słuchaliśmy sygnałów, krótkich i odległych. Proszę odbierz. Moje serce łomotało spazmatycznie. Oparłam się o kuchenną wysepkę i patrzyłam na Becka, na kanciaste ukształtowanie jego ramion, kwadratową szczękę, kanciastą linię brwi. Wszystko w nim wyglądało bezpiecznie, uczciwie, godnie zaufania. Chciałam mu ufać. Chciałam wierzyć, że nic złego nie może się wydarzyć, ponieważ Beck nie panikował.

Po drugiej stronie rozległo się trzeszczenie.

- Sam? – Beck pochylił się bardziej nad telefonem.

Głos był totalnie rozbity.

- Gr... t... ty?
- Tu Beck. Gdzie jesteś?
- ...ack... Grace... Jack... zbyt... zim... - Jedyłą rzeczą jaką mogłam zrozumieć, była jego udręka. Chciałam tam być, gdziekolwiek się znajdował.
- Grace jest tutaj – powiedział Beck. – Wszystko jest pod kontrolą. Gdzie jesteś? Jesteś bezpieczny?
- Zimno.

Jedno słowo wyszło, strasznie jasne. Odepchnęłam się od wysepki. Stanie w miejscu nie wydawało się być rozwiązaniem. Głos Becka wciąż był równy.

- Nie słysząc cię zbyt dobrze. Spróbuj jeszcze raz. Powiedz mi gdzie jesteś. Najwyraźniej jak potrafisz.
- Powiedz Grace... zadzwonić – I...bel... w... jakiejś szopie... Słyszałem... wcześniej...

Podeszłam do lady, pochylając się nad wysepką.

- Chcesz, żebym zadzwoniła do Isabel. Jesteś w szopie na ich posesji? Ona tam jest?
- ...ak. – Głos Sama był dobitny. – Grace?
- Co?
- ...cham cię.

- Nie mów tak – powiedziałam. – Wyciągniemy cię stamtąd.
- Pospie...

Rozłączył się.

Beck podniósł na mnie oczy, i mogłam zobaczyć w nich całą tę obawę, której nie okazywał w swoim głosie.

- Kim jest Isabel?
- Siostrą Jacka. – Miałam wrażenie, że ściągnięcie z ramienia plecaka i wyjęcie z jednej z jego kieszeni telefonu trwało zbyt długo. – Sam musi być uwięziony gdzieś na ich posesji. W szopie, czy czymś takim. Jeśli złapię Isabel przez telefon, może ona go znajdzie. Jeśli nie, jadę tam.

Paul zerknął przez okno na zachodzące słońce, i domyśliłam się, że myślał o tym, że nie zdążę dotrzeć do Culpeperów przed spadnięciem temperatury. Nie było sensu o tym myśleć. Znalazłam numer Isabel w odebranych połączeniach i wcisnęłam 'połącz'.

Zadzwoniło dwa razy.

- Tak?
- Isabel, tu Grace.
- Nie jestem idiotką. Widziałam twój numer.

Miałam ochotę złapać ją przez telefon i udusić.

- Isabel, Jack uwięził Sama gdzieś w pobliżu twojego domu. – Ucięłam początek jej pytania. – Nie wiem dlaczego. Ale Sam zmieni się, jeżeli jeszcze bardziej się ochłodzi, a gdziekolwiek jest, jest w pułapce. Proszę, powiedz, że jesteś w domu.
- Tak. Właśnie przyjechałam. Jestem w domu. Nie słyszałam żadnego zamieszania, ani niczego takiego.
- Macie szopę albo coś takiego?

Isabel prychnęła poirytowana.

- Mamy sześć przybudówek.
- On musi być w jednej z nich. Dzwonił z jakiejś szopy. Jeśli słońce zajdzie za drzewa, zrobi się zimno w przeciągu kilku sekund.
- Zrozumiałam! – rzuciła Isabel. Rozległy się szumiące dźwięki. – Wkładam płaszcz. Wychodzę na zewnątrz. Słyszysz mnie? Teraz jestem na dworze. Odmrażam sobie tyłek dla ciebie. Przechodzę przez podwórze. Idę przez trawnik, na którym moja sunia zwykła sikać, dopóki nie zeżarł jej mój cholerny brat.

Paul uśmiechnął się blado.

- Możesz to przyspieszyć? – zażądałam.
- Dobiegam do pierwszej szopy. Wołam jego imię. Sam! Sam! Jesteś tu? Nic nie słyszę. Jeśli on zmienił się w wilka w jednej z tych szop i ja go wypuszczę, a on rozerwie mi twarz, mam rodzinę, która cię pozwie.

Usłyszałam przyćmione, słabe trzaśnięcie.

- Cholera. Drzwi się zacięły. – Kolejne trzaśnięcie. – Sam? Wilczku? Jesteś tutaj? Nic w szopie na kosiarki. Gdzie jest Jack, tak poza tym, jeśli to zrobił?
- Tutaj. Teraz ma się dobrze. Słyszysz coś?
- Wątpię, żeby naprawdę miał się dobrze. On jest poważnie popieprzony, Grace. Mam na myśli jego głowę. I nie, powiedziałabym ci, gdybym coś usłyszała. Idę do następnej.

Paul oparł tył swojej ręki o szybę nad zlewem i skrzywił się. Miał rację. Robiło się zbyt zimno.

- Zadzwon jeszcze raz do Sama – błagałam Becka. – Powiedz mu, żeby krzyczał, tak żeby Isabel mogła go usłyszeć.

Beck podniósł swój telefon, wcisnął klawisz i przycisnął go do ucha.

Isabel brzmiała na pozbawioną tchu.

- Jestem przy następnej. Sam! Jesteś tutaj? Stary? – Dożył się niemal niesłyszalny pisk otwieranych drzwi. Pauza. – Albo zamienił się w rower, albo tutaj też go nie ma.
- Jak dużo jeszcze ich tam jest? – Chciałam być na posesji Culpeperów zamiast Isabel. Byłabym od niej szybsza. Wydzierałabym swoje płuca, żeby go znaleźć.
- Mówiłam ci. Jeszcze cztery. Jeszcze dwie są blisko. Reszta jest na terenie za domem. To stodoły.
- Musi być w którejś z tych bliższych. Powiedział, że to jest szopa. – Zerknęłam na Becka, który ciągle miał przy uchu telefon. Odwzajemnił moje spojrzenie, potrząsając głową. Bez odpowiedzi. Sam, dlaczego nie odbierasz?
- Jestem w szopie ogrodowej. Sam! Sam, tu Isabel, jeżeli jesteś wilkiem, nie odrywaj mi twarzy. – Mogłam słyszeć jak dyszy do telefonu. – Drzwi są zatrzęsnięte tak jak pozostałe. Kopię je moim drogim butem i wkurza mnie to niemiłosiernie.

Beck rzucił swój telefon na ladę i odwrócił się ode mnie i Paula. Uniósł ramiona za głowę. To było takie podobne do Sama, że aż mnie to uderzyło.

- Otworzyłam ją. Śmierdzi. Wszędzie są jakieś pierdoły. Tu nic nie ma – och. – Zaniemówiła, a jej oddech wyszedł przez telefon jeszcze cięższy niż wcześniej.
- Co? Co?
- Czekaj chwilę – zamknij się – zdejmuję płaszcz. Jest tutaj, okej? Sam. Sam, spójrz na mnie. Sam, powiedziałam spójrz na mnie, ty sukinsynie, nie zamienisz się teraz w wilka. Nie waż się jej tego robić.

Osunęłam się w dół po szafce, przyciskając telefon do ucha. Twarz Paula nie zmieniała wyrazu; po prostu mnie obserwował, nieruchomy, cichy, ciemny, wilczy.

Usłyszałam plaśnięcie i nieznacznie wydyszane przekleństwo, a następnie wiatr ryknął w głośnik.

- Zabieram go do środka. Dzięki Bogu moich rodziców nie ma w domu dziś wieczór. Oddzwonię do ciebie za kilka minut. Potrzebuję teraz obu rąk.

Telefon zamilkł w mojej dłoni. Spojrzałam w górę na Paula, który wciąż mnie obserwował, zastanawiając się, co powinnam mu powiedzieć, ale czułam, że on już wie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

GRACE

3,3°C

Śnieg z deszczem zatańczył na przedniej szybie, kiedy zajechałam na podjazd Culpeperów, a sosny zdawały się pochłaniać światło reflektorów. Dom był prawie niewidoczny w ciemności, z wyjątkiem garstki świateł w oknach na parterze. Skierowałam mustanga wprost na nie jakbym sterowała okrętem do świateł na przystani, i zatrzymałam się przy SUVie Isabel. Nie było żadnych innych samochodów.

Chwyciłam dodatkowe okrycie dla Sama i wyskoczyłam z auta. Isabel przywitała mnie w tylnych drzwiach i poprowadziła przez pachnące dymem pomieszczenie pełne butów, psich smyczy i jelenich rogów. Zapach dymu tylko się nasilił, kiedy wyszliśmy z przedpokoju i weszliśmy do pięknej, surowej kuchni. Niedojedzona kanapka leżała porzucona na blacie.

Isabel odezwała się.

- Jest w salonie przy kominku. Właśnie przestał wymiotować tuż przed twoim przyjazdem. Zarzygał cały dywan. Ale spoko, lubię jak moi rodzice się na mnie wkurzają. Bez sensu przerywać stały wzorzec.
- Dziękuję ci – powiedziałam, bardziej wdzięczna, niż mógł to wyrazić wypowiedziany zwrot. Podążyłam za zapachem dymu do salonu. Na szczęście dla Isabel i jej nieistniejącej umiejętności gaszenia pożarów, sufit był bardzo wysoki i większość dymu popłynęła już w górę. Sam siedział zwinięty w kłębek z ramionami okrytymi wełnianym kocem. Obok niego stał nietknięty kubek z jakimś napojem, jeszcze parującym.

Podbiegłam do niego, cofnęłam się przed żarem z kominka i stanęłam jak wryta, kiedy poczułam jego zapach: ostry, ziemisty, dziki. Nieznośnie znajomy zapach, który kochałam tak bardzo, ale nie chciałam teraz tego czuć. Twarz, którą do mnie odwrócił była ludzka, więc przykucnęłam obok niego i pocałowałam go. Przytulił mnie ostrożnie, jak gdyby któreś z nas mogło się rozpaść, zamknął ramiona wokół mnie i oparł głowę na moim ramieniu. Czułam, jak drżał sporadycznie, mimo małego dymiącego ognia, który był jednak wystarczająco gorący, by palić moje ramię znajdujące się najbliżej do niego.

Chciałam, by coś powiedział. Ta martwa cisza przerażała mnie. Odsunęłam się od niego i przeczesalam palcami jego włosy na długą chwilę przed powiedzeniem tego, co musiało zostać powiedziane.

- Nie jest z tobą dobrze, prawda?
- To jest jak karuzela – Sam powiedział miękko. – Wspinam się i wspinam w kierunku zimy, i dopóki nie znajdę się na samym szczycie, wciąż mogę ześlizgnąć się w dół.

Odwróciłam wzrok w stronę ognia, obserwując sam jego środek, tę najgorętszą część, aż kolory i światło straciły znaczenie, wypalając moją wizję do białych tańczących plam.

- A teraz jesteś na szczycie.
- Myślę, że mógłbym być. Mam nadzieję, że nie. Boże, czuję się jak w piekle. – Chwycił mnie za rękę zlodowaciałymi palcami.

Nie mogłam znieść tej ciszy.

- Beck chciał przyjechać. Nie mógł opuścić domu.

Sam przełknął, wystarczająco głośno, bym to usłyszała. Zastanawiałam się, czy znowu czuje się źle.

- Nie zobaczę go już więcej. To jego ostatnie lato. Myślałem, że mam rację wściekając się na niego, ale teraz to wydaje się głupie. Po prostu... po prostu nie mogę tego ogarnąć.

Nie wiedziałam, czy przez ogarnianie miał na myśli coś, o co wściekł się na Becka, czy karuzelę, na której jechał. Nadal wpatrywałam się w ogień. Taki gorący. Maluteńkie lato, samodzielne i wściekłe.

Gdybym tylko mogła zamknąć to wewnątrz Sama i ogrzać go na wieki. Zdawałam sobie sprawę, że Isabel stoi w drzwiach pokoju, ale wydawała się bardzo daleka.

- Ciągłe myślę o tym, dlaczego się nie zmieniłam – powiedziałam wolno. – Jakbym urodziła się odporna na to, czy coś. Ale tak nie było, wiesz? Ponieważ zachorowałam na tę grypę. I ponieważ ciągle nie jestem całkowicie normalna. Mam lepszy węch i słuch. – Przerwałam, próbując zebrać myśli. – I myślę, że to był mój tato. Myślę, że to było wtedy, kiedy zostawił mnie w samochodzie. Byłam tak przegrzana, że lekarze powiedzieli, że powinnam była umrzeć. Ale ja nie umarłam. Przeżyłam. I nie zmieniłam się w wilka.

Sam spojrzał na mnie smutnymi oczami.

- Najprawdopodobniej masz rację.
- Ale popatrz, to mogło być lekarstwo, czyż nie? Przegrzanie się?

Sam potrząsnął głową. Był bardzo blady.

- Nie sędzę, aniołku. Jak gorąca była woda w wannie, do której mnie wsadziłaś? No i Urlik, próbował wyjechać do Teksasu tego lata, tam jest po czterdzieści stopni ciepła. Wciąż jest wilkiem. Jeśli to było tym, co cię wyleczyło, to tylko dlatego, że byłaś mała i miałaś szalenie wysoką gorączkę, która wypalała cię od wewnątrz.
- Mógłbyś wywołać gorączkę – powiedziałam nagle. Ale w momencie, kiedy to powiedziałam, potrząsnęłam głową. – Ale nie sędzę, że istnieją takie lekarstwa, które mogłyby podnieść twoją temperaturę.
- To jest możliwe – Isabel odezwała się spod drzwi. Spojrzałam na nią. Opierała się o framugę, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, rękawami brudnymi od tego, co musiała zrobić, by wyciągnąć Sama z szopy. – Moja mama pracuje w przychodni o niskich dochodach dwa dni w tygodniu, i słyszałam, jak rozmawiała o facecie, który miał 41,5-stopniową gorączkę. Miał zapalenie opon mózgowych.
- Co się z nim stało? – zapytałam. Sam puścił moją rękę, odwracając głowę.
- Umarł. – Isabel wzruszyła ramionami. – Ale może wilkołak by nie umarł. Może właśnie dlatego nie umarłaś jako dziecko, bo zostałaś ugryziona zanim ten twój tatuś idiota zostawił cię w samochodzie, żebyś się ugotowała.

Sam podniósł się przy mnie i zaczął kaszleć.

- Nie na ten pieprzony dywanik! – powiedziała Isabel.

Zerwałam się, kiedy Sam oparł ręce o kolana i miał odruch wymiotny nie zwracając jednak. Odwrócił się do mnie, drżący, i coś, co zobaczyłam w jego oczach sprawiło, że mój żołądek wyrzucił się do góry nogami.

Pokój cuchnął wilkiem. Przez oszałamiający moment, byliśmy ja i Sam, moja twarz pogrzebana w jego batalii, tysiąc mil stąd.

Sam na sekundę zacisnął powieki, a gdy je otworzył, rzekł:

- Przepraszam. Grace, wiem, że to okropne cię o to prosić. Ale czy możemy jechać do Becka? Muszę go jeszcze raz zobaczyć, jeśli to... - przerwał.

Ale wiedziałam, co właśnie miał powiedzieć. Koniec.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

GRACE

0,5°C

Jazda w pochmurne noce zawsze mnie niepokoiła. To było tak, jakby nisko zawieszono chmury nie tylko ukryły światło księżyca, ale także okradały reflektory z jakiegokolwiek mocy, odciągając ich światło, gdy tylko uderzało ono w powietrze. Teraz, z Samem, czułam się, jakbym jechała w dół czarnym tunelem, który robił się coraz węższy. Deszcz ze śniegiem bębnił o przednią szybę; obiema dłońmi ścisnęłam kierownicę, kiedy koła samochodu toczyły się po śliskiej drodze.

Temperatura ustawiona była maksymalnie wysoko, i chciałam wierzyć, że Sam wygląda trochę lepiej. Isabel przelała jego kawę do termosu, a ja zmusiłam go do wypicia jej podczas jazdy, mimo nudności. Wydawało się, że to pomaga, w każdym razie bardziej niż zewnętrzne źródła ciepła. Wzięłam to za umocnienie naszej nowej teorii wewnętrznego ciepła.

- Myślę więcej o twojej teorii – powiedział Sam, jakby czytając w moich myślach. – To ma sens. Ale musiałabyś dostać w swoje ręce coś, co wywołałoby gorączkę – może zapalenie opon mózgowych, tak jak mówiła Isabel – i myślę, że to będzie nieprzyjemne.
- Poza samą gorączką, masz na myśli?
- Tak, poza tym. Niebezpiecznie nieprzyjemne. Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że nie możesz tego najpierw przetestować na zwierzętach, żeby sprawdzić, jak to działa. – Sam spojrzał na mnie szybko, żeby zobaczyć, czy załapałam jego żart.
- Mało zabawne.
- Lepsze to, niż nic.
- Przyznaję.

Sam wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka.

- Ale byłbym skłonny spróbować. Dla ciebie. Żeby z tobą zostać.

Powiedział to tak po prostu, tak naturalnie, że zajęło mi chwilę załapanie pełnego znaczenia tego stwierdzenia. Chciałam coś powiedzieć, ale czułam się jakbym została pozbawiona oddechu.

- Nie chcę dłużej tego robić, Grace. To już nie jest wystarczająco dobre, by patrzeć na ciebie z lasu, nie teraz, kiedy byłem z tobą – naprawdę. Już nie mogę tylko patrzeć. Wolę zaryzykować, cokolwiek może się zdarzyć...
- Śmierć...
- Tak, śmierć, zamiast patrzeć jak to wszystko mi się wymyka. Nie mogę tego robić, Grace. Chcę spróbować. Tylko, że... myślę, że musiałbym być człowiekiem, żeby dostać tę szansę. Nie wydaje mi się, że moglibyśmy zabić wilka wtedy, kiedy bym nim był.

Drżałam. Nie dlatego, że było zimno, ale ponieważ zabrzmiało to możliwie. Okropnie, śmiertelnie, strasznie – możliwie. I chciałam tego. Chciałam, aby dotyk jego palców na moim policzku i smutne brzmienie jego głosu nigdy nie odeszły. Powinnam była mu powiedzieć 'Nie, to nie jest tego warte', ale byłoby to kłamstwo tak gigantycznych rozmiarów, że nie mogłam tego zrobić.

- Grace – Sam powiedział nagle. – Jeśli mnie chcesz.
- Co? – powiedziałam, a następnie zdałam sobie sprawę, co on powiedział. Wydawało się niemożliwe, że o to pytał. Nie mogłam być aż tak trudna do odczytania. A wtedy uświadomiłam sobie, głupia, że on pragnął to usłyszeć. Przez cały czas mówił mi, co czuł, a ja byłam... opanowana. Chyba nigdy mu tego nie powiedziałam. – Oczywiście, że chcę. Sam, kocham cię, przecież wiesz. Kocham cię od lat. Wiesz o tym.

Sam owinał się ramionami.

- Wiem. Ale chciałem usłyszeć, jak ty to mówisz. – Sięgnął w kierunku mojej dłoni, nim uświadomił sobie, że nie mogę oderwać jej od kierownicy; zamiast tego owinął sobie wokół palców moje włosy, a ich koniuszki oparł o moją szyję. Wyobraziłam sobie, że mój i jego puls zsynchronizowały się przez tę odrobinę kontaktu. To mogło być moje na zawsze.

Zgarbił się z powrotem w swoim fotelu, wyglądając na zmęczonego, i oparł twarz o ramię, by patrzeć na mnie, podczas gdy bawił się moimi włosami. Zaczął nucić piosenkę, a później, po kilku taktach, zaśpiewał. Cicho, jakby na wpół szeptem, niezwykle delikatnie. Nie wyłapałam wszystkich słów, ale to było coś o letniej dziewczynie. O mnie. Może jego dziewczynie na zawsze. Jego żółte oczy były przymknięte, gdy śpiewał, i w tej złotej chwili, wisząc pośrodku skutego lodem krajobrazu jak pojedyncza bańka letniego nektaru, mogłam zobaczyć, jak moje życie mogło się rozciągać przede mną.

Mustangiem szarpnęło gwałtownie, i uderzenie serca później zobaczyłam jelenia przetaczającego się po masce samochodu. Rysa przebiegła przez przednią szybę, wybuchając sekundę później w tysiące pęknięć pajęczej sieci. Wcisnęłam hamulec, ale nic się nie stało. Nawet szeptu odpowiedzi.

Skręcaj, powiedział Sam, albo tylko to sobie wyobraziłam, a kiedy skręciłam kierownicę, mustang nadal mknął prosto, ślizgając się, ślizgając, ślizgając. W zakamarkach mojego umysłu przypomniałam sobie, jak tato mówił 'Kieruj w stronę poślizgu', i zrobiłam to, ale było już za późno.

Rozległ się dźwięk jakby łamania kości, a martwy jeleni znalazł się na i w samochodzie, szkło było wszędzie, i Boże, drzewo wpakowało się pod maskę, na moich kostkach była krew i trzęsłam się, a Sam patrzył na mnie spojrzeniem w stylu 'o, nie', i wtedy uświadomiłam sobie, że samochód został unieruchomiony, a przez poszarpaną dziurę w przedniej szybie wdzierало się do środka mroźne powietrze.

Zmarnowałam chwilę na wpatrywanie się w niego. Spróbowałam uruchomić silnik, który nawet nie odpowiedział, kiedy przekręciłam kluczyk.

- Zadzwońmy pod 911. Przyjadą po nas – powiedziałam.

Usta Sama ułożyły się w smutną linię, kiwnął głową, jakby to naprawdę mogło zadziałać. Wystukałam numer i poinformowałam o wypadku, mówiąc bardzo szybko i próbując zgadnąć, gdzie możemy się znajdować, a następnie zdjęłam swój płaszcz, ostrożnie, by nie przeciągnąć nim po swoich zakrwawionych kostkach i zarzuciłam go na Sama. Siedział cicho i nieruchomo, kiedy chwyciłam z tylnego siedzenia koc i również go nim okryłam, a następnie przesunęłam się na siedzeniach i przytuliłam do niego, mając nadzieję, że użyję mu trochę ciepła z własnego ciała.

- Proszę, zadzwoń do Becka – powiedział Sam i tak właśnie zrobiłam. Włączyłam na głośnomówiący i położyłam telefon na desce rozdzielczej.
- Grace? – głos Becka.
- Beck – odrzekł Sam. – To ja.

Nastąpiła pauza.

- Sam, ja...
- Nie ma czasu – powiedział Sam. – Potrąciliśmy jelenia. Rozbiliśmy się.
- Boże. Gdzie jesteście? Auto jest na chodzie?
- Za daleko. Zadzwoniliśmy pod 911. Padł silnik. – Sam dał Beckowi chwilę na uzmysłowienie sobie, co to oznaczało. – Beck, przykro mi, że nie przyjechałem. Jest parę rzeczy, które muszę ci powiedzieć...
- Nie, najpierw ty mnie wysłuchaj, Sam. Te dzieciaki. Chcę, żebyś wiedział, że je zwerbowałem. Oni wiedzieli. Wiedzieli przez cały czas. Nie zrobiłem tego wbrew ich woli. Nie tak, jak tobie. Przepraszam, Sam. Nigdy nie przestanie mi być przykro.

Słowa te nie miały dla mnie żadnego znaczenia, ale oczywiście nie dla Sama. Jego oczy były zbyt jasne; zamrugał.

- Nie żałuję tego. Kocham cię, Beck.
- Ja też cię kocham, Sam. Jesteś z nas najlepszy i nic nie może tego zmienić.

Sam zadrżał, pierwsza oznaka oddziaływującego na niego zimna, jaką zobaczyłam.

- Muszę odejść – powiedział. – Nie ma więcej czasu.
- Żegnaj, Sam.
- Pa, Beck.

Sam skinął na mnie, a ja wcisnęłam przycisk kończący rozmowę.

Przez chwilę nie ruszał się, mrugając. Potem zrzucił wszystkie koce i płaszcze tak, że jego ramiona były wolne, i owinął je wokół mnie tak mocno, jak tylko mógł. Czułam jak dygotał, drżał przy mnie ukrywając twarz w moich włosach.

- Sam, nie odchodź – powiedziałam beużytecznie.

Sam zamknął moją twarz w swoich dłoniach i spojrzał mi w oczy. Jego oczy były żółte, smutne, wilcze, moje.

- One pozostaną takie same. Pamiętaj o tym patrząc na mnie. Pamiętaj, że to ja. Proszę.

Proszę, nie odchodź.

Sam puścił mnie i rozłożył ramiona, jedną ręką ściskając deskę rozdzielczą, a drugą tył swojego fotela. Skłonił głowę i patrzyłam, jak jego ramionami wstrząsają dreszcze, przyglądałam się jego cichej męce przemiany, aż do tego okropnego, cichego jęku, gdy tylko utracił samego siebie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

SAM

0,5°C

zderzając się z drżącą próżnią
wyciągając do siebie dłoń
zatracając się w lodowatym żalu
czy ta krucha miłość
jest sposobem
by powiedzieć
żegnaj

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

GRACE

0°C

Kiedy przyjechali ratownicy, siedziałam w fotelu pasażera zawinięta w płaszcz, z dłońmi przyciśniętymi do twarzy.

– Proszę pani, czy wszystko w porządku?

Nie odpowiedziałam, tylko położyłam dłonie na kolanach, pokryte krwawymi łzami.

– Jest pani sama?

Przytaknęłam.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

SAM

0°C

Obserwowałem ją, tak jak zawsze to robiłem.

Myśli były śliskie i przemijające, słabe zapachy na mroźnym wietrze zbyt dalekie, by je uchwycić.

Usiadła tuż przy lesie, niedaleko huśtawki, zwinięta w kłębek, do czasu, gdy mróz wziął ją w swoje objęcia, ale wciąż się nie ruszała. Przez długi czas nie wiedziałem, co robiła.

Obserwowałem ją. Część mnie chciała do niej podejść, chociaż instynkt się temu sprzeciwiał. Pragnienie wywołało myśl, która rozpałała pamięć o złotym lesie, dnie unoszą się i spadały wokół mnie, dnie leżące nieruchomo i pomięte na ziemi.

Ale wtedy zdałem sobie sprawę co robiła, zwinięta tam, drżąc ze zjadliwego zimna. Czekwała, czekała na zimno, które zamieni ją w inną formę. Może ten nieznany zapach, który od niej czułem był nadzieją.

Czekwała na przemianę, ja również czekałem na przemianę, i oboje pragnęliśmy czegoś, czego nie mogliśmy dostać.

W końcu, noc zakradła się przez podwórze, wydłużając cienie, wrywając je z lasów, aż objęły cały świat.

Obserwowałem ją.

Drzwi otworzyły się. Skurczyłem się dalej w ciemność. Wyszedł mężczyzna, podnosząc dziewczynę z ziemi. Światło z domu załśniło na zamarzniętych śladach na jej twarzy.

Obserwowałem ją. Myśli, dalekie, uciekły z jej nieobecnością. Po tym, jak zniknęła w domu, było tylko jedno: tęsknota.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

GRACE

1°C

Ich wycie było najtrudniejsze do zniesienia. O ile dni były okropne, o tyle noce były jeszcze gorsze; dnie były tylko apatycznymi przygotowaniem do przetrwania jakoś kolejnej zaludnionej przez ich głosy nocy. Leżałam w łóżku i tuliłam jego poduszkę do czasu, gdy nie było już na niej ani śladu jego zapachu. Spałam w jego fotelu w gabinecie taty, aż wycisnęły się w nim moje kształty zamiast jego. Chodziłam boso po domu w osobistym żalu, którym nie mogłam się z nikim podzielić.

Jedyna osoba, z którą mogłam się tym podzielić, Olivia, była nieosiągalna przez telefon, a mój samochód – samochód, o którym myśli nie mogłam znieść – był bezużyteczny i rozbity.

Byłam w domu sama, a przede mną rozciągały się godziny i niezmiennie, bezlistne drzewa Lasu Boundary za moim oknem.

Noce, podczas których słyszałam jego wycie, były najgorsze. Inni zaczęli pierwsi, tak jak robili to przez ostatnie trzy noce. Zatapiałam się w skórzanym fotelu w gabinecie taty, ukrywając twarz w ostatniej pachnącej nim koszulce, jaka mi pozostała, i udawałam, że jest to tylko nagranie wilków, a nie prawdziwe wilki. Nie prawdziwi ludzie. I wtedy, po raz pierwszy od wypadku, usłyszałam jego wycie dołączające do pozostałych.

To rozdarło moje serce, ponieważ usłyszałam jego głos. Wilki śpiewały powoli za nim gorzką symfonię, ale ja słyszałam tylko Sama. Jego wycie drżało, jak róża więdnąca w bólu.

Słuchałam bardzo długo. Błagałam, by przestali, by zostawili mnie w spokoju, ale z drugiej strony rozpaczliwie obawiałam się, że naprawdę mogliby przestać. Znacznie później, kiedy inne głosy już odpuściły, Sam wył nadal, bardzo miękko i powoli.

Kiedy w końcu zamilkł, poczułam, jakby noc umarła.

Bezczyenne siedzenie było nieznośne. Wstałam, przemierzając pokój zaciskałam dłonie w pięści i rozprostowywałam je. W końcu chwyciłam gitarę, na której grał Sam i krzyżując, roztrzaskałam ją o biurko taty.

Kiedy tato przyszedł ze swojego pokoju, zastał mnie siedzącą pośrodku morza rozbitego drewna i porzrzucanych strun, jakby łódź niosąca muzykę rozbiła się na skalistym brzegu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

GRACE

1,5°C

Po raz pierwszy odebrałam swój telefon po wypadku, kiedy padał śnieg. Lekkie, delikatne płatki dryfowały za czarnym kwadratem mojego okna, jak płatki kwiatów. Nie odbierałabym go, ale to była jedyna osoba, z którą próbowałam się skontaktować od czasu wypadku.

- Olivia?
- G-gr-ra-race? – Olivia była ledwo rozpoznawalna. Szlochała.
- Olivia, ćśśś, coś jest nie tak? – To było głupie pytanie. Wiedziałam, co jest z nią nie tak.
- Pa-pamiętasz, jak mówiłam ci, że wiedziałam o wilkach? – Brała gwałtowne wdechy pomiędzy słowami. – Nie powiedziałam ci o szpitalu. Jack...
- Ugryź cię.
- Tak – Olivia wyszlochała. – Nie sądziłam, że cokolwiek może się zdarzyć, bo dni upływały, a ja czułam się tak samo!

Ręce mi opadły.

- Zmieniłaś się?
- Ja... ja... nie mogę... Ja...

Zamknęłam oczy, wyobrażając sobie tę scenę. Boże.

- Gdzie teraz jesteś?
- Na przystanku. – Przerwała, pociągnąwszy nosem. – Jest zimno.
- Och, Olivia. Olivia, przyjedź tutaj. Zostań ze mną. Jakoś sobie z tym poradzimy. Przyjechałabym do ciebie, ale nie mam jeszcze samochodu.

Olivia znowu zaczęła szlochać.

Wstałam i zamknęłam drzwi mojego pokoju. Nie to, żeby mama mogła mnie usłyszeć; była na górze, w każdym razie.

- Olivia, już dobrze. Nie mam zamiaru zwariować. Widziałam Sama jak się zmieniał i nie oszalałam. Wiem jak to jest. Uspokój się, dobrze? Nie mogę po ciebie przyjechać. Nie mam samochodu. Będziesz musiała tutaj dotrzeć.

Uspokoiliam ją na kolejnych kilka minut i powiedziałam, że drzwi frontowe będą otwarte, kiedy tu dojedzie. Po raz pierwszy od czasu wypadku, poczułam się znowu bardziej sobą.

Kiedy przyjechała, miała zaczerwienione oczy i była rozczochrana. Zaprowadziłam ją do łazienki pod prysznic i przyniosłam ubrania na zmianę. Siedziałam na zamkniętej desce sedesowej, podczas gdy ona stała w gorącej wodzie.

- Opowiem ci moją historię, jeśli ty opowiesz swoją – powiedziałam do niej. – Chcę wiedzieć, kiedy Jack cię ugryźł.
- Mówiłam ci jak go poznałam, robiąc zdjęcia wilkom, i jak go nakarmiłam. To było głupie, że ci nie powiedziałam. Czułam się winna klótni z tobą, że nie powiedziałam ci od razu, a później zaczęłam opuszczać lekcje, żeby mu pomóc, i wtedy czułam, że nie mogłam ci powiedzieć bez... Nie wiem, co myślałam. Przepraszam.
- Teraz to już musztarda po obiedzie – powiedziałam. – Jaki był? Zmuszał cię, żebyś mu pomagała?
- Nie – odrzekła Olivia. – W sumie był bardzo miły, kiedy wszystko szło po jego myśli. Nieźle się wkurzył, kiedy się zmieniał, ale wyglądało to bardzo boleśnie. I on zaczął pytać o wilki, chciał zobaczyć zdjęcia, i zaczęliśmy rozmawiać, a później odkrył, że zostałam ugrzyziona...

- Odkrył? – powtórzyłam.
- No dobra, powiedziałam mu! Nie wiedziałam, że mu przez to odwali! Potem cały czas gadał o lekarstwie, i próbował wyciągnąć ode mnie jak go uleczyć. I wtedy, och, on... - Otarła oczy. – Ugryzł mnie.
- Czekaj. Ugryzł cię, kiedy był człowiekiem?
- Tak.

Wzdrygnęłam się.

- Boże. To straszne. Chory popierdoleniec. Więc przez cały czas mierzyłaś się z tym sama?
- Komu miałam powiedzieć? – odrzekła Olivia. – Myślałam, że Sam jest jednym z nich z powodu jego oczu, bo myślałam, że rozpoznałam je na jednej z moich fotografii, ale kiedy go spotkałam, powiedział, że nosi kontakty. Więc wiedziałam, że albo się pomyliłam, albo po prostu on nie będzie chciał mi pomóc.
- Powinnaś była powiedzieć mnie. Ja już mówiłam ci o wilkołakach.
- Wiem. Byłam po prostu... winna. Byłam... - zakręciła wodę. – Głupia. Nie wiem. No i co ja mogę zrobić? Jak Sam mógł być tak ludzki? Widziałam go. Przez cały czas czekał na ciebie w mustangu i nigdy się nie zmienił.

Podaliśmy jej ręcznik ponad zasłonką.

- Chodź do mojego pokoju. Opowiem ci.

Olivia została ze mną całą noc, trzęsąc się i kopiąc tak bardzo, że w końcu zrobiła sobie gniazdo z koców i mojego śpiwora obok łóżka, tak żebyśmy mogły obie spać. Po późnym śniadaniu pojechałyśmy po pastę do zębów dla Olivii i inne przybory toaletowe – mama pojechała do pracy z tatą, więc mogłam skorzystać z jej samochodu. W drodze powrotnej ze sklepu zadzwonił mój telefon komórkowy. Olivia wzięła go nie odbierając połączenia i przeczytała mi numer, z jakiego dzwoniono.

Beck. Czy naprawdę chciałam to zrobić? Westchnęłam i wyciągnęłam rękę po telefon.

- Halo?
- Grace.
- Tak.
- Przepraszam, że dzwonię – powiedział Beck. Jego głos był bezbarwny. – Wiem, że ostatnie kilka dni musiało być dla ciebie trudnych.

Czy powinienam była coś powiedzieć? Miałam nadzieję, że nie, bo nie mogłam myśleć o niczym. Mój mózg był otępiaty.

- Grace?
- Jestem.
- Dzwonię w sprawie Jacka. Jest z nim coraz lepiej, jest bardziej stabilny, i nie potrwa długo, kiedy zamieni się na zimę. Ale wciąż ma przed sobą kilka tygodni zmieniania się tam i z powrotem.

Mój mózg nie był aż tak otępiaty żebym nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Beck ufał mi w tym momencie. Poczułam się uhonorowana.

- Więc nie jest ciągle zamknięty w łazience?

Beck zaśmiał się, niezbyt zabawnie, ale jednak miło było to słyszeć.

- Nie, awansował z łazienki do piwnicy. Ale obawiam się, że... niedługo się zmienię, dziś rano prawie tak się stało. A to pozostawiłoby Jacka w bardzo złej sytuacji przez następnych parę tygodni. Nienawidzę tego, że muszę cię o to prosić, bo to stawia cię w niebezpieczeństwie, że zostaniesz ugryziona, ale może mogłabyś mieć na niego oko, dopóki się nie zmienię?
- Beck, ja już zostałam ugryziona.

- Boże!
- Nie, nie – dodałam szybko. – Nie ostatnio. Parę lat temu.

Głos Becka stał się dziwny.

- Ty jesteś tą dziewczyną, którą ocalił Sam, prawda?
- Tak.
- I nigdy się nie zmieniłaś.
- Nie.
- Od jak dawna znasz Sama?
- Osobiście poznaliśmy się w tym roku. Ale obserwowałam go odkąd mnie uratował. – Zjechałam na pobocze, ale nie wyłączyłam silnika. Olivia pochylała się, podkręciła termostat i położyła się z powrotem w swoim siedzeniu z zamkniętymi oczami. – Chciałabym wpaść do ciebie zanim się zmienisz. Tylko żeby pogadać, jeśli to byłoby w porządku.
- To byłoby bardziej niż w porządku. Byle jak najszybciej, boję się. Zbliżam się do punktu, z którego już nie będę mógł zawrócić.

Cholera. Mój telefon sygnalizował drugie połączenie.

- Dzisiaj popołudniu? – zapytałam. Kiedy się zgodził, powiedziałam: - Muszę kończyć, przepraszam, ktoś do mnie dzwoni.

Pożegnaliśmy się i przełączyłam na następną rozmowę.

- Jasna cholera, Grace, ile razy zamierzałaś pozwolić temu dzwonić? Osiemnaście? Dwadzieścia? Sto? – To była Isabel; nie dawała znać od dnia wypadku, kiedy powiedziałam jej, gdzie znajdował się Jack.
- Do twojej wiadomości, byłam na lekcji i dostałam opieprz za to, że mój telefon dzwonił w jej trakcie.
- Nie byłaś na lekcjach. W każdym razie, potrzebuję twojej pomocy. Moja mama miała kolejny przypadek zapalenia opon mózgowych – najgorszy rodzaj tego zapalenia – w klinice, gdzie pracuje. Kiedy tam byłam upuściłam trochę krwi tego faceta. Mam trzy fiołki.

Mrugnęłam kilkukrotnie, zanim zrozumiałam o czym ona mówi.

- Co zrobiłaś?! Po co?
- Grace, myślałam, że jesteś klasową prymuską. Wyraźnie ruchoma skala dokonała dla ciebie cudów. Spróbuj się skupić. Kiedy mama była przy telefonie, udałam pielęgniarkę i pobrałam jego krew. Jego brudną, zakażoną krew.
- Wiesz jak pobierać krew?
- Tak, wiem jak pobierać krew! Chyba wszyscy wiedzą. Czy ty rozumiesz co ja mówię? Trzy fiołki. Jedna dla Jacka. Jedna dla Sama. Jedna dla Olivii. Musisz mi pomóc sprowadzić Jacka do kliniki. Krew jest tam w lodówce. Boję się to wynieść, żeby bakterie nie obumarły, czy cokolwiek one tam mogą zrobić. W każdym razie, nie wiem gdzie jest dom tego faceta, u którego jest Jack.
- Chcesz im to wstrzyknąć. Żeby zarazić ich zapaleniem opon mózgowych.
- Nie, chcę im podarować malarię. Tak, debilko. Chcę, żeby zachorowali na zapalenie opon mózgowych. Głównym symptomem jest... tadam! – gorączka. A jeśli mamy być szczerzy, to wali mnie to, czy ty zrobisz to Samowi i Olivii. Najprawdopodobniej nie pomoże to Samowi, bo on już jest wilkiem. Ale domyśliłam się, że muszę zdobyć wystarczającą ilość krwi dla nich wszystkich, jeśli chcę, żebyś mi pomogła.
- Isabel, i tak bym ci pomogła. – Westchnęłam. – Dam ci adres. Spotkamy się tam za godzinę.

ROZDZIAŁ PIĘDZIESIĄTY ÓSMY

GRACE

5,5°C

Przebywanie w piwnicy Becka sprawiło, że czułam się i najszczęśliwsza i najsmutniejsza od momentu, kiedy Sam zmienił się w wilka, ponieważ widzenie Becka tam, w jego własnym świetle, było jak zobaczenie Sama po raz kolejny. Zaczęło się, kiedy zostawiłyśmy rzygającą Olivie w łazience i spotkałyśmy się z Beckiem u szczytu piwnicznych schodów – było dla niego zbyt zimno, by przywitać nas przy drzwiach wejściowych – i zobaczyłam, jak wiele manier i ruchów Sam odziedziczył po Becku. Nawet najprostsze gesty: sięgając do włącznika światła, by je zapalić, kiwając na nas głową, byśmy za nim poszły, niezdarnie uchylając się, by ominąć nisko zawieszoną nad schodami belkę. Tak podobnie do Sama, że aż bolało.

Dotarliśmy do podnóża schodów i wstrzymałam oddech. Duże, główne pomieszczenie piwnicy było wypełnione książkami. Nie kilkoma. To była biblioteka. Wzdłuż ścian stały regały pnące się aż pod sam niski sufit, i były wypakowane po brzegi. Nawet nie podchodząc do półek mogłam zobaczyć, że były uporządkowane: wysokie i opasłe atlasy i encyklopedie na jednej półce; kolorowe książki w miękkich oprawkach z pomiętymi brzegami na kilku innych; duże atlasy ze zdjęciami z drukowanymi literami na grzbietach; powieści w twardej oprawie z lśniącymi obwolutami. Przeszłam wolno na środek pokoju i stanęłam na ciemnym pomarańczowym dywanie, obracając się powoli, żeby zobaczyć je wszystkie.

I ten zapach – zapach Sama był w każdym kącie tego pokoju, jakby był tu ze mną, trzymając mnie za rękę, patrząc razem ze mną na wszystkie te książki, czekając, aż powiem „Uwielbiam to”.

Już miałam przełamać ciszę mówiąc coś w rodzaju „Już wiem, gdzie Sam nabył swój nawy czytania”, kiedy Beck się odezwał, niemal przepaszając.

– Jeśli spędzasz w środku dużo czasu, dużo czytasz.

Przypomniało mi się nagle, co Sam powiedział mi na temat Becka: to był jego ostatni rok w ciele człowieka. Być może już nigdy więcej nie przeczyta tych książek. Zabrakło mi słów, więc tylko spojrzałam na Becka i powiedziałam głupio:

– Kocham książki.

Uśmiechnął się, jakby wiedział. Potem zerknął na Isabel, która zadzierała szyję, jak gdyby Jack miał być schowany na jednej z półek.

– Jack jest pewnie w drugim pokoju, gra w gry video – powiedział Beck.

Isabel powędrowała za wzrokiem Becka do wejścia.

– Czy on rozerwie mi gardło, jeśli tam wejde?

Beck wzruszył ramionami.

– Chyba nie bardziej niż zwykle, powiedziałbym. To najcieplejszy pokój w całym domu, i chyba czuje się w nim najbardziej komfortowo. Chociaż nadal zmienia się bardzo często. Po prostu miej się na uwadze.

To było interesujące, w jaki sposób mówił o Jacku – bardziej jak o zwierzęciu, niż człowieku. Jak gdyby doradzał Isabel, jak podejść do goryla w zoo. Po tym, jak Isabel zniknęła w drugim pokoju, Beck wskazał na jedno z dwóch czerwonych gąbczastych krzesel w pokoju.

– Usiądź, proszę.

Ucieszyłam się, że mogę rozsiąść się na jednym z krzesel. Pachniało Beckiem i kilkoma innymi wilkami, ale najbardziej Samem. Bardzo łatwo było go sobie tutaj wyobrazić, zwiniętego w tym miejscu, czytającego i poszerzającego swój obrzydliwie duży zasób słów. Oparłam głowę o bok krzesła udając, że jestem w ramionach Sama i popatrzyłam na Becka, który zajął miejsce naprzeciw. Nie przyzwocie, ale rozwalony do tyłu z nogami wyrzuconymi do przodu. Wyglądał na zmęczonego.

- Jestem trochę zaskoczony, że Sam trzymał cię w tajemnicy przez cały ten czas.
- Naprawdę?

Wzruszył ramionami.

- Chyba nie powinienem być. Nie opowiadałem mu o mojej żonie.
- Wiedział o tym. Mówił mi o niej.

Beck zaśmiał się, krótko i czule.

- Tym też nie powinienem być zaskoczony. Utrzymanie czegoś w tajemnicy przed Samem było niemożliwe. Nie chcę prawić komunałów, ale on potrafił czytać z ludzi jak z książki.

Oboje odnosiliśmy się do niego w czasie przeszłym, jakby był martwy.

- Myślisz, że jeszcze go kiedykolwiek zobaczę?

Jego twarz była daleka, nieczytelna.

- Myślę, że ten rok był jego ostatnim. Naprawdę. Wiem, że mój jest ostatni. Nie wiem, dlaczego dostał tylko kilka lat. To nie jest normalne. To znaczy, różnie z tym bywa, ale ja zostałem ugryziony trochę ponad dwadzieścia lat temu.
- Dwadzieścia?

Beck przytaknął.

- W Kanadzie. Miałem dwadzieścia osiem lat, byłem wschodzącą gwiazdą w swojej firmie, i byłem na wakacjach.
- A co z resztą? Skąd pochodzą?
- Zewsząd. Kiedy usłyszałem, że wilki były w Minnesocie, pomyślałem, że istnieje duża szansa, że mogły być takie jak ja. Więc poszukiwałem, odkryłem, że miałem rację, i Paul wziął mnie pod swoje skrzydła. Paul to...
- Ten czarny wilk.

Skinął głową.

- Chcesz kawy? Mógłbym zabić dla kawy, jeśli nie masz nic przeciwko temu wyrażeniu.

Byłam głęboko wdzięczna.

- Byłoby wspaniale. Jeśli pokażesz mi, gdzie jest czajnik, zrobię ją. – Wskazał na szczelinę pomiędzy półkami, gdzie był ukryty czajnik, stojący obok malutkiej lodówki. – Możesz mówić dalej.

Brzmiał na rozbawionego.

- O czym?
- O sforze. Jak to jest być wilkiem. O Samie. Dlaczego go zmieniłeś. – Przerwałam, trzymając filtr do kawy w dłoni. – Tak. To jedno. To jedno chcę wiedzieć w szczególności.

Beck ukrył twarz w dłoniach.

- Boże, to najgorsze. Zmieniłem Sama, bo byłem samolubnym sukinsynem pozbawionym duszy.

Odmierzyłam łyżeczką kawę. Słyszałam żal w jego głosie, ale nie chciałam pozwolić na to, żeby zerwał mi się z haczyka.

- To nie jest powód.

Głębokie westchnienie.

- Wiem. Jen – moja żona – właśnie zmarła. Była śmiertelnie chora na raka kiedy się poznaliśmy, więc wiedziałem, że tak się stanie, ale byłem młody i głupi i myślałem, że może zdarzy się cud i będziemy żyć długo i szczęśliwie. W każdym razie, cud się nie zdarzył. Byłem w depresji. Myślałem o samobójstwie, ale najśmieszniejszą rzeczą w posiadaniu w sobie wilka jest to, że samobójstwo, to nie jest zbyt dobry pomysł. Czy zauważyłaś kiedykolwiek, że zwierzęta nigdy nie zabijają same siebie celowo?

Nie wiedziałam. Zanotowałam to sobie w pamięci.

- W każdym razie latem byłem w Duluth i zobaczyłem Sama z rodzicami. Boże, to brzmi okropnie, prawda? Ale to nie było tak. Jen i ja przez cały czas rozmawialiśmy o posiadaniu dzieci, chociaż oboje wiedzieliśmy, że to się nigdy nie zdarzy. Do diabła, ona miała żyć tylko przez następnych osiem miesięcy. Jak mogłaby mieć dziecko? W każdym razie, zobaczyłem Sama. Był tam, z tymi swoimi żółtymi oczami, zupełnie jak prawdziwy wilk, i ten pomysł całkowicie mnie opętał. I – nie musisz mi tego mówić, Grace, wiem, że to było złe – ale zobaczyłem go z jego głupimi, bezwartościowymi rodzicami, tępymi jak para gołębi, i pomyślałem, że mógłbym być dla niego lepszy. Mógłbym nauczyć go więcej.

Nie powiedziałam nic, a Beck ponownie oparł czoło na dłoniach. Jego głos był wiekowy. Nie odezwałam się, ale on jęknął.

- Boże, wiem, Grace. Wiem. Ale wiesz co jest najgłupsze? Tak naprawdę lubię to, kim jestem. To znaczy, nie od początku. To była klątwa. Ale przyszło mi być kimś, kto kocha lato i zimę. Czy to nie ma sensu? Wiedziałem, że ostatecznie utracę siebie, ale pogodziłem się z tym dawno temu. Pomyślałem, że Sam również przez to przejdzie.

Znalazłam kubki w małej szafce nad ekspresem i wyjęłam dwa z nich.

- Ale nie przeszedł. Mleka?
- Odrobinę. Nie za dużo. – Westchnął. Dla niego to piekło. Zgotowałem mu osobiste piekło. On potrzebuje samoświadomości, by czuć, że żyje, a gdy ją traci stając się wilkiem... jest w piekle. Jest absolutnie najlepszą osobą na świecie, jaką poznałem, i absolutnie go zniszczyłem. Przez lata żałowałem tego każdego dnia.

Może i sobie na to zasłużył, ale nie mogłam pozwolić, że jeszcze bardziej się załamaf. Podałam mu kubek i usiadłam.

- On cię kocha, Beck. Może nienawidzić bycia wilkiem, ale cię kocha. I muszę ci powiedzieć, że zabija mnie siedzenie tutaj z tobą, ponieważ wszystko w tobie przypomina mi o nim. Jeśli go podziwiasz, to dlatego, że to ty stworzyłeś go takim, jakim jest.

Beck wyglądał wtedy, jakby bardzo łatwo można było go zranić, oplatając dłońmi kubek i patrząc na mnie przez parę wydobywającą się z niego. Milczał przez dłuższy czas, aż w końcu powiedział:

- Żal będzie jedną z rzeczy, z których będę zadowolony, że je straciłem.

Spojrzałam na niego ze zmarszczonymi brwiami. Upiłam łyk kawy.

- Zapomnisz o wszystkim?
- Nie zapominasz niczego. Tylko widzisz to inaczej. Przez wilczy mózg. Niektóre rzeczy stają się zupełnie nieistotne, kiedy jesteś wilkiem. Reszta to uczucia, których wilki nie odczuwają. Tracimy je. Ale najważniejsze rzeczy – ich możemy się trzymać. Większość z nas.

Jak miłość. Pomyślałam o Samie obserwującym mnie zanim poznaliśmy się jako ludzie, i o mnie odwzajemniającej jego spojrzenie. Zakochując się, tak niemożliwie, jak tylko się dało. Mój żołądek ścisnął się, i przez chwile nie mogłam mówić.

- Zostałaś ugryziona – powiedział Beck. Słyszałam to już wcześniej, pytanie bez znaku zapytania.
- Trochę ponad sześć lat temu – przytaknęłam.
- Ale nigdy się nie zmieniłaś.

Opowiedziałam mu historię o zamknięciu w aucie, a następnie wyjaśniłam teorię o możliwym uleczeniu, jaką Isabel i ja wymyśliłyśmy. Beck przez dłuższy czas siedział cicho, pocierając bok kubka jednym palcem i wpatrując się bezmyślnie w książki na ścianie.

W końcu przytaknął.

- To mogłoby zadziałać. Widzę już w jaki sposób. Ale myślę, że trzeba być człowiekiem podczas zakażenia, żeby to zadziałało.
- To właśnie powiedział Sam. Powiedział, że jeżeli chcesz zabić wilka, nie powinieneś nim być podczas infekowania.

Oczy Becka wciąż były nieobecne, kiedy myślał.

- Boże, to jest ryzykowne. Nie można leczyć zapalenia opon mózgowych, dopóki nie będzie się pewnym, że gorączka zabiła wilka. Bakterie tej choroby powodują niewiarygodnie duży współczynnik umieralności, nawet jeśli wyłapią je wcześniej i od początku rozpoczną leczenie.
- Sam powiedział mi, że zaryzykowałby utratę życia dla leczenia. Sądzisz, że dokładnie to miał na myśli?
- Absolutnie – stwierdził Beck bez wahania. – Ale on jest wilkiem. I najprawdopodobniej zostanie nim do końca swojego życia.

Spuściłam wzrok na mój w połowie opróżniony kubek, zauważając sposób, w jaki płyn zmienił kolor na samej krawędzi kubka.

- Myślałam o tym, żeby zabrać go do przychodni, żeby zobaczyć, czy zmieni się pod wpływem ciepła w budynku.

Nastąpiła pauza, ale nie podniosłam oczu, by zobaczyć reakcję Becka.

- Grace – powiedział łagodnie.

Przełknęłam, wciąż wpatrując się w kawę.

- Wiem.
- Obserwowałem wilki przez dwadzieścia parę lat. To jest do przewidzenia. Zmierzamy do końca... i następuje koniec.

Czułam się jak uparte dziecko.

- Ale w tym roku zmienił się, kiedy nie powinien był, prawda? Kiedy został postrzelony, stał się człowiekiem.

Beck upił długi łyk kawy. Słyszałam, jak jego palce stuknęły w bok kubka.

- I żeby cię uratować. Zmienił się w człowieka, żeby cię uratować. Nie wiem, jak on to zrobił. Albo dłaczego. Ale zrobił. Zawsze myślałem, że musi mieć to jakiś związek z adrenaliną, która oszukiwała ciało zmuszając je do myślenia, że to ciepło. Wiem, że próbował to robić wiele razy później, ale nigdy mu się nie udało.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam sobie wyobrazić jak Sam mnie niesie. Niemal mogłam to zobaczyć, poczuć.

- Cholera – przez dłuższy czas Beck nie powiedział nic innego. A potem znowu: - Cholera. To jest to, czego on by chciał. Chciałby spróbować. – Łyknął kawę. – Pomogę ci. Jak to obmyślałaś? Podać mu środek usypiający na czas przewiezienia?

Tak naprawdę myślałam nad tym odkąd Isabel zadzwoniła.

- Chyba będziemy musieli, prawda? Inaczej tego nie wytrzyma.
- Benadryl – powiedział Beck, rzeczowo. – Mam trochę na górze. Dzięki temu będzie półprzytomny i na tyle nieobecny, że nie oszaleje w aucie.
- Jedyną rzeczą, jakiej nie mogłam rozpracować było jak go tu zwabić. Nie widziałam go od czasu wypadku. – Byłam ostrożna ze swoimi słowami. Nie mogłam sobie pozwolić na zbyt wielkie nadzieje. Po prostu nie mogłam.

Głos Becka był pewny.

- Mogę to zrobić. Ściągnę go tutaj. Sprawię, że przyjdzie. Nafaszerujemy benadrylem jakiegoś burgera czy coś takiego. – Wstał i zabrał ode mnie mój kubek. – Lubię cię, Grace. Chciałbym, żeby Sam miał...

Przerwał, kładąc mi rękę na ramieniu. Jego głos był tak życzliwy, że myślałam, że się popłaczę.

- To może zadziałać, Grace. To może zadziałać.

Mogłam zobaczyć, że nie wierzył w to, ale widziałam również, że chciał w to wierzyć. Jak na razie, to było wystarczające.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

GRACE

3,3°C

Cienka warstwa śniegu przysypała ziemię, kiedy Beck wyszedł na podwórko, z ramionami ciemnymi i kwadratowymi pod swetrem. W środku, Olivia, Isabel i ja stałyśmy przed oszklonymi drzwiami, gotowe by pomóc, ale czułam się jakbym była sama, patrząc na Becka odchodzącego w swój ostatni dzień w ciele człowieka. W jednej ręce trzymał ochłap czerwonego, surowego mięsa zaprawionego benadrylem, a druga trzęsa mu się niekontrolowanie.

Kilkanaście jardów od domu Beck zatrzymał się, rzucając mięso na ziemię, a następnie podszedł kilka kroków w kierunku lasu. Stał tam przez chwilę, z głową przekrzywioną w sposób, jaki znałam. Słuchał.

– Co on robi? – zapytała Isabel, ale nie odpowiedziałam.

Beck przytknął dłoń do ust, i nawet będąc w środku, mogłam go doskonale słyszeć.

– Sam! – krzyknął ponownie. – Sam! Wiem, że tam jesteś! Sam! Sam! Pamiętasz kim jesteś? Sam!

Trzęsąc się, Beck nie przestawał wołać imienia Sama w stronę pustych, zamarzniętych lasów, dopóki nie potknął się i nie złapał równowagi tuż przed upadkiem.

Przycisnęłam palce do ust, kiedy łzy popłynęły po moich policzkach.

Beck zawołał Sama po imieniu jeszcze raz, a następnie jego ramiona pochyliły się, wyginając i skręcając; wylądował na czworakach siejąc popłoch wśród warstw śniegu leżącego dookoła niego. Jego ubrania wisały na nim, ogromne i splątane, a potem wyskoczył z nich potrząsając głową.

Szary wilk stał na środku podwórza, patrząc w stronę oszklonych drzwi jak go obserwujemy. Odszedł od ubrania, którego prawdopodobnie nigdy już nie założy, i zastygł w bezruchu odwracając głowę w stronę lasu.

Spomiędzy surowych czarnych sosen wyszedł inny wilk, z głową zwieszoną nisko i ostrożnie, oprószony śniegiem na grzbiecie. Jego oczy odnalazły mnie za szybą.

Sam.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

GRACE

2,2°C

Wieczór był stalowo szary, a niebo nieskończoną przestrzenią zamrożonych chmur czekających na śnieg i noc. Na zewnątrz SUVa opony chrzęściły po posypanej solą drodze, a śnieg stukał o przednią szybę. W środku, za kierownicą, Isabel uskarżała się na mokry, psi zapach, ale dla mnie to były sosna i ziemia, deszcz i piżmo, a za nimi ostry, zaraźliwy zapach niepokoju. Na siedzeniu pasażera Jack pojękiwał cicho, w połowie pomiędzy człowiekiem, a zwierzęciem. Olivia usiadła obok mnie na tylnych siedzeniach, z palcami tak szczerze splecionymi z moimi, że to bolało.

Sam był za nami. Kiedy podniosłyśmy go do SUVa, jego ciało było ciężkie od działania leków nasennych. Jego oddech był teraz głęboki i nierówny, i wysilałam się, żeby go słyszeć ponad dźwiękiem rozpryskiwanego śniegu spod opon, utrzymując z nim pewien rodzaj kontaktu, podczas gdy nie mogłam go dotknąć. Kiedy był uśpiony przez leki usypiające, mogłam siedzieć obok niego przeczesując palcami jego futro, ale to było dla niego udręką.

Teraz był zwierzęciem. Z powrotem w swoim świecie, dalekim ode mnie.

Isabel zatrzymała się przed małą przychodnią. O tej godzinie parking był ciemny i nieoświetlony, a przychodnia sama w sobie była małym szarym kwadratem. Nie wyglądało to na miejsce cudów. Wyglądało to na miejsce, do którego przychodziłeś, kiedy byłeś chory i nie miałeś pieniędzy. Odsunęłam tę myśl od siebie.

- Ukradłam mamie klucze – powiedziała Isabel. Podziwiałam ją, bo nie brzmiała na zdenerwowaną. – No chodźcie. Jack, czy mógłbyś do cholery nie postępować z nikim brutalnie dopóki nie znajdziemy się w środku?

Jack wymamrotał coś nie dającego się powtórzyć. Spojrzałam do tyłu; Sam był na nogach, kołyszając się.

- Isabel, pośpiesz się. Benadryl przestaje działać.

Isabel zaciągnęła hamulec ręczny.

- Jeśli nas aresztują, powiem wszystkim, że mnie uprowadziliście.
- No dalej! – warknęłam. Otworzyłam drzwi, Jack i Olivia oboje wzdrygnęli się z zimna. – Pośpieszcie się – wy dwoje musicie biegnąć.
- Wróć, żeby ci z nim pomóc – powiedziała Isabel i wyskoczyła z SUVa. Odwróciłam się do Sama, który przewrócił w górę oczami, ku mnie. Wydawał się zdezorientowany, wycieńczony.

Przez chwilę byłam zmrózona jego spojrzeniem, pamiętając go leżącego w łóżku, nos w nos ze mną, z oczami utkwionymi we mnie.

Jęknął cicho zaniepokojony.

- Przepraszam – powiedziałam do niego.

Isabel wróciła, więc obeszłam wokół samochodu idąc do tyłu, żeby jej pomóc. Zdjęła swój pasek i umiejętnie okręciła go wokół jego pyska. Skrzywiłam się, ale nie mogłam jej powiedzieć, żeby tego nie robiła. Nie została ugryziona i nie było gwarancji na to, jak Sam zareaguje na ten proces.

Podniosłyśmy go we dwie i bokiem przeszłyśmy do przychodni. Isabel kopniakiem otworzyła drzwi, które już były trochę uchylone.

- Pokoje zabiegowe znajdują się z tamtej strony. Zamknij go w jednym z nich i najpierw zajmijmy się Olivią i Jackiem. Może znowu się zmieni, jeśli wystarczająco długo będzie znajdował się w cieple.

Kłamstwo Olivii były niezwykle miłe; obie wiedziałyśmy, że nie zmieni się bez udziału jakiegoś cudu. Najlepsze na co mogłam liczyć, to że Sam nie miał racji – że ta metoda leczenia nie mogła go zabić, kiedy był w ciele wilka. Podążyłam za Isabel do małego pokoju zaopatrzeniowego, zagraconego i śmierdzącego jakby lekami i zapachem gumy. Olivia i Jack już tam czekali, z głowami pochylonymi do siebie jakby rozmawiali, co mnie zaskoczyło. Jack podniósł głowę, kiedy weszłyśmy.

- Nie mogę znieść tego czekania – powiedział. – Czy możemy po prostu z tym zacząć do cholery?

Spojrzałam na pojemnik z wacikami nasączonymi alkoholem.

- Muszę przygotować jego ramię?

Isabel rzuciła mi spojrzenie.

- Mamy zamiar celowo zarazić go zapaleniem opon mózgowych. Chyba nie ma sensu martwić się o infekcję przy nakłuwaniu.

I tak oczyściłam jego ramię, podczas gdy Isabel wyjmowała z lodówki strzykawkę wypełnioną krwią.

- O, Boże – wyszeptała Olivia, z oczyma utkwionymi w strzykawkę.

Nie mieliśmy czasu jej uspokajać. Wzięłam rękę Jacka i odwróciłam tak, że była skierowana wnętrzem dłoni do góry, w sposób, w jaki robiła to pielęgniarka dając nam zastrzyki przeciwko wścieklicznie.

Isabel spojrzała na Jacka.

- Jesteś pewien, że tego chcesz.

Odstłonił zęby w warknięciu. Śmierdział strachem.

- Po prostu zrób to.

Isabel zawahała się; po chwili zrozumiałam dlaczego.

- Daj, ja to zrobię – powiedziałam. – On nie może mnie skrzywdzić.

Isabel podała mi strzykawkę i wycofała się na ubocze. Zająłam jej miejsce.

- Patrz w drugą stronę – rozkazałam Jackowi. Odwrócił głowę. Wkłułam się, a następnie wolną ręką uderzyłam go w twarz, kiedy szarpnął się i odwrócił z powrotem do mnie. – Kontroluj się! – rzuciłam. – Nie jesteś zwierzęciem.

- Przepraszam – wyszeptał. Wcisnęłam strzykawkę do końca, starając się nie myśleć o krwawej zawartości, i wyjęłam igłę. W miejscu wstrzyknięcia powstała mała czerwona kropka; nie wiedziałam, czy to była krew Jacka czy ta zainfekowana ze strzykawki. Isabel tylko gapiła się na to wszystko, więc odwróciłam się, chwyciłam plaster i przykleiłam go w tym miejscu. Olivia wypuściła niski jęk.

- Dziękuję – powiedział Jack. Przycisnął rękę do siebie. Isabel wyglądała na chorą.

- Po prostu daj mi następną – powiedziałam do niej. Isabel podała mi drugą strzykawkę i odwróciliśmy się do Olivii, która była tak blada, że mogłam zobaczyć żyły biegnące wzdłuż jej skroni; dłonie jej się trzęsły z powodu nerwów. Isabel przejęła mój obowiązek oczyszczenia ramienia. To było jak niewypowiedziana zasada, że obie musiałyśmy czuć się potrzebne, by móc wykonać to znieprawione zadanie.

- Zmieniłam zdanie! – zapłakała Olivia. – Nie chcę tego robić!

Wzięłam ją za rękę.

- Olivia. Olive. Uspokój się.

- Nie mogę. – Oczy Olivii utkwione były na ciemnej czerwieni strzykawki. – Nie mogę powiedzieć, że wolałabym umrzeć, niż być taką.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam namawiać jej do czegoś, co mogło ją zabić, ale nie chciałam, żeby wycofała się ze strachu.

- Ale całe twoje życie... Olivia.

Olivia potrząsnęła dłonią.

- Nie. Nie, to nie jest tego warte. Niech Jack tego spróbuje. Jeśli na nim to zadziała, wtedy ja też się temu poddam. Ale... nie mogę.
- Wiesz o tym, że już prawie listopad, prawda? – wypaliła Isabel. – Jest cholernie zimno! Zamienisz się wkrótce na zimę i nie będziemy mieli kolejnej szansy aż do wiosny!
- Po prostu pozwól jej poczekać – rzucił Jack. – W tym nie ma nic złego. Lepiej, żeby jej rodzice myśleli, że zniknęła na parę miesięcy, niż żeby dowiedzieli się, że jest wilkołakiem.
- Proszę – oczy Olivii były pełne łez.

Wzruszyłam bezradnie ramionami i odłożyłam strzykawkę. Nie wiedziałam o niczym więcej niż ona. I w duchu, wiedziałam, że będąc w jej położeniu, podjąłabym taką samą decyzję – lepiej byłoby żyć z jej ukochanymi wilkami, niż umrzeć na zapalenie opon mózgowych.

- W porządku – powiedziała Isabel. – Jack, zabierz Olivię do samochodu. Czeka tam i miej na wszystko oko. No dobra, Grace. Chodźmy zobaczyć, co Sam narobił w sali zabiegowej podczas naszej nieobecności.

Jack i Olivia ruszyli wzdłuż korytarza, przyciśnięci do siebie by się nawzajem ogrzać, próbując się nie zmienić, a ja z Isabel poszłyśmy do wilka, który już to zrobił.

Stojąc tuż przed salą zabiegową, w której był Sam, Isabel położyła mi rękę na ramieniu, powstrzymując mnie przed przekręceniem klamki.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – zapytała. – To może go zabić. I najprawdopodobniej go zabije.

Zamiast jej odpowiedzieć, nacisnęłam klamkę i otworzyłam drzwi.

W ohydny fluorescencyjny świetle, Sam wyglądał zwyczajnie, jak mały pies, przykucnięty obok stołu zabiegowego. Uklękłam przed nim, marząc, że wymyśliliśmy metodę leczenia zanim było dla niego za późno.

- Sam. – Nie chciałam stać przed nim jak rzecz, przebiegła, skryta. Wiedziałam, że ciepło nie zamieni go z powrotem w człowieka. Tylko i wyłącznie moje samolubstwo sprawiło, że przywiozłam go do tej przychodni. Samolubstwo i mylna metoda leczenia, która prawdopodobnie nie mogła mu pomóc w takiej formie. – Sam, czy wciąż chcesz to zrobić?

Dotknęłam jego futra, wyobrażając je sobie jako jego ciemne włosy. Przełknęłam nieszczęśliwa.

Sam zaświszczał przez nos. Nie miałam pojęcia, jak wiele rozumiał z tego, co do niego mówiłam; tylko, że w swoim pół odurzonym stanie nie wzdragał się pod moim dotykiem.

Spróbowałam znowu.

- To może cię zabić. Nadal chcesz spróbować?

Za mną, Isabel kaszlnęła znacząco.

Sam jęknął na ten hałas, kierując wzrok na Isabel i drzwi. Pogłaskałam go po głowie i spojrzałam mu w oczy. Boże, były takie same. Zabijało mnie patrzenie na nie teraz.

To musi zadziałać.

Łza spłynęła w dół po moim policzku. Nie przejęłam się otarciem jej, kiedy popatrzyłam w górę na Isabel. Chciałam tego, jak jeszcze niczego dotąd.

- Musimy to zrobić.

Isabel nie ruszyła się.

- Grace, nie sądzę, że wykorzysta tę szansę, dopóki nie będzie człowiekiem. Po prostu myślę, że to nie zadziała.

Przejechałam palcem po krótkich, miękkich włosach na boku jego głowy. Gdyby nie dostał leku uspokajającego nie tolerowałby tego, ale benadryl zmatowił jego instynkty. Zamknął oczy. To było wystarczająco nie-wilcze, że dało mi nadzieję.

- Grace. Robimy to czy nie? Poważnie.
- Zaczekaj – powiedziałam. – Chcę coś sprawdzić.

Usiadłam na podłodze i wyszeptałam:

- Chcę, żebyś mnie posłuchał, jeśli możesz. – Oparłam twarz o jego futro i przypominałam sobie o złotym lesie, który pokazał mi tak dawno temu. Pamiętałam sposób, w jaki żółte liście, koloru oczu Sama, trzepoczące, kręcące się i rozbijające jak motyle, opadały na ziemię. Wysmukłe białe pnie brzoź, kremowe i gładkie jak ludzka skóra. Pamiętałam Sama stojącego pośrodku lasu, z rozłożonymi ramionami, ciemny, trwały kształt wśród śniących drzew. Pamiętałam go jak do mnie podchodził, pamiętałam siebie jak biłam go w pierś, pamiętałam miękki pocałunek. Pamiętałam każdy pocałunek jaki kiedykolwiek wymieniliśmy, i każde wtulanie się w jego ludzkie ramiona. Pamiętałam delikatne ciepło jego oddechu na moim karku, kiedy spaliśmy.

Pamiętałam Sama.

Przypominałam sobie, jak dla mnie wypierał z siebie wilczą część. By mnie ratować.

Sam wyrwał mi się. Jego głowa wisiła nisko, ogon schował między łapami i trząś się.

- Co się dzieje? – dłoń Isabel spoczywała na klamce.

Sam wycofał się jeszcze dalej, uderzając w stojącą za nim szafkę, zwijając się w kłębek, a następnie rozwijając. Skóra z niego złaziła. Trząś się pozbawiony futra. Był wilkiem i Samem, i wtedy

on

był

po prostu

Samem.

- Szybko – wyszeptał. Drgał mocno o szafkę. Jego palce były pazurami na kafelkach. – Szybko. Zrób to teraz.

Isabel zastygła przy drzwiach.

- Isabel! Rusz się!

Wyrwała się spod tego czaru i podbiegła do nas. Przykucnęła obok Sama, tuż przy nagiej przestrzeni jego pleców. Przygryzł wargi tak mocno, że aż krwawił. Uklękłam i wzięłam go za rękę.

- Grace, szybko. Za chwilę odejdę – jego głos był napięty.

Isabel nie zadawała więcej pytań. Po prostu złapała go za rękę, odwróciła ją, i wbiła w nią igłę. Do połowy wcisnęła strzykawkę, ale ta wyleciała z jego ramienia, kiedy złapał się za nie gwałtownie. Sam odsunął się ode mnie, wyszarpując swoją rękę z mojej, i zwymiotował.

- Sam...

Ale już go nie było. Dwa razy krócej zajęło mu zmienienie się wilka niż w człowieka. Drżąc, zataczając się, pazurami drapiąc po kafelkach, upadł na podłogę.

- Przepraszam, Grace – powiedziała Isabel. Tylko tyle zdołała z siebie wykrztusić. Położyła strzykawkę na blacie. – Cholera. Słyszę Jacka. Zaraz wrócę.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Uklękłam obok ciała Sama i ukryłam twarz w jego sierści. Jego oddech był urywany i wyczerpany. I wszystko o czym mogłam myśleć – to to, że go zabiłam. To go zabije.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

GRACE

2,2°C

Jack był tym, kto otworzył drzwi do pokoju zabiegowego.

- Grace, chodź. Musimy iść... Olivii nie idzie zbyt dobrze.

Wstałam, zawstydzona, że znalazł mnie z zażawionymi policzkami. Odwróciłam się, żeby wyrzucić zużytą strzykawkę do pojemnika na niebezpieczne odpady stojącego tuż przy blacie.

- Potrzebuję pomocy, żeby go przenieść.

Skrzywił się na mnie.

- To dlatego Isabel mnie tutaj przysłała.

Spojrzałam w dół i moje serce stanęło. Pusta podłoga. Odwróciłam się, przechylając głowę żeby zajrzeć pod stół.

- Sam?

Jack zostawił otwarte drzwi. Pokój był pusty.

- Pomóż mi go znaleźć! – wydarłam się na Jacka, przeciskając się obok niego na korytarz. Nie było tam śladu po Samie. Kiedy popędziłam w dół holu, zobaczyłam na jego końcu drzwi otwarte na oścież, i wyzierającą przez nie noc. Było to pierwsze miejsce, do którego uciekłyby wilk, kiedy leki odurzające przestałyby działać. Ucieczka. Noc. Zimno.

Skręciłam na parking w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów Sama na cienkim pasie Lasów Boundary rozciągających się za przychodnią. Ale tam było bardziej niż ciemno. Żadnych świateł. Żadnych dźwięków. I nie było tam Sama.

- Sam!

Wiedziałam, że nie przyszedłby, nawet gdyby mnie usłyszał. Sam był silny, ale instynkty były silniejsze.

To było nieznośne wyobrażać go sobie gdzieś w jakimś miejscu, jak pól fiołki zakażonej krwi miesza się powoli z jego krwią.

- Sam! – Mój głos był zawodzeniem, wyciem, krzykiem w nocy. Nie było go.

Oślepiły mnie reflektory: bus Isabel wyrwał obok mnie i zadrzał zatrzymując się. Isabel przechyliła się ze strony kierowcy i popchnęła drzwiczki pasażera otwierając je, jej twarz wyglądała jak duch w światełkach deski rozdzielczej.

- Wsiadaj, Grace. Pospiesz się do cholery! Olivia się zmienia, a my już jesteśmy tutaj zbyt długo.

Nie mogłam go zostawić.

- Grace!

Jack wskoczył na tylne siedzenie, trzęsąc się; jego oczy błagały mnie. To były te same oczy, które widziałam na samym początku, kiedy po raz pierwszy się przemienił. Zanim jeszcze o czymkolwiek się dowiedziałam.

Wsiadłam do środka i zatrzasnęłam drzwi, wyglądając przez okno w samą porę, by zobaczyć białego wilka stojącego na skraju parkingu. Shelby. Żywa, tak jak myślał Sam. Wpatrywałam się w nią we wstecznym lusterku; wilk stał na parkingu i spoglądał za nami. Wydawało mi się, że widzę triumf w jej oczach, kiedy odwróciła się i zniknęła w ciemnościach.

- A to co za wilk? – zapytała Isabel.

Ale nie mogłam odpowiedzieć. Wszystko o czym mogłam myśleć, to był Sam, Sam, Sam.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY DRUGI

GRACE

4,4°C

- Z Jackiem chyba nie jest dobrze – powiedziała Olivia. Usiadła w fotelu pasażera w moim nowym samochodzie, małej mazdzie, która pachniała środkiem do czyszczenia dywanów i samotnością. Mimo że założyła dwa moje swetry i wełnianą czapkę, wciąż się trzęsła, z rękoma owiniętymi wokół brzucha. – Gdyby było z nim w porządku, Isabel nie wezwałaby nas.
- Może – powiedziałam. – Isabel nie jest z tych, co to wydzwanniają. – Ale nie mogłam nic poradzić na to, że sądziłam, iż ma rację. To był trzeci dzień, a ostatnie wieści od Isabel miałyśmy osiem godzin temu.

Dzień pierwszy: Jack miał okropny ból głowy i zeszywniały kark.

Dzień drugi: Ból głowy pogorszył się. Temperatura wzrosła.

Dzień trzeci: Wiadomość głosowa od Isabel.

Wjechałam mazdą na podjazd domu Becka i zaparkowałam za wielkim busem Isabel.

- Gotowa?

Olivia nie wyglądała na gotową, ale wysiadła z auta i popędziła do frontowych drzwi. Podążyłam za nią i zamknęłam za nami drzwi.

- Isabel?
- Tutaj.

Podążyłyśmy za jej głosem do jednej z sypialni na parterze. To był mały, wesoły żółty pokój, który zdawał się być w sprzeczności z zapachem chorego wypełniającego przestrzeń.

Isabel siedziała ze skrzyżowanymi nogami na krześle w nogach łóżka. Głębokie koła, jak fioletowe odciski kciuka, były wyciśnięte pod jej oczami.

Podaliśmy jej kawę, którą przyniosłyśmy.

- Dlaczego po nas nie zadzwoniłaś?

Popatrzyła na mnie.

- Jego palce obumierają.

Unikałam patrzenia na niego, ale w końcu zerknęłam na łóżko, na którym leżał zwinięty, niczym w połowie zmieniony z larwy motyl. Końce jego palców miały niepokojąco niebieskawy odcień. Jego twarz lśniła od potu, miał zamknięte oczy. Poczułam jak wszystko podchodzi mi do gardła.

- Zajrzałam do sieci – Isabel powiedziała do mnie. Podniosła telefon, jakby to wszystko tłumaczyło. – Ból głowy bierze się stąd, że podszewka jego mózgu jest rozpalona. Palce u dłoni i stóp są sine, ponieważ jego mózg nie każe swojemu ciału wysyłać tam więcej krwi. Zmierzyłam mu temperaturę. Ma 40,5°C.
- Muszę wymiotować – powiedziała Olivia.

Zostawiła mnie w pokoju z Jackiem i Isabel.

Nie wiedziałam co powiedzieć. Gdyby Sam tu był, wiedziałby co powinnam powiedzieć.

- Przykro mi.

Isabel wzruszyła ramionami, miała matowe oczy.

- To zadziało w sposób, w jaki powinno. Pierwszego dnia prawie zamienił się w wilka, kiedy w nocy spadła temperatura. To był ostatni raz, nawet mimo tego, że zeszłej nocy padła elektryczność. Myślałam, że to działa. Nie zmienił się odkąd ma gorączkę. – Zrobiła nieśmiały gest w kierunku łóżka. – Wytłumaczysz mnie w szkole?

- Tak.
- Świetnie.

Pokazałam jej, żeby za mną poszła. Wstała z krzesła jakby sprawiało jej to ogromną trudność i poszła moim śladem do holu.

Przymknęłam drzwi sypialni tak, że gdyby Jack nas słuchał, nic by nie dosłyszał. Niskim głosem powiedziałam:

- Musimy zabrać go do szpitala, Isabel.

Isabel zaśmiała się, dziwnym, wstrętnym głosem.

- I co im powiemy? Powinien być martwy. Myślisz, że nie przyszło mi to do głowy? Nawet gdybyśmy podali fałszywe nazwisko, jego twarz była pokazywana w wiadomościach przez dwa miesiące.
- Musimy złapać się ostatniej deski ratunku, prawda? Wymyślimy jakąś historyjkę. To znaczy, musimy chociaż spróbować, prawda?

Przez chwilę wpatrywała się we mnie zaczerwienionymi oczyma. Kiedy w końcu przemówiła, jej głos był pusty.

- Myślisz, że chcę żeby umarł? Nie sądzisz, że chcę go uratować? Jest za późno, Grace! Ludziom ciężko jest przeżyć tego rodzaju zapalenie opon mózgowych, nawet jeśli od samego początku podawano im leki. Teraz, dla niego, po trzech dniach? Nawet nie mam środków przeciwbólowych, żeby mu je podać, a tym bardziej czegoś więcej, co mogłoby mu pomóc. Myślałam, że wilcza część ocali go, tak jak ocaliła ciebie. Ale on nie ma szans. Żadnych szans.

Zabrałam z jej rąk kubek z kawą.

- Nie możemy po prostu patrzeć jak umiera. Zabierzemy go do szpitala, w którym nie rozpoznają go od razu. Jeśli będziemy musieli, pojedziemy do Duluth. Tam go nie rozpoznają, przynajmniej nie od razu, a wtedy coś wymyślimy, coś co możemy im powiedzieć. Idź umyj twarz i weź jakieś jego rzeczy, które chcesz zabrać. No dalej, Isabel. Rusz się.

Isabel nadal się nie odzywała, ale poszła w stronę schodów. Kiedy odeszła poszłam do łazienki na parterze i otworzyłam szafę, myśląc, że znajdę tam coś użytecznego. Dom pełen ludzi miał tendencję do gromadzenia wielu leków. Był tam jakiś paracetamol i recepty na leki przeciwbólowe sprzed trzech lat. Zabrałam to wszystko i wróciłam do pokoju Jacka.

Uklęknąwszy przy jego głowie, powiedziałam:

- Jack, śpisz? – poczułam wymiociny w jego oddechu i zastanowiłam się, jak do cholery on i Isabel żyli przez ostatnie trzy dni; to skręciło mój żołądek. Starłam się przekonać samą siebie, że w jakiś sposób zasłużył na to, za to, że straciłam Sama, ale nie mogłam.

Odpowiedź zabrała mu bardzo dużo czasu.

- Nie.
- Mogę coś dla ciebie zrobić? Żebyś poczuł się bardziej komfortowo?

Jego głos był bardzo cichy.

- Łeb mi pęka.
- Mam jakieś tabletki przeciwbólowe. Myślisz, że mógłbyś je przełknąć?

Zrobił niejasno twierdzący hałas, więc wzięłam szklankę wody stojącej przy łóżku i pomogłam mu połknąć kilka kapsułek. Wymamrotał coś, co mogło być podziękowaniem. Zaczekałam piętnaście minut, aż leki zaczną działać, i zobaczyłam jak jego ciało rozluźnia się odrobinę.

Gdzieś tam, Sam przeżywał to samo. Wyobraziłam go sobie leżącego w jakimś miejscu, z głową pękającą z bólu, niszczącą gorączką, umierającego. Wydawało się, że jeśli cokolwiek stałoby się Samowi, powinnam się o tym w jakiś sposób dowiedzieć: poczuć małe ukłucie bólu w chwili, kiedy by umarł. Jack

zajęczał cicho na łóżku, niezamierzony dźwięk bólu, trochę kwilenia w niespokojnym śnie. Ciągle myślałam o zainfekowaniu Sama tą samą krwią. W głowie miałam obraz Isabel wstrzykującej mu to w żyły, śmiertelny koktajl.

- Zaraz wracam – powiedziałam do Jacka, chociaż myślałam, że śpi. Poszłam do kuchni i znalazłam Olivię opierającą się o wysepkę i składającą kawałek papieru.
- Jak on się trzyma? – zapytała.

Potrząsnęłam głową.

- Musimy zabrać go do szpitala. Możesz jechać?

Olivia popatrzyła na mnie w sposób, którego nie mogłam zinterpretować.

- Myślę, że jestem gotowa. – Podsunęła mi kawałek złożonego papieru. – Chcę, żebyś znalazła sposób, w jaki mogłabyś przekazać to moim rodzicom.

Zaczęłam go rozkładać, a ona potrząsnęła głową. Uniosłam brwi.

- Co to jest?
- Notatka dla nich, która mówi, że uciekam z domu i żeby nie próbowali mnie szukać. Oczywiście będą próbować, ale przynajmniej nie będą myśleć, że zostałam porwana albo coś takiego.
- Zmienisz się – to nie było pytanie.

Przytaknęła i zrobiła kolejną trochę dziwną minę.

- Jest mi coraz ciężiej z tym walczyć. A może to tylko dlatego, że to jest bardzo nieprzyjemne, próbować się nie zmienić... ale ja chcę. Tak naprawdę nie mogę się tego doczekać. Wiem, że to brzmi dziwnie.

Dla mnie to nie brzmiało dziwnie. Dałabym wszystko, by być na jej miejscu, by być z moimi wilkami i Samem. Ale nie chciałam jej tego mówić, więc zadałam oczywiste pytanie.

- Zmienisz się tutaj?

Olivia pokazała, żebym poszła za nią i razem stanęłyśmy przy oknie wychodzącym na podwórze.

- Chcę żebyś coś zobaczyła. Popatrz. Musisz chwilę poczekać. Ale patrz.

Stałyśmy w oknie, patrząc na martwy zimowy świat, w splątane leśne zarośla. Przez dłuższą chwilę nie widziałam nic prócz małego, bezbarwnego ptaka, przelatującego z jednej nagiej gałęzi na drugą. Potem kolejny nieznaczny ruch wpadł mi w oko, bardziej przy ziemi, i zobaczyłam dużego, ciemnego wilka pomiędzy drzewami. Jego jasne, prawie bezbarwne oczy były skierowane na dom.

- Nie wiem, skąd one to wiedzą – powiedziała Olivia. – Ale czuję jakby na mnie czekały. – Nagle zdałam sobie sprawę, że wyraz jej twarzy, był radosnym podnieceniem. To sprawiło, że poczułam się dziwnie samotna.
- Chcesz iść już teraz, prawda?

Olivia przytaknęła.

- Już dłużej nie mogę znieść oczekiwania. Nie mogę się doczekać odejścia.

Westchnęłam i spojrzałam jej w oczy, bardzo jasne i zielone. Chciałam zapamiętać je teraz, by móc rozpoznać je później. Myślałam, że powinnam jej coś powiedzieć, ale nie potrafiłam wymyśleć, co takiego.

- Przekażę list twoim rodzicom. Bądź ostrożna. Będę za tobą tęsknić, Olive.

Otworzyłam szklane drzwi; mroźne powietrze uderzyło w nas.

Ona rzeczywiście się zaśmiała, kiedy wiatr wyrwał z niej drzenie. Była dziwną, lekką istotą, której nie poznawałam.

- Do zobaczenia wiosną, Grace.

Wtedy wybiegła na podwórze, zdejmując swetry, i zanim dosięgła linii drzew, była lekkością, była lekkim wilkiem, skaczącym i pełnym radości. Nie było żadnego bólu jak u Jacka, ani nic z przemiany Sama –

to wyglądało, jakby była do tego stworzona. Coś w moim żołądku ścisnęło się na jej widok. Smutek, zazdrość, albo szczęście.

Teraz było nas już tylko troje, troje którzy się nie zmienili.

Odpaliłam samochód, by go ogrzać, ale w końcu to nie miało znaczenia. Piętnaście minut później, Jack zmarł. Teraz byliśmy tylko dwie.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

GRACE

-5,5°C

Widziałam Olivie po tym wszystkim, po tym jak zostawiłam liścik w samochodzie jej rodziców. Poruszała się lekko w półmroku wśród drzew, jej zielone oczy czyniące ją natychmiast rozpoznawalną. Nigdy nie była sama; inne wilki przewodziły jej, uczyły ją, strzegły jej przed prymitywnymi niebezpieczeństwami zrujnowanego zimowego lasu.

Chciałam jej zapytać, czy go widziała.

Myślę, że chciała mi powiedzieć, że nie.

Isabel zadzwoniła na kilka dni przed przerwą świąteczną i moją wycieczką z Rachel. Nie wiedziałam, dlaczego zadzwoniła zamiast po prostu podejść do mojego nowego samochodu, widziałam ją na drugim końcu parkingu, siedzącą w swoim SUVie.

- Jak się trzymasz? – zapytała.
- W porządku – odpowiedziałam.
- Kłamca – Isabel nie patrzyła na mnie. – Wiesz, że on nie żyje.

Łatwiej było przyznać to przez telefon, niż twarzą w twarz.

- Wiem.

Na drugim końcu mroźnego, szarego parkingu Isabel zatrzasnęła swój telefon. Usłyszałam jak wrzuciła bieg, a następnie podjechała do miejsca, w którym stałam. Dało się słyszeć kliknięcie, kiedy odblokowała drzwiczki od strony pasażera oraz mruczenie, kiedy spuszczała szybę.

- Wsiadaj. Pojedźmy gdzieś.

Pojechaliśmy do centrum i kupiliśmy kawę, a potem, ponieważ dało się zaparkować od frontu, poszliśmy do księgarni. Isabel wpatrywała się w sklep przez dłuższy czas, zanim wysiadła z samochodu. Stałyśmy na zamarzniętym chodniku patrząc na okno wystawowe. Całe było wypełnione świątecznymi rzeczami. Renifery, pierniki i DVD z filmem „To wspaniałe życie”.

- Jack uwielbiał święta – powiedziała Isabel. – Myślę, że te święta są głupie. Więcej nie będę ich obchodzić. – Wskazała na sklep. – Chcesz wejść? Nie byłam tu od tygodni.
- Nie byłam tutaj od... - Przerwałam. Nie chciałam tego powiedzieć. Chciałam wejść, ale nie chciałam tego mówić.

Isabel otworzyła dla mnie drzwi.

- Wiem.

Księgarnia była innym światem, w tej szarej, martwej zimie. Półki, niebieskie i ciemnoszare, nabrały innej barwy. Światło było czyste, czysta biel. Nad głowami grała muzyka klasyczna, ale to szum grzejnika był prawdziwą ścieżką dźwiękową. Spojrzałam na dzieciaka za ladą – ciemnowłosego, chudego, pochylonego nad książką – i nagle bryła urosła w moim gardle, zbyt gruba, bym mogła ją połknąć.

Isabel ścisnęła mnie za ramię, wystarczająco mocno, by mnie to zabolowało.

- Znajdźmy książki o tyciu.

Przeszliśmy do sekcji książek kucharskich i usiadaliśmy na podłodze. Dywan był zimny. Isabel zrobiła spory bałagan, składając stos obok siebie, a następnie odkładając książki w niewłaściwej kolejności, i zatraciłam się w zgrabnych literach tytułów na grzbietach książek, z roztargnieniem popychając je tak, by były równo ułożone.

- Chcę się nauczyć, jak utyc – powiedziała Isabel. Podała mi książkę o ciastach. – Jak to wygląda?

Przekartkowałam ją.

- Wszystkie miary są w gramach. Nie na szklanki. Musiałabyś kupić wagę elektroniczną.
- Zapomnij. – Isabel odłożyła ją na niewłaściwe miejsce. – Sprawdź tę.

Ta była w całości o tortach. Piękne czekoladowe warstwy poprzekładane malinami, żółte biszkopty pokryte masą maślaną, ckiwe serniki skropione truskawkowym nektarem.

- Nie możesz zabrać ze sobą do szkoły kawałka tortu. – Podałam jej książkę o ciastkach i batonach. – Spróbuj tej.
- Ta jest idealna – rzuciła Isabel i położyła książkę obok, na innym stosiku. – Nie wiesz jak się robi zakupy? Bycie skutecznym nie jest dobrą rzeczą. To nie zabiera wystarczająco dużo czasu. Będę musiała nauczyć cię sztuki poszukiwania. Jesteś w tym wyraźnie kiepska.

Isabel uczyła mnie poszukiwania w sekcji książek kucharskich dopóki nie opadłam z sił, i zostawiłam ją z tyłu i zaczęłam przechadzać się po sklepie. Nie chciałam, ale wspięłam się na strych schodami wyłożonymi burgundowymi dywanami.

Pochmurny, śnieżny dzień na zewnątrz sprawił, że strych wydawał się jeszcze ciemniejszy i mniejszy niż wcześniej, ale dwuosobowa mała kanapa wciąż tam była, i małe regały sięgające do pasa, które przeszukiwał Sam. Wciąż mogłam widzieć kształt jego ciała pochylającego się przed nimi, szukającego idealnej książki.

Nie powinnam, ale usiadłam na kanapie, a następnie położyłam się na niej. Zamknęłam oczy i udawałam najmocniej jak tylko mogłam, że Sam leży za mną, że jestem bezpieczna w jego ramionach, i że lada chwila poczuję jego oddech poruszający moimi włosami i łechtający ucho.

Niemalże mogłam go tutaj poczuć, jeśli bardzo się starałam. Było niewiele miejsc, które wciąż utrzymywały jego zapach, ale prawie mogłam je wykryć – albo może tak bardzo tego chciałam, że wyobrażałam to sobie.

Przypominałam sobie jak nakłaniał mnie, żebym poczuła wszystkie zapachy w cukierni. Aby oddać to, kim naprawdę byłam. Teraz wyodrębniłam zapachy księgarni: orzechowy aromat skóry, lekko perfumowany środek do czyszczenia dywanów, słodki czarny atrament i pachnące benzyną kolorowe atramenty, szampon chłopaka za ladą, zapach Isabel, zapach wspomnień o mnie i Samie całujących się na tej kanapie.

Nie chciałam, żeby Isabel znalazła mnie z moimi łzami, tak samo jak ona nie chciała żebym ja znalazła ją z jej. Teraz dzieliłyśmy wspólnie wiele rzeczy, ale płacz był jedyną rzeczą, o której nigdy nie rozmawiałyśmy. Rękawem otarłam twarz do sucha i usiadłam.

Podeszłam do regału, z którego Sam wyciągnął swoją książkę, przeglądnęłam tytuły, aż wreszcie trafiłam na właściwy i wyciągnęłam wolumin. Poematy Rainer Maria Rilke. Podniosłam ją do nosa, by sprawdzić, czy to ta sama kopia. Sam.

Kupiłam ją. Isabel kupiła książkę o ciasteczkach i pojechałyśmy do Rachel, i napięłyśmy sześć tuzinów ciastek z odciskami naszych palców, uważając, by podczas tego zajęcia nie rozmawiać o Samie i Olivii. Potem Isabel zawiozła mnie do domu i zamknęłam się w pokoju razem z poezją Rilke, i czytałam.

*„I zostawiając cię (nie ma słów, by to rozwikłać)
Twoje życie, pełne strachu, bezbrzeżne, kwitnące,
Czasami rozumiane, czasami irytujące,*

Twoje życie jest czasami kamieniem w tobie, a następnie, gwiazdą.”

Zaczynałam rozumieć poezję.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

GRACE

-9,5°C

Bez mojego wilka to nie były święta. To był jedyny czas w roku, kiedy go miałam przy sobie, cicha obecność pojawiająca się na skraju lasów. Tak wiele razy stałam w kuchennym oknie, z dłońmi pachnącymi imbirem, gałką muszkatołową, sosną i setką innych świątecznych zapachów, czując na sobie jego wzrok. Chciałabym spojrzeć w górę, żeby zobaczyć Sama stojącego na krawędzi lasu, ze złotymi oczami nieruchomymi i stałymi.

Nie w tym roku.

Stałam w kuchennym oknie, z dłońmi pachnącymi niczym. Nie było sensu piec świątecznych ciasteczek i ścinać drzewka; za dwadzieścia cztery godziny wyjeżdżałam z Rachel na dwa tygodnie. Na białe plaże Florydy, z dala od Mercy Falls. Z dala od Lasów Boundary, a przede wszystkim, z dala od pustego podwórza.

Powoli opłukałam mój termos, i po raz tysięczny tej zimy, powiodłam spojrzeniem w stronę lasu.

Nie było tam nic prócz drzew w odcieniach szarości, z obciążonymi śniegiem gałęziami, wystawionymi naprzeciw ciężkiemu zimowemu niebu. Jedynym kolorem był piękny blask samca kardynała, trzepoczącego skrzydłami obok podajnika z ziarnami. Dziobał w pustą drewnianą podstawkę, aż odleciał, czerwona plamka na tle białego nieba.

Nie chciałam wychodzić na podwórko pokryte śniegiem pozbawionym jakichkolwiek śladów, śladów łap, ale nie chciałam też zostawiać karmnika pustego na czas mojej nieobecności. Wyjmując spod zlewozmywaka torbę z karmą dla ptaków, włożyłam płaszcz, czapkę, rękawiczki. Podeszłam do tylnych drzwi i otworzyłam je.

Zapach zimowego lasu uderzył we mnie z ogromną siłą, przypominając mi gwałtownie o każdym Bożym Narodzeniu, które kiedykolwiek się liczyło.

Chociaż wiedziałam, że jestem sama, wciąż drżałam.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

SAM

-9,5°C

Obserwowałem ją.

Byłem duchem w lasach, cichym, nieruchomym, zimnym. Byłem ucieleśnieniem zimy, fizyczną formą podarowaną mroźnemu wiatrowi. Stałem nieopodal skraju lasu, gdzie drzewa zaczynały się przeredzać, wciągając zapach powietrza: o tej porze roku czuło się głównie martwe zapachy. Odrobina drzewa iglastego, piżmowa woń wilka, jej słodycz i żadnych innych zapachów.

Stała w drzwiach na przestrzeni kilku oddechów. Była zwrócona w stronę drzew, ale byłem niewidzialny, nieuchwytny, tylko oczy w lesie. Przerwany wietrzyk niósł do mnie jej zapach raz po raz, śpiewając wspomnieniami w innym języku, pochodzącymi z innej formy.

W końcu, wreszcie zeszła z tarasu i odcisnęła pierwszy ślad na śniegu na podwórzu.

A ja byłem właśnie tutaj, niemal w zasięgu ręki, a jednak tysiące mil z dala od niej.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SZÓSTY

GRACE

-9,5°C

Z każdym krokiem wiodącym mnie do karmnika zbliżałam się do lasów. Czułam zapach szeleszczących liści leżących na podszyciu, płytkich potoków płynących leniwie pod cienką warstwą lodu, lato uśpione w niezliczonych szkieletach drzew. Coś w tych drzewach przypominało mi o wilkach wyjących w nocy, a to z kolei przypominało mi o złotych lasach z moich snów, teraz ukrytych pod śnieżnym przykryciem. Tak bardzo tęskniłam za tymi lasami.

Tęskniłam za nim.

Odwróciłam się plecami do drzew i postawiłam torebkę z jedzeniem dla ptaków obok siebie. Wszystko, co musiałam zrobić, to napęłnić karmnik ziarnami i wrócić do środka spakować bagaże na podróż z Rachel, gdzie mogłam spróbować zapomnieć o każdym sekrecie, jaki ukrywał się wewnątrz tych zimowych lasów.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

SAM

-9,5°C

Obserwowałem ją.

Jeszcze mnie nie zauważyła. Zeskrobywała lód z karmnika dla ptaków. Powolne i automatyczne ruchy, aby wyczyścić go i otworzyć, napętnić i zamknąć, i patrzeć na to, jakby było najważniejszą rzeczą na świecie.

Obserwowałem ją. Czekałem na nią, aż się odwróci i dostrzeże moją ciemną postać w lesie. Naciągnęła czapkę nisko na uszy, wypuściła z ust obłok pary, patrząc jak wiruje na wietrze. Otrzepała rękawiczki ze śniegu i obróciła się, by odejść.

Nie mogłem się dłużej ukrywać. Wypuściłem długie tchnienie. To był cichy odgłos, ale jej głowa natychmiast odwróciła się w jego kierunku. Jej oczy odnalazły mgiełkę mojego oddechu, a następnie mnie samego, kiedy wyszedłem, powoli, ostrożnie, niepewny jak zareaguje.

Zastygła w bezruchu. Nie przestawałem podchodzić, robiąc niepewne, ostrożne ślady w śniegu, aż wyszedłem z lasu i stanąłem tuż przed nią.

Milczała tak jak ja, nieruchoma. Jej dolna warga zadrżała. Kiedy zamrugła, trzy błyszczące łzy spłynęły z jej oczu pozostawiając krystaliczne smużki na jej policzkach.

Mogła patrzeć na mały cud przed nią: moje stopy, moje dłonie, moje palce, kształt moich ramion rysujący się pod kurtką, moje ludzkie ciało, ale ona tylko patrzyła mi w oczy.

Wiatr smagnął jeszcze raz, poprzez drzewa, ale to nie wywierało na mnie żadnego wpływu. Zimny powiew na moich palcach, ale one wciąż pozostawały palcami.

- Grace – powiedziałem delikatnie. – Powiedz coś.
- Sam – powiedziała i wpadła w moje ramiona.

KONIEC